

CECELIA AHERN

Autorka bestsellera *love, rosie* i *PS Kocham Cię*

Kiedy cię poznałam



Czasem tylko jeden mały krok dzieli
nienawiść od miłości

CECELIA AHERN

Kiedy cię poznałam

przełożyła
Agata Kowalczyk



Mojej przyjaciółce Lucy Stack

Kiedy gąsienica myślała już, że świat się skończył,

stała się motylem...

*Największa chwała nie w tym, żeby nigdy nie upaść,
ale w tym, żeby się podnieść za każdym razem.*

Konfucjusz

ZIMA

Pora roku między jesienią a wiosną, na półkuli północnej obejmuje najzimniejsze miesiące: grudzień, styczeń i luty.

Okres braku aktywności, zamierania życia.

1

Miałam pięć lat, kiedy dowiedziałam się, że umrę.

Do tej pory nie przyszło mi do głowy, że nie będę żyć wiecznie. Dlaczego miałoby przyjść? Nikt nie wspominał mimochodem o mojej śmierci.

Moja wiedza na jej temat wcale nie była taka mała: złote rybki umierały, o czym przekonałam się osobiście. Umierały, kiedy się ich nie karmiło, ale umierały też, kiedy się je przekarmiło. Psy umierały, kiedy wbiegły pod pędzący samochód; myszy umierały, kiedy skusiły się na czekoladowe ciasteczka w łapce ustawionej w naszej szatni pod schodami; króliki umierały, kiedy uciekały z klatek i padały ofiarą złych lisów. Odkrywanie ich śmierci nie budziło we mnie żadnego osobistego niepokoju; już jako pięciolatka wiedziałam, że to tylko futrzaste zwierzątka, które popełniają głupstwa – głupstwa, jakich ja nie miałam zamiaru popełniać.

Bardzo więc mną wstrząsnęła informacja, że śmierć znajdzie też mnie.

Według mojego źródła, jeśli będę miała „farta”, umrę tak jak dziadek. Stary. Śmierdzący fajkowym dymem i bąkami, ze strzępkami chusteczki higienicznej przyklejonymi do szczeciny nad górną wargą od wydmuchiwania nosa. Z czarnymi kreskami brudu pod paznokciami od pracy w ogrodzie; z oczami żółknącymi w kącikach, podobnymi do szklanej kulki z kolekcji wujka; moja siostra lubiła ssać taką kulkę i czasami ją połykała, wtedy tata pędził do niej, obejmował ją od tyłu i ścisnął jej brzuch, dopóki kulka nie wyskoczyła z powrotem. Stary. W brązowych spodniach podciągniętych grubo powyżej pasa, aż po obwisłą pierś; z miękkim brzuchem i jajkami ściśniętymi po jednej stronie szwu, rysującymi się pod materiałem. Stary. O nie, nie chciałam umrzeć tak jak dziadek, ale śmierć ze starości, jak twierdziło moje źródło, była najlepszą opcją.

O mojej nieuchronnej śmierci dowiedziałam się od starszego kuzyna, Kevina, w dniu pogrzebu dziadka. Siedzieliśmy na trawie

na końcu długiego dziadkowego ogrodu, z plastikowymi kubkami czerwonej lemoniady w dłoniach, możliwie daleko od naszych smutnych rodziców, którzy wyglądali jak żuczki gnojarki w ten chyba najgorętszy dzień lata. Trawa była pełna dmuchawców i stokrotek i o wiele wyższa niż zwykle – choroba nie pozwoliła dziadkowi dopieszczać ogrodu przez ostatnie tygodnie. Pamiętam, że zrobiło mi się smutno z tego powodu, żal dziadka, że właśnie tego dnia, kiedy miał najlepszą okazję pochwalić się swoim pięknym dziełem przed sąsiadami i znajomymi, ogród nie wyglądał idealnie. Dziadek dążył do ideału. Nie przejmowałby się tym, że jego samego tu nie ma – nie lubił dużo mówić – ale na pewno zależałoby mu na tej wielkiej prezentacji. Zaszłyby się gdzieś, żeby po kryjomu słuchać pochwał, może na górze, przy otwartym oknie. Udawałby, że to go nie obchodzi, ale obchodziłoby; na twarzy miałby ten swój oszczędny uśmiech, miałby kolana zielone od trawy i czarne paznokcie. Ktoś, jakaś starsza pani z różańcem ciasno owiniętym na kostkach palców, powiedziała, że czuje w ogrodzie obecność dziadka, ale ja nie czułam. Byłam pewna, że jego tu nie ma. Wygląd tego miejsca by go denerwował, nie mógłby tego znieść.

Babcia przerywała długie chwile ciszy zdaniami:

– Jego słoneczniki wspaniale rosną, niech spoczywa w spokoju. – Albo: – Nie zobaczył, jak kwitną jego petunie.

Na co mój pyskаты kuzyn Kevin wymamrotał:

– No, teraz on sam jest nawozem.

Wszyscy zachichotali. Wszyscy zawsze się śmiali z tego, co mówi Kevin, bo Kevin to fajny chłopak, bo Kevin jest najstarszy, pięć lat starszy ode mnie, i jako dziesięcioletni dorosły wygadywał wredne, okrutne rzeczy, jakich żadne z nas nie ośmieliłoby się powiedzieć. Nawet jeśli nas nie śmieszyły, wiedzieliśmy, że trzeba się śmiać, bo inaczej sami natychmiast stalibyśmy się obiektem jego okrucieństwa – i właśnie tak się stało ze mną tamtego dnia. Akurat tym razem nie wydało mi się zabawne, że martwe ciało dziadka pod ziemią pomaga rosnać jego petuniom, i nie uważałam, że to okrutne. Widziałam w tym pewne piękno. Uroczym dopełnieniem

i harmonię. Właśnie to podobałoby się dziadkowi teraz, kiedy jego grube jak kielbaski palce nie mogły już przyczynić się do kwitnienia w długim, ślicznym ogrodzie – centrum jego wszechświata.

To przez zamiłowanie dziadka do ogrodnictwa dostałam imię Jasmine. Bo właśnie jaśmin przyniósł mamie, kiedy odwiedził ją w szpitalu w dniu moich narodzin: pęk kwiatów zerwanych z drewnianej kraty, którą sam zrobił, pomalował na czerwono i zamocował na cienistej, tylnej ścianie domu. Pęk kwiatów owinięty gazetą i przewiązany sizalowym sznurkiem, z tuszem z niedokończonych krzyżówek z „Irish Timesa” rozpuszczonym od wody z łyżek. To nie był letni jaśmin, który wszyscy znamy z drogich zapachowych świec i wymyślnych odświeżaczy powietrza; urodziłam się zimą, więc dostał mi się zimowy jaśmin z małymi gwiazdkami kwiatów – bujnie kwitł w ogrodzie i rozświetlał burą zimę. Nie wydaje mi się, żeby dziadek się zastanawiał nad znaczeniem tego gestu, i nie wiem, czy czuł się jakoś szczególnie uhonorowany tym, że mama dała mi imię kwiatów, które przyniósł. Pewnie uważał, że to dziwne imię dla dziecka – odpowiednie dla roślin w jego ogrodzie, ale nigdy dla osoby. Sam miał na imię Adalbert po świętym misjonarzu w Irlandii, a na drugie – Mary, więc na pewno nie przywykł do imion nie z Biblii. Poprzedniej zimy, kiedy urodziła się moja siostra, przyniósł liliowy wrzos, dlatego dostała imię Heather – Wrzos. Wtedy to był po prostu bukiet w prezencie, ale zastanawiam się, czy w moim przypadku dziadek nie wybrał kwiatów celowo. Kiedy bliżej przyjrzałam się sprawie, odkryłam, że zimowy jaśmin jest bliskim krewnym kwitnącego zimą wrzосу – kolejnego barwnego akcentu zimowych ogrodów. Nie wiem, czy to przez to, jaki był dziadek, ale chyba zawsze miałam nadzieję, że milczący ludzie są strażnikami magii i wiedzy, której brak mniej powściągliwym osobom; że nie mówią, bo w ich głowach dzieją się ważniejsze rzeczy. Że ta pozorna prostota skrywa mozaikę dziwacznych myśli, wśród których znalazła się również intencja dziadka Adalberta, żebym dostała imię Jasmine.

Wtedy w ogrodzie Kevin wziął mój brak rozbawienia jego żartem o śmierci za dezaprobatę, a tej nie cierpiał i bał się najbardziej na świecie, więc zwrócił na mnie swoje dzikie spojrzenie i oznajmił:

– Ty też umrzesz, Jasmine.

Siedzieliśmy w kółeczku. Parę kroków dalej moja siostra wirowała szczęśliwa aż do zawrotów głowy i upadku. A ja, najmłodsza z całej szóstki, z wiankiem ze stokrotek na kostce, czułam tak ogromną gulę w gardle, jakbym połknęła jednego z wielkich trzmieli uczujących w kwiatowym bufecie, i usiłowałam pomieścić w głowie swój przyszły zgon. Pozostali byli zszokowani, że Kevin to powiedział, ale zamiast stanąć w mojej obronie i zaprzeczyć temu straszemu stwierdzeniu, które brzmiało jak przepowiednia, wbili we mnie smutne spojrzenia i pokiwali głowami. Tak, to prawda, potwierdzili tym jednym spojrzeniem. Umrzesz, Jasmine.

Kevin wykorzystał moje długie milczenie i rozwinął temat, żeby mnie dobić. Nie tylko umrę, ale wcześniej dostanę czegoś, co się nazywa okres i do końca życia co miesiąc powoduje koszmarny ból i nieziemskie cierpienie. Potem oświecił mnie, jak się robi dzieci: podał dokładny opis, który wydał mi się tak wstrętny i zbereżny, że przez tydzień ledwie mogłam spojrzeć rodzicom w oczy. A na koniec, żeby nasypać soli na moje otwarte rany, oznajmił, że Święty Mikołaj nie istnieje.

Człowiek stara się zapomnieć, ale tego zapomnieć się nie da.

Dlaczego opowiadam ten epizod ze swojego życia? Bo wtedy powstałam Ja. Wtedy uformowałam się Ja, taka, jaką znam siebie i jaką znają mnie wszyscy inni. Moje życie zaczęło się, kiedy miałam pięć lat. Wiedza, że umrę, obudziła we mnie coś, co noszę w sobie do dziś: świadomość, że choć czas jest nieskończony, to mój czas, owszem – mój czas ucieka. Zdałam sobie sprawę, że moja godzina i godzina kogokolwiek innego nie są sobie równe. Nie możemy jej spędzić tak samo, nie możemy o niej myśleć tak samo. Wy róbcie ze swoimi, co wam się podoba, ale mnie w to nie wciągajcie; ja nie mam godzin do stracenia. Jeśli chcesz coś

zrobić, musisz to zrobić teraz. Jeśli chcesz coś powiedzieć, musisz to powiedzieć teraz. A co ważniejsze, musisz to zrobić osobiście. To twoje życie, to ty umrzesz, to ty stracisz wszystko. Moim sposobem bycia stało się działanie, wprowadzanie myśli w czyn. Zawrotne tempo czasami pozbawiało mnie tchu; ledwie udawało mi się nadażyć za samą sobą. Często goniłam samą siebie, może rzadko doganiałam; byłam szybka.

Tamtego wieczoru po spotkaniu na trawie, kiedy wracaliśmy do domu za spalonymi słońcem żałobnikami, zabrałam ze sobą bardzo wiele, i to nie były tylko wianki na nadgarstkach, kostkach i we włosach. Wtedy czułam w sercu ogromny lęk, ale niedługo potem, kiedy już przetrawiłam wszystko, na ile potrafi to zrobić pięciolatka, lęk mnie opuścił. Odtąd zawsze myślałam o śmierci jako o dziadku Adalbercie Mary pod ziemią, który wciąż dba o swój ogród, choć go w nim nie ma, i czułam nadzieję.

Zbierasz to, co zasiejesz, i dotyczy to nawet śmierci. Więc zabrałam się za sianie.

Zostałam zwolniona z pracy – wylana – sześć tygodni przed Bożym Narodzeniem, a to według mnie jest bardzo niegodna pora, żeby zwalniać kogokolwiek. Wynajęli kobietę, która wyrzuciła mnie w ich imieniu. Wzięli ją z jednej z tych zewnętrznych agencji od pozbywania się niechcianych pracowników w odpowiedni sposób, żeby uniknąć sceny, pozwu czy też własnego zażenowania. Zabrała mnie na lunch do cichej knajpki, pozwoliła zamówić sałatkę cesarską, choć sama poprosiła tylko o czarną kawę, i patrzyła, jak niemal dławię się grzanką na wiadomość o mojej nowej sytuacji zawodowej. Larry na pewno zdawał sobie sprawę, że nie przyjmę tej nowiny od niego ani od nikogo innego, że będę go próbowała przekonać, by zmienił zdanie, że trzasnę mu o stół pozwem sądowym albo po prostu trzasnę jego. Dał mi szansę polec z godnością, ale nie czułam się zbyt godnie, kiedy odchodziłam. Zwolnienie z pracy to sprawa publiczna, musiałam powiedzieć ludziom. A jeśli nie musiałam, to tylko dlatego, że już wiedzieli. Czułam się zażenowana. Wciąż się tak czuję.

Karierę zawodową zaczęłam jako księgowa. Dość wcześnie, bo w wieku dwudziestu czterech lat, podjęłam pracę w Trent&Bogle, dużej korporacji, w której zostałam przez rok, a potem niemal z dnia na dzień przeniosłam się do Start It Up, gdzie zajmowałam się doradztwem finansowym; pomagałam osobom, które chciały założyć firmę. Nauczyłam się wtedy, że każda historia ma dwie wersje: oficjalną i prawdziwą. Moja oficjalna wersja brzmi: odeszłam, żeby rozkręcić własny interes, ludzie przewijający się przez moje biuro tak mnie zainspirowali, że zapragnęłam zrealizować swoje pomysły. A naprawdę: irytowało mnie oglądanie nieudaczników, a że zawsze miałam parcie na efektywność, założyłam własną firmę. Odniosła duży sukces i ktoś zaproponował mi, że ją kupi. Więc mu sprzedałam. Potem założyłam drugą i znów sprzedałam. Natychmiast wpadłam na kolejny pomysł. Tym razem nie miałam nawet czasu go rozwinąć, bo komuś spodobała się sama koncepcja, a raczej nie spodobało się

to, że byłaby silną konkurencją dla jego przedsięwzięcia, więc wykupił ją na pniu. To doprowadziło mnie do spółki z Larrym, do najnowszego start-upu i jedynej pracy, z której zostałam wylana. Pomysł na biznes był jego, nie mój, ale rozwijaliśmy go razem i dbałam o tę nową firmę jak o rodzone dziecko. Pomagałam mu rosnąć. Patrzyłam, jak dojrzewa, jak się rozwija ponad nasze najśmielsze oczekiwania, a potem zaczęłam je przygotowywać do chwili, kiedy je sprzedamy. Ale tego się nie doczekałam. Zostałam wywalona.

Nasz biznes nazywał się Idea Factory – Fabryka Pomysłów. Pomagaliśmy firmom wprowadzać innowacje. Nie świadczyliśmy usług konsultingowych. My braliśmy czyjś pomysł i ulepszaliśmy albo wymyślaliśmy własny, rozwijaliśmy go, wdrażaliśmy i pilotowaliśmy od początku do końca. Pracowaliśmy nad różnymi rzeczami: od „Daily Fix”, kawiarnianej gazetki z lokalnymi newsami, która wspiera miejscowych przedsiębiorców, pisarzy i artystów, po sex shop, gdzie sprzedaje się lody, co – jako mój własny projekt – okazało się wielkim sukcesem i osobistym, i zawodowym. W czasie kryzysu nie walczyliśmy o przetrwanie, byliśmy na topie. Bo jeśli cokolwiek mogło pomóc firmom utrzymać się przy takiej koniunkturze, to tylko wyobraźnia. Sprzedawaliśmy naszą wyobraźnię i ja to uwielbiałam.

Teraz, kiedy nie mam co robić, analizuję to wszystko i widzę, że nasza relacja z Larrym zaczęła się sypać już jakiś czas temu. Ja, może na ślepo, parłam drogą „sprzedać firmę”, tak jak robiłam to już trzy razy, a Larry zamierzał ją zatrzymać. Spory problem, jak tak spojrzeć z perspektywy. Zdaje się, że za mocno naciskałam, szukałam ewentualnych kupców, choć w głębi duszy wiedziałam, że on nie jest zainteresowany sprzedażą. Czuł zbyt dużą presję. Chciał ciągle rozwijać firmę, a dla mnie liczyło się tylko, żeby doprowadzić ją do pewnego momentu, sprzedać i zacząć coś nowego. Ja dbałam o firmę z myślą, że kiedyś się z nią pożegnają, on – że ją zatrzyma. Gdybyście widzieli, jak zachowywał się wobec żony i nastoletniej córki, rozumielibyście, że w zasadzie do wszystkiego stosował tę filozofię. Trzymać, nie dawać, moje.

Niczego nie wolno wypuszczać z rąk. Ale do rzeczy.

Mam trzydzieści trzy lata, w Idea Factory pracowałam od czterech. Nigdy nie wzięłam zwolnienia, nigdy nie było żadnej skargi, żadnego zażalenia, upomnienia, nigdy nie pozwoliłam sobie na niewłaściwy romans – a w każdym razie nie na taki, który mógłby przynieść szkodę firmie. Oddałam pracy wszystko. Owszem, dla własnego zysku i z własnej woli, ale spodziewałam się, że machina, dla której się poświęcam, jakoś mi się odwdzięczy, odpowie troską na troskę. Moje wcześniejsze przekonanie, że w zwolnieniu pracownika nie ma nic osobistego, wynikało z faktu, że do tej pory sama nigdy nie znalazłam się w takiej sytuacji. To ja zwalniałam innych. Teraz rozumiem, że to jest osobiste, bo praca była moim życiem. Przyjaciele i koledzy okazali mi niesamowite wsparcie, w pewnym sensie; teraz już wiem, że jak kiedyś zachoruję na raka, podejmę leczenie sama, nikomu nic nie powiem. Przez nich czułam się jak ofiara. Patrzyli na mnie tak, jakby się spodziewali, że zaraz wskoczę do samolotu do Australii i zostanę jeszcze jedną zbyt wysoko kwalifikowaną pracownicą na plantacji melonów. Minęły zaledwie dwa miesiące, a ja już kwestionuję swoją wartość. Nie mam celu, nie mam niczego, czemu mogłabym się poświęcić każdego kolejnego dnia. Czuję się tak, jakbym tylko brała od świata. Wiem, że to tymczasowe, że niedługo znów wskoczę w swoją rolę, ale w tej chwili nic z siebie nie daję. Mówiąc krótko, minęły prawie dwa miesiące, a ja się nudzę. Jestem człowiekiem czynu, a ostatnio nie działałam zbyt wiele.

Zrobiłam już wszystko, o czym marzyłam podczas wypełnionych pracą, stresujących dni. A większość tych marzeń zrealizowałam w pierwszym miesiącu. Tuż przed świętami wybrałam się w tropiki, więc teraz jestem opalona i zmarznięta. Spotkałam się z koleżankami – świeżo upieczonymi matkami na urloпах macierzyńskich, wychowawczych, śmawczych i jakichkolwiek, byle tylko nie musiały wracać do pracy. Umówiłam się z nimi na kawę o takiej porze, o jakiej nigdy dotąd nie piłam kawy w miejscu publicznym. To przypominało całodniowe

wagary, było cudowne – kilka razy. Potem czar przysł, więc zaczęłam się skupiać na osobach, które podają kawę, myją stoliki, nakładają pieczywo. Na pracownikach. Wszyscy pracowali. Polubiłam słodkie dzieciaki swoich przyjaciółek, chociaż większość to bobasy – leżą na kolorowych matach i jedyne, co robią, to unoszą tłuste nóżki, łapią za palce stóp, turlają się na boki i wysilają, żeby przeturlać się z powrotem. To jest zabawne, jak się na to patrzy pierwszych dziesięć razy.

Dwa razy w ciągu siedmiu tygodni poproszono mnie na matkę chrzestną: rola w sam raz dla niepracującej koleżanki. Cóż, miłe propozycje, byłam wzruszona, ale gdybym pracowała, nikt by do mnie z tym nie zadzwonił, bo nikogo nie odwiedzałam tak często i pewnie w ogóle nie poznałabym tych dzieci. Tym sposobem, koniec końców, wszystko sprowadza się do faktu, że nie mam pracy. Teraz więc to do mnie przyjaciółki dzwonią, kiedy już dostają szalę z dzieciakiem, kiedy mają tłuste strąki na głowie, śmierzdzą potem i niemowlęcymi wymiotami, i przyciszonym głosem, od którego dostaję gęsiej skórki, mówią mi, że boją się, co za chwilę zrobią. No to pędzę do nich i zajmuję się dzieckiem, dzięki czemu mogą wziąć dziesięciminutowy prysznic. Przekonałam się, że dziesięciminutowy prysznic i możliwość posiedzenia w toalecie bez tykającej bomby przywraca młodym matkom coś więcej niż świeżość ciała.

Spontanicznie wpadam do siostry, czego nigdy wcześniej nie mogłam robić. To ją strasznie wytrąca z równowagi, dlatego kiedy z nią jestem, bez przerwy pyta, która godzina, tak jakbym popsuła jej zegar wewnętrzny. Świąteczne zakupy robiłam bez najmniejszego pośpiechu. Kupiłam prawdziwe kartki świąteczne i wysłałam je na czas – wszystkie dwieście. Wzięłam nawet na siebie zakupy dla taty. Jestem ultraefektywna, jak zawsze. Oczywiście potrafię też siedzieć beczynn timer – uwielbiam dwutygodniowe wakacje, ubóstwiam leżeć na plaży i nic nie robić – ale tylko wtedy, kiedy ja chcę, na moich warunkach, kiedy wiem, że coś na mnie czeka. Po urlopie potrzebuję celu. Potrzebuję kierunku. Potrzebuję wyzwania. Potrzebuję sensu. Muszę dawać

coś z siebie. Muszę coś robić.

Kochałam swoją pracę, ale skoro nie mogę jej wykonywać, dla poprawy samopoczucia staram się skupić na tym, za czym nie będę tęsknić.

Pracowałam głównie z mężczyznami. W większości palantami, niektórzy byli zabawni, paru wydawało się całkiem miłych. Nie lubiłam spędzać z nimi czasu poza godzinami pracy i wiem, że w tym kontekście kolejne zdanie nie powinno mieć sensu, ale ma. Z dziesięcioosobowego zespołu poszłam do łóżka z trzema facetami. Z tych trzech żałuję, że przespałam się z dwoma; ten, z którym seksu nie żałuję, bardzo żałuję, że uprawiał seks ze mną. Dość niefortunna sytuacja.

Za ludźmi z pracy tęsknić nie będę. Ludzie to coś, co najbardziej mi w życiu przeszkadza. Przeszkadza mi, że tak wielu z nich jest pozbawionych zdrowego rozsądku, że potrafią być tak niesamowicie rozczarowujący, zacofani, niedoinformowani, a ich poglądy bywają tak błędne, pełne uprzedzeń i niebezpieczne, że nie mogę ich słuchać. Nie, nie jestem po prostu wredna. Lubię niepoprawne politycznie żarty w kontrolowanym środowisku, gdzie takie rzeczy są na miejscu i kiedy jest oczywiste, że śmiejemy się z ignorantą, który wygaduje głupstwa. Kiedy niepoprawną politycznie puentę wygłasza ktoś, kto szczerze wierzy w jej słuszność, wtedy nie jest dowcipna – jest obraźliwa. Nie lubię zdrowej dyskusji o tym, co ma być dobre, a co złe; wolałabym, żeby wszyscy to wiedzieli od urodzenia. Test Guthriego[1], potem szczepionka z rozumu.

Brak pracy zmusił mnie do konfrontacji z tym, czego najbardziej nie lubię w świecie i w samej sobie. W pracy mogłam się schować, myśleć o czymś innym. Bez pracy muszę stawiać czoło sprawom, myśleć o sprawach, rozpatrywać sprawy, szukać sposobu, jak podejść do spraw, których od dawna unikałam. Te sprawy to na przykład sąsiedzi – moi od czterech lat, z którymi do tej pory nie miałam prawie nic wspólnego.

Te sprawy obejmują również to, co się dzieje w nocy. Nie wiem, czy wcześniej jakimś cudem potrafiłam nie zwracać na to

uwagi, czy jednak nastąpiła eskalacja, czy też może moja beczynność doprowadziła mnie do niemal obsesyjnej fascynacji tym zjawiskiem. Tak czy inaczej, jest dziesiąta wieczorem i na swoją nocną rozrywkę muszę poczekać jeszcze parę godzin.

Sylwester. Po raz pierwszy w życiu spędzam go sama. Zdecydowałam się na to z kilku powodów: po pierwsze, pogoda jest tak okropna, że za nic bym nie wyszła; wystarczy, że omal nie zabiły mnie własne drzwi, kiedy je otworzyłam, żeby odebrać chińszczyznę od dzielnego człowieka, który walczył z żywiołami, by dostarczyć mi jedzenie. Chipsy krewetkowe prawie się rozpląnęły, a sos do pierożków rozlał się na dnie torby, ale nie miałam serca narzekać. Długie, tęskne spojrzenie dostawcy w głąb bezpiecznego, ciepłego domu powstrzymało mnie od komentarza na temat stanu mojego zamówienia.

Na dworze szaleją huraganowe podmuchy, aż strach, czy nie zerwą dachu. Furtka sąsiada bez przerwy trzaska, zastanawiam się, czy nie wyjść i jej nie zamknąć, ale wiatr pewnie zacząłby mną miotać tak, jak miota kubłami na śmieci, które tłuką się o siebie w przejściu między domami. To najpotężniejsza wichura, jaką ten kraj – Irlandia – widział od kto wie jak dawna. W Anglii to samo, a i Stanom nieźle się dostaje. W Kansas minus czterdzieści, wodospad Niagara zamarzł, na Nowy Jork natarła lodowata masa powietrza, zwana wirem polarnym, przyczepy kempingowe lądują na szczytach klifów w Kerry, a owce, które zwykle pewnie trzymają się na stromych urwiskach, przegrywają walkę i lądują na plażach obok wielorybów wyrzuconych na brzeg. Wydano ostrzeżenia przed powodzią; nieszczęśni przemoczeni reporterzy z sinymi wargami, nadający z wybrzeża, doradzają mieszkańcom nadmorskich terenów, żeby nie wychodzili z domów. Droga, którą dojeżdżam w większość ważnych dla mnie miejsc, jest zalana od dwóch dni. W ten dzień, kiedy chciałam – bardzo chciałam – być zajęta, Matka Natura dała mi szlaban. Wiem, co robi: próbuje mnie zmusić do zastanowienia się i wygrywa. Dlatego wszystkie refleksje na swój temat zaczynam od „być może”... bo teraz myślę o sobie tak, jak nie myślałam nigdy do tej pory, i wcale nie jestem

pewna, czy obrałam właściwy kierunek.

Szczekanie psa po drugiej stronie ulicy ledwie słyhać w wyjąym wietrze; zdaje się, że doktor Jameson znów zapomniał go wpuścić. Robi się trochę roztrzepany, a może się na niego rozzłościł. Nie wiem, jak pies ma na imię, ale to terier jack russel. Widuję go, jak gania po moim ogrodzie, czasami wali kupę; parę razy wpadł do mojego domu i musiałam ganiać małego drania, żeby odnieść go na drugą stronę ulicy szacownemu dżentelmenowi. Nazywam doktora „szacownym dżentelmenem”, bo to nobliwy pan po siedemdziesiątce, emerytowany lekarz, który dla rozrywki został prezesem wszystkich możliwych klubów: szachowego, brydżowego, golfowego, krykietowego, a teraz prezesuje naszej wspólnoty osiedlowej, odpowiedzialnej za sprzątanie liści, wymianę żarówek w latarniach, straż sąsiedzką i tak dalej. Zawsze wygląda nieskazitelnie: idealnie odprasowane spodnie i koszule, pulowery w serek, wypucowane buty i uczesane włosy. Mówi do mnie tak, jakby wygłaszał zdania ponad moją głową, z uniesionym podbródkiem i rozdętymi nozdrzami, niczym aktor w teatrze amatorskim, ale nigdy nie jest nieuprzejmy, więc i ja nie mam powodu być nieuprzejma; po prostu zachowuję dystans. To jedyne, co mogę zrobić wobec kogoś, kogo nie potrafię rozgryźć. Jeszcze miesiąc temu nie wiedziałam nawet, że doktor Jameson ma psa, ale ostatnio zaczynam wiedzieć stanowczo za dużo o swoich sąsiadach. Im głośniej terier szczeka na wietrze, tym bardziej się martwię, że doktor Jameson się przewrócił albo został zwiany do czyjegoś ogrodu za domem, tak jak trampoliny, które w czasie burzy przeskakują z ogródka do ogródka.

Słyszałam, że jakaś dziewczynka rano znalazła w ogrodzie huśtawkę i zjeżdżalnię i myślała, że Święty Mikołaj przyszedł jeszcze raz, ale okazało się, że to rzeczy porwane przez sztormowe poddmuchy i należą do ludzi, którzy mieszkają pięć domów dalej.

Nie słyszę przyjęcia przy naszej ulicy, choć je widzę. Państwo Murphy'owie jak co roku urządzili wielki rodzinny spęd. Przyjęcie zawsze zaczyna się i kończy irlandzkimi pieśniami ludowymi: pan Murphy gra na bodhranie[2], a pani Murphy

śpiewa z takim smutkiem, jakby siedziała pośrodku pola pełnego czarnych, zgniłych ziemniaków. Goście dołączają do nich, jak gdyby bujali się z boku na bok na burzliwym morzu, na statku głodujących w drodze do Ameryki. Nie narzekam, że wiatr zabiera te dźwięki w inną stronę, słyszę za to imprezę, której nie widzę, prawdopodobnie parę ulic dalej; oderwane słowa szaleńców, którzy zdecydowali się zapalić na dworze, wpadają mi przez komin wraz z odległym rytmem tanecznej muzyki, a potem wiatr znów porywa wszystko w dal. Dźwięki i liście wirują jak obłąkane na moim progu.

Byłam zaproszona na trzy imprezy, ale trudno mi sobie wyobrazić coś gorszego niż przemieszczanie się z jednej na drugą, szukanie taksówek w sylwestra, w taką pogodę, w takim humorze. Poza tym w telewizji mają lecieć fajne rzeczy, a ja po raz pierwszy w życiu chcę je oglądać. Opatulam się szczelniej kaszmirowym kocem, wypijam łyżeczek czerwonego wina, zadowolona ze swojej decyzji, żeby siedzieć samotnie, i myślę, że wszyscy tam na dworze, na tej zawierusze, są nienormalni. Wiatr znów zrywa się z rykiem, więc sięgam po pilot, żeby zrobić głośniejsze, ale w tej chwili wszędzie gasną światła. Obraz z telewizora znika. Połyka mnie ciemność, w której gniewnie piszczy domowy alarm.

Szybkie rozpoznanie, co się dzieje za oknem, i już wiem, że cała ulica nie ma prądu. W odróżnieniu od sąsiadów nie zawracam sobie głowy świeczkami. To kolejny powód, żeby po omacku wejść po schodach i położyć się do łóżka o dziesiątej. Oczywiście wychwytyuję ironię tej sytuacji – wysiadło mi zasilanie, dosłownie i w przenośni. Oglądam sylwestrowy program na iPodzie; ikonka pokazuje zatrwającą niski stan baterii, a energii ubywa tak szybko, że nie mam prawie żadnej przyjemności ze słuchania piosenek. Przełączam się na laptop, a kiedy on też zdycha, mam ochotę się rozplakać.

Słyszę samochód – tak, zaczyna się akcja.

Wstaję z łóżka, rozsuwam zasłony. Na całej ulicy gęsty mrok; tylko migotanie świeczek w paru domach, ale poza tym czarno – większość moich sąsiadów jest po siedemdziesiątce i leży

już w łóżkach. Mogę stać w oknie bez zasłon i bez żenady oglądać spektakl, który zaraz się zacznie.

Wyglądam na dwór. I widzę ciebie.

Nie jestem podglądaczką, ale zachowujesz się tak, że trudno cię nie podglądać. Jesteś jak jednoosobowy cyrk i nie mogę nie być twoją publicznością. Mieszkamy dokładnie naprzeciwko siebie w tej podmiejskiej ślepej uliczce w Sutton, w północnym Dublinie. Ulicę zabudowano w latach siedemdziesiątych, wzorując się na amerykańskich przedmieściach. Mamy duże ogródki od frontu, bez żadnych żywopłotów czy innych krzaków, które oddzielałyby nas od chodnika, żadnych furtek, nic, co przeszkodziłoby człowiekowi z ulicy podejść pod nasze okna. Ogródki przed domem są większe niż te z tyłu, więc tutejsi mieszkańcy postawili sobie za punkt honoru jak najlepiej je utrzymać, dlatego są wystrzyżone, wyczesane, nawiezione i podlane niemal na śmierć. Wszyscy na naszej ulicy z wyjątkiem mieszkańców twojego i mojego domu są emerytami. Spędzają w ogródkach długie godziny, więc doskonale wiedzą, kto wchodzi, kto wychodzi i o której godzinie. Tylko my nie jesteśmy ogrodnikami ani emerytami. Ty jesteś chyba z dziesięć lat starszy ode mnie, ale i tak obniżyliśmy średnią wieku w sąsiedztwie o jakieś trzy dekady. Masz troje dzieci. Nie wiem dokładnie, w jakim wieku, ale jedno jest chyba nastolatkiem, a dwoje pozostałych nie skończyło jeszcze dziesięciu lat.

Nie wydajesz się dobrym ojcem, nigdy cię z nimi nie widuję.

Mieszkałeś naprzeciwko od zawsze, od kiedy się tu wprowadziłam, i zawsze okropnie mi przeszkadzałeś, ale praca i wszystko, co się z nią wiązało – brak czasu oraz świadomość, że na świecie są ważniejsze rzeczy – pozwalały mi się nie przejmować, nie uskarżać; inaczej pewnie bym tam pomaszerowała i dała ci w zęby, aż byś się nogami nakrył.

Teraz czuję się tak, jakbym mieszkała w akwarium: jedyne, co widzę i słyszę z każdego okna domu, to ty. Ty, ty, ty. Więc dziś, o wpół do trzeciej w nocy, co jak na ciebie jest całkiem przyzwoitą godziną powrotu do domu, sterczę w oknie z łokciami na parapecie, z podbródkiem opartym na dłoniach i czekam na kolejną chryję. Wiem, że będzie niezła, bo to sylwester, a ty jesteś

Matt Marshall, prezenter w największej irlandzkiej stacji radiowej, i choć wcale nie chciałam, słuchałam twojej audycji na telefonie, zanim on też mi padł. Okazała się tak samo nachalna, niesmaczna, obrzydliwa, niestrawna, ohydna, wstrętna i wymiotna jak wszystkie. *Mikrofon Matta Marshalla*, nadawany od jedenastej do pierwszej w nocy, ma więcej słuchaczy niż jakakolwiek inna audycja w Irlandii. Prowadzisz ten nocny talk-show od dziesięciu lat. Kiedy się wprowadzałam, nie miałam pojęcia, że mieszkasz naprzeciwko, ale pewnego dnia z drugiej strony ulicy dobiegł mnie twój głos i natychmiast się zorientowałam, że to ty. Każdy się orientuje, kiedy cię słyszy, i zwykle tym się jara, ale mnie odrzuciło.

Reprezentujesz wszystko, czego nie lubię w ludziach. Wkurzają mnie twoje poglądy, opinie, dyskusje, które w żaden sposób nie łagodzą problemów – choć rzekomo starasz się im zaradzić – wręcz przeciwnie, tylko rozkręcają szal prymitywnego tłumy. Jesteś tubą dla rasizmu i wściekłości, ale przedstawiasz to jako wolność wypowiedzi. Z tych powodów cię nie lubię. Z osobistych powodów gardzę tobą, ale o nich później.

Zajechałeś pod dom jak zwykle, pędząc sześćdziesiąt na godzinę naszą cichą, zamieszkaną przez seniorów ulicą. Ty kupiłeś dom od starszego małżeństwa – chcieli zmienić lokum na mniejsze. Ja kupiłam swój od zmarłej wdowy, a raczej od jej dzieci, które potrzebowały zastrzyku gotówki. Nieźle na tym wyszłam, bo wtedy akurat nieruchomości stały najniżej, ludzie brali, ile się dało, a potem ceny znowu poszły w górę. Teraz mój cel to spłata hipoteki – od piątego roku życia miałam ambicję, żeby wszystko, co jest moje, naprawdę było moje, żebym nie musiała być na łasce innych ludzi i ich błędów. Nasze domy wyglądają jak z *Cudownych lat*. Oboje zarządziliśmy sporo przeróbek, o każdą wyklócaliśmy się ze wspólnotą, która nas oskarżała, że psujemy wygląd ulicy. Udało nam się wynegocjować kompromis. Nasze domy wyglądają jak z *Cudownych lat*, ale w środku zostały mocno przebudowane. Ja złamałam umowę w kwestii ogródka od frontu, za co wciąż jeszcze płacę. Ale o tym później.

Podjeżdżasz niebezpiecznie blisko pod bramę swojego garażu, jak zwykle, i wysiadasz z samochodu, zostawiasz kluczyki w stacyjce, drące się radio i silnik na chodzie. Nie wiem, czy zapomniałeś wyłączyć, czy nie zamierzasz tu zostać. Reflektory oczywiście też włączone – teraz to jedyne światło na ulicy. To jeszcze bardziej podkreśla teatralność tej sceny, niemal jakbyś stał w świetle jupiterów. Mimo wiatru, który trochę przycichł, słyszę z auta każde słowo *Paradise City* Guns N' Roses; tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty ósmy to musiał być dla ciebie dobry rok. Ja miałam wtedy osiem lat, ty pewnie z osiemnaście. Założę się, że nosiłeś koszulki z Gunsami i miałeś ich wizerunek na szkolnej torbie. Założę się, że ryłeś ich nazwę na zeszytach, chodziłeś do The Grove, paliłeś i tańczyłeś całą noc, i wykrzykiwałeś w nocne niebo każde słowo ich piosenek. Musiałeś się wtedy czuć wolny i szczęśliwy, bo puszczasz to zawsze, kiedy przyjeżdżasz do domu.

Widzę światło w sypialni doktora Jamesona; to latarka, bo jasny punkt skacze po pokoju, jakby trzymał ją ktoś mocno zdezorientowany. Pies szczeka teraz jak oszalały; ciekawe, czy doktor zdąży go wpuścić, zanim jakaś dziewczynka obudzi się rano i ucieszy, że Święty Mikołaj podrzucił jej do ogródka ogłupiałego jacka russela. Patrzę, jak snop światła wędruje po pokojach na piętrze. Doktor Jameson podobno lubi mieć nad wszystkim kontrolę. Wiem to od sąsiada obok, pana Malone'a, który zapukał kiedyś do moich drzwi, żeby powiedzieć, że zaraz przyjedzie śmieciarka, a on zauważył, że zapomniałam wystawić kubły. Wyczuwam, że pan Malone i doktor Jameson rywalizują ze sobą o to, kto powinien stać na czele wspólnoty. Zapomniałam wystawić kubły, bo przez to niechodzenie do pracy często myłę dni, ale najście sąsiada, żeby mi o tym przypomnieć, zirytowało mnie. Siedem tygodni później już by mi nie przeszkadzało. Uznałabym to za uczynność. Wtedy jednak działało mi na nerwy wszystko, co sąsiedzkie i uczynne. Nie czułam w sobie ducha wspólnoty. I nie dlatego, że odwróciłam się od swojej lokalnej społeczności – po prostu nie miałam czasu. Nie wiedziałam, że istnieje, i nie była mi do niczego potrzebna.

Chwytasz za klamkę swoich drzwi i wydajesz się bezgranicznie zdumiony, że są zamknięte na klucz, żebyś nie mógł wejść do domu. Ty lub jakiś zamaskowany, uzbrojony bandzior. Wciskasz guzik dzwonka. Twoje dzwonienie nigdy nie zaczyna się grzecznie. Zawsze jest chamskie, natarczywe. Liczba dzwonek, ich długość – to brzmi jak seria z karabinu. Twoja żona nigdy nie otwiera od razu. Dzieci też nie lecą natychmiast. Ciekawe, czy są już tak przyzwyczajeni, że po prostu ich to nie budzi, czy może ona kuli się z nimi w którymś z pokoi i mówi szlochającym pociechom, żeby nie zwracały uwagi na przerażające odgłosy za progiem. Tak czy inaczej, nikt nie otwiera. Zaczynasz łomotać. Lubisz łomotać, łomoczesz przez większość nocy, dajesz upust napięciu i gniewowi. Obchodzisz cały dom, pukając i tłukąc w każde okno, którego możesz dosięgnąć. Wołasz żonę drwiącym, śpiewnym głosem: „Wiem, że tam jesteś”, tak jakby udawała, że jej nie ma. Moim zdaniem nie udaje; raczej wysyła ci całkiem jasny sygnał. Zastanawiam się, czy śpi, czy leży z otwartymi oczami i ma nadzieję, że sobie pójdziesz. Obstawiam to drugie.

Potem wrzeszczysz głośnie. Wiem, że ona nie cierpi wrzasków, bo są dla niej żenujące bardziej niż wszystko inne, może dlatego, że każdy rozpoznaje twój głos – choć i tak nie pomyślelibyśmy, że jakakolwiek inna para na naszej ulicy zachowuje się w ten sposób. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze na to nie wpadłeś i nie zaczynasz od krzyków. Ona pozostaje nieugięta po raz pierwszy, od kiedy jestem świadkiem podobnych scen. Więc robisz coś nowego. Wracasz do samochodu i zaczynasz trąbić.

Widzę, jak latarka Jamesona schodzi z piętra do salonu, i mam nadzieję, że starszy pan nie zamierza wyjść i próbować cię uspokoić. Z pewnością posunąłby się do jakichś drastycznych czynów. Frontowe drzwi doktora otwierają się; zakrywam twarz dłońmi, szybko rozważam, czy pobiec tam i go powstrzymać, czy jednak się nie mieszać. Postanawiam patrzeć i wkroczyć dopiero, kiedy dojdzie do przemocy, choć nie mam pojęcia, co zrobię. Jameson się nie pokazuje. Terier pędzi wokół domu jak szalony, omal nie potyka się o własne nogi na mokrej trawie, tak mu się

spiesz, żeby dostać się do środka. Wbiega do domu i drzwi się zamykają. Wybucham śmiechem z zaskoczenia.

Musiałeś usłyszeć trzaśnięcie drzwi i pomyśleć, że to twoja żona, bo przestajesz trąbić i słyszeć już tylko Guns N' Roses. Oddycham z ulgą. To trąbienie pobiło wszelkie twoje najbardziej wkurzające zachowania. Ona jakby czekała, aż się uspokoisz; doprowadzona do szału wychodzi na dwór w szlafroku. Widzę czujny cień za jej plecami. Przez chwilę martwię się, że poznała kogoś innego, i poważnie się niepokoję, co się teraz stanie, ale potem załamuję, że to twój najstarszy syn. Wygląda poważnie jak na swoje lata, opiekuńczo – mężczyzna w domu. Ona mówi mi, żeby został w środku, więc chłopiec posłusznie zostaje. To dobrze. Ostatnia rzecz, jakiej ci trzeba, to jeszcze bardziej pogorszyć sytuację. Kiedy tylko dostrzegasz żonę, wyskakujesz z samochodu i zaczynasz na nią wrzeszczeć, że zamknęła przed tobą dom. Zawsze jej to wykrzykujesz. Próbuje cię uspokoić i idzie do otwartych drzwiczek twojego jeepa, po czym wyciąga kluczyk, co ucisza muzykę, gasi silnik i reflektory. Potrząsa przed tobą kluczykami i tłumaczy, że masz klucz do domu w swoim komplecie. Mówiła ci to już wcześniej. No jasne.

Ale ja wiem, tak jak i ona wie, że praktyczne myślenie idzie u ciebie w parze z trzeźwością, a teraz twoje miejsce zajął ten oszalały desperat. Zawsze ci się wydaje, że zostałeś odcięty, że ktoś z rozmysłem zamknął przed tobą drzwi. To twoja walka z całym światem, a raczej z domem: musisz się dostać do środka przy użyciu wszelkich możliwych sposobów.

Milkniesz na chwilę i gapisz się na klucze dyndające ci przed nosem. Potem zataczasz się, gdy sięgasz po żonę, przyciągasz do siebie i dusisz objęciami i pocałunkami. Nie widzę twojej twarzy, ale widzę jej twarz. To żywy obraz rozdarcia, wewnętrznego milczącego cierpienia. Mijasz syna, czochrasz mu włosy i śmiejesz się, jakby ta cała akcja była żartem, a ja nienawidzę cię jeszcze bardziej, bo nie potrafisz przeprosić. Nigdy nie przepraszasz – a przynajmniej ja tego nie kojarzę. W chwili, kiedy wchodzisz do domu, z powrotem włącza się prąd. Odwracasz się i dostrzegasz

mnie w oknie, w świetle pozapalnych lamp sypialni, które zdemaskowały mnie w całej mojej zdradzieckiej chwale.

Patrzysz gniewnie, sekundę później z hukiem zatrzaskujesz drzwi, i po tym wszystkim, co dzisiaj nawyrabiałeś, to ja się czuję nienormalna.

Świąteczna przerwa, która właśnie minęła, podobała mi się między innymi dlatego, że nikt nie pracował. Wszyscy jak jeden mąż byli przełączeni na tryb wypoczynkowy, nie musiałam się z nikim porównywać, nie było żadnego „ja w przeciwieństwie do nich...” ani „oni w przeciwieństwie do mnie...”. Teraz jednak ludzie znów pracują, a ja czuję się tak jak przed świętami.

Z początku byłam w szoku. Całe moje ja było w szoku, a potem, jak sądzę, od początku do końca przeszłam proces żałoby za życiem, które utraciłam. Czułam złość, oczywiście; uważałam Larry’ego, mojego kolegę, mojego kata, za przyjaciela. W każdy Nowy Rok jeździliśmy na narty, co roku w czerwcu spędzałam tydzień z nim i jego rodziną w jego letnim domu w Marbelli. Jako jedna z niewielu zostałam zaproszona na nadęty bal debutantek jego córki. Należałam do małego kręgu wtajemniczonych. Mimo kłótni, często ostrych, nigdy nie brałam pod uwagę, że Larry może obrać taki kurs; nie sądziłam, że nasze dobre relacje się skończą, że on będzie miał, mówiąc wprost, dość jaj, żeby mi to zrobić.

Po gniewie przyszło wyparcie – nie przyjmowałam do wiadomości, że to, co się stało, jest złe. Nie chciałam, żeby utrata pracy mną zawładnęła, żeby mnie definiowała. To nie ja potrzebowałam pracy, to praca potrzebowała mnie – i wielka szkoda, że mnie straciła. Potem nastąpiły święta i wsiąknęłam w życie towarzyskie: kolacje, przyjęcia i pijackie imprezki, dzięki którym na chwilę się zapomniałam. Teraz jest styczeń, nastrój mam równie ponury jak dzień za oknem, ponieważ nowa sytuacja mnie przytłoczyła.

Czuję się bezwartościowa, tak jakby najistotniejsza część mojej samooceny wyparowała. Zostałam okradziona z codziennej rutyny, z rozkładu zajęć, który kiedyś wyznaczał mi każdą godzinę jawy i snu. Okazało się, że trudno mi wypracować nowy harmonogram; nie dotyczą mnie żadne zasady, podczas gdy inni maszerują w rytm własnego bębna. Wciąż czuję głód, dosłowny i metaforyczny. Chce mi się jakiegoś zajęcia, ale jednocześnie chce

mi się wszystkiego, co leży w kuchni, bo jest tutaj, na wyciągnięcie ręki, codziennie, a ja nie mam nic lepszego do roboty, niż to zjeść. Nudzę się. I choć przyznaję to z wielką niechęcią, jestem samotna. Zdarzają mi się całe dni bez kontaktu z drugim człowiekiem, bez rozmowy z kimkolwiek. Czasem się zastanawiam, czy nie stałam się niewidzialna. Czuję się jak ci starzy ludzie, którzy kiedyś mnie irytowali, że wdają się w zbędne pogaduszki z kasjerkami, kiedy ja sterczę w ogonku i potwornie się spieszę w kolejne miejsce. Kiedy nie masz kolejnego miejsca, w które się spieszysz, czas niesamowicie zwalnia. Zauważam, że bardziej zwracam uwagę na innych ludzi, przyłapuję więcej spojrzeń skierowanych na mnie, częściej szukam kontaktu wzrokowego. Dojrzałam do rozmowy z kimkolwiek o czymkolwiek; gdyby ktoś spojrział mi w oczy albo pogadał ze mną, to stałoby się to wydarzeniem dnia. Ale wszyscy są zajęci, a ja czuję się niewidzialna, a w byciu niewidzialnym, wbrew moim wcześniejszym przekonaniom, nie ma żadnej lekkości czy wolności. Wręcz przeciwnie, przez nią zrobiłam się ciężka. Snuję się więc to tu, to tam, usiłując sobie wmawiać, że nie czuję się ciężka, niewidzialna, znudzona i bezwartościowa, i że jestem wolna. Marnie mi idzie to przekonywanie samej siebie.

Kolejny fatalny skutek zwolnienia z pracy jest taki, że mój ojciec wpada bez zaproszenia.

I oto kiedy wracam do domu, zastaję go w swoim ogródku z moją przyrodnią siostrą. Zara ma trzy lata, ojciec sześćdziesiąt trzy. Przeszedł na emeryturę trzy lata temu, kiedy sprzedał własną firmę poligraficzną za bardzo dobre pieniądze, które pozwalają mu wygodnie żyć. Kiedy Zara przyszła na świat, stał się przykładowym mężem i ojcem; jego nowa żona Leilah prowadzi założoną przez siebie szkołę jogi, jest instruktorką. To urocze, że tata dostał drugą szansę na miłość, i urocze, że potrafił w pełni docenić ojcostwo, po raz pierwszy w życiu. Wziął na klatę zmianę pieluch, nocne karmienie, przechodzenie na stały pokarm i wszystko inne, co wiąże się z wychowywaniem dziecka. Codziennie promienieje dumą z córki, tej wspaniałej małej istotki, która zdołała całkiem

sama nauczyć się tylu niewiarygodnych rzeczy. Rosnąć, chodzić, mówić. Zachwyca się jej geniuszem, opowiada długie historie o tym, co zrobiła danego dnia, o jej zabawnych powiedzonkach, o dojrzałym jak na tak małe dziecko obrazku, który narysowała. Jak mówię, to urocze. Ale on odbiera to wszystko z radością nowicjusza, kogoś, kto nigdy wcześniej nie widział takich cudów.

Przez ostatnie tygodnie skłoniło mnie to do myślenia – bo mam czas na rozważania – gdzie było jego zdumienie, jego osłupienie, gdzie był totalny zachwyt, kiedy dorastałyśmy ja i Heather? Czy w ogóle istniały, tylko ukryte za maską irytacji i konsternacji? Czasami, kiedy opowiada o jakimś cudownym wyczynie Zary, mam ochotę krzyknąć: inne dzieci też to robią, wiesz? Dzieci takie jak Heather i ja. Poza tym jakie musiałyśmy być niesamowite, bo zrobiłyśmy to pierwsze, ponad trzydzieści lat temu. Ale nie krzyczę. Wyszłabym wtedy na zgorzkniałą, pokręconą jędzę, a taka nie jestem, i wytworzyłoby to energię wokół czegoś, czego nie ma. Tłumaczę sobie, że do tych frustrujących myśli doprowadza bezczynność.

Zastanawiam się, jak czułaby się mama, gdyby żyła, widząc tatę takiego, jaki jest teraz – lojalnego, oddanego ojca i męża. Czasami słyszę ją taką, jaka była w łaskawe, mądre dni, pełną filozoficznego spokoju i zrozumienia. A kiedy indziej słyszę zmęczony głos wykończonej samotnej matki, przy jakiej dorastałam, plującej jadem na bezduszność mojego ojca. Który z tych głosów się pojawia, zależy pewnie od tego, w jakim sama jestem nastroju. Mama umarła na raka piersi w wieku czterdziestu czterech lat. Za młodo. Ja miałam dziewiętnaście, kiedy ją straciłam. Za młodo. To oczywiście było dla niej najtrudniejsze: świadomość, że musi opuścić ten świat, kiedy jeszcze nie ma na to ochoty. Tyle rzeczy chciała zobaczyć, tyle rzeczy zrobić, które odkładała do czasu, aż będę po studiach, aż dorosnę – wtedy mogłaby zacząć własne życie. Tak dużo nie dokończyła. Pod wieloma względami nawet nie zaczęła. Pierwsze dziecko urodziła, jak miała dwadzieścia cztery lata, rok później na świat przyszedł ja, z wpadki. Wychowywała nas, robiła wszystko dla swoich córek,

a to powinien być jej czas.

Kiedy umarła, zamieszkałam w kampusie, a Heather została w domu opieki, do którego się przeprowadziła, kiedy mama przechodziła leczenie. Czasami zastanawiam się, dlaczego byłam tak samolubna i sama nie zaopiekowałam się Heather. Chyba nawet tego nie zaproponowałam. Rozumiem, że nie dało się inaczej, musiałam zacząć własne życie, ale nie mogę uwierzyć, że nie przeszło mi to przez głowę. Nie było samolubstwem nie chcieć, tylko nie pomyśleć o tym. Kiedy patrzę wstecz, zdaję sobie sprawę, że mogłam bardziej pomagać mamie. Dręczy mnie poczucie, że zostawiłam ją w trudnej sytuacji samą. Mogłam bardziej być przy niej, bardziej jej towarzyszyć, a nie wypytywać ją o wszystko po fakcie. Ale byłam nastolatką, mój świat kręcił się wokół mnie, a poza tym widziałam, że mama ma wsparcie ciotki.

Heather jest rok starsza ode mnie. Co rok prorok, ha, ha. Traktuje mnie tak, jakbym była młodsza od niej o wiele lat. Uwielbiam ją za to. Wiem, że zdarzyłam się przypadkiem, bo mama nie planowała drugiego dziecka tuż po Heather. Była w szoku, a ojca w ogóle powaliło; ledwie radził sobie z faktem, że ma dziecko, na dodatek z zespołem Downa, a tu drugie w drodze. Heather go przerażała, nie wiedział, jak się z nią obchodzić. Kiedy ja się urodziłam, odsunął się od rodziny jeszcze bardziej, zaczął szukać innych kobiet, które miały więcej czasu, żeby go uwielbiać i podziwiać.

A tymczasem mama zmagала się z życiem, pełna siły i tupetu, choć przyznała mi się później, że robiła to wszystko na „nózkach Bambiego”. Nigdy tego w niej nie widziałam, nigdy nie dostrzegłam drżenia, lęku czy potknięcia, zawsze sprawiała wrażenie, że całkowicie panuje nad sytuacją. Żartowała i przeproszała mnie, że wychowywałam się sama. Zawsze wiedziałam, że Heather jest ważniejsza, że potrzebuje więcej uwagi; ale nie czułam się niekochana, po prostu takie życie. Ja też kochałam Heather, ale wiem, że kiedy mama opuszczała ten świat, moja starsza siostra była jedyną osobą, której nie chciała zostawić. Heather potrzebowała mamy, a mama miała dla niej plan, więc

rozpaczała, że musi zostawić swoją córeczkę. Nie mam o to żalu, rozumiem. Ja rozpaczałam nie tylko nad sobą, ale nad nimi dwiema.

Heather nie jest wiecznym wesołkiem, za jakich się zwykle uważa ludzi z zespołem Downa. Ma dobre i złe dni, tak jak my wszyscy, ale pod względem osobowości – która w żaden sposób nie wiąże się z zespołem Downa – to optymistka. Jej dni wytycza ustalony porządek, dzięki niemu czuje, że panuje nad własnym życiem, dlatego kiedy pojawia się u niej w domu albo w pracy, jest zbita z tropu, niemal pobudzona. Heather potrzebuje rutyny, co jeszcze bardziej upodabnia nas do siebie. Wcale się nie różnimy.

Zara przeskakuje z jednej płyty chodnikowej na drugą, starając się nie nadepnąć na szczeliny. Upiera się, żeby tata robił to samo. I on to robi. Wiem, że to jego czas, a jednak gdy na niego patrzę, jak z mikołajowym brzuchem, który mu podskakuje nad spodniami, hyca z kamienia na kamień, nie mogę się nie zastanawiać, kim jest ten człowiek. Unosi głowę, kiedy podjeżdżam.

– Nie wiedziałam, że przyjedziesz – rzucam lekkim tonem. A to znaczy: Nie powiedziałeś mi, zawsze musisz mnie uprzedzać.

– Wybraliśmy się na przejażdżkę wzdłuż wybrzeża popatrzeć na fale, prawda, Zara? – Bierze ją na rękę. – Opowiedz Jasmine o falach.

Za każdym razem namawia Zarę, żeby opowiadała różne rzeczy. Z pewnością większość rodziców tak robi, ale mnie to doprowadza do szału. Wolałabym porozmawiać z Zarą nie pod dyktando taty. Słuchając różnych rzeczy, słyszę je dwa razy.

– Fale były ogromne, tak? Powiedz Jasmine, jakie widziałaś fale.

Mała potakuje. Robi wielkie oczy. Rozsuwa rękę, żeby pokazać falę, która w rzeczywistości byłaby żałośnie mała, ale dla niej jest olbrzymia.

– I rozbijały się na skałach, prawda? Powiedz Jasmine.

Mała kiwa głową.

– Rozbijały się na skałach.

– I wychlapywały się na szosę w Malahide – ciągnie ojciec dziecinnym głosem, a ja myślę sobie, że wolałabym, żeby po prostu opowiedział mi tę historyjkę normalnie, zamiast wygłaszać ją w ten sposób.

– Super. – Uśmiecham się do Zary i wyciągam do niej rękę. Natychmiast idzie do mnie, oplata chudymi nóżkami i przytula się mocno. Nie mam nic do Zary. Jest urocza. Nie – cudowna. Idealna pod każdym względem. A ja ją uwielbiam. To nie jej wina. To nie jest niczyja wina, bo nic się nie stało, tylko wkurza mnie, że ojciec nabrał zwyczaju wpadać do mnie, od kiedy siedzę w domu. Tworzy coś, czego nie ma. Wiem to. Mówię to swojemu racjonalnemu ja.

– Jak tam moje makaronowe nogi? – pytam małą, otwierając drzwi do domu. – Nie widziałam cię cały rok!

Kiedy tak gadam, zerkam na twój dom. Ostatnio często to robię, jakoś nie potrafię się powstrzymać. To się stało moim nałogiem, jakimś idiotycznym natręctwem, przez które nie mogę wsiąść do samochodu i nie spojrzeć na drugą stronę ulicy, nie mogę zamknąć drzwi bez patrzenia, a czasami nawet, mijając okno od frontu, przystaję i się gapię. Oczywiście, muszę przestać. W ciągu dnia nic się nigdy nie dzieje, a w każdym razie nic z tobą w roli głównej; prawie się nie pojawiaasz, tylko twoja żona wychodzi i wraca z dziećmi. Czasami widzę, jak odsłaniasz okno albo wsiadasz do samochodu, ale na tym koniec. Nie wiem, co spodziewam się zobaczyć.

– Powiedziałaś tacie, że w zeszłym tygodniu piekłyśmy babeczki? – zagaduję dalej Zarę.

Mała znów przytakuje, a do mnie dociera, że robię dokładnie to samo, co tata. To z pewnością jest dla niej nefajne, ale nie umiem się powstrzymać.

Tata i ja rozmawiamy ze sobą przez Zarę. Mówimy jej to, co powinniśmy mówić sobie nawzajem, więc opowiadam jej, że w sylwestra nie miałam prądu, że w supermarkecie spotkałam Billy'ego Gallaghera i okazało się, że jest na emeryturze, i różne inne rzeczy, o których nie musi wiedzieć. Zara przez chwilę

zwraca na nas uwagę, ale potem ucieka zdezorientowana.

– Twój znajomy znów ma kłopoty – zagaduje tata, kiedy siedzimy przy stole z herbatą i ciastkami, resztkami z całej wielkiej szuflady świątecznych słodyczy, z którymi wytrwale się rozprawiam, i patrzymy, jak Zara wysypuje pudło zabawek. Trzymam je dla niej w swoim domu. Hałas lego sypiących się na podłogę zagłusza kolejne zdanie ojca.

– Który znajomy? – pytam zaniepokojona.

Ruchem głowy wskazuje okno od frontu, to, które wychodzi na twój dom.

– No ten twój... jak mu tam.

– Matt Marshall? To nie jest żaden mój znajomy – odpowiadam zniesmaczona. Wszystkie rozmowy zawsze schodzą na ciebie.

– No więc sąsiad – poprawia się tata i milknie. Znów oboje patrzymy na Zarę.

Wyłącznie zbyt długie milczenie prowokuje mnie do tego, żeby się odezwać. I zadaję to pytanie, bo nie przychodzi mi do głowy nic innego.

– A co zrobił?

– Kto? – Ojciec otrząsa się z zapatrzenia.

– Matt Marshall – cedzę przez zęby zła, że muszę pytać o ciebie, i to dwa razy.

– A, on. – Jakby poruszył ten temat przed godziną. – Były skargi na jego noworoczną audycję.

– Zawsze są skargi.

– Tym razem chyba posypało się więcej niż zwykle.

Wszystkie gazety o tym piszą.

Znów cisza, a ja myślę o twojej audycji. Nie cierpię twojej audycji, nigdy jej nie słucham. A raczej nigdy nie słuchałam, bo ostatnio słucham, żeby sprawdzić, czy to, o czym mówisz, ma jakiś bezpośredni związek ze stanem, w jakim wracasz do domu, bo przecież nie jesteś urżnięty we wszystkie dni tygodnia. Mniej więcej trzy, cztery razy na tydzień. Tak czy inaczej, na razie nie dostrzegłam żadnej bezpośredniej zależności.

– No więc, jak wybiła dwunasta, próbował to uczcić tak, że nakłonił jakąś kobietę do...

– Wiem, wiem – przerywam mu, bo nie chcę, żeby mój ojciec wymawiał słowo „orgazm”.

– A podobno tego nie słyszałaś – obrusza się urażony.

– Akurat to słyszałam – mamroczę i staję na czworakach, żeby pomóc Zarze przy lego. Udaję, że nasza wieża to dinozaur. Biorę ją i pożeram palce dłoni i stóp malej, a potem wpadam na drugą wieżę z potężnym rykiem. Zara przez chwilę ma z tego dużą radochę, później znów zaczyna bawić się sama. Żeby krótko podsumować twoją noworoczną audycję: ty i twoja ekipa uznaliście, że uczucie nadejście nowego roku odgłosami kobiecego orgazmu. I że to będzie zabawne. Uroczy prezent dla słuchaczy, podziękowanie za ich wsparcie. Następnie przeprowadziłaś quiz: należało odróżnić prawdziwy orgazm od udawanego. Po tym konkursie odbyła się regularna dyskusja na temat mężczyzn, którzy udają orgazmy w czasie seksu. To nie było odrażające, nie dla mnie i nie w porównaniu z ohydnyimi tekstami z twoich innych audycji. Poza tym nie wiedziałam, że faceci też udają orgazmy, więc to wydało mi się poniekąd interesujące, jeśli nie niepokojące. Może nawet przeżyłam coś w rodzaju osobistego objawienia – mówię o swojej przygodzie z pewnym kolesiem z biura. Chociaż dupki, którym pozwoliłaś się wypowiadać na antenie, nie wniosły nic szczególnie interesującego. To brzmi tak, jakbym cię broniła. Nie bronię. Po prostu słyszałam gorsze twoje audycje. Choć raz problemem nie jesteś ty i twój brak uroku. Chodzi o prawo mówienia o kobiecym orgazmie, bez nadawania temu obraźliwego wydźwięku.

– Jakie ma kłopoty? – pytam chwilę później.

– Kto taki?

Liczę w myślach do trzech.

– Matt Marshall.

– A. Zwolnili go. Czy tam zawiesili. Nie pamiętam. Grunt, że wyleciał. I tak siedział tam już za długo. Niech ktoś młodszy dostanie szansę.

– On ma dopiero czterdzieści dwa lata – reaguję ostro, znów tak, jakbym cię broniła, ale to nic osobistego. Ja mam trzydzieści trzy i muszę znaleźć nową pracę. Kwestia wieku mnie obchodzi, a szczególnie podejście do wieku w miejscu pracy, i tyle. Myślę o twoim zawieszeniu i czuję zadowolenie. Od zawsze cię nie lubiłam, od zawsze chciałam, żeby twoja audycja zniknęła z anteny, ale nagle robi mi się przykro i nie bardzo wiem dlaczego. Może ze względu na twoje dzieci i twoją miłą żonę, do której ostatnio macham rano na dzień dobry.

– Okazuje się, że w studiu była prawdziwa kobieta – ciągnie ojciec z odrobiną zażenowaną miną.

– No cóż, odgłosy faktycznie nie wydawały się męskie...

– Nie, ona naprawdę... no wiesz. – Patrzy na mnie, a ja nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

Milczymy.

– Naprawdę robiła sobie dobrze. Na żywo, w studiu – odzywa się w końcu tata.

Żołądek mi się wywraca dlatego, że właśnie odbyłam taką rozmowę z własnym ojcem, ale też dlatego, że widzę cię w duchu, jak organizujesz w studiu tę małą orgię, jak odliczasz sekundy do dwunastej, a twoja ekipa rechocze jak banda idiotów.

I znów cię nienawidzę.

Sadzam Zarę w foteliku samochodowym i całuję jej guziczkowy nosek.

– Mógłbym porozmawiać z Tedem, jeśli chcesz – wypala nagle tata, jakby kontynuował jakąś rozmowę, której nie pamiętam.

Marszczę brwi.

– Kto to jest Ted?

– Ted Clifford. – Wzrusza ramionami, że to niby nic ważnego.

Gniew wzbiera we mnie tak szybko, że muszę się powstrzymywać, żeby nie wybuchnąć tu i teraz. I niewiele mi brakuje. Tata sprzedał swoją firmę Tedowi Cliffordowi. Lubi opowiadać wszystkim, że w lepszych czasach mógłby za nią

dostać trzy razy tyle, ale teraz nie są dobre czasy, więc zadowolili się rozsądną sumą, która zapewnia mu miesięczne wakacje z Leilah i Zarą i obiady na mieście cztery razy w tygodniu. Nie mam pojęcia, czy spłacił hipotekę, i to mnie denerwuje. Ja zrobiłabym to w pierwszej kolejności. Nie wiem, jakim cudem ja i Heather wypadłyśmy z jego wydatków, ale mnie to nie przeszkadza, choć mogłoby to tak wyglądać. Ja w tej chwili dobrze stoję finansowo, martwię się raczej o Heather. Ona potrzebuje zabezpieczenia. Kiedy tylko zarobiłam dość pieniędzy, wykupiłam mieszkanie, które wynajmowała. Pięć lat temu wyprowadziła się z domu opieki – to naprawdę wielki wyczyn. Mieszka z koleżanką pod troskliwą opieką asystentki społecznej i doskonale się ze sobą dogadują, choć oczywiście to nie przeszkadza mi martwić się o siostrę w każdej sekundzie dnia. Kupiłam mieszkanie po niezłej cenie; większość ludzi starała się pozbyć nierentownego majątku, tej drugiej nieruchomości, za którą opłaty nagle stały się zbyt obciążające. Spodziewałam się, że zrobi to ojciec, jak przejdzie na emeryturę, ale on zafundował sobie apartament w Hiszpanii. Jego zdaniem Heather było całkiem dobrze w domu opieki, ale ja wiedziałam, że od zawsze marzyła o własnym kącie, więc wzięłam to na siebie. Powtarzam: nie jestem o to zła, tylko po prostu takie sprawy teraz mi się przypominają i nic nie poradzę, że je roztrząsam... Potrzebuję zajęcia.

– Nie – rzucam ostro. – Dziękuję.

Patrzy na mnie tak, jakby chciał powiedzieć coś więcej. Żeby go powstrzymać, dodaję:

– Nie potrzebuję, żebyś mi załatwiał pracę.

Moja duma. Tak łatwo ją zranić. Nie cierpię pomocy. Muszę wszystko robić sama, zawsze. Jego propozycja sprawia, że czuję się słaba, że myślę, że on uważa mnie za słabą. Za dużo myślowych powiązań.

– Tak tylko mówię. Bo co to za problem? Ted pomógłby ci, kiedy tylko zechcesz.

– Nie potrzebuję pomocy.

– Potrzebujesz pracy. – Śmieje się. Patrzy na mnie, jakby to

go bawiło, ale ja wyczuwam zapowiedź gniewu. Tak się szczerzy, kiedy jest wkurzony; ciekawe, czy to ma rozzłościć tę drugą osobę, tak jak mnie teraz i za każdym razem wcześniej, czy to jego sposób na zamaskowanie złości. Tak czy inaczej, rozpoznaję ten sygnał.

– Okej, Jasmine, zrób po swojemu, jak zwykle. – Teatralnie unosi rękę; na palcu dyndają mu kluczyki. Wsiada do samochodu i odjeżdża.

Ostatnie zdanie wypowiada tak, jakby to było coś złego: „zrób po swojemu”. Czy to nie jest pozytywne zjawisko, że ktoś robi coś po swojemu? I czy kiedykolwiek zechcę, czy kiedykolwiek chciałam robić coś pod jego dyktando? Gdybym potrzebowała pomocy, byłby ostatnią osobą, do której bym się zwróciła. I nagle znów dociera do mnie, że istnieje jakiś problem tam, gdzie przedtem go nie dostrzegałam, i to trochę mną wstrząsa. Stoję na zimnie i gniewnie patrzę w głąb ulicy, gdzie dawno temu zniknął samochód ojca. Szybko zerkam na drugą stronę, na twój dom: zasłona na piętrze lekko się poruszyła. Albo tylko tak mi się wydawało.

Później, już w łóżku, nie mogę zasnąć. Mam wrażenie, że od intensywnego myślenia głowa mi się przegrzewa, tak jak laptop, kiedy używam go wiele godzin. Jestem zła. Prowadzę niedokończone kłótnie z ojcem, ze swoją pracą, z facetem, który dziś rano podstępnie zajął mi miejsce na parkingu, z arbuzem, którego upuściłam po drodze z samochodu do domu, a drań rozprysnął się na ziemi tak, że poplamił mi zamszowe buty. Peroruję, wyjaśniam, przeklinam, informuję, że to wszystko ich wina. Tyle że to nie pomaga, w zasadzie czuję się o wiele gorzej.

Siadam na łóżku zdołowana i odwodniona.

Rita, kobieta od reiki, przepowiedziała mi to dzisiaj podczas spotkania. Kazała mi pić dużo wody po naszej niezwykłej sesji, która zupełnie mnie nie odmieniła, a ja zamiast tego opróżniłam przed snem butelkę wina. Nigdy wcześniej nie chodziłam na reiki i pewnie więcej nie pójdę, ale ciotka dała mi voucher na święta. Jest wkręcona we wszelkie alternatywne terapie. Chodziła na nie z

mamą, kiedy mama chorowała. Może dlatego teraz w to wszystko nie wierzę, bo nie zadziało, mama umarła. Ale z drugiej strony zwykła medycyna też nie pomogła, a w nią wciąż wierzę. Może jednak tam wrócę. Umówiłam się, kiedy inni poszli do pracy, żeby mieć co robić, mieć się czym zająć, mieć co wpisać w nowy żółty kalendarz marki Smythson z moimi inicjałami wytłoczonymi na złoto w dolnym prawym rogu. W zwykłych okolicznościach byłby już wypełniony zadaniami i zebraniem, a teraz jest tylko smutną metaforą mojego obecnego życia: chrzciny, kawki, urodziny. Na sesji reiki siedziałam w małym białym pokoju pełnym zapachu kadzidełek – zrobiłam się od tego taka senna, że zastanawiałam się nawet, czy to nie narkotyki. Rita była drobną jak ptak kobietą po sześćdziesiątce, ale wykręciła nogi na fotelu w figurę, która świadczyła o dużej elastyczności fizycznej. Miała miękkie rysy twarzy, niemal rozmyte. Może to przez dym kadzidełek wydawała się taka niewyraźna, ale ledwie dostrzegałam jej kontury. Za to oczy bystre – reagowały niemal na każde wypowiedziane przeze mnie słowo tak, że zaczęłam zauważać własny głos i usłyszałam, jaki jest ostry i spięty. Tak czy inaczej, nie wynikło z tego nic oprócz miłej pogawędki z życzliwą kobietą i relaksujących dwudziestu minut na leżąc w ładnie pachnącym, zacisznym pokoju. Nie poczułam w sobie żadnej zmiany.

Rita dała mi jedną radę na moją skołowaną głowę. Kiedy tylko wyszłam, natychmiast o niej zapomniałam, ale teraz ledwie jestem w stanie sformułować konkretną myśl, przetworzyć ją, pozbyć się jej, więc postanawiam skorzystać z rady. Zdejmuję skarpetki i przez chwilę chodzę bosą po dywanie w nadziei, że poczuję się „uziemiona”, dzięki czemu moje myśli nie zбочą znowu na terytorium gniewnych tyrad. Wdeptuję w coś ostrego – czubek wieszaka na ubrania – przeklinam głośno i oglądam stopę. Tulę ją w dłoniach. Nie bardzo wiem, jak odczuwa się uziemienie, ale to nie może być to.

Rita zalecała, żebym chodziła bosą, gdy tylko wrócę do domu, najlepiej po trawie, ale jeśli nie, to ogólnie bosą, tak dużo, jak się da. Naukowa teoria wyjaśniająca zdrowotne korzyści

chodzenia bosą jest taka, że Ziemia ma ładunek ujemny, więc kiedy się uziemisz, podłączasz ciało do ujemnie naładowanego źródła energii. A że ujemny ładunek Ziemi jest większy niż ładunek twojego ciała, zaczynasz absorbować elektrony. Uziemienie działa przeciwwzajemnie. Nie wiem, na ile to prawda, ale muszę oczyścić głowę, a że staram się ograniczyć ilość tabletek od bólu głowy, równie dobrze mogę spróbować chodzić na bosaka.

Wyglądam na dwór. W moim ogródku nie ma trawy. To właśnie ta okropna, niewybaczalna rzecz, którą zrobiłam cztery lata temu, kiedy się tu wprowadziłam. Nie cierpiałam ogrodnictwa, miałam dwadzieścia dziewięć lat, byłam zajęta, prawie nie bywałam w domu, a już na pewno nie na tyle długo, żeby zauważać własny ogródek. Aby uniknąć wysiłku związanego z jego utrzymaniem, kazałam rozkopać całkiem przyzwoity trawnik, który tu zastałam, i wyłożyć go łatwym w utrzymaniu kamieniem. Wyglądało to imponująco, kosztowało fortunę, sąsiadów przeraziło. Przed drzwiami ustawiłam kilka ładnych czarnych donic z zimozielonymi krzewami, wystrzyżonymi w nowoczesne, pokręcone kształty. Trochę się przejmowałam, jak przyjmą to okoliczni mieszkańcy, ale nigdy nie miałam dość czasu, żeby porządnie to z nimi przedyskutować, a sobie tłumaczyłam, że dzięki temu zaoszczędzę na ogrodniku, bo na pewno nie zajmowałabym się ogródkiem osobiście – nawet nie wiedziałabym, od czego zacząć. Mam trochę trawy wzdłuż chodnika przed domem, ale utrzymuje ją mój sąsiad, pan Malone. Zaczął to robić, nie pytając mnie o zgodę. Zdaje się, że uważa tę trawę za swoją, bo był tu pierwszy, a poza tym co ja wiem o trawie? Jestem trawowym zdrajcą.

Uważałam, że kupno własnego domu w wieku dwudziestu dziewięciu lat – bliźniaka z czterema sypialniami – to dość dojrzały i uziemiający krok. Kto by pomyślał, że likwidując ogródek, tracę to, co mogło mnie solidnie uziemić.

Zerkam na twój dom. Jeepa nie ma, światła pogaszone. Ale... czym ja się przejmuję? Co mnie to obchodzi? Ubieram się w dres i bosą zbiegam na parter. Czuję się jak detektyw: przemykam się na

palcach po zimnym kamieniu podjazdu prosto na trawę
obrzeżającą chodnik. Sprawdzam, czy nie ma w niej psich kup.
Wypatruję ślimaków i robactwa. W końcu podciągam nogawki i
zatapiam stopy w mokrej trawie. Jest zimna, ale miękka. Śmieję
się sama do siebie, gdy tak chodzę tam i z powrotem i przyglądam
się ulicy o północy.

Po raz pierwszy, od kiedy się wprowadziłam, czuję wyrzuty
sumienia przez to, co zrobiłam ze swoim ogródkiem. Rozglądam
się po domach i widzę, że mój jest ciemny i bury pośród kolorów.
Nie żeby w styczniu ogródki wyglądały szczególnie radośnie, ale
przynajmniej krzewy, drzewa i trawa łagodzą szarość betonu
chodników i brąz kamieni.

Nie wiem, czy chodzenie boso po trawie przyniesie
jakikolwiek efekt poza zapaleniem płuc, ale przynajmniej chłodne
powietrze ochłodziło moją rozpaloną głowę i zrobiło w niej trochę
miejsca. To dla mnie nietypowe zachowanie. Nie chodzenie po
trawie o północy, ale ten brak kontroli. Owszem, miewałam
stresujące dni w pracy, kiedy potrzebowałam wyciszenia, ale to
jest coś innego. Ja czuję się inna. Za bardzo wszystko analizuję,
skupiam się na sprawach, które wcześniej nie wymagały myślenia.

Często kiedy czegoś szukam, muszę sobie powiedzieć na
głos, co to jest, żeby to znaleźć, bo nie potrafię tego zobaczyć,
dopóki w pełni nie zarejestruję i nie zwizualizuję sobie szukanego
przedmiotu. Na przykład, grzebiąc w swojej przerośniętej torbie w
poszukiwaniu kluczy, powtarzam w myślach albo na głos: „klucze,
klucze, klucze”. To samo robię w domu: chodzę z pokoju do
pokoju, mamrocząc: „czerwona szminka, długopis, rachunek za
telefon...” czy cokolwiek, czego szukam. Wtedy szybciej znajduję
tę rzecz. Nie znam przyczyny tego zjawiska, ale wiem, że to
logiczne, że to prawda, że Deepak Chopra[3] zdołałby to wyjaśnić
w bardziej wyrafinowany, uczony i filozoficzny sposób, ale ja
czuję, że kiedy powiem sobie, czego szukam, dopiero wtedy w
pełni dociera do mnie, co muszę znaleźć. Rozkaz wydany,
posłuszne ciało i umysł go wykonują.

Często tę rzecz, której szukam, mam przed samym nosem, a

jej nie widzę. Właśnie to zdarzyło się dziś rano, kiedy szukałam kurtki w szafie. Wisiała wprost przede mną, ale że nie powiedziałam „czarna kurtka ze skórzanymi rękawami”, to nie stała się dla mnie widoczna. Grzebałam, przesuwałam kolejne ciuchy i nic.

Myślę – a właściwie się przekonałam – że stosuję tę filozofię na szerszą skalę. Stosuję ją w życiu. Mówię sobie, czego chcę, czego szukam, wyobrażam to sobie, żeby łatwiej mi było to znaleźć, a potem znajduję. W moim przypadku to działało zawsze.

A teraz jestem w miejscu, gdzie wszystko to, co sobie zwizualizowałam, wszystko, na co pracowałam, zostało mi odebrane, już do mnie nie należy. W podobnych sytuacjach najpierw próbuję to odzyskać, z powrotem wziąć w posiadanie, od razu, natychmiast. Jeżeli się nie udaje – a czasem się nie udaje, bo nie jestem wyznawczynią wudu – muszę znaleźć sobie coś innego do szukania, coś innego do zdobycia. Naturalnie mówię tu o swojej pracy. Wiem, że wcześniej czy później znów zacznę pracować, ale zmuszono mnie do czekania. Zostałam uziemiona i nic nie mogę na to poradzić.

Przebywam na tak zwanym „urlopie ogrodniczym”. Na szczęście nie ma to nic wspólnego z zabawą w ogrodnika, bo czekałby mnie długi rok zmywania myjką ciśnieniową mojego wybrukowanego ogródka i wyrywania chwastów spomiędzy kamieni. Urlop ogrodniczy polega na utrzymaniu na liście płac pracownika, który zwolnił się sam lub został zwolniony, a on w zamian za to trzyma się z daleka od firmy przez okres wypowiedzenia. To często stosowana praktyka, która daje gwarancję, że osoby odchodzące z firmy nie wyniosą z niej aktualnych, często krytycznych informacji, szczególnie kiedy odchodzą do konkurencji. Ja nie odeszłam do konkurencji, jak już wcześniej wyjaśniłam, mimo to Larry był przekonany, że zatrudnię się w firmie poniekąd konkurencyjnej – tej, którą próbowałam nakłonić do wykupienia naszej. Miał rację. Zatrudniłabym się u nich. Zadzwonili dzień po moim zwolnieniu i zaproponowali mi posadę. Kiedy im powiedziałam o urlopie ogrodniczym, odparli, że

nie mogą czekać tak długo – dwanaście miesięcy! – i postanowili szukać kogoś innego. Więc nie dość, że okres mojego urlopu ogrodniczego odstraszył innych pracodawców, to jeszcze nie mam absolutnie nic do roboty. Czuję się tak, jakbym dostała wyrok więzienia. Dwunastomiesięczny urlop ogrodniczy. To naprawdę jest wyrok. Mam wrażenie, że leżę i kurzę się na jakiejś półce, a tymczasem świat kręci się beze mnie i nie mogę zrobić niczego, żeby go zatrzymać albo przynajmniej do niego dołączyć. Nie chcę, żeby mózg zaczął mi porastać mchem. Muszę go bez przerwy czyścić, żeby nie stęchl.

Żdźbła mokrej trawy przyklejają mi się do stóp i wspinają coraz wyżej na kostki, kiedy tak się miotam po skrawku trawnika. Więc co robić, skoro zmuszono mnie do czekania przez cały rok i nie mogę nic na to poradzić?

Drepczę tam i z powrotem po chłodnej trawie, stopy zaczynają mi już marznąć, ale w głowie iskrzy nowy pomysł. Nowy projekt. Nowy cel. Perspektywa. Coś do roboty. Muszę naprawić krzywdę. Przekopię na lewą stronę tę ziemię, po której chodzę. I super, bo sama czuję się przenicowana.

Dam swojej ulicy prezent. Przywrócę ogródek do życia.

– Jest piękny – szepczę, patrząc na dzidziusia w ramionach mojej przyjaciółki Bianki.

– Wiem. – Uśmiecha się i też wpatruje w niego z uwielbieniem.

– Czy to nie cudowne?

– Tak... cudowne. – Odwraca wzrok, jej uśmiech lekko się załamuje; oczy ma podkrążone po dwóch nieprzespanych nocach.

– Hej, a masz już nową pracę?

– Nie, nie mogę, no wiesz, mam ten urlop ogrodniczy.

– No tak. – Krzywi się i milknie na chwilę. Nie mam śmiałości przerywać jej zamyślenia. – Znajdziesz coś – odzywa się w końcu i posyła mi współczujący uśmiech.

Już zdążyłam go znienawidzić. Właśnie przyszedłam do Szpitala Rotunda. Znow odwiedzam kogoś, kto jest zajęty. Uświadomiłam sobie, że ostatnio tak wygląda większość moich wizyt. Wpadam do koleżanki w czasie jej pracy, wpadam na zajęcia siostry, żeby popatrzeć, spotykam się z ojcem, kiedy opiekuje się Zará, gawędzę z przyjaciółkami, które pilnują swoich dzieci na basenie, na lekcjach tańca, na placu zabaw. Ostatnimi czasy ilekroć spotykam się z ludźmi, to ja przerywam im zajęcia, wkraczam w ich życie. Są rozproszeni, jednym okiem zerkają na mnie, drugim na to, co robią – a ja beczynn timer siedzę obok albo naprzeciwko nich i cierpliwie czekam, aż skończą, żeby móc ze mną porozmawiać. To ja jestem pasywna w każdej scenie. I za każdym razem widzę siebie z daleka, tak jakbym była poza sobą, patrzę na siebie nieruchomą i milczącą, kiedy inni się krzątają, zajmują pracą, dziećmi. Od kiedy to do mnie dotarło, staram się nie nachodzić nikogo w ciągu dnia. Próbowałam się umawiać na wieczorne wyjścia, kolacje, drinki – w porach, kiedy bylibyśmy na równi, twarzą w twarz, jeden na jeden. Ale to trudne, wszyscy są tacy zajęci, nie mogą znaleźć niani, ciągle nie udaje nam się zgrać wieczoru, który pasowałby każdemu, więc ciężko cokolwiek zorganizować. Skrzykniecie kolacji u mnie w domu na ten

weekend zajęło mi parę tygodni. Na imprezie to ja będę zajęta, a goście beczynni. A tymczasem siedzę w szpitalu przy łóżku jednej z najbliższych przyjaciółek, która właśnie urodziła pierwsze dziecko. Cieszę się jej szczęściem – oczywiście, że się cieszę, i w duchu jestem zachwycona jej dziewięciomiesięcznym urlopem macierzyńskim, bo dzięki niemu zyskałam towarzystwo do końca swojego rocznego wyroku. Mimo to doskonale zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę nie pospotykam się zbyt często, a kiedy już ją zobaczę, będzie zajęta, a ja będę beczynn timer siedzieć naprzeciwko albo obok i czekać, aż poświęci mi pół swojej uwagi.

– Tak sobie myśleliśmy z Tristanem... – Bianca wcina się w moje myśli.

Cała sztywnieję, bo czuję, co się święci.

– Nie ma go tutaj, ale na pewno się nie pogniewa, że zapytam...

Ogarnia mnie przerażenie, jednak robię minę wyrażającą, mam nadzieję, szczerze zainteresowanie.

– Zostaniesz matką chrzestną?

Ta-dam. Trzeci raz w ciągu dwóch miesięcy, to musi być rekord świata.

– Och, Bianco. Z przyjemnością. – Uśmiecham się. – Dziękuję, to zaszczyt...

Odpowiada mi uśmiechem, zachwycona swoją prośbą, jedną z najbardziej wyjątkowych chwil w życiu, a ja w głębi duszy czuję się jak podopieczna fundacji charytatywnej. Jakby wszystkie się zmówiły i proszą mnie na chrzestną, żeby tylko miała jakieś zajęcie. I cóż takiego dostanę do roboty? Pójdę do kościoła i stanę u ich boku, a kiedy one będą trzymać dziecko, a ksiądz będzie lał wodę święconą, mnie przypadnie w udziale sterczeć beczynn timer przez całą ceremonię.

– Słyszałaś o synu twojego znajomego?

– Którego znajomego?

– Matta Marshalla.

– On nie jest moim znajomym – rzucam z irytacją, po czym uznaję, że lepiej nie kłócić się z kobietą, która właśnie urodziła,

więc pytam: – Co zrobił jego syn?

– Wrzucił na YouTube’a filmik, w którym ogłasza światu, jak bardzo nienawidzi ojca. Żenujące, co? Jak można mówić coś takiego o kimś z rodziny.

Niemowlę w ramionach Bianki zaczyna wrzeszczeć.

– Ten mały gnojek ciągle gryzie mnie w sutki – syczy przyjaciółka i jej kolejne wahnięcie nastroju natychmiast zamyka mi usta, a sala szpitalna pogrąża się w mroku.

Bianca przesuwa swojego trzydniowego synka w inną pozycję, trzymając go jak piłkę do rugby; jej ogromna pierś jest większa od jego głowy i wygląda tak, jakby go dusiła. Maluch zaczyna ssać i znów jest cicho.

To byłaby niemal piękna chwila, gdyby nie fakt, że kiedy spoglądam na Biancę, po jej twarzy płyną ogromne łzy.

Drzwi się otwierają i do sali zagląda jej mąż Tristan. Spogląda na pierworodnego i jego rysy miękną, ale kiedy unosi wzrok i widzi swoją żonę, znów mu tężeją. Przelyka ślinę.

– Cześć, Jasmine. – Wchodzi i wita się ze mną.

– Gratulacje, tatuśku – mówię łagodnie. – Jest śliczny.

– Jakby miał paszczę pełną kłów. – Bianca znów się krzywi.

Maluch wydziera się wniebogłosy, oderwany od jej zmalretowanego, czerwonego sutka.

– Serio, Tristan, to jest... Nie mogę. – Robi zrozpaczoną minę.

Zostawiam ich samych.

Jadąc samochodem, mówię sobie, że nie interesuje mnie filmik twojego syna na YouTube. Mówię sobie, że nie zniżę się do twojego poziomu, że mam o wiele ważniejsze rzeczy do roboty, niż myśleć o tobie i wsiąkać w twój świat, ale tak naprawdę jedyne, co muszę zrobić przez cały dzień, to zakupy na kolację. Zakupy dla jednej osoby – w przeciwieństwie do moich znajomych singielek, nie widzę w tym nic dołującego. Nie przeszkadza mi to, że jestem sama, a przecież każdy musi jeść, tyle że ostatnio moje życie sprowadza się właśnie do tego. Do jedzenia. Dotychczas jadłam w biegu, przerwy na posiłki wciskałam w swój zalatany

dzień, bo musiałam jakoś utrzymać się przy życiu. Teraz każdy posiłek to gwóźdź programu. Przez ostatnie parę dni gotowałam sobie wykwintne dania. Wczoraj w księgarni Eason's przez pięćdziesiąt pięć minut przeglądałam półki z książkami kucharskimi, przez sześćdziesiąt minut kupowałam odpowiednie produkty, a następnie je przygotowywałam i gotowałam przez dwie i pół godziny, żeby potem zjeść wszystko w dwadzieścia minut. Tak wyglądał cały mój wczorajszy dzień. Był przyjemny, ale wiele rzeczy, które chciałam robić w „czasie wolnym” i na które się cieszyłam, straciło już urok nowości.

Wjeżdżam na parking pod supermarketem w ten zaskakująco pogodny dzień – słońce wyszło po raz pierwszy od tygodni, choć wciąż jest zimno – wyjmuję telefon z torebki i od razu wchodzę na YouTube'a. Wpisuję „Matt Marshall”. W propozycjach wyskakuje mi „syn Matta Marshalla”. Klikam. Filmik umieszczony wczoraj późnym wieczorem ma już trzydzieści tysięcy wyświetleń. Imponujące.

Choć nigdy nie widziałam twojego syna z bliska, natychmiast wydaje mi się znajomy. Widuję go prawie codziennie, kiedy wychodzi do szkoły. Z kapturem na głowie, ze wzrokiem wbitym w ziemię, ze słuchawkami na uszach, z rudymi włosami wyłazącymi spod kaptura idzie na przystanek autobusowy. Jestem sąsiadką tego chłopaka od czterech lat i nagle dociera do mnie, że nie znam nawet jego imienia, ale z komentarzy pod filmikiem dowiaduję się, że to Fionn.

Brawo, Fionn!

Mój ojciec też jest palantem, wiem, co czujesz!

Twojego starego powinni zamknąć za ten szit, który wygaduje.

Jestem psychologiem i zaniepokoił mnie twój wybuch, proszę, skontaktuj się ze mną, mogę pomóc.

Jestem fanem twojego taty, pomógł mojemu synowi, który był gnębiony w szkole, poruszył temat przemocy szkolnej w Irlandii.

Niech aniołowie ukoją twój wewnętrzny gniew.

Twój stary to lamer, a ty jesteś pedał.

Oto mała próbka wspierających komentarzy.

Fionn ma piętnaście lat i po jego codziennym stroju poznałam, że chodzi do Belvedere, drogiej prywatnej szkoły w Dublinie. Choć jeszcze nie obejrzałam filmiku, z góry wiem, że im się to nie spodoba. Teraz na wyświetlaczu widzę, że Fionn ma brązowe oczy i trochę piegów na policzkach i nosie. Patrzy w kamerę z góry, laptop jest pod takim kątem, że widać całą postać, a lampa na suficie świeci prosto w obiektyw. Nozdrza ma rozdęte, poruszają się gniewnie. W tle słychać muzykę, domyślałam się, że jest na imprezie i że nieźle dał w palnik. Ma rozszerzone źrenice, ale to może przez wściekłość. Słucham czterominutowej tyrady o tym, jak to chciałby się uwolnić od swojego pochrzanionego ojca, czyli ciebie, który, jak uważa, nie jest jego prawdziwym ojcem. Mówi, że przynosisz wstyd, że marnujesz im życie, że wszystko się jakoś trzyma tylko dzięki mamie, że nie masz za grosz talentu. I tak dalej. Elokwentny chłopak, próbuje być twardy; w tym marnie skonstruowanym ataku na ciebie wyjaśnia, dlaczego powinieneś zostać zwolniony i nigdy więcej nie znaleźć pracy. To żenujący słowotok; kulę się i oglądam go przez palce. Muzyka w tle staje się głośniejsza, podobnie jak męskie głosy. Fionn szybko spogląda za siebie i filmik się urywa.

Mimo moich wszystkich odczuć związanych z tobą ten incydent w żaden sposób mnie nie uszczęśliwia i nie bawi. Żałuję, że to oglądałam, żal mi ciebie, was wszystkich.

Streszczam się z zakupami, pędzę alejkami w ponurym nastroju. Chwilami zapominam, dlaczego tak się czuję. Po prostu mam wrażenie, że spotkało mnie coś złego i wpłynęło na moje życie. Potem przypominam sobie, co mnie dołuje, i próbuję się z tego otrząsnąć, bo to nie ma nic wspólnego ze mną. Problem w tym, że choć wiem, jakie to głupie, i tak czuję się związana z tym, co się stało. Nic na to nie poradzę.

Decyduję się na prostą kolację – zapiekankę z bakłażana – i dopijam ostatni kieliszek z wczorajszej butelki wina. Siadam wygodnie, żeby rozmyślać nad twoim problemem, jakby był mój. Co powinniśmy zrobić z Fionnem, Matt? W domu naprzeciwno nic

się nie dzieje. Nie ma samochodu twojej żony, gdzieś się porozjeżdżaliście.

W sypialni doktora Jamesona gaśnie światło. Nie znalazłam żadnego rozwiązania, Matt.

Po raz pierwszy w życiu zasnęłam na kanapie i w pewnej chwili budzę się totalnie dezorientowana, nie wiem, gdzie jestem; jedyne światło w pokoju daje migający, ściśzony telewizor. Zrywam się i zrzucam na podłogę talerz i sztucce, rozbijam kieliszek. Teraz już jestem całkiem przytomna, serce mi łomocze. Wiem, co mnie obudziło. Znajomy odgłos twojego jeepa pędzącego ulicą. Ostrożnie omijam stłuczone szkło u moich stóp, podchodzę do okna i widzę cię, jak prowadzisz po wariacku: gwałtownie skręcasz w podjazd i podjeżdżasz pod garaż, tak jak zwykle. Tyle że tym razem nie hamujesz i z hukiem rąbiesz w białą bramę. Blacha drży i wibruje, głośne echo odbija się od uśpionych domów. Wyobrażam sobie, jak doktor Jameson budzi się gwałtownie, szamocze ze swoją maseczką na oczy. Jak na zawołanie w jego sypialni zapala się światło.

Brama garażu wytrzymuje atak, dom nie zawala się na samochód. A szkoda. Przez chwilę nic się nie dzieje. *Paradise City* wciąż ryczy z radia. Siedzisz nieruchomo za kierownicą. Zastanawiam się, czy nic ci nie jest, czy poduszka wybuchła i cię znokautowała. Zbieram się, żeby wezwać karetkę, ale nie wiem, czy jest potrzebna, a wolałabym nie marnować czasu służb ratunkowych. Choć bardzo nie chcę opuszczać swojego bezpiecznego kąta, nie mogę tak po prostu cię tam zostawić.

Wczoraj w nocy spałeś w samochodzie, nie chciało ci się nawet łomotać w drzwi i okna, ale w którymś momencie, między moim zaśnięciem a przebudzeniem, zdołałeś się jednak dostać do domu. Zastanawiam się, czy syn cię wpuścił. Zastanawiam się, czy tego wszystkiego było już dla niego za wiele, więc sprzeciwił się poleceniom mamy, żeby cię ignorować, i otworzył drzwi, żeby zrobić ci awanturę. Wciąż nakręcony nagraniem powiedział ci, co o tobie myśli. Chciałabym to zobaczyć. Wiem, że to chore.

Dzisiaj jesteś w gorszym stanie niż zwykle. Domyślałam się,

że tak będzie. Z pewnością widziałeś film na YouTube. Słuchałam radia, żeby się przekonać, czy to prawda, że szef cię zawiesił w obowiązkach, i rzeczywiście program prowadził inny prezenter. Ty i twój zespół zostaliście wywaleni ze studia za sprośne figle w sylwestra, ale widzę, że wykorzystałeś czas nie na to, by spędzić wspaniały wolny wieczór w domu z rodziną, ani nie na to, żeby przemyśleć swoje postępowanie, ale na całonocne picie. Dziwnie nie słyszę twojego głosu w radiu; stałeś się nieodzownym elementem tej nocnej pory w domach, samochodach, biurach, w ciężarówkach podczas długich nocnych tras. Twoja nieobecność na antenie, o dziwo, nie uszczęśliwiła mnie tak, jak to sobie wyobrażałam, ale potem doszłam do wniosku, że taka kara może być dla ciebie dobra. Dzięki niej na przykład zastanowisz się nad wszystkimi swoimi prostackimi tekstami i dyskusjami, i nad tym, jaki to ma wpływ na ludzi, i nad tym, jak się poprawić, a zarazem polepszyć życie wielu osób, twoich wiernych słuchaczy. To wszystko sprawia, że myślę o audycji, przez którą cię nienawidzę, która jest przyczyną całego mojego gniewu na ciebie.

Szesnaście lat temu, w innej stacji, o innej porze, poprowadziłeś dyskusję o zespole Downa. Poruszała wiele aspektów tematu i niektóre informacje okazały się przydatne dzięki kobiecie, która zadzwoniła z Irlandzkiego Stowarzyszenia Pomocy Osobom z Zespołem Downa, żeby sprostować wiele wypowiedzi i jasno przedstawić fakty. Niestety, uznałeś ją za zbyt spokojną i cierpliwą jak na twoją audycję i szybko się rozłączyłeś. Resztę rozmówców stanowili prymitywni, obrzydliwi ignoranci, którym przyznałeś o wiele za dużo czasu na antenie. Większa część dyskusji dotyczyła CVS, czyli biopsji kosmówki, i amniopunkcji, zwanej też badaniem płynu owodniowego; ten zabieg medyczny stosowany w badaniach prenatalnych pozwala wykryć nieprawidłowości chromosomalne i infekcje płodu. Najczęściej to badanie przeprowadza się po to, żeby ustalić, czy dziecko jest obciążone pewnymi chorobami genetycznymi lub ma zaburzenia chromosomalne, takie, jakie występują w zespole Downa. Decydują się na to głównie kobiety z grup zwiększonego ryzyka,

po części dlatego, że badanie jest inwazyjne i niesie ze sobą ryzyko poronienia – małe, ale jednak. Potrafię zrozumieć, dlaczego chciałeś przeprowadzić tę dyskusję. To ważna sprawa i mogłaby pomóc kobietom podjąć decyzję, gdyby temat został potraktowany dojrzałe i uczciwie – a nie po twojemu, nie tak, jak przedstawia je twoja audycja, nastawiona na kontrowersje i dramaty. Zamiast odpowiednio pokierować rozmową, zachęciłeś popaprańców, żeby pokazali swoją najgorszą stronę i wygłosili ignoranckie opinie. Na przykład jakiś anonimowy świr właśnie odkrył, że jego dziewczyna ma dziecko z zespołem Downa, i pytał, czy on będzie musiał się nim opiekować.

Miałam siedemnaście lat i byłam na imprezie z chłopakiem, który podobał mi się od zawsze. Rodzice gospodarza wyjechali, wszyscy się nawalili, a zamiast muzyki słuchaliśmy Matta Marshalla. Wtedy nie miałam nic przeciwko tobie; tak jak większość uważałam, że jesteś *cool* i fajnie słuchać dyskusji o sprawach, o których mówiłeś, kiedy sami próbowaliśmy odnaleźć własny głos. Ale od tej konkretnej rozmowy zrobiło mi się niedobrze. Dyskusja wypłynęła z głośników i przeniosła się do naszego pokoju na imprezie. Musiałam słuchać, jak moi przyjaciele, którzy powinni ugryźć się w język, i obcy ludzie, i chłopak, ten co mi się podobał, wygłaszają swoje opinie. Nikt nie chciał dziecka z zespołem Downa. Ktoś powiedział, że jednak wolałby już dziecko z Downem niż z AIDS. Robiło mi się od tego niedobrze. Miałam piękną siostrę i matkę chorą na raka, która najbardziej ze wszystkiego żałowała, że zostawia córkę samą na świecie, więc w głowie mi się nie mieściły te głupie gadki. Po prostu wstałam i wyszłam. Gliniarze zgarnęli mnie na nadmorskiej szosie. Nie zataczałam się, ale byłam roztrzęsiona, a obecność alkoholu we krwi tylko pogarszała sprawę. Zawieźli mnie na posterunek dla mojego bezpieczeństwa i w ramach ostrzeżenia.

Mama potrzebowała wypoczynku. Do ciotki nie mogłam zadzwonić po tym, co zaszło w jej domu parę tygodni wcześniej między mną a jej synem Kevinem, nie mogłam też przespać się u niej, więc skontaktowałam się z tatą. Był akurat na randce z nową

dziewczyną. Wzięli mnie do taksówki – on w smokingu, ona w sukni balowej – i zawieźli do jego mieszkania. W czasie drogi posyłali sobie wymowne spojrzenia i chichotali; widziałam, że ta cała historia bardzo ich bawi. Kiedy tylko dojechaliśmy do ojca, wpuścili mnie do domu i znów wyszli, co było prawdziwym błogosławieństwem.

Więc teraz stoję w oknie i patrzę na twoje nieruchome ciało w jeepie, i nie przejmuję się, czy mnie widzisz, czy nie, bo się martwię. Kiedy już się zbieram, żeby wyjść i ci pomóc, drzwiczki jeepa otwierają się i wypadasz zza kierownicy. Twarzą do góry, plecami do chodnika, tak jakbyś siedział oparty o drzwi. Zsuwasz się powoli, uderzasz głową o ziemię. Stopa gdzieś ci utknęła. Nie poruszasz się. Rozglądam się za kurtką i nagle słyszę twój głośny rechot. Szarpiesz się, żeby uwolnić stopę, twój śmiech cichnie, kiedy zaczynasz się irytować. Musisz się skupić na wyplątaniu nogi, bo krew uderza ci do głowy.

W końcu się uwalniasz, żeby zacząć swoje wrzeszcząco-dzwoniąco-łomoczące przedstawienie, ale w domu nikt nie reaguje. Kilka razy trąbisz. Zaskakujące, że nikt z sąsiadów nie każe ci być cicho; może akurat dzisiaj mocno śpią. Może się boją, a może obserwują cię tak jak ja, chociaż w to akurat wątpię. Państwo Murphy'owie wcześniej kładą się spać, państwa Malone'ów chyba nigdy nie ruszają twoje wybryki, a Lennonowie obok mnie są tak nieśmiali, że pewnie baliby się konfrontacji z tobą. Wygląda na to, że tylko ja i doktor Jameson się tobą przejmujemy. Twój dom pozostaje całkowicie głuchy i dopiero teraz zauważam, że samochód twojej żony nie stoi zaparkowany na ulicy. Zastłony w żadnym z okien nie są zaciągnięte. Dom wydaje się pusty.

Znikasz na tyłach i nagle słyszę cię, a dopiero potem dostrzegam. Ciągniesz po trawie drewniany stół ogrodowy na sześć osób. Nogi stołu niszczą trawnik, ryją ziemię, zostawiają głębokie bruzdy, tak jakbyś orał. Wchodzisz na beton. Drewno wleczone po podjeździe za samochodem koszmarnie terkocze i zgrzyta. Dalej na ulicy, u Murphych, zapaliło się światło. Kiedy

stół jest już zawleczony na trawnik od frontu, znów znikasz w ogródku za domem, po czym wykonujesz sześć kursów, znosząc krzesła od kompletu. Z ostatniego kursu wracasz z parasolem przeciwsłonecznym i usiłujesz wetknąć go w otwór na środku stołu. W końcu wściekły ciskasz nim jak włócznią; parasol leci, otwiera się niczym spadochron i ląduje na drzewie. Zdyszany wyjmujesz z jeepa reklamówkę. Rozpoznaję logo miejscowego sklepu monopolowego. Opróżniasz torbę, ustawiając puszki rządkiem na stole. Siadasz. Opierasz nogi o blat, czujesz się swobodnie jak w domu. Twój głos wdziera się w moją głowę i psujesz mi widok z okna, rezydując naprzeciwko.

Obserwuję cię przez chwilę, ale w końcu tracę zainteresowanie, bo nie robisz nic ciekawego – pijesz tylko i puszczasz kółka z dymu w spokojne nocne niebo.

Patrzysz w gwiazdy, które są dziś tak wyraźne, że widać Jowisza obok Księżyca. Zastanawiam się, o czym myślisz. Co zrobić w sprawie Fionna. Co zrobić w sprawie pracy. Czyżbyśmy jednak nie różnili się aż tak bardzo?

Jest ósma trzydzieści rano. Stoję w ogródku z budowlańcem Johnnym, dużym mężczyzną o czerwonej twarzy, który zachowuje się tak, jakby mnie nienawidził. Nikt nic nie mówi. On i jego kolega Eddie, oparty na młocie pneumatycznym, tylko się na mnie gapią. Johnny zerka na ciebie – śpisz w ogródku przed domem, na ogrodowym krześle, z nogami na stole – po czym znów przenosi wzrok na mnie.

– Więc co właściwie mamy zrobić? Poczekać, aż się obudzi?

– Nie! Ja...

– Ale pani tak powiedziała.

Tak, właśnie tak powiedziałam.

– Niczego takiego nie mówiłam – kłamię w żywe oczy. – Ale czy wpół do dziewiątej to nie za wcześnie, żeby robić hałas? Myślałam, że z robotami budowlanymi można ruszać od dziewiątej.

Johnny się rozgląda.

– Większość ludzi jest w pracy.

– Nie na tej ulicy – wyjaśniam. – Tutaj nikt nie pracuje. – Już nie.

To dość niezwykle stwierdzenie, ale całkowicie prawdziwe. Johnny robi zdziwioną minę, po czym posyła spojrzenie gościowi z młotem, że chyba zwariowałam.

– Pani kochana, prosiła pani, żeby to zrobić jak najszybciej. Mam dwa dni, a potem idę gdzie indziej, więc albo zacznę teraz, albo...

– Dobrze, dobrze. Proszę zaczynać.

– To wrócę o szóstej.

– A dokąd pan się wybiera?

– Do drugiej roboty. Eddie sobie poradzi.

Eddie, który wygląda na jakieś siedemnaście lat, bez słowa zakłada nauszniki. Ja biegnę do domu. Staję przy oknie, które wychodzi na twój ogródek, i patrzę na ciebie, jak spokojnie śpisz z odchyloną głową po pijackiej nocy. Jesteś przykryty kocem.

Ciekawe, czy zlitowała się nad tobą żona, czy wyjąłeś go sobie z samochodu, kiedy obudziłeś się przemarznięty w środku nocy. Zdrowy rozsądek powinien cię skłonić, żeby zostać w samochodzie i włączyć ogrzewanie, ale ty nie jesteś z tych, co słuchają zdrowego rozsądku.

Z całą pewnością coś jest dzisiaj nie tak. Pomijając fakt, że śpisz na środku zrytego ogródka, na widoku, na krzywych, chwiejnie ustawionych ogrodowych meblach, to w twoim domu o tej godzinie zwykle panuje ruch. Skończyła się przerwa świąteczna, dzieci wróciły do nauki, więc żona powinna przyjeżdżać i wyjeżdżać, podrzucać je do szkoły, załatwiać swoje sprawy, ale dziś rano nic się nie dzieje. W domu nie widać oznak życia, zasłony wiszą tak samo jak zeszłego ranka. Drugiego auta nie ma. Parasol wciąż wisi na drzewie. Po twojej rodzinie ani śladu.

Nagle włącza się młot pneumatyczny i nawet w domu hałas jest tak głośny, że czuję wibracje w piersi. Dopiero teraz mi świta, że nie uprzedziłam sąsiadów, że przez parę dni przed moim domem potrwa zamieszanie; że robotnicy będą skuwać piękny kamień, żeby zrobić miejsce dla trawy. Oni z pewnością by mnie ostrzegli.

Zrywasz się z krzesła. Dziko wymachując i wierzgając, rozglądasz się, tak jakby ktoś cię zaatakował. Potrzebujesz chwili, żeby się zorientować, gdzie jesteś, co się dzieje, co zrobiłeś. A potem zauważasz budowlańca z młotem. Natychmiast szarżujesz w stronę mojego domu. Serce mi wali i nie bardzo wiem dlaczego. Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy, nawet cześć czy kiwnięcia ręką. Nie licząc sylwestra, kiedy przyłapałeś mnie na gapieniu się przez okno, ani razu nie dałeś po sobie poznać, że dostrzegasz moją obecność, i wzajemnie, bo nienawidzę ciebie i wszystkiego, co sobą reprezentujesz, bo nie rozumiesz, jak bardzo może smucić się matka, która umiera i zostawia córkę z zespołem Downa samą na świecie. Na nowo przeżywam komentarze wygłoszone przez ciebie i rozmówców tamtej nocy, kiedy cię znienawidziłam, więc kiedy docierasz do mojego ogródka, jestem już gotowa do walki.

Krzyczysz na Eddiego. Chłopak na pewno cię nie słyszy przez hałas i nauszniki, ale widzi mężczyznę, który stoi przed nim, gniewnie otwiera i zamyka usta, jedną rękę trzyma na biodrze, a drugą wskazuje dom. Eddie ignoruje cię i dalej rozwała kosztowne kamienne płyty. Idę do przedpokoju i chodzę w tę i w tę przed drzwiami. Czekam, aż przyjdiesz. Podskakuję, kiedy rozlega się dzwonek. Tylko raz. Nie ma w tym nic nachalnego. Jedno naciśnięcie, wesole drrrryń, zupełnie nie przypomina twoich sposobów na żonę.

Otwieram drzwi i po raz pierwszy w życiu stajemy ze sobą twarzą w twarz. To za moją siostrę, to za ciebie, Heather, to za moją matkę, za niesprawiedliwość świata, że musiała zostawić córkę, której nie chciała zostawiać. Powtarzam to sobie w kółko, gdy otwieram drzwi i zaciskam dłonie, gotowa do walki.

– Tak? – rzucam z całą pewnością zaczepnie.

Wydajesz się spłoszony moim tonem.

– Dzień dobry – odzywasz się protekcyjnym tonem, jakbyś chciał mi uświadomić, że tak należy zaczynać rozmowę, jakbyś w najdrobniejszych szczegółach znał zasady uprzejmej konwersacji. – Wyciągasz rękę. – Matt, mieszkam naprzeciwko.

To dla mnie bardzo trudne. Nie jestem nieuprzejma, ale patrzę na twoją dłoń, na nieogoloną twarz, na przekrwione oczy, czuję zapach alkoholu buchający z porów twojej skóry, spoglądam na usta, których tak nie cierpię, bo wypowiadają ohydne rzeczy, i chowam dłoń do tylnej kieszeni dżinsów. Serce łomocze mi jak głupie, kiedy to robię. Za ciebie, Heather, za ciebie, mamo.

Gapisz się na mnie osłupiały. Cofasz rękę i też wpychasz ją do kieszeni, tyle że kurtki.

– Czy ja coś przegapiłem? Jest wpół do dziewiątej rano, a ty wypruwasz ziemię! Powinienem o czymś wiedzieć? Może odkryłaś jakieś złoża ropy, którymi moglibyśmy się podzielić?

Widzę, że wciąż jesteś pijany. Choć twoje stopy mocno stoją na ziemi, ciało wykonuje okrężny ruch, taki taneczny wygibas w stylu Michaela Jacksona.

– Jeśli ci to tak bardzo przeszkadza, może na kilka dni rozbij

sobie obóz w ogrodzie za domem.

Patrzysz na mnie, jak na najgorszą sukę świata i odchodzisz. Mogłam powiedzieć tyle rzeczy. Mogłam wyrazić swoje rozczarowanie tym, jak poprowadziłeś dyskusję o zespole Downa. Mogłam ci dać list. Może nawet zaprosić cię na kawę. Odbyć dorosłą rozmowę. A ja przy naszym pierwszym spotkaniu wypaliłam coś takiego. Natychmiast tego żałuję, nie dlatego, że mogło cię to zranić, ale że, być może, straciłam okazję, żeby zrobić coś ważnego we właściwy sposób. I nagle przychodzi mi do głowy, dopiero teraz, że ty pewnie nawet nie pamiętasz tej audycji. Poprowadziłeś ich tak wiele, że nic dla ciebie nie znaczą. Jestem tylko wredną sąsiadką, która nie poinformowała cię o swoich pracach budowlanych.

Obserwuję, jak idziesz przez ulicę do swojego domu. Eddie wciąż ignoruje cały świat i rozkopuje ziemię, łomot młota dudni mi w głowie. Zaczynasz chodzić wokół domu. Patrzysz po oknach i próbujesz wykombinować, jak wejść do środka. Trochę się zataczasz, wciąż jesteś pod wpływem alkoholu. W końcu podchodzisz do stołu. Myślę, że usiądziesz, ale ty podnosisz krzesło ogrodowe i maszerujesz z nim do drzwi. Robisz zamach z całych sił i walisz nim raz, dwa, trzy razy w wąskie okno obok wejścia. Szkło rozpryskuje się na kawałki. Huk młota zagłusza wszystko. Przymierzasz się bokiem; jesteś dość nabity, więc trudno ci się precyzyjnie przeczisnąć przez utorowaną przed chwilą szczelinę, ale w końcu udaje ci się dostać do domu.

I choć patrzyłam na tę irracjonalną scenę, znowu sprawiasz, że to ja się czuję nienormalnie.

Eddie pracuje twardo przez dwie godziny, po czym znika na trzy. Przez ten czas jego maszyna sterczy w moim ogródku, który wygląda jak po bombardowaniu. Facet wszystko totalnie rozpirzył. Ciężko mi na to patrzeć, ale nie mam wyjścia, bo wyglądam przez okno, nie na ciebie – wiem, że ty się nie pojawisz przez parę godzin – ale za Eddiem, który odszedł sobie ulicą w kasku na głowie i nie wrócił. Dzwonię do Johnny’ego, nie odbiera i nie ma włączonej poczty głosowej. Zły znak. Poleciał mi go architekt krajobrazu, którego zatrudniłam do urządzenia ogródka, i to też jest zły znak.

Na moją komórkę dzwoni ktoś z zastrzeżonego numeru, więc nie odbieram. Ciotka Jennifer powiedziała mi po pijaku w Boże Narodzenie, że w Nowy Rok do domu przyjeżdża mój kuzyn Kevin i chce się ze mną skontaktować, więc od Nowego Roku filtruję połączenia jak CIA. Kevin wyjechał z Irlandii w wieku dwudziestu dwóch lat. Z początku podróżował po świecie, w końcu osiadł w Australii, choć nie sądzę, żeby gdziekolwiek tak naprawdę „osiadł”. Pojechał szukać siebie po serii rodzinnych dramatów i nie wrócił – nie przyjeżdżał nawet na święta, urodziny czy na pogrzeb mojej mamy. To ten sam Kevin, który mi powiedział, że umrę, kiedy miałam pięć lat, i że się we mnie zakochał, kiedy miałam siedemnaście.

Ciotka akurat wyjechała z mamą na weekend do któregoś z tych tajemniczych ośrodków, w których mieli mamie pomóc, a ja, jak zawsze w takich sytuacjach, nocowałam u nich. Wujek Billy oglądał telewizję, a Kevin i ja siedzieliśmy w ogrodzie za domem na huśtawce i zwierzałyśmy się sobie. Opowiadałam mu o chorobie mamy, a on słuchał. Potrafił naprawdę niezłe słuchać. A potem zdradził mi swój sekret: właśnie odkrył, że jest adoptowany. Wyznał, że czuje się zdradzony po tych wszystkich latach, ale nagle też zrozumiał swoje uczucia. Uczucia do mnie. Powiedział, że mnie kocha. Zanim się obejrzałam, był już na mnie, wszędzie czułam jego ręce, śliski język w ustach. Ilekroć o nim pomyślałam

po tej akcji, płukałam usta tak długo, jak się dało. Może nie był moim rodzonym kuzynem, ale jednak kuzynem. Bawiliśmy się we Władcę Much na drzewach w jego ogrodzie, wiązaliśmy jego brata Michaela i przypiekaliśmy na rożnie, przebieraliśmy się i wystawialiśmy przedstawienia. Zachowywaliśmy się tak jak dzieciaki z tej samej rodziny. Zawsze wspominałam go jako kuzyna. Brzydziłam się go.

Potem nie rozmawialiśmy już ze sobą. Nie naskarżyłam ciotce, ale wiedziałam, że wie. Zakładałam, że powiedziała jej mama, ale nigdy ze mną o tym nie porozmawiała. Po pierwszym roku, kiedy podchodziła do tego wydarzenia z nerwową skruchą, zaczęła być na mnie zła. Chyba czuła, że tylko moje wybaczenie pomogłoby jej odzyskać syna. Wtedy jeszcze nie wyjechał z kraju, ale nigdy nie chciał brać w niczym udziału, z nikim się spotykać, a już na pewno nie z rodziną, wiecznie czuł w sobie zamęt, był niepewny siebie i wszystkich dookoła. Ja w tamtym czasie miałam dość własnych kłopotów, nie potrzebowałam jeszcze zmartwień Kevina. Może to okrutne, ale jako siedemnastolatka nie miałam zrozumienia dla jego przeżyć. Był jedynie moim obrzydliwym, adoptowanym kuzynem z problemami, który mnie pocałował wbrew mojej woli, i chciałam tylko, żeby trzymał się ode mnie jak najdalej. Ale teraz wrócił i kiedyś będę musiała się z nim spotkać. Już mnie tak nie mierzi, nie czuję już potrzeby płukania ust, kiedy o nim myślę. Mimo to, choć nie mam niczego ważnego do roboty, potrafię zorganizować sobie lepsze zajęcia niż niezręczna rozmowa z kuzynem, który szesnaście lat temu na huśtawce próbował pocałować mnie z języczkiem.

Kiedy tak wyglądam przez okno i czekam na powrót Eddiego, dzwoni mój telefon stacjonarny. Numer znają tylko ciotka Jennifer, ojciec i Heather, i zwykle dzwoni tylko Heather, więc odbieram.

– Czy mógłbym rozmawiać z Jasmine Butler?

Milczę przez moment, usiłuję skojarzyć głos. To raczej nie Kevin. Wyobrażam sobie, że teraz ma już australijski akcent, ale może się mylę. Tak czy inaczej, nie sądzę, żeby to był on. Ciotka

Jennifer musiałaby być niewyobrażalnie okrutna, żeby dać mu numer. Za dublińskim akcentem kryje się drugi, który nie bardzo mogę przypisać lokalizacji, skądś spoza Dublina, ale z Irlandii. Delikatny wiejski zaśpiew.

– Kto mówi?

– Czy rozmawiam z Jasmine Butler? – pyta on.

Uśmiecham się i próbuję ukryć rozbawienie.

– Mógłby się pan przedstawić? Jestem gosposią pani Butler.

– Ach, przepraszam. – Zupełnie niezrażony, uroczy. – A jak pani na imię?

Kto to jest? To on zadzwonił do mnie, a teraz próbuje przejąć kontrolę, ale nie w niegrzeczny sposób; jest nienagannie uprzejmy i ma miły ton. Nie mogę umiejscowić tego akcentu. Nie Dublin. Nie północ. Ale i nie południe. Centralna Irlandia? Nie. Pewnie akwizytor. Dobrze, teraz muszę wymyślić imię i splewić gościa. Patrzę na stolik, zauważam pendrive, leży obok telefonu od kilku dni.

– Pen – odpowiadam i staram się nie roześmiać. – Penny. Penelope, ale wszyscy mówią do mnie Penny.

– A czasami Pen?

– Tak. – Uśmiecham się.

– Czy może mi pani podać nazwisko?

– To do jakichś badań?

– Nie, tylko na wszelki wypadek, gdybym zadzwonił jeszcze raz i pani Butler nie byłoby w domu. Gdyby jakimś dziwnym trafem tak się zdarzyło.

Śmieję się z jego ironii.

– Ach tak. – Znów zerkam na stolik, przy pendrivie leży mój iPad. Przewracam oczami. – Pad. – Kaszlę, żeby zamaskować śmiech. – Paddington.

– Okej, Penelope Paddington – powtarza, a ja jestem pewna, że się połapał. Jeśli ma choć trochę rozumu, zorientował się. – Kiedy pani Butler będzie w domu?

– Nie mam pojęcia. – Siadam na poręczy kanapy. Wciąż spoglądam na dwór, widzę doktora Jamesona pod twoimi

drzwiami. – Przychodzi i wychodzi. Do pracy. – Doktor Jameson zagląda przez wybite okno. – A w jakiej sprawie pan dzwoni?

– Prywatnej – mówi grzecznie, ciepłym tonem. – Wolałbym omówić to z nią osobiście.

– A ona pana zna?

– Jeszcze nie – odpowiada. – Ale mogłaby jej pani przekazać, że dzwoniłem, dobrze?

– Oczywiście. – Biorę kartkę i długopis, żeby zapisać namiary na niego.

– Spróbuję zadzwonić na komórkę – dodaje.

– Ma pan numer jej komórki?

– I do pracy, ale w biurze jest nieosiągalna.

To mnie otrzeźwia. Ktoś, kto zna mnie na tyle dobrze, że ma wszystkie trzy moje numery, a jednak nie wie, że zostałam zwolniona. Jestem skołowana.

– Dziękuję, Penelope, bardzo mi pani pomogła. Miłego dnia.

– Rozłącza się, a ja, zdezorientowana, przez chwilę słucham ciągłego sygnału w słuchawce.

– Jasmine – mówię do siebie śpiewnym tonem. – Właśnie szukał cię jakiś dziwny gość.

Doktor Jameson idzie przez ulicę w moją stronę.

– Dzień dobry, doktorze – witam go. Dostrzegam białą kopertę w jego dłoni; ciekawe, co znowu planuje wspólnota i ile będę musiała się dorzucić.

– Dzień dobry, Jasmine.

Jak zwykle jest nienagannie ubrany w koszulę i sweter w serek, spodnie z idealnym kantem, wypucowane buty. Jest niższy ode mnie i przy swoim wzroście metr siedemdziesiąt trzy czuję się przy nim jak jakiś egzotyczny, nienaturalny stwór. Włosy mam wściekle czerwone; ja nazywam ten kolor „czerwień strażacka”, L’Oréal nazywa go Pure Scarlet Bardzo Intensywny. Z natury jestem szatynką, ale ani ja nie oglądałam, ani reszta świata nie widziała mojego naturalnego koloru, odkąd skończyłam piętnaście lat; jego ostatnie ślady są widoczne na brwiach, bo na głowie kiełkuje mi teraz więcej siwych niż ciemnych włosów. Ta czerwień

sprawia podobno, że moje oczy są jeszcze bardziej wyraziste niż zwykle: mają turkusowy odcień i przywykłam już, że ludzie często je komentują. Włosy i oczy to pierwsze, co zauważają; czy idę do pracy, czy na imprezę, zawsze, absolutnie zawsze używam ultraczarnej kredki do oczu. Oczy i włosy. I cycki. Są dość duże, ale nie żebym je sztucznie pompowała; sterczą same z siebie, spryrciary.

– Przepraszam za ten hałas rano – wypalam od razu, absolutnie szczerze. – Powinnam uprzedzić.

– To nie kłopot... – Lekceważąco macha ręką, jakby spieszyło mu się, żeby powiedzieć coś innego. – Byłem naprzeciwko i szukałem naszego przyjaciela, ale chyba jest zajęty – mówi tak, jakby nasz przyjaciel, czyli ty, siedział w ogródku za domem i robił zwierzątka z balonów dla dzieci, a nie leżał nieprzytomny na podłodze w łazience w kałuży własnych rzygów. Tak tylko zgaduję.

– Amy dała mi to dla pana Marshalla... Możemy go nazywać Matt, prawda? – Jego konspiratorskie spojrzenie każe mi przypuszczać, że przyłapał mnie na podglądaniu. Ale to by znaczyło, że sam podgląda mnie, a wiem, że nie podgląda, bo go podglądam.

– Kto to jest Amy?

– Żona Matta.

– Ach. Tak. Oczywiście. – Jakbym wiedziała, ale zapomniała.

– Ważne, żeby dostał to jak najszybciej – wymachuje białą kopertą – ale on nie otwiera. Zostawiłbym to w, ehm... otwartym oknie, jednak nie mam pewności, że znajdzie. Poza tym duplikat chciałbym zostawić pani. – Wysuwa kopertę w moją stronę.

– Duplikat czego?

– Klucza do domu. Amy dorobiła dwa klucze dla sąsiadów. Pomyślała, że mogą się przydać – odpowiada zaskoczonym tonem, jak gdyby takie akcje były najbardziej oczywistą i rozsądną rzeczą pod słońcem. – Zdaje się, że jej nie ma i nie będzie przez jakiś czas. – Wbija spojrzenie w moje oczy.

Aha. Zrozumiałam.

Odsuwam ręce od koperty, którą mi podtyka.

– Chyba będzie lepiej, jeśli pan to zatrzyma, doktorze. Ja nie jestem najodpowiedniejszą osobą do przechowania klucza.

– Dlaczego?

– Wie pan, jak żyję, ciągle gdzieś wychodzę. Jestem strasznie zajęta, praca i... rozumie pan, różne sprawy. Niech pan przekaże to komuś, kto spędza w domu więcej czasu.

– Ach tak. Odnosiłem wrażenie, że... no cóż, że ostatnio jest pani częściej w domu.

Zabolało.

– No owszem, ale i tak uważam, że powinien to trzymać ktoś inny. – Obstaję przy swoim.

– Ja już mam drugi klucz, tylko że wyjeżdżam na dwa tygodnie. Bratanek zaprosił mnie na wakacje ze swoją rodziną. Pierwszy raz. – Twarz mu się rozpromienia. – Bardzo miło z jego strony, choć na pewno namówiła go do tego Stella. Urocza kobieta. I bardzo to doceniam. Hiszpania. – Oczy mu błyszczą. – Ale wracając do sprawy... – Znów poważnieje. – Muszę znaleźć opiekuna dla tych rzeczy. – Wydaje się ogromnie przejęty misją.

Choć mam wyrzuty sumienia, nie mogę tego zrobić. Nie mogę wziąć do domu cudzego klucza. To chore. Nie zamierzam się w to angażować. Chcę mieć święty spokój. No tak, obserwuję cię, ale... Nie mogę. I nie dam się wzruszyć zmartwioną, bezradną miną doktora. Gdybym miała pracę, ten podmiejski koszmarek by mnie nie dotyczył, nie musiałabym się przejmować czyimiś problemami, które ludzie powinni zachować dla siebie.

– Może da to pan Malone'om. – Zupełnie nie kojarzę, jak on czy ona mają na imię. Od czterech lat mieszkam po sąsiedzku i co roku przysyłają mi kartkę na święta podpisaną imionami, a ja ich nie pamiętam.

– Cóż, jest to jakiś pomysł – odpowiada niepewnie, a ja wiem dlaczego. Nie chce im przysparzać kłopotów. Kiedy w pijanym widzie nie możesz się dostać do domu, twoje problemy nie powinny spadać na głowę państwa Malone'ów, którzy mają po siedemdziesiątce. To samo można powiedzieć o Murphych i

Lennonach. Doktor ma rację, oczywiście, ale ja po prostu nie mogę się w to plątać.

– Na pewno nie weźmie pani? – pyta mnie raz jeszcze.

– Na pewno – oznajmiam stanowczo. Nie dam się w to wciągnąć.

– Rozumiem. – Kiwa głową, zaciska usta i znów chwyta kopertę obiema dłońmi. Posyła mi spojrzenie i wiem, że był świadkiem tej samej nocnej sceny, którą ja też oglądałam. – Naprawdę rozumiem.

Żegna się ze mną i odwraca. Po sekundzie zrywam się pędem, żeby nie wszedł na jezdnię pod koła karetki, która pędzi naszą ulicą. Oboje odruchowo spoglądamy na twój dom, sądzimy, że tobie coś się stało, ale karetka zatrzymuje się pod domem Malone'ów i ratownicy biegną do drzwi.

– O raju – mamrocze doktor Jameson. Nie znam nikogo, kto wyrzucałby z siebie tyle orajów, tereferów, oboziów, mójbogów i ajuścich co doktor Jameson.

Ratownicy wynoszą panią Malone z maską tlenową na twarzy i pakują do karetki. Szary na twarzy pan Malone idzie za nimi. Jest jak ogłuszony. Serce mi pęka. Mam nadzieję, że to nie moja wina. Mam nadzieję, że to nie młot pneumatyczny w moim ogródku przyprawił ją o zawał, tak jak o mało nie przyprawił ciebie.

– Vincent – mówi pan Malone na widok doktora Jamesona. – Marjorie.

To zapewne jego żona. Czuję się okropnie, że nawet nie znałam jej imienia. Biedna Marjorie. Modlę się w duchu, żeby wyszła z tego cało.

– Zajmę się nią, Jimmy – uspokaja doktor Jameson. – Dwa razy dziennie? Karma w kredensie?

– Tak – rzuca pan Malone bez tchu. Ratownicy pomagają mu wsiąść do samochodu.

Nie. Nie żona.

Drzwiczki się zamykają i karetka odjeżdża. Pozostawia ulicę pustą jak przedtem, jakby zupełnie nic się nie stało. Syrena cichnie

w oddali.

– O rety, rety – pomrukuje mój sąsiad, również wstrząśnięty.
– Boże kochany.

– Dobrze się pan czuje, doktorze?

– Vincent, proszę. Nie praktykuję już od dziesięciu lat – mówi nieobecny tonem. – Pójdę nakarmić kotkę. Kto się nią zajmie, kiedy wyjadę? Może nie powinienem jechać. Najpierw to – patrzy na kopertę w dłoni – a teraz Malone'owie. Tak, chyba jestem tutaj potrzebny.

Czuję wyrzuty sumienia, przerażenie i lekką urazę, że wszechświat sprzysiągł się przeciwko mnie. W tej sytuacji zaproponowanie, żeby doktora zastąpił inny sąsiad, byłoby zwyczajnie niegrzeczne, choć mam ochotę to zrobić. Dwie odmowy w ciągu jednego dnia nie postawiłyby mnie w najlepszym świetle.

– Ja będę karmić kotkę, kiedy wyjedziesz – deklaruje. – Pokaż mi tylko, gdzie co trzymają.

– Się wie. – Kiwa głową, wciąż oszołomiony.

– Jak tam wejdziemy? – Patrzę na pusty dom Malone'ów, idealnie przyozdobiony gipsowymi krasnoludkami, małutkimi drogowskazami dla skrzatów i wrotami dla wrózek, zawieszonymi na drzewie dla wnuków, z kamiennymi płytami, które wytyczają tajemnicze ścieżki między krzewami i pod wierzbami płaczącymi. Podciągnane zasłony z lat osiemdziesiątych, w beżach i łososiowych różach, tworzą bufiaste lambrekiny nad oknami, na parapetach pełno tandetnej porcelany, a stolik pod oknem jest zastawiony zdjęciami. To wygląda jak domek dla lalek zaklęty w czasie, urządzony z miłością, wychuchany.

– Mam klucz – mówi doktor.

Oczywiście. Wygląda na to, że na tej ulicy wszyscy mają klucze do wszystkich, z wyjątkiem mnie. Patrzy na kopertę i twój klucz, tak jakby zobaczył je po raz pierwszy. Zauważam, że ręce mu się trzęsą.

– Vincent, wezmę to. – Kładę mu dłoń na ramieniu i delikatnie biorę od niego kopertę.

I takim to sposobem wchodzę w posiadanie listu od twojej żony i zapasowego klucza do twojego domu.

Tak dla jasności: wcale ich nie chciałam.

Eddie wraca i znów pracuje przez dwie godzinki. Trudno mi tego nie zauważyć, bo akurat nakładam karmę do miski Marjorie, a kotka omal nie wyskakuje ze skóry, spłoszona hukiem młota, i znika gdzieś. Zastanawiam się, czy jej nie poszukać, ale nie chcę myszkować po domu, a kocicy przecież nic się nie stanie. Eddie ciężko haruje, kiedy wraca Johnny, żeby ocenić postępy. Johnny zachowuje się tak, jakby nigdzie się stąd nie ruszał nawet na chwilę. Bez zmruczenia oka i bez komentarza słucha moich skarg na Eddiego, ogląda robotę, stwierdza, że idzie zgodnie z harmonogramem, po czym obaj odjeżdżają obtłuczoną czerwoną furgonetką pół godziny przed czasem, bo mają inną robotę. Nie jadą daleko. Cofają z mojego podjazdu wprost na twój i wyskakują z samochodu. Zdaję sobie sprawę, że zamieniłam się w regularną podglądaczkę, ale nic nie poradzę, że to doprawdy intrygujące. Johnny mierzy ramę wybitej szyby przy drzwiach, po czym we dwóch wyjmują z paki furgonetki arkusz grubej sklejki. Nie widzę ich, ale słyszę, jak piłują. Jest zaledwie wpół do szóstej, ale na dworze zrobiło się czarno. Pracują niemal po ciemku, trochę światła daje im tylko lampa na ganku, a z tyłu domu widać słaby blask z kuchennego okna. Widocznie już się obudziłeś.

Johnny i Eddie w dziesięć minut mocują dechę, po czym wskakują do furgonetki i znikają. A mojemu ogródkowi daleko jeszcze do końca.

Trzymam w dłoni list do ciebie. Jameson kazał mi przyrzec, że wręcę ci go osobiście. Oboje musimy mieć pewność, że go dostałeś, żeby doktor mógł poinformować Amy. Klucz do twojego domu zostawiłam na blacie w kuchni. Wygląda tam obco, ale nie mam pojęcia, gdzie go schować. Leży tam i niemal pulsuje; czy siedzę, czy stoję, przyciąga mój wzrok. To jakoś nie w porządku, mieć w domu coś twojego. Spoglądałam w dół i obracam list w dłoniach. Domyślam się, że twoja żona Amy w końcu cię zostawiła i zaufała sąsiadom, że zadbają, aby jej słowa, jej argumenty – a z pewnością długo, starannie je dopracowywała – dotarły do ciebie.

Nie mogę jej zawieść; muszę ci go dostarczyć. Powinnam się cieszyć, że go dostaniesz, ale nie czuję radości, i dobrze. Nie jestem obojętna na ludzkie emocje tak jak ty.

Zakładam kurtkę i biorę kopertę. Dzwoni mi komórka, nie rozpoznaję numeru. Odbieram. To pewnie ten dziwny akwizytor.

– Cześć, Jasmine, tu Kevin.

Z sercem w żołądku patrzę, jak wsiadasz do samochodu i odjeżdżasz, a tymczasem kuzyn, który próbował mnie pocałować, oznajmia, że jest w domu.

Nie mogę spać. Nie dlatego, że umówiłam się z Kevinem na spotkanie za parę dni – na mieście, żebym mogła sobie pójść, kiedy zechcę – ale dlatego, że próbuję przećwiczyć w głowie wszystkie możliwe scenariusze, jakie mogą się rozegrać, kiedy wrócisz. Daję ci list, otwieram drzwi, ty atakujesz mnie po pijanemu, rzucasz we mnie krzesłem, wrzeszczysz, kto to wie. Nie chciałam brać tego na siebie, ale teraz się nie wycofam przez poczucie sąsiedzkiego obowiązku.

Kiedy zjawiasz się pod domem, nie śpię. Znów ryczy *Paradise City*. Hamujesz, tym razem przed bramą garażu, wyjmujesz kluczyki ze stacyjki, zataczasz się do drzwi, parę razy potykasz o własne nogi, skupiony na kluczach brzęczących w twoich dłoniach. Zajmuje ci to chwilę, ale w końcu trafiasz kluczem do dziurki w zamku. Niemal wpadasz do środka i zamykasz drzwi. Zapala się światło w przedpokoju. Potem na podeście piętra. Gaśnie światło w przedpokoju. Zapala się światło w sypialni. Pięć minut później światło w sypialni gaśnie.

Nagle w mojej sypialni robi się dziwnie cicho i przyłapuję się na tym, że wstrzymywałam oddech. Kładę się skołowana.

Jestem rozczarowana.

W weekend mam tę swoją proszoną kolację. Jest nas ośmioro. Sami bliscy przyjaciele. Bianca nie dała rady wpaść, została w domu z nowo narodzonym synkiem, ale Tristan się wyrwał. Zasypia w fotelu przy kominku jeszcze przed przystawkami. Zostawiamy go tam i zaczynamy bez niego.

Rozmowa obraca się głównie wokół małych dzieci. I dobrze,

to odwraca uwagę od mojej codzienności. Dowiaduję się mnóstwo rzeczy na temat kolki i robię zatroskaną minę, kiedy dyskutują o braku snu; potem zaczynają o przechodzeniu na stały pokarm, omawiają odpowiednie warzywa i owoce. Jeden z tatusiów musi wygooglać, czy kiwi nadaje się na pierwszy owoc. Zaliczam też trzydzieści minut zwierzeń Caroline na temat jej życia seksualnego z nowym partnerem po tym, jak rozstała się ze swoim mężem łajdakiem. To też mi się podoba, też odwraca uwagę. To prawdziwe życie, to sprawy, o których chcę słuchać. W końcu jednak rozmowa schodzi na mnie i moją pracę i choć uwielbiam tych ludzi – przyjaznych, taktownych i miłych – jakoś nie mogę rozmawiać z nimi o swojej sytuacji szczerze. Wmawiam im, jakie to wspaniałe, kiedy płacą człowiekowi za obijanie się w domu. A oni się śmieją, kiedy próbuję wzbudzić ich zazdrość podkoloryzowanymi opowieściami o długich porankach w łóżku, o czytaniu książek i o luksusie czasu, który mam tylko dla siebie i mogę z nim robić, co zechcę. To wszystko jednak wydaje się sztuczne, czuję się niezręcznie, jakbym odgrywała rolę, bo sama nie wierzę w ani jedno swoje słowo. Chyba nigdy nie ucieszyłam się na warkot twojego jeepa tak jak teraz. Mam nadzieję, że jesteś bardziej nawalony niż zwykle.

W końcu jednak nie mówię przyjaciółom o twoich pijackich nocnych wybrykach. Ciekawe. To idealna pożywka dla plotek. Z przyjemnością posłuchaliby moich opowieści, a pikanterii dodałby sprawie fakt, że jesteś sławny. Ale jakoś nie przechodzi mi to przez gardło. Jakby to był mój sekret. Nie wiedzieć czemu, postanowiłam cię chronić. Być może traktuję twoją sytuację zbyt poważnie, żeby z tego żartować na imprezie. Masz dzieci, żonę, która cię zostawiła. Nienawidzę cię, każdy, kto mnie dobrze zna, wie o tym, i nic w tobie nie powinno budzić mojej litości. Zaciągam zasłony, żeby cię nie widzieli.

Słyszę, jak się dobijasz, ale wszyscy gadają dalej; tym razem zażarcie debatują, kto powinien sobie podwiązać jajowody, a kto przeciąć nasieniowody, więc nie zauważają hałasu. Myślą, że żartuję, kiedy mówię, że wybrałabym to drugie, ale tak naprawdę

wcale ich nie słuchałam.

Nagle na dworze zapada cisza. Nie mogę się skupić i zaczynam być nerwowa, niespokojna, że cię usłyszą, że chłopaki zechcą wyjść i na ciebie popatrzeć, poszydzić z ciebie albo ci pomóc, i zniszczą ten nasz niemal intymny związek. Tak, to dziwne. Ale to jedyne, co mam, i tylko ja tak naprawdę rozumiem, co się z tobą dzieje w nocy. Nie chcę im tego tłumaczyć.

Sprzątam talerzyki po deserze; moi przyjaciele gadają i śmieją się, atmosfera jest świetna, a Tristan wciąż śpi, piekąc się przy otwartym ogniu kominka. Caroline mi pomaga i spędzamy razem pięć minut w kuchni, gdzie znów opowiada mi o tym, co robiła ze swoim nowym chłopakiem. Powinnam być zaszokowana jej słowami. Caroline chce, żebym była zaszokowana, ale nie mogę się skupić, ciągle myślę o tobie na dworze. A klucz leży obok mnie, na blacie, i wciąż pulsuje. Kiedy przyjaciółka idzie do toalety, uciekam. Biorę list i klucz, wkładam kurtkę i wymykam się z domu niezauważona przez nikogo.

Widzę, że siedzisz przy stole. Jest jedenasta wieczorem. Wcześniej jak na ciebie. Wyjadasz coś z torby z McDonalda. Patrzysz, jak przechodzę przez jezdnię, i nagle czuję się skrępowana. Obejmuję się rękami, udaję, że mi zimno, choć grzeje mnie alkohol. Zatrzymuję się przy stole.

– Cześć – mówię.

Patrzysz na mnie przekrwionymi oczami. Nigdy nie widziałam cię trzeźwego tak z bliska. Pijanego też cię nie widziałam z bliska; kiedy spotkaliśmy się dzisiaj rano, byłeś gdzieś pomiędzy, więc teraz nie bardzo rozpoznaję, w jakim jesteś stanie, ale siedzisz na zimnie i jesz żarcie z fast foodu o jedenastej wieczorem, w gęstych oparach alkoholu, więc nie możesz być całkowicie *compos mentis*[4].

– Cześć – odpowiadasz.

Dobry początek.

– Doktor Jameson prosił, żebym ci to dała. – Podsuwam kopertę.

Bierzesz ją, oglądasz i kładziesz na stole.

– Doktor J. wyjechał?
– Bratanek zaprosił go do Hiszpanii.
– Naprawdę? – Rozpromieniasz się. – Najwyższa pora.
To mnie zaskakuje. Nie wiedziałam, że ty i doktor aż tak dobrze się znacie. Oczywiście twoja odpowiedź nie sugeruje bliskości, ale jednak pewien poziom zażyłości.
– Żona doktora umarła piętnaście lat temu, nie mieli dzieci, jego brat i bratowa też się zawinęli na tamten świat. Jego jedyną rodziną jest bratanek, ale nigdy go nie odwiedza ani nie zaprasza – mówisz wyraźnie zirytowany. Potem bekasz. – Wybacz.
– Ach tak. – Tylko tyle przychodzi mi do głowy.
Patrzysz na mnie.
– Mieszkasz naprzeciwko?
Jestem zdezorientowana. Nie wiem, czy udajesz, że się nie poznaliśmy, czy naprawdę tego nie pamiętasz. Próbuję cię rozgryźć.
– Tak, mieszkasz. Pod trójką, prawda?
– Zgadza się – przyznaję w końcu.
– Jestem Matt. – Wyciągasz rękę.
Czy to nowy początek? A może podpucha, może zabierzesz rękę i pokażesz mi język, jak tylko ja wyciągnę swoją? Cokolwiek tobą kieruje, wygląda na to, że zapomniałeś, jaka byłam nieuprzejma parę dni temu, więc teraz mam kolejną szansę zrobić to, co należy.
– Jasmine. – Wyciągam rękę, żeby uścisnąć ci dłoń.
To nie przypomina paktu z diabłem, tak jak się spodziewałam. Twoje palce są lodowate, skórę masz szorstką, jakby zniszczył ją mróz.
– Dał mi też duplikat klucza do ciebie. Twoja żona dorobiła dla niego i dla mnie. – Podsuwam klucz.
Patrzysz na niego nieufnie.
– Nie muszę trzymać u siebie tego klucza, jeśli nie chcesz.
– A dlaczego miałbym nie chcieć?
– Nie wiem. Nie znasz mnie. Tak czy inaczej, proszę. Możesz wejść i zabrać klucz.

Wciąż nie odrywasz wzroku od klucza.

– Chyba będzie lepiej, jak ty go zatrzymasz.

Teraz patrzysz na mnie i zaczynam się czuć niezręcznie. Nie wiem, co robić; ty najwyraźniej nie zamierzasz się ruszyć, więc podchodzę do drzwi i je otwieram.

– Masz imprezę? – Spoglądasz na zaparkowane samochody.

– Tylko kolację.

Czuję się głupio. Jesz kolację z McDonalda; czy powinnam cię zaprosić? Nie, nie znamy się, a poza tym jesteś moim wrogiem od zawsze, nie mogę cię zaprosić.

– Co robisz ze swoim ogródkiem?

– Kładę trawę.

– Po co?

Śmieję się cicho.

– Dobre pytanie.

Bierzesz kopertę.

– Przeczytasz mi?

– Nie.

– Dlaczego?

– Dlaczego sam nie przeczytasz?

– Ledwie widzę na oczy.

Ale nie wydajesz się aż tak pijany i mówisz całkiem wyraźnie.

– I zostawiłem okulary w domu – dodajesz.

– Nie. – Krzyżuję ręce na piersi i się cofam. – To prywatna sprawa.

– Skąd wiesz, że prywatna?

– List jest do ciebie.

– To może być jakaś sąsiedzka sprawa. Doktor J. wiecznie coś organizuje. Może grill.

– W styczniu?

– W takim razie zakrapiane spotkanie z dyskusją na temat recyklingu. – Podoba ci się to, śmiejesz się. Słyszę papierosy w twojej piersi; rżący, brudny śmiech.

– Powiedział, że to od twojej żony.

Cisza.

Czasami widzę, że jesteś przystojny. To, w jaki sposób przechylasz głowę, kiedy myślisz, a może światło księżyca – nie wiem co, ale coś sprawia chwilami, że się zmieniasz. Niebieskie oczy, jasnorude włosy, mały nos. A może zawsze tak wyglądasz, tylko moja niechęć do ciebie zniekształca mi twój obraz.

Odkładasz kopertę na stół i jednym palcem popychasz w moją stronę.

– Przeczytaj.

Podnoszę ją i patrzę. Kilka razy obracam w dłoniach.

– Nie mogę. Przykro mi. – Kładę list na stole. Wpatrujesz się w kopertę i nic nie mówisz. – Dobranoc.

Wracam do domu, zanurzam się w hałaśliwy śmiech przyjaciół. Zdejmuję kurtkę. Tristan wciąż śpi w fotelu. Chyba nikt nie zauważył, że zniknęłam. Dołączam do nich przy stole z kolejną butelką wina i siedzę przez chwilę, ale w końcu wstaję i uchylam zasłony. Wciąż jesteś na dworze. Unosisz głowę i dostrzegasz mnie, dopiero wtedy wstajesz i wchodzisz do domu. Zamykasz za sobą drzwi. Widzę kopertę, nadal leży na blacie i jarzy się w świetle księżyca.

Zaczyna mżyć.

Patrzę na kopertę, deszcz przybiera na sile. Nie mogę się skupić. Rachel opowiada o czymś, wszyscy słuchają, łączy stoją jej w oczach. Wiem, że to ważne. Mówi o swoim chorym ojcu. Właśnie się dowiedzieli, że ma raka. Nie potrafię się jednak zaangażować w tę historię. Wciąż wyglądam na dwór, na kopertę. Pada coraz mocniej. Mąż bierze Rachel za rękę, żeby ją wesprzeć. Mamrocze coś, że przyniosę chusteczkę, po czym wybiegam na dwór bez kurtki, pędzę przez ulicę i zabieram kopertę ze stołu.

Nie znam cię i nie jestem ci niczego winna, ale wiem, że wszyscy mamy w sobie guzik samozniszczenia, a ja nie mogę pozwolić, żebyś go wcisnął. Nie na mojej wachcie.

Johnny i Eddie kończą wreszcie skuwanie moich płyt tydzień po obiecany terminie i zasłaniają się taką ilością wymówek i technicznych trudności, że sama nie wiem, od czego zacząć się wyklócać. Tak czy inaczej, sto metrów kwadratowych zostało oczyszczone pod darń, a resztę ogródka wciąż pokrywa śliczny kamień. Ojciec radzi, żebym zatrzymała potłuczone płyty, które wykopali z ziemi, bo jego zdaniem mają jakąś wartość, więc przechowuję je w niedużym kontenerze na podjeździe. Przekonanie taty uwiarygodnia Johnny, który z dziwnym zapałem rwie się do pomocy, żeby się ich „pozbyć”. Próbuję wymyślić, jak mogłabym je wykorzystać, ale naprawdę nie mam pojęcia i podejrzewam, że w końcu pewnie je wyrzucę.

Tata i Leilah zapraszają mnie i Heather na czwartkowy lunch. W poniedziałki Heather pracuje w restauracji, gdzie sprząta ze stołów i ładuje zmywarę. W środy ma dyżury w kinie: odprowadza ludzi na miejsca, sprząta popcorn i bałagan po seansie, a w piątki w miejscowej kancelarii notarialnej odbiera pocztę, wrzuca dokumenty do niszcarki i robi ksero. Uwielbia wszystkie swoje posady. W sobotnie poranki bierze udział w zajęciach kółka teatralnego i muzycznego, a we wtorki chodzi do dziennego domu pomocy społecznej, gdzie spotyka się z przyjaciółmi. Przez to wszystko ma dla nas tylko w czwartki i niedziele, a kiedyś, z powodu godzin mojej pracy, jedynie niedziela mogła być naszym dniem. Tak było przez ostatnich dziesięć lat. Poszłabym na koniec świata, żeby tylko nie stracić tego naszego dnia. Robimy różne rzeczy. Czasami Heather ma w głowie bardzo konkretne cele, a czasem milczy i zostawia decyzję mnie. Często chodzimy na film do kina. Siostra uwielbia kreskówki i zna każde słowo *Małej Syrenki*. Innym razem ma ochotę tylko siedzieć na podłodze i non stop oglądać telewizję. Na święta dostała ode mnie wycieczkę na rewię Disney na Lodzie. Cały pierwszy akt był poświęcony Małej Syrence i nigdy, przez całe życie nie widziałam Heather tak skupionej, tak bez reszty

pochłoniętej. Piękne przeżycie; zresztą spędzanie z nią czasu zawsze jest cudowne. Kiedy na scenę wyszła wiedźma Urszula, po lodzie przejechała wielka dmuchana Ośmiornica, a w tle rozległ się głośny, złowrogi śmiech, wiele dzieci zaczęło płakać. Martwiłam się, że Heather się wystraszy, ale ona złapała mnie za rękę, uścisnęła i szepnęła: „Będzie okej, Jasmine”, i zrozumiałam, że to ona troszczy się o mnie, to ona się boi, że ja się wystraszę. Jest moją starszą siostrą i cały czas mnie chroni, nawet kiedy wydaje mi się, że to ja chronię ją. Przedstawienie się skończyło i zapaliły się światła, odsłaniając rozsypany popcorn i kubki po napojach. Cała magia zniknęła. Wtedy Heather położyła dłonie na sercu, popatrzyła na mnie pełnymi łez oczami, które wydawały się ogromne za grubymi szklami, i powiedziała:

– Jestem wzruszona, Jasmine. Jestem taka wzruszona.

Kocham ją, kocham w niej wszystko. Jedyne, co bym w Heather zmieniła, to niedoczytność tarczycy, bo z tego powodu czasem odczuwa dyskomfort: zmęczenie, ospałość, drażliwość. Najchętniej pilnowałabym jej na każdym kroku, ale mi nie pozwala. Po latach uczenia swojej siostry w sposób dla niej zrozumiały dowiedziałam się o niej jednego: to Heather zawsze była i będzie nauczycielką, a ja jej uczennicą. Mówi trochę niewyraźnie, choć ja zwykle ją rozumiem, ma problem z motoryką i ze słuchem, ale potrafi podać imię absolutnie każdej postaci w każdym filmie Disneya, wymienić autorów i wykonawców każdej z piosenek. Kocha muzykę. Ma niezłą kolekcję winyli – choć pokazywałam jej iPody i iPady, w głębi duszy jest oldskulową dziewczyną i woli swoje płyty. Zna nazwiska muzyków, producentów i aranżerów nagranych utworów. Czyta drobny druczek na każdym albumie i sypie informacjami jak z rękawa. Kiedy się zorientowałam, że ma apetyt na muzykę, zaczęłam go zaspokajać i wciąż zaspokajam: kupuję płyty, zabieram ją na koncerty. Kiedy miałam czternaście lat, wzięłam Heather na spotkanie z niejakim Eddiem, też z zespołem Downa. On również uwielbiał muzykę, szczególnie *Blue Suede Shoes* Elvisa. Z rozmowy z jego siostrą dowiedziałam się, że pozwalają mu

puszczać ją w kółko przez cały dzień, choć to wszystkich w domu strasznie wkurza. Ale ja byłam o wiele bardziej wkurzona od nich. Bo nie zorientowali się, że ten chłopiec kocha muzykę, a nie tylko tę jedną piosenkę. Nie starali się wydobyć z dzieciaka tego, co najlepsze. Kiedy Heather dzieli się wiedzą, ludzie zawsze są zaskoczeni, ale też pod wrażeniem. A co się z nią dzieje, kiedy widzi, że ktoś ją podziwia? To samo, co z nami wszystkimi: rozkwita.

Najbardziej niesamowitą, niemal magiczną cechą mojej siostry jest jej wycucie ludzi, a konkretnie wycucie ich wycucia w stosunku do niej. Widzę, jak ich postrzeganie Heather odbija się na jej zachowaniu. Nie spotkałam nikogo, kto potrafiłby tak trafnie rozgryźć obcego człowieka. Kiedy rozmawia z kimś, kto patrzy na nią z politowaniem albo ma ochotę od niej uciec, kurczy się, niemal znika, staje się osobą niepełnosprawną, bo wie, że rozmówca tylko to w niej widzi. Kiedy z kolei przebywa w towarzystwie kogoś, kto ma w nosie zespół Downa, na przykład dzieci, zanim nauczą się wyśmiewać, albo jakiegoś opiekuna niepełnosprawnych, promienieje, kwitnie, staje się Heather, człowiekiem. Często wyczuwa to wszystko jeszcze przede mną i dzięki niej nauczyłam się rozgryzać ludzi, a przynajmniej wychwytywać ich opinie na temat mojej siostry. Potrafi docierać wprost do prawdy. Tę umiejętność posiada wiele dzieci, ale może tracimy ją w miarę dorastania. Heather przeciwnie, doszlifowała ją z wiekiem, dzięki czemu jej idealnie dostrojony radar wyczuwa, kto jest w porządku, a kto nie.

Wiozę ją do Sutton Castle, w którym tata, Leilah i Zara mają czteropokojowy apartament. Zamek, zbudowany w tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku przez rodzinę Jamesonów – niespokrewnionych z doktorem Jamesonem, którego znam – to bardzo prestiżowa nieruchomość na trzech hektarach wypiełgowanych ogrodów, z widokiem na Zatokę Dublińską. Był kiedyś hotelem, w którym często jadaliśmy niedzielne lunchy jako rodzina; w czasach boomu został przebudowany i główną część podzielono na siedem apartamentów. Ich mieszkanie jest

naprawdę imponujące i pięknie utrzymane przez Leilah w stylu cyganerii. Trzydziestopięcioletnia Leilah jest mniej więcej w tym wieku co Heather i ja, a mimo to nie miałyby szans zostać moją przyjaciółką. To młoda kobieta, która wyszła za mojego ojca i z tego powodu już zawsze będę się zastanawiać, co jest z nią nie tak. Nic do niej nie mam, ale trzymam ją na dystans. Heather z kolei poczuła do niej sympatię i już przy pierwszym spotkaniu trzymała ją za rękę, czym wywołała jej rumieniec. Ani tata, ani jego partnerka nie wiedzieli, że takie zachowanie to największy komplement. Heather trafnie odczytała mój stosunek do Leilah i choć nigdy o tym nie rozmawiałyśmy, próbuje mnie do niej przekonać, niczym matka, która pomaga dwóm dziewczynkom zaprzyjaźnić się na przyjęciu. To kochane i słodkie. I choć obie z Leilah znosimy starania Heather wyłącznie ze względu na nią, o dziwo, to wystarcza, żebyśmy się jakoś dogadywały.

Zara otwiera drzwi przebrana za pirata. Wymachuje przed nami plastikowym hakiem założonym na dłoń i krzyczy:

– Aaaaaarrrrg, majtkowie!

Heather lekko sztywnieje u mojego boku. Bardzo lubi Zarę, ale czuje się przy niej niepewnie. Nasza najmłodsza siostra, jak to trzylatka, ma niespożyte pokłady energii i żywiołowy temperament. Jej głośne protesty, nagłe wybuchy płaczu czy nawet ekstremalnie radosne pobudzenie potrafią bardzo wytrącić Heather z równowagi.

– I aaaaaarrrrg ci nawzajem. – Klękam, żeby ją uściskać, walcząc z jej pirackimi protestami i groźbami, że wyrzuci mnie za burtę, aż w końcu ląduję na podłodze, a ona siedzi na mnie okrakiem i przystawia mi plastikowy hak do szyi. Heather obchodzi nas szybciotko i po cichu przemyka do salonu.

Zara przyciska mi swoją broń do skóry i groźnie zbliża twarz do mojej.

– Jak zobaczysz tego Piotrusia Pana, to mu powiedz, że go szukam. Jego i tej małej wróżki, z którą trzyma. – Piorunuje mnie spojrzeniem, po czym zrywa się i pędzi korytarzem.

A ja zostaję sama na podłodze i się śmieję.

Na tę okazję przyniosłam zestaw do robienia bransoletek, więc teraz Heather siada przy stole i skupia się na nizaniu koralików na żyłkę. Zara też bardzo chce się tym zająć. Tłumaczmy spokojnie, że to nie jest jej, że musi się pobawić własnymi zabawkami – na przykład nowym zestawem „mały weterynarz”, który jej kupiłam. Mimo to wybucha płaczem. Heather mocno się spina. Widzę, jak się garbi, skupiona na nawlekaniu koralików, a jej policzki płoną coraz mocniej w miarę, jak zawodzenie Zary przybiera na sile. Leilah – przemawiając łagodnie, ale stanowczo – zabiera córkę z pokoju. Ja zostaję przy Heather. Siedzę z łokciem opartym na stole i głową na dłoni i uważnie się siostrze przyglądam.

– Co robisz, Jasmine?

– Patrzę na ciebie.

Uśmiecha się.

– Dlaczego na mnie patrzysz?

– Bo jesteś piękna.

Posyła mi wstydlawy uśmiech i kręci głową.

– Jasmine!

Śmieję się i obserwuję ją dalej. Chichocze, ale w końcu na nowo skupia się nad bransoletką. Zara po cichu wraca do salonu; zdjęła piracką opaskę, ma zaczerwienione, smutne oczy. Z lizakiem w dłoni usadawia się w rogu i bierze nową zabawkę – prezent ode mnie; rozmawia sama ze sobą niegramatycznymi zdaniami, wtrąca przypadkowe słowa, które zasłyszała od nas. Heather zerka na nią szybko i koncentruje się na paciorkach. Dwadzieścia minut wytchnienia – dziewczyny zajmują się same sobą, a Leilah przygotowuje lunch. Nie pomagam jej, ale nie z lenistwa; wiadomo, lepiej, żebym została w pokoju z Zará i Heather na wypadek ewentualnych konfliktów.

Z kuchni dociera zapach czosnku, kiedy Leilah naciera jagnięcinę masłem czosnkowym. Ucina trochę rozmarynu z ziołowego ogródka na balkonie, płucze gałązkę, a potem robi małe nacięcia w mięsie i wtyka w nie kawałki ziela. Taty nie ma w domu; gra w golfa i wróci dopiero na lunch, więc puszczam

Zaplątanych, jedyny film, na jaki godzi się Zara. Siadam wygodnie na kanapie, żeby spędzić leniwą godzinkę. Budzą mnie leciutkie pocałunki na twarzy. Heather się uśmiecha. To najpiękniejszy widok, jaki może być po przebudzeniu...

– Tata przyszedł, Jasmine – mówi.

Jestem zaspana, bez butów, sukienka podjechała mi w talii... A któż to wchodzi do salonu za tatą? Oczywiście Ted Clifford we własnej osobie. Ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i jest bardzo szeroki. Wypełnia całe drzwi. Heather zamiera obok mnie, jej ciało sztywnieje. W zasadzie wszyscy sztywnieją, włącznie z Leilah, która na moment traci stoicki spokój; najwyraźniej nie miała pojęcia, że Ted przyjdzie z wizytą.

– Ted... – Nie ukrywa zaskoczenia. – Dzień dobry.

– Cześć, Leilah. – Ted wita się z nią mokrym cmoknięciem i zbyt poufałym uściskiem. – Nie masz nic przeciwko, że wpadłem na lunch? Ale Peter przegrał w golfa, a to oznacza, że musiał mi postawić! – Rechocze głośno.

Leilah uśmiecha się, ale widzę napięcie w kącikach ust, ostrzegawcze sygnały w jej oczach. To odrobinę wkurza ojca.

– A to pewnie mała Zara. – Ted patrzy na dziewczynkę z wysoka. Zara ze swojego miejsca na podłodze patrzy z kolei na niego, jakby był olbrzymem z bajki o Jasiu i łądydze fasoli. Spogląda niepewnie na mamę, z ustami ułożonymi w drżącą uśmiecho-podkówkę, ale Ted nie zwraca uwagi na te sygnały i porywa ją na ręce, żeby jej dać głośnego całusa. Leilah dyplomatycznie wyjmuje małą z jego ramion; Zara natychmiast oplata ją nogami w pasie i wtula twarz w jej szyję; chce szybko schować się przed olbrzymem. Ojciec cały czas uśmiecha się promiennie, a ja aż gotuję się w środku, bo wizyta Teda nie jest zbiegiem okoliczności: zaledwie dwa tygodnie temu tata zaoferował, że załatwi mi pracę u niego. Leilah pracuje tylko dwa razy w tygodniu przez pół dnia, żeby móc spędzać popołudnia z córką, tata jest na emeryturze, ja zostałam wylana, a Heather ma wolny dzień, więc to logiczne, że spotkaliśmy się na lunch w czwartek, ale obecność Teda tutaj w ogóle nie jest logiczna.

Powinien być w robocie. Jednak przyszedł, żeby ze mną porozmawiać. Czuję, jak kipi we mnie gniew; ledwie mogę patrzeć ojcu w oczy.

– Znasz moją córkę, Jasmine. – Wyciąga rękę, żeby pokazać mnie jak eksponat.

Ted obrzuca mnie spojrzeniem z góry na dół i komentuje, jak to urosłam od naszego ostatniego spotkania. Ted ma sześćdziesiąt pięć lat, ale to nie powód, żeby traktował o połowę młodszą kobietę tak, jakby właśnie osiągnęła dojrzałość, i to wyłącznie dla jego przyjemności. Moja obecność ewidentnie go nie zaskoczyła... Albo mam paranoję, albo mam rację. Podajemy sobie ręce i zamierzam na tym poprzestać, ale on przyciąga mnie do siebie, żeby złożyć na moim policzku kolejnego mokrego całusa, którego odruchowo natychmiast ścieram ze skóry. Leilah patrzy na mnie ze współczuciem.

– A to Heather – mówi tata.

Uwaga rzucona na marginesie. Żadnego „to jest moja córka”, żadnego dumnego gestu. Jestem przewrażliwiona w kwestii traktowania Heather, nawet bardzo – moje podejście do ciebie jest tego najlepszym dowodem – więc nie zawsze wiem, czy to, co myślę o zachowaniu innych wobec niej nie jest przesadzone, czy nie stanowi po prostu projekcji własnych obaw. W moich oczach pewnie wszyscy już zawsze będą popełniać błędy, jeśli o nią chodzi. Nie ulega jednak wątpliwości, że przez trzydzieści cztery lata ojciec zrobił bardzo niewiele, żeby przewyciężyć zażenowanie, które czuje, przedstawiając Heather obcym, a już szczególnie osobom, które mu imponują – takim jak Ted. Ojciec był w niego zapatrzony jak uczeń, traktował go niczym idola: wiecznie mu nadskakiwał, próbował sprzedać mu firmę, i w końcu sprzedał po zaniżonej cenie, bo „to przecież Ted”, a on nie chciałby, żeby Ted uważał go za nefajnego gościa. To niekoniecznie tak, że wstydzi się Heather, ale krępuje go fakt, że ktoś może się przy niej czuć niezręcznie. Radzi sobie z tym, starając się nie zwracać na nią uwagi, robi wokół córki jak najmniej zamieszania, bagatelizując ją, tak jakby dzięki temu

wszyscy mieli się poczuć lepiej. Oczywiście jego pozorny brak uczuć do Heather przynosi wręcz odwrotny efekt. Wiele razy poruszałam z nim ten temat, ale on uważa, że podchodzę do tego wszystkiego irracjonalnie i zbyt emocjonalnie.

– Ach... – Ted patrzy na Heather w sposób, który mi się nie podoba. – Cześć! – mówi zmienionym głosem. – Przecież nie mogę cię pominąć, prawda? – I wyciąga rękę, żeby uścisnąć jej dłoń.

Ryzykowny gest.

Jako uczennica Heather nauczyłam się, że wszyscy ludzie, niezależnie od stopnia sprawności, są istotami seksualnymi. Zawsze bardzo dbałam o to, żeby Heather, której rozwój fizyczny znacznie przegonił ten emocjonalny, rozumiała anatomiczne, a przede wszystkim psychologiczne aspekty seksualności. To nieustanna lekcja, teraz może nawet ważniejsza niż kiedykolwiek, bo Heather szalenie chce mieć chłopaka. A ja szalenie nie chcę, żeby była odrzucona czy wyśmiana, a już nie daj Boże molestowana.

By uporać się z tą kwestią od najmłodszych lat, wpajaliśmy Heather koncepcję kręgów – systemu, który pomaga skategoryzować różne poziomy osobistych związków i fizycznej bliskości. Ktoś taki jak Ted niepokoi mnie, ponieważ ma zaburzone pojęcie zażyłości, sądząc po tym, jak wziął na ręce i pocałował trzylatkę, wyściskał żonę przyjaciela, obmacał wzrokiem mnie, a teraz nie chce, żeby Heather poczuła się pominięta. To chyba jedyny raz, kiedy moja siostra autentycznie wolałaby zostać pominięta.

Fioletowy Prywatny Krąg reprezentuje samą osobę, w tym przypadku Heather. Za nim jest Niebieski Krąg Uścisków. Do niego zaliczają się osoby najbliższe, zarówno fizycznie jak też emocjonalnie, i w tym kręgu uściski i przytulanki są normalne. Jesteśmy w nim ja, tata, Zara i Leilah. Do kolejnego, Zielonego Kręgu Chłodnych Uścisków, należą przyjaciele i członkowie dalszej rodziny. Czasami przyjaciele mogą chcieć być bliżej, ale Heather sama musi wyraźnie określić, co im wolno. Potem jest

Żółty Krąg Uścisków Dłoni dla bliższych i dalszych znajomych, których Heather zna z imienia i nazwiska, a za nim Pomarańczowy Krąg Machania dla jeszcze dalszych znajomych, takich jak na przykład dzieci, które chcą ścisnąć i całować Heather, ale ona wie, że to zakazane – może do nich tylko pomachać. Na tym poziomie zażyłości nie wchodzi w grę żaden kontakt fizyczny ani emocjonalny. I w końcu jest Czerwony Krąg Obcych. W przypadku ludzi z tej kategorii nie ma mowy o żadnym kontakcie czy rozmowie, chyba że dana osoba nosi konkretną odznakę czy charakterystyczny strój. Jeśli ktoś próbuje dotknąć Heather, kiedy nie chce być dotykana, powinna powiedzieć „stop”. Niektórzy ludzie na zawsze pozostają obcy.

Heather i ja trzymamy się tego bardzo stanowczo; nieważne, jak niezręcznie czują się przez to inni. Owszem, tata wie o istnieniu systemu kręgów, ale nauczyła go nas mama. On nigdy nie angażował się w takie sprawy.

Heather spogląda zdezorientowana na wyciągniętą rękę Teda. Na pewno wie, co zrobić, ale zerka na mnie, jakby szukała potwierdzenia.

– Pomarańczowy, Heather. – Choć sama wolałabym go zatrzymać w czerwonej strefie.

Kiwa głową, odwraca się do niego i macha na przywitanie.

– Dla mnie tylko tyle? – pyta Ted tonem, jakim mówi się do dziecka, a nie do trzydziestoczteroletniej kobiety.

Podchodzi bliżej; już mam zatarasować mu drogę i powiedzieć, żeby przestał, kiedy Heather stanowczo unosi rękę.

– Stop. Nie jesteś w moim Niebieskim Kręgu Uścisków.

Ale Ted nie bierze jej poważnie. Śmieje się z tego tekstu i chwytając ją w niedźwiedzi uścisk. Heather natychmiast zaczyna krzyczeć, a ja ciągnę go za rękę, żeby go od niej odczepić.

– Jasmine! – Ojciec patrzy, jak próbuję oderwać od Heather łapy Teda. Leilah fuka na ojca, Zara wybucha płaczem, a Heather wrzeszczy jak opętana.

Ted cofa się z rękami w górze, niczym ofiara zasadzki.

– Już dobrze, dobrze, chciałem się tylko zaprzyjaźnić –

przekrzykuje hałas.

Tata przeprosza swojego idola, sadza go przy stole, warczy na Leilah, żeby podała mu drinka i w ogóle się nim zajęła, ale ona go nie słucha.

– Wszystko dobrze, Heather? – Natychmiast jest przy niej.

Heather wciąż krzyczy skulona w moich objęciach. Wiem, że będzie najlepiej, jak sobie teraz stąd pójdziemy. Nie zechce usiąść przy stole z człowiekiem, który złamał jej bardzo ważną życiową zasadę.

– Nie ma o co tak histeryzować. – Ojciec wychodzi za nami do przedpokoju. Heather chowa głowę na mojej piersi, wtula się we mnie, a ja wolałabym, żeby się zamknął. Mówi do mnie, ale Heather może to wziąć do siebie.

– Tato, powiedziała mu „nie”.

– Chciał ją tylko uściskać, do jasnej ciasnej.

Ugryzłam się w język. Nawet nie wiem, od czego zacząć go opieprzać, ale zanim wydobywam z siebie choć słowo, ojciec wybucha:

– To już ostatni raz. Nie będziemy tego więcej robić. Mam dość. – Wzbiera w nim taki gniew, jakiego nie widziałam od lat. – Dość tego! – Wskazuje palcem mnie i Heather, a potem stół, jakby takie incydenty zdarzały się już wcześniej i to z naszej winy.

– Świetny pretekst – odpyskuję mu i wychodzimy.

Proponuję Heather, że zabiorę ją do siebie i przenocuję, ale odmawia; wysiadając z samochodu, po matczynemu głaszcze mnie po policzku, jakby było jej przykro, że musiałam przeżyć coś takiego. Jest najszczęśliwsza we własnym domu, wśród własnych rzeczy.

A ja? Cóż, wracam do siebie sama.

Jestem rozczarowana, że Heather nie nocuje u mnie, z kilku powodów: po pierwsze, bo lubię jej towarzystwo; po drugie, chcę się upewnić, że wszystko jest okej po incydencie u taty; a po trzecie, to byłaby świetna wymówka, żeby odwołać jutrzejsze spotkanie z moim kuzynem Kevinem. Może nawet zabrałabym ją ze sobą, ale wiem, że w piątki Heather chodzi pracować do kancelarii notarialnej.

Umówiliśmy się z Kevinem w południe w Starbucksie przy Dame Street, przed Muzeum Figur Woskowych. Mnóstwo turystów, zero prywatności. I będę mogła sobie pójść, kiedy zechcę.

W głębi duszy wiem, że będzie dobrze. Kevin przeprosi za dwudziestodwuletniego siebie, wyzna mi, że zawsze czuł się zagubiony i samotny jak wyrzutek, że siłą i zastraszaniem próbował utrzymać kontrolę nad życiem. Powie, że podczas podróży zaglądał we własną duszę – prowadził pamiętnik, zaczął pisać powieść, a może przerzucił się z pantofli na sandały i został poetą. Ale równie dobrze mógł wylądować za biurkiem w banku. Prawdopodobnie poznał kobietę – albo mężczyznę, kto to wie – i teraz jest zadowolony z tego, kim się stał, potrafi stawić czoło temu, kim był, i przeprosić za tamten incydent sprzed tak wielu lat. Lody na pewno szybko stopnieją i będziemy mogli swobodnie wspominać i śmiać się, jak to przebrani za Indian przywiązaliśmy jego brata Michaela do drzewa i niechcący strzeliliśmy mu w nogę z łuku. Albo jak ukradliśmy ciuchy Fionie, kiedy kąpała się nago, i położyliśmy wysoko na skałach, że musiała się po nie wspinać z gołym tyłkiem. Niewykluczone, że nawiążę do tamtej rozmowy o śmierci, która na zawsze zmieniła mój sposób myślenia; może nawet wypomnę mu Świętego Mikołaja.

Kiedy się spotykamy, zaskakuje mnie jego wygląd. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale nie tego, co widzę. Kevin na trzydzieści osiem lat i powinnam się na to przygotować. Teraz przy nim czuję się stara; jesteśmy już całkiem dorośli. Nagle całe

napięcie znika i ogarniają mnie ciepłe uczucia. Mój kuzyn. Zalewa mnie tyle wspomnień... w wielu z nich pojawia się mama. Zdumiewające, jak bardzo jestem wzruszona. Już dawno nie czułam takiej tęsknoty za nią. Aż mi dech zapiera, znów czuję się jak zagubione dziecko, jakbym sięgała po coś, co znajduje się poza moim zasięgiem. Przez jakiś czas jej zapach jeszcze utrzymywał się w domu i otulałam się jej pościelą, w jej łóżku, żeby znaleźć się blisko niej; czasami od kogoś innego bił zapach jej perfum, wtedy zatrzymywałam się w pół kroku, niemal zahipnotyzowana, porwana i zamknięta w żywym wspomnieniu mamy. Ale to się działo coraz rzadziej i rzadziej z upływem lat. A na początku wszystko mi ją przypominało – restauracje, sklepy, ulice, którymi jeździłyśmy, autobusy, parki, piosenki w radiu, zdania zasłyszane z przypadkowych rozmów – absolutnie wszystko w jakiś sposób się z nią łączyło. Ale to było oczywiste, bo umarła, kiedy byłam jeszcze młoda, kiedy wciąż stanowiła centrum mojego świata, zanim zdążyłam zbudować własne życie. A że zostałam w mieście, w którym narodziły się te wspomnienia, sądziłam, że nigdy ich nie stracę. Kiedy tylko jej potrzebowałam – potrzebowałam dawki swojej mamy – wracałam w te miejsca w nadziei, że ściągnę ją z powrotem, przywołam na pomoc jej energię. Ale sam fakt powrotu tworzył nowe wspomnienia, za każdym razem dodawałam kolejną warstwę, aż w końcu pogrzebałam je całkowicie i te wszystkie miejsca przestały być przeszłością z nią, stały się moją teraźniejszością. Teraz, po dwunastu latach, rzadko zdarza mi się taki przyływ emocji. Wiem, że wywołał je Kevin, bo nie widziałam go od jej śmierci, więc to, co się z nim wiąże, odnosi się także do niej. Unosi głowę, dostrzega mnie i twarz mu się rozpromienia. Czuję, że to będzie miłe, nostalgiczne spotkanie. Natychmiast ogarniają mnie wyrzuty sumienia, że wybrałam Starbucksa. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy się przenieść do pobliskiej restauracji.

Znalazł mały stolik z dwoma krzesłami, przy którym będziemy musieli siedzieć po skosie, żeby nie dotykać się kolanami. Miałam nadzieję, że dojadę tu pierwsza i zajmę dwa

głębokie fotele, porządnie oddalone od siebie. Kevin bierze mnie w ramiona – długi, ciepły uścisk. Włosy mu się przerzedziły, ma zmarszczki wokół oczu; jest chyba jedynym krewnym, którego nie widziałam od tak dawna. To spory przeskok dla mózgu, dziwnie niepokojący.

– Rany – mamroczę. Usiadłam już i teraz patrzę na znajomą twarz, która wyziera spod tej niezwyklej maski czasu. Nie wiem, od czego zacząć.

– Nie zmieniłaś się – mówi Kevin rozpromieniony. – Ciągłe masz takie rude włosy.

– No tak – odpowiadam ze śmiechem.

– I te oczy. – Przygląda mi się uważnie, potem kręci głową i się śmieje.

– Hm, cóż. Postanowiłam je zatrzymać. – Chichoczę nerwowo.

– No więc... – Długa chwila ciszy, patrzymy na siebie.

On wciąż promienieje i kręci głową, tak jakby nie mógł w to wszystko uwierzyć. Rozumiem, ale może już dość, przejdźmy dalej. Znow się cieszę, że nie umówiliśmy się na lunch w restauracji.

– Kawa? – pytam.

Kevin się zrywa.

Przyglądam mu się, kiedy składa zamówienie przy barze. Brązowe sztruksy, sweter w serek, koszula. Ubiór dość konserwatywny, niekoniecznie najmodniejszy, ale szacowny, stonowany, o lata świetlne od stroju długowłosego buntownika w poszarganych dżinsach.

Kiedy siada, zaczynają się typowe pytania. Praca, życie, jak długo tu jesteś, czy nadal masz kontakt z Sandy, czy spotykasz się z Liamem, czy pamiętasz Elizabeth? Kto się z kim hajtnął, kto z kim ma dzieci, kto kogo zostawił. I jak bardzo ciotka Jennifer ucieszyła się z jego powrotu. Wiem, że nie powinnam mówić tego tak od razu. To całkiem zwyczajne stwierdzenie, ale trzeba było pozostać przy lżejszych, bardziej ogólnikowych tematach, unikać wszystkiego, co kojarzy się z jego problemami. Wzmianka o

„adopcyjnej” matce, której nie odwiedził od przeszło dziesięciu lat – choć ona odwiedzała jego – to nie jest bezpieczne terytorium. Pluję sobie w brodę. Jego postawa się zmienia.

– Oczywiście cieszy się, że przyjechałem, ale trudno jej zaakceptować okoliczności. Wróciłem, żeby znaleźć swoich biologicznych rodziców – wyjaśnia. Otacza dłońmi ogromny kubek kawy. Patrzy w dół i widzę tylko długie, czarne rzęsy, ale kiedy unosi wzrok, rozpoznaję to zagubione, skołowane, znękanе spojrzenie szczeniaka. On wciąż szuka, choć wydaje się mniej gniewny, z oczu zniknęła złość. Jeszcze przez chwilę rozmawiamy o namierzaniu jego biologicznej matki, o jego straconym poczuciu tożsamości, o tym, że nie może znaleźć sobie miejsca na stałe i mieć własnych dzieci, jeśli nie zna swojego pochodzenia, o problemach z utrzymaniem stałych związków, o poczuciu więzi z kimś innym, gdzieś indziej, przez cały ten czas. Mam nadzieję, że dodaję mu otuchy. W końcu docieramy do niezręcznego momentu.

– To, co powiedziałem na huśtawce... – zaczyna, jakby to było pięć minut, a nie szesnaście lat temu. – Postąpiłem fatalnie. Byłem młody, pogubiony, wystraszyłem cię. Przepraszam. Wyjechałem i próbowałem sobie to poukładać w głowie, właściwie wszystko uporządkować. Mówiłem sobie, że pomyliłem przyjaźń z miłością. Zawsze mieliśmy tyle wspólnego ze sobą, zawsze czułem, że mnie rozumiesz. Ta cała sprawa z tobą i twoim ojcem... – To zbija mnie z tropu, bo nie było żadnej sprawy ze mną i z moim ojcem. Ale nieważne. – Wyjechałem i próbowałem o tobie zapomnieć, ale wszystkie inne kobiety... – Na chwilę robi się niezręcznie, bo muszę słuchać o jego podbojach, ale nagle wybucha prawdziwa bomba: bum! – Nie mogłem o tobie zapomnieć. Przez cały ten czas moje myśli wracały do ciebie. Ale wiedziałem, co o mnie sądzisz. Co sądzi o mnie cała rodzina. Dlatego nie mogłem wrócić. Ale teraz... Jasmine, ja wcale nie zmieniłem zdania od tamtej chwili na huśtawce. Nadal bardzo cię kocham.

Ogólnie jestem stabilna emocjonalnie. Czuję, że dobrze sobie radzę z różnymi sytuacjami. Reaguję bez egzaltacji, racjonalnie,

stosunkowo rozsądnie podchodzę do pewnych spraw. Ale to... Nie mogę. Nie teraz, kiedy mam na głowie tyle problemów. Przepraszam, wstaję i wychodzę.

Kiedy docieram do domu, projektant ogrodów akurat pakuje swoją furgonetkę. Choć dni powoli się wydłużają, niebo znów jest czarne. Moja nowa trawa leży jeszcze w rolkach poukładana w stertę pod latarnią.

– A pan co? – Facet słyszy rozdrażnienie w moim głosie; robi trochę zaskoczoną minę. – Powiedział pan, że trawa będzie dzisiaj skończona.

– Z przygotowaniem podłoża zeszło mi dłużej, niż sądziłem. Muszę wrócić w poniedziałek.

– W poniedziałek? Mówił pan, że pracuje w weekendy. Dlaczego nie może pan przyjechać jutro?

– Przykro mi, mam inną robotę.

– Inną robotę – powtarzam niepokojąco zmijowatym tonem. – Dlaczego ludzie nie kończą jednej roboty, zanim zaczną następną? – Wzdycham głośno. – Myślałam, że darń trzeba położyć w dobę od dostarczenia.

– Jest w zacienionym miejscu, w ten weekend nie spodziewamy się mrozu. Są idealne warunki. – Patrzy na rolki i długo milczy, jakby się spodziewał, że trawa przemówi na swoją obronę. Wzrusza ramionami. – Jeśli naprawdę pani musi, proszę to rozpakować i podlać.

– Podlać? Przecież pada od tygodnia.

– No widzi pani. – Znów wzrusza ramionami. – Powinno być okej.

– A jeśli nie będzie, pan za to zapłaci.

Patrzę, jak odjeżdża. Stoję w ogródku z rękami na biodrach i miażdżę go wzrokiem, tak jakby moje spojrzenie mogło zmusić gościa, żeby zatrzymał furgonetkę i dokończył pracę. Nie zmusza. Przyglądam się stercie darni obok mnie. Jutro pierwszy lutego. Prawie trzy tygodnie czekania na ogródek, a mogłam za te pieniądze pojechać gdzieś w tropiki i posiedzieć na cudzej trawie.

Wychodzisz z domu, machasz do mnie. Ignoruję cię, bo

znów jestem na ciebie zła, jestem zła na wszystkich, a ty zajmujesz pierwszą pozycję na mojej liście. Mój gniew zawsze będzie spadał na twoją głowę. Wsiadasz do jeepa i znikasz. Doktor Jameson wyjechał, pani Malone ciągle w szpitalu, podobnie jak pan Malone, który czuwa przy jej łóżku. Nie muszę już karmić kotki na pełny etat, ale tylko kiedy prosi pan Malone, i to nie jest już uciążliwy obowiązek, bo Marjorie okazała się całkiem niezłą rozmówczynią. Rozglądam się. Nie wiem, czy ktokolwiek został w swoim domu, ale ulica wygląda na całkowicie opustoszałą. Nie mogę nic poradzić w sprawie ogródka, ewentualnie tylko modlić się, żeby nagły mróz nie dopadł mojej trawy.

Tej nocy nie mogę spać. Kręcę się i wiercę ze złości na ojca: za to, jak traktuje Heather, za to, że usiłuje załatwić mi pracę w swojej dawnej firmie – bo jestem niemal pewna, że właśnie to próbuje zrobić. Dodatkowo wytrąca mnie z równowagi powtórna miłosna deklaracja Kevina i nie daje mi spokoju niedokończony ogródek. Wszystko wydaje się niedokończone. Gorzej niż niedokończone: rozszarpane, jak gdyby zostało rozdarte i pozostawione z wystrzępionymi brzegami. To dość dziwaczne porównanie, ale właśnie tak to czuję. Te wszystkie myśli nie dają mi spokoju, te gniewne myśli, których nie da się zamknąć ani przenieść gdzie indziej, żebym mogła spać. Nie mam niczego, co zajęłoby mi umysł. W zwykłych okolicznościach miałabym jakieś spotkanie do zaplanowania, jakiś cel, jakieś dążenie, nowy pomysł, prezentację – coś, cokolwiek, co oderwałoby mnie od tych bezużytecznych rozważań, które zawałają mi głowę. Wstaję, schodzę na parter i włączam antywłamaniowe lampy od frontu. Są tak mocne, że oświetlają ogródek niczym reflektory sceniczne. To, co widzę, doprowadza mnie do furii. Nieefektywność. Krew się we mnie gotuje.

Zakładam kurtkę na piżamę i wychodzę na dwór. Patrzą na stertę rolek darni i na oczyszczony kawałek ziemi po mojej prawej stronie. Jeśli chce się mieć coś zrobione, jak należy, trzeba to zrobić samemu: zawsze wyznawałam taką filozofię. To nie powinno być zbyt trudne.

Podnoszę pierwszą rolkę. Jest cięższa, niż się spodziewałam. Upuszczam ją i klnę – mam nadzieję, że się nie porozrywała. Obrzucam okiem przestrzeń dookoła i zastanawiam się nad planem działania. W końcu zaczynam turlać zielony walec. Dwie godziny później jestem brudna i spocona. Pozbyłam się kurtki, która ograniczała mi ruchy, i zamiast niej włożyłam stary polar. Jestem pokryta błotem, trawą, potem, a w którymś momencie pojawiają się nawet łzy frustracji: przez trawę, przez pracę, przez Kevina, przez Heather i moją mamę, i przez paznokieć, który złamałam, kiedy uderzyłam nim o kontener na gruz. Jestem tak pochłonięta sobą, swoim zadaniem, że omal nie wyskakuję ze skóry, kiedy ciszę zakłóca czyjś kaszel.

– Przepraszam – słyszę nagle twój głos.

Jest trzecia nad ranem. Spoglądam na drugą stronę ulicy, na twój ogród, i niczego nie widzę. Rozróżniam zarysy ogrodowych mebli, ale reszta to czerń. W twoim domu światła są pogaszone. Serce mi wali, gdy wzrokiem gorączkowo przeszukuję ciemność. Nagle zauważam ogień papierosa, jaśnieje, kiedy się zaciągasz. To ty. Jak długo tu jesteś? Nie widziałam i nie słyszałam twojego jeepa i wciąż go nie widzę, co oznacza, że byłeś tu cały czas. Chce mi się płakać. A właściwie już płaczę od ładnych paru minut, i to całkiem głośno. Cóż, sądziłam, że nikogo w pobliżu nie ma.

– Nie mogę wejść do domu – przerywasz ciszę.

– Jak długo tu jesteś? – powtarzam na głos swoją myśl.

Teraz, kiedy już wiem, gdzie cię szukać, zaczynam dostrzegać twoją sylwetkę; siedzisz na krześle u szczytu stołu, na tym samym miejscu co zwykle.

– Parę godzin.

– Trzeba było coś powiedzieć. – Idę do domu po zapasowy klucz; kiedy wychodzę, stoisz pod swoimi drzwiami. – Co tu tak ciemno? – pytam warknięciem.

– Latarnia jest stłuczona.

Unoszę wzrok i dociera do mnie, że to dlatego cię nie widziałam. Doktor Jameson będzie zły, jak wróci. Na ziemi pod latarnią wała się potłuczone szkło, a na środku jezdni leży cegła z

mojego kontenera. Zastanawiam się, dlaczego tego nie usłyszałam. Założyłabym się, że nie spałam. Patrzę na ciebie oskarżycielsko.

– Było za jasno. Nie mogłem spać – tłumaczysz cicho. Nie wydajesz się bardzo pijany, jesteś opanowany. Miałeś czas trochę wytrzeźwieć w moim towarzystwie, choć nawet nie wiedziałam o twojej obecności, mimo to wciąż czuję alkohol.

– Gdzie twój jeep?

– Założyli mi blokadę w mieście.

Wsuwam klucz do dziurki. Otwierasz drzwi i oddajesz mi go.

– Trzeba było coś powiedzieć – mówię jeszcze raz i wreszcie patrzę ci w oczy, ale szybko odwracam wzrok, bo czuję się bezbronna.

– Nie chciałem ci przeszkadzać. Byłaś zajęta. I smutna.

– Wcale nie smutna – wypalam.

– Jasne. Jest czwarta w nocy. Ty się bawisz w ogrodniczkę, ja rozbijam latarnie. Oboje mamy się świetnie. – Wydajesz z siebie ten rżący śmiech, którego nie cierpię. – Poza tym miło było choć raz nie siedzieć tu samotnie.

Uśmiechasz się do mnie blado i zamykasz drzwi.

Kiedy wracam do domu, zauważam, że ręce mi się trzęsą, gardło mam zaschnięte i zdławione, pierś ściśniętą. Nie mogę ustać w miejscu. Dopiero kiedy dostrzegam, że rozniosłam błoto po całej podłodze, rysując splątane kręgi – urywany trop obłąkanej kobiety – dociera do mnie, jak bardzo jestem rozgorączkowana.

Nie mogę się powstrzymać: podnoszę słuchawkę. On zostawia na noc włączony telefon, bo nieustannie spodziewa się najgorszych wieści, ilekroć jego córka, w zbyt krótkiej spódniczce, z nogami chwiejącymi się na zbyt wysokich obcasach, wychodzi na dyskotekę albo na noc do koleżanki. Ten stres kiedyś go zabije.

– Larry, to ja.

– Jasmine – mamrocze zaspanym głosem. – Rany. Która godzina? – Słyszę, jak szuka czegoś po omacku. – Wszystko dobrze?

– Niezupełnie, zwolniłeś mnie.

Wzdycha. Ma na tyle przyzwoitości, żeby udzielić mi

półprzytomnej od snu, ale grzecznej odpowiedzi; jest mu głupio, zaczyna się tłumaczyć, więc mu przerywam.

– Tak, tak, już mi to mówiłeś, ale posłuchaj, muszę z tobą porozmawiać o czymś innym. Ten ogrodniczy urlop. To nie działa na mnie dobrze. Musimy to odwołać. Przerwać.

Waha się.

– Jasmine, to było w umowie. Zgodziliśmy się...

– Owszem, cztery lata temu, kiedy nie sądziłam, że mnie wylejesz i zmusisz do siedzenia na dupie przez cały rok. Musisz to anulować. – Jestem nakręcona, spięta, tak jakbym potrzebowała działki. Bo potrzebuję. Potrzebuję pracy. Potrzebuję pracy jak ćpun heroiny. Jestem zdesperowana. – To mnie zabija, przysięgam, Larry. Nie masz pojęcia, jak takie gówno działa na głowę.

– Jasmine. – Teraz już oprzytomniał, głos mu nie drży. – Wszystko dobrze? Jesteś z...

– Do cholery, nic mi nie jest, Larry, okej? Posłuchaj mnie... – Odrywam zębami nadłamani kawałek paznokcia i czuję, że zerwałam za dużo; gdy powietrze dociera do odsłoniętego ciała, głośno syczę z bólu. – Ja cię nie proszę, żebyś dał mi z powrotem pracę, tylko jeszcze raz się zastanowił. A właściwie nie zastanowił, po prostu anulował ten urlop ogrodniczy. Jest niepotrzebny. Jest...

– Nie jest niepotrzebny.

– Jest. A przynajmniej za długi. Skróć go. Proszę. To już ponad dwa miesiące. I wystarczy. Dwa miesiące to w sam raz. Wiele firm poprzestaje na dwóch miesiącach. Ja muszę być zajęta, znasz mnie. Nie chcę się zamienić w tego faceta z naprzeciwka, w jakąś pokręconą sowę, która...

– Kto mieszka naprzeciwko?

– Nieważne. Próbuję ci powiedzieć, że muszę pracować, Larry. Muszę...

– Jasmine, nikt nie oczekuje od ciebie nicnierobienia.

Możesz podejmować różne zadania...

– Zadania śmiania. Na przykład jakie? Ulepić wulkan z gotowanej fasoli? To nie szkoła, Larry. Mam trzydzieści trzy lata, do jasnej cholery. Nie mogę nie pracować przez rok. Czy ty wiesz,

jak trudno mi będzie wrócić po roku? Po całym roku? Kto zechce kogoś, kto nie pracował cały rok?

– Okej. Więc gdzie zamierzasz się zatrudnić? – Robi się bardziej zaczepny, rozkręcił się na dobre. – Tak konkretnie, jaką branżę masz na myśli? Gdybyś jutro mogła wyjść na rynek pracy i dostać posadę, powiedz mi, do kogo byś poszła? A może ci podpowiedzieć?

– Ale... – Tracę rozpęd, bo on sugeruje coś, co zbija mnie z tropu. – Nie wiem, o co ...

– Więc ci wyjaśnię. Pójdiesz do Simona...

Nieruchomieję.

– Nie poszłabym do Simona...

– Owszem, poszłabyś, Jasmine, poszła. Bo wiem, że się z nim spotkałaś. Wiem, że wybraliście się na kawę. Jak tylko wyszłaś z biura, poleciałaś prosto do Simona. Herbaciarnia Grafton, zgadza się? – Teraz jest już wściekły, w jego głosie słyszę urazę zdradzonego współnika. – To ta sama knajpa, gdzie się spotykaliście, kiedy próbowałaś mu sprzedać firmę, której nie miałaś mu sprzedawać. Zgadza się?

Nie spodziewałam się, że tak nagle urwie, więc nic nie mówię, ale moje milczenie można potraktować jak przyznanie się do winy. Zanim się ogarniam, żeby zabrać głos w swojej obronie, on znów zaczyna:

– Widzisz, Jasmine, trzeba uważać. Nigdy nie wiesz, kto cię obserwuje. Myślałaś, że się o tym nie dowiem? Ale się dowiedziałem i strasznie mnie to wkurzyło. Zaproponował ci pracę i się zgodziłaś, ale problemem okazał się twój urlop. Wiem o tym, bo jego dział prawny skontaktował się z naszym działem prawnym, żeby wypytać o szczegóły. Wygląda na to, że rok to dla niego za długo. Nie jesteś warta czekania cały rok. Więc nie wydzwaniaj do mnie teraz i nie błagaj, żebym ci odpuścił, skoro zamierzałaś mnie zdradzić...

– Przepraszam, a kim ty jesteś, żeby rozprawiać mi tu o zdradzie? Założyliśmy tę firmę razem, Larry, razem...

I przekrzykujemy się tak, powtarzając rozmowę, którą

odbyliśmy jedenaście tygodni wcześniej, kiedy zostałam zwolniona. I którą odbyliśmy również, szczerze mówiąc, zanim zostałam zwolniona, kiedy do Larry'ego doszły słuchy, że urabiam Simona, bo chcę jak najlepiej sprzedać firmę.

To bez sensu i żadne z nas nie jest gotowe ustąpić, aż wreszcie słyszę jego żonę w tle, zaspany, gniewny głos; Larry przeprasza cicho i znów w słuchawce rozbrzmiewa głośny, gniewny i stanowczy głos.

– Nie będę tracił czasu na tę dyskusję. Ale na koniec powiem ci jasno i wyraźnie, Jasmine: Nie odstąpię od klauzuli o urlopie ogrodniczym. W tej chwili, gdybym mógł, przedłużyłbym ci go nawet do dwóch lat. Nie obchodzi mnie, co będziesz robić przez ten rok. Wybierz się w tropiki, jedź do pieprzonej pustelni, spróbuj raz w życiu dokończyć coś, co zaczęłaś, wszystko mi jedno, tylko nie dzwoń do mnie więcej, do cholery, a już na pewno nie o tej godzinie. Rok. Jeden cholerny rok i będziesz mogła sobie wrócić do zaczynania, sprzedawania i niekończenia niczego, tak jak robiłaś to zawsze. Okej?

Rozłącza się, a ja zostaję roztrzęsiona, pijana z wściekłości.

Chodzę po kuchni, mamrocę o kończeniu rzeczy, które zaczęłam, ze złością układam listę sfinalizowanych spraw, które przychodzą mi do głowy. Trafił w czuły punkt. To było nagłe i zaskakujące, ubodło mnie bardziej niż cokolwiek, co powiedział, bardziej niż sam fakt, że mnie zwolnił. Tak naprawdę to najboleśnieszka rzecz, jaką w ogóle w życiu usłyszałam. Cała się trzęsę. Nie przestaję polemizować z nim o tym w głowie, ale to na nic, bo to ja jestem sobą i to ja jestem nim, i ja jako ja zawsze wygram. Spoglądam na rozgrzebany ogródek, wściekłość bierze górę. Wychodzę na dwór i kopię rolkę darni, wybijam w niej dziurę, a potem depczę ją, aż otwiera się i rozwija. Pęka w przedziurawionym miejscu. Zawstydzona i zaskoczona swoim zachowaniem unoszę głowę i widzę drgnienie zasłon w twoim oknie. Wracam do domu i z hukiem zatrząskuję drzwi.

Długo stoję pod prysznicem, płacząc z frustracji; gorąca woda parzy mnie, skóra robi się czerwona i obolała. Wychodzę

spod prysznic z jednym twardym postanowieniem: nie niżę się do tego, żeby zostać twoim towarzystwem, a już na pewno nie w nocy. Wierzę, że dziś osiągnęłam dno i niżej już nie spadnę. Teraz mogę tylko wznieść się ponad to, wznieść się ponad ciebie. Bo przecież nie tylko rozmowa z Larrym wytrąciła mnie z równowagi. To przede wszystkim ty doprowadziłeś mnie do takiego stanu. To ty sprawiłeś, że wpadłam do domu jak burza, złapałam za telefon i zadzwoniłam do niego. Bo to twoje słowa kazały mi spojrzeć na siebie, na swoją sytuację, i to przez nie zapragnęłam się z niej wydostać.

W kółko słyszę twój głos: „Miło było choć raz nie siedzieć tu samotnie”. Wciągnąłeś mnie do swojego świata, bez mojej zgody, bez mojej chęci, wplątałeś mnie w swój kryzys, w swój stan umysłu, powiązałeś ze sobą. A gdy to zrobiłeś, poczułam wstyd, bo zawsze uważałam, że twoje słowa są trucizną, są czymś najgorszym, co w sobie masz, są niebezpieczne.

Ale kiedy opuściłam gardę, twoje słowa dały mi ciepło. „Miło było choć raz nie siedzieć tu samotnie”. To wyznanie przyniosło mi pociechę. Ja też nie czułam się w tamtej chwili sama.

Nigdy więcej mi tego nie zrobisz. Nie pozwolę na to.

Kiedy się budzę, po raz pierwszy od bardzo dawna moją sypialnię wypełnia żółty blask, a ja mam poczucie spokoju. To niezwykle, zupełnie coś innego niż niebieskoszare światło, które ledwie rozjaśniało wnętrze przez kilka ostatnich miesięcy. Jest pierwszy lutego i choć to jeszcze nie wiosna, dziś mam powód wierzyć, że wygra bitwę. Wychwytuje się ją w powietrzu. A może to dlatego, że po raz pierwszy od bardzo dawna spałam do późna. Nie lubię się wylegiwać, czuję się przez to leniwa. Nawet po zarwanej nocy najlepszym lekarstwem dla mnie jest długi spacer nad zatoką, ale po wysiłku fizycznym, nocnym szaleństwie w ogródku, dosłownie nie mogę się ruszyć. Moje ręce i nogi są jak kłody, sztywne i ciężkie.

Radio mówi mi, że spałam osiem godzin, a kraj znów ucierpiał od sztormów; „fabryka sztormów” to termin, do którego powoli się przyzwyczajamy, podobnie jak do „polarnego wiru” – bez wątplenia to będą nowe popularne imiona dzieci w dwa tysiące piętnastym roku. Spiker ostrzega, że przed nami kolejne dwa tygodnie burz, które sprezentuje nam niekorzystny układ frontów nad Atlantykiem. Spokój za oknem jest zwodniczy. Trzy miasta są zalane, przewiduje się pięciometrowe fale, a rozmowy w większości stacji obracają się wokół globalnego ocieplenia i topniejących lodów polarnych, które napędzają sztormy. Styczeniowe opady przekroczyły normę o siedemdziesiąt procent, a prognoza na luty jest mniej więcej taka sama. Ale nie na dziś. Wyglądam przez okno i odzywam na widok błękitnego nieba z rzadkimi, zwiewnymi chmurkami. I choć wciąż jestem obolała po nocnym wycisku w ogródku i zawstydzona, że widziałeś moje zmagania, odsuwam to wszystko na najdalszy plan.

Taksuję efekty swojej harówki i jestem rozczarowana – nie, zdruzgotana tym, co widzę. W pierwszej chwili myślę, że ktoś przyszedł tutaj i z rozmysłem rozkopał moją nowo ułożoną darń, ale po bliższych oględzinach uznaję, że to ja jestem temu winna. Dopiero z ptasiej perspektywy okna sypialni widzę, że trawa

idealnie oddaje stan mojego umysłu w nocy, kiedy ją kładłam. Przypomina źle pozszywaną, niedokończoną patchworkową kołdrę. Ten widok mnie przeraża. Czuję się tak, jakbym zostawiła otwarty pamiętnik, żeby każdy mógł przeczytać moje najskrytsze, najmroczniejsze myśli; teraz muszę go szybko zamknąć, zanim pozna mnie cały świat. Nie mogę czekać do poniedziałku, aż wróci projektant i naprawi to, co schrzałam. Nie ma mowy, żebym wytrzymała dwa dni z tą wystawą, na której w całej krasie widać mój rozchwiany umysł.

Poszukiwania w internecie – coś, co powinnam zrobić wczoraj, zamiast pozwolić, żeby zawładnął mną napędzany adrenaliną gniew – dają mi rozwiązanie. Dowiaduję się, jak naprawiać szkody. Godzinę później jestem już po zakupach w markecie ogrodniczym, gotowa i uzbrojona. Nigdy nie rób czegoś, czego nie da się odkręcić. Zawsze sobie to mówiłam i powtarzam teraz, kiedy oceniam zadanie, jakie przede mną stoi. Brudne, czasochłonne, trudne i frustrujące, ale wykonalne. Ogrodnik zdążył mi idealnie przygotować podłoże; zajęło mu to więcej czasu, niż deklarował, ale zrobił to. Ponieważ jak głupia stratowałam w nocy całą darni, teraz ostrożnie zwijam z powrotem każdy kawałek i przenoszę na właściwe miejsce. Pierwszy rząd kładę wzdłuż prostej krawędzi, gdzie ziemia styka się z kamieniami. Rozwijam powoli, żeby zminimalizować szkody. Rolka, którą przedziurawiłam obcasem, wciąż leży na podjeździe jak zwłoki na miejscu zbrodni. Kolejny walec kładę jak najbliższej poprzedniego; zapewniam trawie dobry kontakt z glebą, mocno ubijam ją grzbietem grabi. Teraz wiem, że od początku powinnam tak robić, ale w nocy nie miałam do tego cierpliwości. Wtedy zależało mi tylko na ruchu, zajęciu, zadaniu – nie na tym, żeby je wykonać tak, jak trzeba.

Kiedy naprawiam swoje błędy w ten dziwnie spokojny dzień, czuję, jak i na mnie spływa spokój. Zapominam o wszystkim, co mnie tak rozjuszyło przez ostatnie dni i tygodnie, i całą swoją uwagę poświęcam bieżącemu działaniu. Wreszcie zajęcie dla mózgu. Mój umysł wycisza się, kiedy przez kilka godzin robię

swoje – metodycznie pokrywam cały teren pasami darni kładzionymi „w cegiełkę”. Właśnie mam się zabrać do brzegów i wyrównać je za pomocą deski i sierpowatego noża – narzędzi kupionych specjalnie do tego celu – kiedy koło mojego domu przejeżdża samochód. W kierowcy nie rozpoznaję żadnego z sąsiadów, ale to się często zdarza w weekendy, kiedy ludzie urządzają sobie wycieczki wzdłuż wybrzeża, a potem zwiedzają okoliczne dzielnice mieszkalne. Przywykłam, że mój dom mijają samochody pełne po brzegi dzieciaków z twarzami przyklepionymi do szyby, że starsze pary oglądają okolicę podczas leniwych niedzielnych przejażdżek. Nasza ślepa uliczka to idealne miejsce do podziwiania: ładna, sympatyczna – ludzie lubią sobie wyobrażać, że mieszkają w takim miejscu.

Kierowca musi zawrócić na trzy razy, bo ulica jest wąska. Patrzę, jak sprawdza numery na domach, a to niełatwe zadanie, bo każdy wyeksponował swój numer w inny sposób i w innym miejscu. Ty masz czarną tabliczkę z ładnymi różowymi kwiatami, doktor Jameson ma gęś w locie, a moi sąsiedzi – ogrodowego krasnala, w jednej ręce trzyma dwójkę, a drugą ręką podciąga spodnie, spod których wyglądają białe bokserki w czerwone serduszka. Mój numer jest najmniej wymyślny: czarna skrzynka pocztowa na ścianie, z namalowaną trójką.

Mężczyzna parkuje przed moim domem i wysiada. Jestem pewna, że nie szuka mnie, więc nie przerywam pracy, ale nie mogę się skupić, kiedy on tak się tu rozgląda. Nagle czuję na sobie jego wzrok. Słyszę kroki, kiedy podchodzi.

– Przepraszam, szukam Jasmine Butler.

Unoszę głowę i ocieram pot z brudnego czoła. Wysoki, brązowa skóra i mocno zarysowane, wysokie kości policzkowe. Jego tęczówki są uderzająco zielone, co kłóci się z karnacją, bujne afro opada na oczy cienutkimi sprężynkami. Ma czarny garnitur, białą koszulę, zielony krawat, błyszczące czarne buty. Wygląda tak, że aż mi dech zapiera w piersi.

Gapię się na niego tępo, więc sądzi, że go nie usłyszałam.

– Pani Jasmine Butler?

Wydaje mi się dziwnie znajomy, ale nie widziałam go wcześniej. Zapamiętałabym. Nagle dociera do mnie, że znam ten głos. Telefoniczny akwizytor.

– A może Penelope Paddington. – Zaciska wargi, żeby ukryć uśmiech, na jego policzkach pojawiają się dwa duże dołeczki.

Uśmiecham się; wiem, że mnie przyłapał.

– Jestem Jasmine – mówię ochryple. Muszę odchrząknąć.

– Nazywam się Monday O’Hara. Dzwoniłem do pani kilka razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

– Nie zostawił pan nazwiska ani namiarów na sobie. – Zastanawiam się, czy dobrze usłyszałam jego imię.

– Tak. To prywatna sprawa. Chciałem porozmawiać osobiście z panią, a nie... z pani gosposią.

Wciąż się w niego wpatruję. Jak na razie nie dał mi powodu, żebym wstała z trawy albo zaprosiła go do domu.

– Pracuję dla Diversified Search International. Firma DavidGordonWhite zatrudniła mnie, żebym wyszukał odpowiednich kandydatów na nowe stanowisko, i uważam, że pani kompetencje odpowiadają ich wymaganiom, a nawet je przekraczają.

Czuję, że unoszę się jak balon, a on mówi dalej.

– Kilka razy dzwoniłem do pani biura, ale nie mogłem pani złapać. Proszę się nie martwić, nie zostawiłem tam żadnych wiadomości. Nie chciałem wszczynać alarmu, więc powiedziałem, że to sprawa osobista. Może panią to ucieszy, może nie, ale okazali się bardziej ostrzy cerberami, niż zakładałem.

Nie mam pojęcia, co mu odpowiedzieć. Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, było jasne, że nie wie o moim zwolnieniu. Nie bardzo rozumiem, dlaczego nikt mu o tym nie powiedział; może dlatego, że teoretycznie wciąż jestem z nimi związana umową, teoretycznie nadal tam pracuję, choć nie wpuściliby mnie do firmy.

– Trudno panią znaleźć – mówi z uśmiechem tak pięknym, że trudno oderwać oczy.

Dwa wyraźne dołeczki i lekko wyszczerbiony przedni ząb:

nawet ta niedoskonałość jest doskonale doskonała. W mojej skromnej opinii.

W domu mam burdel. Nawet nie uprzątnęłam jeszcze błota, którym zdeptałam podłogę w nocnym przypiływie szau, a brudne majtki leżą na kupce w kuchni przed pralką i czekają, aż upiorą się ręczniki. Nie mogę go wpuścić do domu.

– Przepraszam, że zawracam głowę w niedzielę, ale moim zdaniem godziny poza pracą to najlepsza pora do robienia interesów. Doskonale zdaję sobie sprawę, że trzeba zachować naszą rozmowę w tajemnicy przed pani firmą.

Wciąż myślę o bałaganie w domu. On bierze moje milczenie za oznakę nieufności, przeprasza więc i wyjmuję z kieszeni wizytówkę. Wręcza mi ją. Musi się pochylić i wyciągnąć długie ręce nad darnią, żeby mnie dosięgnąć. Wie, że nie należy wchodzić na trawę i to mi się podoba. Oglądam wizytówkę. *Monday O'Hara. Łowca głów. Diversified Search International*. Całość wywołuje u mnie uśmiech.

– Nie musimy rozmawiać teraz, chciałem tylko nawiązać kontakt i...

– Nie, nie, teraz jest idealnie. No, może nie dokładnie w tej chwili... – Przeciągam dłonią po ściągniętych w kitkę brudnych włosach i znajduję w nich zaschnięty liść. – Zechciałby pan poczekać dwadzieścia minut, aż się przebiorę? Możemy się spotkać w hotelu Marine za rogiem?

– Doskonale. – Znów błyska mi tym cudownym uśmiechem, ale szybko zamyka go z powrotem w kwadratowej szczęce, żegna się biznesowym skinieniem głowy i wraca do samochodu.

Muszę się powstrzymać, żeby nie wykonać triumfalnego tańca, kiedy idę do domu.

Siedzę na wielkiej kanapie w lobby hotelu Marine; odświeżona i ogarnięta bardziej przypominam człowieka. Monday ruszył na poszukiwanie kelnera. Czuję nerwowe podekscytowanie na myśl o tym, co usłyszę. Nareszcie jakiś krok naprzód. Facet nie ma pojęcia, że zostałam zwolniona, i sama też mu o tym nie powiedziałam, nawet nie zasugerowałam, że już nie pracuję, a jeśli

coś mi się wymknie, on nie musi wiedzieć, że rozstałam się z firmą nie z własnej woli. I doskonale zdaję sobie sprawę, dlaczego trzymam to w tajemnicy: bo chcę się zabawić. Chcę w to zagrać, chcę się poczuć jak pożądana kobieta, o którą walczą dwie firmy, a nie jak nieudacznica wylana z pracy, bez żadnych perspektyw. A może – może – w przypiływie żenującej dumy i słabości nie chcę, żeby ten przystojny mężczyzna zobaczył we mnie zwolnioną oferę, którą teraz się czuję.

Kobieta z dziewczynką, pewnie swoją córką, mniej więcej czteroletnią, siadają przy stoliku naprzeciwko mnie. Mała bierze łyżeczkę i cicho dzwoni nią o szklankę.

– Chciałabym wznieść toast – oznajmia, a jej matka parska śmiechem.

– Toast, Lily.

– Aha. – Dziewczynka chichocze. – Chciałabym wznieść toast. – Znów dzwoni o szklankę, prostuje się, unosi podbródek i robi poważną, dostojną minę.

Jej matka znów chichocze.

Mała jest zabawna, ale to reakcja jej mamy wywołuje uśmiech na mojej twarzy. Kobieta wręcz płacze ze śmiechu i lekko przyciska kąciki oczu, żeby powstrzymać łzy.

– Więc z jakiej okazji ten toast?

– Toast chciałby podziękować – mówi Lily głębokim, dostojnym głosem – maselku i dżemowi.

Matka niemal turla się po kanapie.

– I jajeczku, że tak ładnie się ugotowało na miękko.

Lily zauważa, że słucham, i urywa zawstydzona.

– Nie przeszkadzaj sobie – wołam. – Świetnie ci idzie.

– Och. – Jej mama siada i ociera oczy. Próbuje złapać oddech. – Przez ciebie pęknę ze śmiechu, Lily.

Lily wygłasza jeszcze kilka krótkich przemówień i ja też zaczynam się śmiać pod nosem. Siedzę tak nieruchomo, jak się da, żeby nie zakłócać im tej wspólnej chwili, ale krótko jestem sama. Wrócił mój łowca głów. Ten mężczyzna mnie upolował, to brzmi tak dziko. Czuję, że się rumienię, więc próbuję ukrócić te

idiotyczne figle swoich myśli. Skupiam całą uwagę na Mondayu i zabawna dziewczynka wylatuje mi z głowy.

– Zamówiłem pani zieloną herbatę. – Zerka na mnie, czy dobrze wybrał.

– Świetnie. Dziękuję. Więc ma pan na imię Monday? Nigdy wcześniej nie spotkałam się z takim imieniem[5].

Pochyla się i opiera łokcie na kolanach. Nagle znajduje się całkiem blisko, ale gdybym się odsunęła, wyglądałoby to niegrzecznie, tonę więc w jego twarzy, po czym próbuję napomnieć sobie, że nie powinnam, że muszę się skupić na słowach wypływających spod tego wyszczerbionego białego zęba, z jego cudownych ust. Muszę pamiętać, dlaczego tu jestem. Dlatego, że on mnie znalazł, odszukał i uważa, że jestem wysoko wykwalifikowana, wspaniała. Jakoś tak.

Widzę, że moje pytanie zupełnie go nie speszyło i bez wątpienia słyszał je tysiąc razy.

– Skoro już o imieniu mowa, darujmy sobie to „pan”. Pan Monday brzmi idiotycznie. Moja matka jest wariatką – ucina temat, a ja wybucham śmiechem.

– Miałam nadzieję na bardziej wyrafinowaną przyczynę.

– Ja też – odpowiada z uśmiechem. – Była wiolonczelistką w Narodowej Orkiestrze Symfonicznej. Teraz daje lekcje w przyczepie kempingowej w Connemara, w ogrodzie domu, w którym nie chce mieszkać, bo jest przekonana, że widziała w nim ducha swojego ojca. Nazwała mnie Monday, bo urodziłem się w poniedziałek. Na drugie mam Lew, bo to było pod koniec lipca. O’Hara to jej nazwisko, nie po ojcu. – Uśmiecha się i odrywa oczy od moich, żeby spojrzeć na włosy. – Włosy ma tak rude jak ty, ale ich nie odziedziczyłem. Tylko piegi.

To prawda, ma urocze piegi na nosie i w okolicach kości policzkowych. Wyobrażam sobie rudowłosą, piegowatą kobietę o jasnej skórze, gdzieś na polu w hrabstwie Galway, w Connemara, z wiolonczelą między nogami. To dość pikantny obrazek.

Moja kolej.

– Kiedy mama leżała w szpitalu po tym, jak mnie urodziła,

dziadek przyniósł jej bukiet zimowego jaśminu ze swojego ogrodu. Więc nazwała mnie Jasmine.

Wydaje się zaskoczony.

– Ludzie rzadko rewanżują się za historię mojego imienia.

– Jeśli ma się historię imienia, to trzeba ją opowiedzieć.

– Ja nie mam wyboru. Przy zwykłym przedstawianiu się muszę dodać kilka słów wyjaśnienia. Tak samo moja siostra Thursday[6].

– Nie masz siostry o imieniu Thursday!

– Nie. – Śmieje się rozbawiony moją reakcją.

– A ja mam siostrę. Kiedy ona się urodziła, dziadek przyniósł mamie bukiet wrzosów. Więc dostała imię Heather.

– To dość przewidywalne. – Szczerzy się.

– Cóż, może i tak. Mój brat Weed[7] to prawdziwy szczęściarz.

Wybuchają śmiechem.

– Skąd jest twój ojciec?

– Z Hiszpanii. Marynarz.

– Nie wyglądasz na Hiszpana.

– Żartuję. Historia jak z *Berbecia*[8]. Matka trafiła na bratnią duszę. Podobno to był obwoźny sprzedawca. Nigdy go nie poznałem, nie mam pojęcia, gdzie jest, ona nigdy nikomu nie powiedziała. Oczywiście kiedy dorastałem, ja i moi kumple obstawialiśmy każdego czarnoskórego faceta, a tych w Galway nie było zbyt wielu. Po prostu taka zabawa. Zgaduj zgadula, kto jest ojcem Mondaya. Na Quay Street pewien facet grał na saksofonie, koledzy żartowali sobie, że to on. Kiedy miałem dwanaście lat, zapytałem go o to. – Roześmiał się. – Powiedział, że to nie on, ale jeśli chcę, to chętnie pozna moją mamę.

To smutna historia, ale oboje się śmiejemy, potem on nagle otrząsa się z tego wspominkowego nastroju i przechodzi do interesów.

– No dobra. Praca. – Podnosi ze stołu skórzaną teczkę i rozsuwa zamek błyskawiczny. – Zatrudniła mnie firma DavidGordonWhite, kojarzysz ich? Jeśli nie, to proszę.

Kładzie przede mną firmowy prospekt. Bardzo profesjonalny, bardzo poważny, bardzo drogi: zdjęcie mężczyzny i kobiety w prążkowanych garniturach na tle szklanego budynku, oboje patrzą w niebo ponad aparatem, tak jakby leciał na nich meteor, ale zupełnie się tym nie przejmują. Moje serce śpiewa. Oni mnie chcą. Potrzebują. Uważają, że jestem wysoko wykwalifikowana i wspaniała. Uważają, że jestem niezbędna, wartościowa. Są chętni, żeby mi płacić za to, że oderwą mnie od świata i prawdziwych życiowych problemów. Promienieją i nic nie mogę na to poradzić.

– To firma od doradztwa podatkowego – mówię.

– Ze światowej pierwszej dziesiątki. Zgadza się. Wiesz, że takie korporacje mają też firmowe programy społecznej odpowiedzialności?

– Czysty PR – rzucam.

– Lepiej nie wspominać o tym na rozmowie kwalifikacyjnej.

– Szczerzy się, ale mina profesjonalisty szybko wraca. – Gdyby to robili wyłącznie dla PR-u, nie byłoby działalnością charytatywną, a oni właśnie coś takiego mają na myśli. Fundację DavidGordonWhite, kampanię na rzecz sprawiedliwości klimatycznej: prawa człowieka wobec zmian klimatu. I chcą, żebyś dla nich pracowała... – Urywa, ewidentnie czeka na jakieś moje pytanie lub wskazówkę, czy ma kontynuować. Czuję się tak rozczarowana, że nie wiem, co powiedzieć. To nie jest prawdziwa praca; oni szukają kogoś do fundacji. – Dobra, opowiadam dalej, a ty mi przerwij, jeśli przyjdą ci do głowy jakieś pytania, okej?

Potakuję ruchem głowy. Jestem wkurzona. Na DavidGordonWhite. Na niego, za to, że omamił mnie swoją urodą i pochlebstwami, pozwolił mi myśleć, że proponuje mi prawdziwą pracę. Policzki mi płoną. Monday mówi i mówi, i mówi o tym stanowisku. I nic, co mówi, nie wzbudza mojego zainteresowania.

W końcu milknie, spogląda na mnie i po chwili pyta:

– Iść dalej?

Mam ochotę powiedzieć „nie”. Mam ochotę powiedzieć coś więcej niż „nie”, krew mnie zalewa, ale nie mogę wyładowywać frustracji na tym człowieku, na tym przystojniaku.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego jestem brana pod uwagę na to stanowisko – odzywam się w końcu. – Nigdy nie pracowałam dla fundacji, nigdy też nie współpracowałam z żadną instytucją tego typu. Ja tworzę start-upy, zapewniam im sukces, a potem je sprzedaję za tyle pieniędzy, ile się da wyciągnąć.

Nawet ja wiem, jak okropnie brzmi ten opis. Przypomina to, co wykrzyczał mi Larry przez telefon, a przecież tak naprawdę uwielbiam tę pracę. Jest w niej o wiele więcej niż to, co powiedziałam, ale chcę, żeby moje zajęcie wydawało się jak najdalsze od działań fundacji charytatywnej. On coś pomylił. Jakim cudem moje nazwisko wyskoczyło mu w systemie, kiedy wpisał „fundacja”? Nie licząc tego, że sama zaczynam się czuć jak ktoś, kto potrzebuje pomocy jakiejś fundacji dla bezrobotnych.

Wygląda na odrobinę zaskoczonego moim wybuchem, ale jako człowiek dojrzały emocjonalnie zastanawia się przez chwilę nad doborem słów, wpatrując się we mnie troskliwymi, zielonymi, pełnymi zrozumienia oczami.

– Byłabyś odpowiedzialna za zarządzanie tą fundacją. To firma jak każda inna i zaczyna od zera. – Widzi niepewność na mojej twarzy i próbuje mi sprzedać tę robotę.

Wylicza to, co osiągnęłam we wszystkich swoich firmach, tak jakbym sama tego nie wiedziała, ale jest sprytny, to podbudowuje mi ego, a przygotował się porządnie. Otwarcie mnie podziwia, chwali moje decyzje i ciężką pracę. Jego komplementy pochlebiają mi na całego, czuję się tak, jak gdyby na świecie nie było nikogo mądrzejszego ode mnie. Wciąga mnie. Przyznaje, że kiedy rozpytywał o najlepszego kandydata, moje nazwisko padało kilkakrotnie. Uroda mu pomaga, bo chcę go zadowolić, chcę, żeby myślał, że jestem utalentowana i mądra, i w ogóle; jest idealny na łowcę głów, potrafi sprawiać, że ludzie wierzą w siebie, przekonuje ich, że czeka ich coś wspanialszego niż to, co właśnie robią. Prawie mnie ma. To znaczy, on mnie ma, ale praca... już mniej. Żołądek mi nie podskakuje jak zwykle, kiedy wpadam na pomysł na nowy projekt albo trafiam na czyjś pomysł, który mogę ulepszyć.

Monday patrzy na mnie z nadzieją.

Kelner przynosi zieloną herbatę. To daje mi chwilę do namysłu. To praca nie dla mnie, ale nie mam żadnej innej oferty. Jestem rozdarta: wyrazić zainteresowanie czy być szczerą? No i on mi się podoba, co powinno być bez znaczenia, i naprawdę jest, ale jednocześnie nie potrafię mu się oprzeć. Zwolnienie z pracy zabiło we mnie pewność siebie, sprawiło, że kwestionuję każdą decyzję, jaką podejmuję. Czy czekać na odpowiednią ofertę, czy na wszelki wypadek łapać pierwszą, jaka się nawinęła?

Monday przygląda mi się uważnie, te jego piwno-zielone oczy zaglądają głęboko w moje i mam wrażenie, że się w nie zapadam, daję się wessać. Nagle czuję się jak idiotka, bo przecież on tylko patrzy na mnie i to ja tak na niego reaguję. Przerwywam kontakt wzrokowy, choć on wciąż mnie obserwuje. Jestem przekonana, że wie o moich wątpliwościach; zagląda mi głęboko w duszę. Nie mogę tego zrobić, nie mogę go okłamać, jego, jedyne go człowieka, który przyniósł mi słońce w środku najdłuższej zimy mojego życia.

– Szczerze mówiąc, Monday, przykro mi... – Zawstydzona pocieram twarz. – Chyba zaszło jakieś nieporozumienie. Ja już nie pracuję w Idea Factory. Zostałam wyrzucona ponad dwa miesiące temu. Różnica zdań między mną a współzałożycielem. – Czuję, że oczy mi błyszczą, kiedy mówię dalej. – Więc w tej chwili nie mam pracy. – Nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Policzki mi płoną; piję łyk herbaty, byle tylko coś robić. Napój parzy mi język i gardło, ledwie mogę się powstrzymać, żeby tego nie wypluć, ale to przynajmniej pomaga mi odpędzić łzy, które zaraz by popłynęły.

– Okej – mówi cicho Monday; rozluźnia się, nastrój się zmienia. – To chyba dobrze, prawda? Nie będą musieli podkradać cię z innej posady. Zakładam, że szukasz pracy?

Próbuję zrobić bardziej radosną minę i zastanawiam się, czy powiedzieć mu o urlopie ogrodniczym. Nie, wykluczone. Nie mogę patrzeć, jak jedyna okazja na nową pracę przepada bezpowrotnie z powodu mojego brudnego sekretu: że jestem na liście płac Larry'ego jeszcze przez dziesięć miesięcy, byleby

tylko nie pracowała. Ale za nic nie powiem tego rekruterowi. Na szczęście on decyduje za mnie, przerywa milczenie.

– Zostawię ci to... – Podsuwa mi teczkę na stoliku. – To informacje na temat stanowiska. Przeczytaj sobie spokojnie, a potem do mnie zadzwoń. Odpowiem na wszelkie pytania.

Patrzę na prospekt, smutna i załamana. Jeszcze przed chwilą byłam jak na haju, moje ego rosło, a teraz czuję się jak przekłuty balon. To nie jest praca, o jakiej bym marzyła, ale potrzebuję zajęcia jak diabli. Biorę teczkę i przyciskam ją do piersi. Monday kończy swoje espresso, a ja próbuję jak najszybciej dopić gorącą herbatę, żebyśmy mogli już iść.

– Możemy się spotkać jeszcze raz przed rozmową o pracę. – Odprowadza mnie do drzwi i otwiera je przede mną.

Uśmiecham się.

– Kto powiedział, że będzie jakaś rozmowa?

– Bez wątpienia będzie – mówi pewnym siebie, miłym głosem. – To mój zawód: wiedzieć, kto idealnie nadaje się na dane stanowisko, a tak się składa, że jestem świetny w swoim fachu. – Posyła mi szeroki uśmiech, żeby uwiarygodnić tę gadkę sprzedawcy, sprawić, żeby wydawała się mniej sztuczna. I choć powinna zabrzmieć jak tandetna gadka, jednak tak nie brzmi. Kurczę, on naprawdę jest doskonały w tym, co robi. Jego głos nabiera łagodności, kiedy dodaje: – I to będzie dobre dla ciebie. Zobaczysz, Jasmine.

Wychodzimy na zewnątrz. Pogoda się zmieniła, wiatr znów przybrał na sile; w ciągu godziny drzewa zaczęły się miotać z boku na bok tak gwałtownie, jakbyśmy byli na jakiejś tropikalnej wyspie, tyle że to Irlandia, początek lutego. Wszystko jest widmowe, szare, ludzie chodzą ze skrzywionymi twarzami, fioletowymi wargami, z zaciśniętymi białymi dłońmi, które połyskują w szarym świetle, lub wsuniętymi głęboko w kieszenie.

Patrzę, jak Monday idzie do samochodu.

Nie przeszkadzało mi, kiedy udawał, że mnie zna, i sypał pochlebstwami, ale przeszkadza mi, kiedy udaje, że mnie zna, i mówi prawdę. Bo choć po raz pierwszy spotkaliśmy się zaledwie

przed godziną, prawdopodobnie ma rację. W obecnych okolicznościach praca – jakakolwiek – byłaby dla mnie dobra. Może to jedyna rzecz, która nie pozwoliłaby mi się osuwać w... cokolwiek to jest.

Sztorm, który nadciągnął wieczorem, osiągnął moc huraganu; wiatr w niektórych częściach kraju dobija do stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. W wiadomościach podali, że dwieście sześćdziesiąt tysięcy ludzi jest bez prądu. Są doniesienia o wypadkach na autostradach, o zdmuchniętych ciężarówkach, o drzewach, które upadają i miażdżą samochody, zdjęcia zniszczonych domów, dachów zrywanych z budynków, okien potłuczonych przez latające przedmioty. Wschodnie wybrzeże pozostało stosunkowo nietknięte. Widzę gałęzie i sterty liści na ulicy, przewracane kubły na śmieci – leżą niczym pokonani żołnierze – i dziecięce zabawki w miejscach, gdzie nie powinno ich być, ale to przecież nic w porównaniu z zalanymi domami. Mamy niewiarygodne szczęście. Choć to była wariacka noc na naszej ulicy, z wielu powodów.

Kiedy próbuję czytać materiały, które dostałam od Mondaya w teczce, i dowiedzieć się, w jaki sposób prawa człowieka są powiązane z klimatem, przerywasz mi ty. Ale to coś innego niż twoje typowe hałasy. Nie podjeżdżasz z ryczącą muzyką pod dom. Ty już jesteś w domu, i na dodatek całkowicie trzeźwy. To się czasem zdarza, nie każdej nocy zachowujesz się jak wariat i nie zawsze twoja agresja jest na tym samym poziomie. Od kiedy żona cię zostawiła, jesteś cichszy; nie masz na kogo wrzeszczeć i choć bywały noce, kiedy o tym zapominałeś i darłeś się tak, jakby tam była, szybko sobie przypominałeś, że nikt cię nie słyszy, i układałeś się do snu w samochodzie albo przy ogrodowym stole. Choć wszystkie ogrodowe meble w sąsiedztwie fruwały dookoła podczas tych strasznych huraganów – państwo Malone'owie stracili ulubionego krasnala, przewrócił się i rozbił sobie twarz – twój stół pozostał wryty w bagno ogródka. Przechyla się na bok, bo nogi z prawej zapadły się głębiej w trawę niż te po lewej. Nieraz widziałam, jak robisz coś, co chyba pomaga ci się skupić nad kłębowiskiem myśli: kładziesz zapalniczkę na wyższym krańcu pochylego blatu i patrzysz, jak turla się prosto w twoją dłoń

po niższej stronie. Nie wiem nawet, czy robisz to świadomie; wyraz twojej twarzy sugeruje, że odpłynąłeś gdzieś daleko.

Zwykle przypominasz sobie o własnym kluczu albo dokądś jedziesz, kiedy nie możesz go znaleźć, ale trzy razy to ja ci otwierałam zapasowym. Za każdym razem wtaczałeś się do domu i zamykałeś mi drzwi przed nosem. Wiedziałam, że nie będziesz tego pamiętał następnego dnia. To ironia losu, przynajmniej z mojego punktu widzenia, że nienawidzę cię za coś, czego prawdopodobnie nie pamiętasz, a na dodatek po przebudzeniu zapominasz o wszystkim, co tę moją nienawiść podsyca.

Tej nocy o trzeciej to nie twój samochód odrywa mnie od lektury, tylko Fionn. Wiatr wyje tak głośno, że nie rozróżniam słów, krzyki chłopaka miotają się w powietrzu i od czasu do czasu podmuchy rzucają je w moją stronę: oderwane słowa, których jest za mało, żebym zrozumiała powód kłótni. Wyglądam przez okno sypialni: ty i Fionn stoicie w ogródku. Obydwaj się wydzieracie, wymachujecie rękami. Widzę twoją twarz, jego nie. Żaden z was nie ma na sobie kurtki, a to znaczy, że nie planowaliście tej dyskusji pod gwiazdami. Fionn to chudzina: wysoki, patykowaty piętnastolatek, którym targa każdy podmuch wiatru, a przynajmniej tak to wygląda. Dopiero po chwili orientuję się, że to nie ma nic wspólnego z wichurą: Fionn po prostu się spił. Ty jesteś solidny, ty jesteś wysoki, ty jesteś szeroki, mocno stoisz na ziemi. Ciało masz nabite i wyglądasz tak, jakbyś jeszcze niedawno był wysportowany, ale teraz trochę zmiękłeś. Widzę zarys oponek na biodrach i brzuch ci trochę urósł, odkąd żona się wyprowadziła, ale może po prostu wiatr oblepia ci koszulę w pasie i eksponuje ciało, którego zwykle nie widzę. Próbujesz chwycić rękę Fionna, kiedy znajdują się bliżej ciebie, ale za każdym razem zaczyna dziko nimi wymachiwać, zaciska pięści, usiłuje cię uderzyć.

W końcu łapiesz go w pasie i ciągniesz w stronę domu, ale on się schyla i wykręca z twojego chwytu. Robi zamach. Jego pięść trafia w jakąś część twojego ciała. Odsuwasz się gwałtownie, tak jakby cię zabolowało. Ale to nie ta scena każe mi ruszyć do akcji, tylko widok dwojga młodszych dzieci w otwartych drzwiach: stoją

przeżalone w piżamach, jedno z misiem przytulonym do piersi. Zrywam się z łóżka i bez zastanowienia wciągam na siebie dres. Kiedy otwieram frontowe drzwi, wiatr uderza w nie z taką siłą, że omal mnie nie przewraca. Wszystko w holu – notes na stoliku, czapki, kurtki – czmycha po kątach jak myszy, kiedy zapali się światło. Muszę walczyć z drzwiami, żeby zamknąć je za sobą: ciągnę je z całej siły obiema rękami. Lodowate podmuchy są dzikie, wściekłe. Huragan nie ustępuje, a po drugiej stronie ulicy wy dwaj szalejecie tak, jakbyście zarazili się gniewem Matki Natury.

Widzę, jak to się dzieje – to, czego nigdy sobie nie wybacysz – i choć nie jestem twoją fanką, wiem, że to nie było zamierzone. Nie chcesz uderzyć syna, ale to robisz. Kiedy próbujesz sięgać ku niemu i obronić się przed jego pięściami, jakimś cudem trafiasz go w twarz. W tym momencie przypadkiem patrzę akurat na ciebie i zanim dociera do mnie, co zrobiłeś, mów mi to wyraz twojej twarzy. Ktoś, kto nie widziałby tej miny, mógłby nie rozumieć, że to był wypadek, ale ja widziałam. W twoich oczach pojawia się nagły ból, przestrasz, wręcz przerażenie. Szok jest tak silny, że wyglądasz, jak gdybyś miał zwymiotować. Rozpaczliwie próbujesz chwycić i ochronić syna, ale on krzyczy i cię odpycha, trzyma się za krwawiący nos, wrzeszczy na ciebie, oskarża, rzuca takie wyzwiska, jakich ojciec nigdy nie chciałby słyszeć od dziecka. Maluchy w drzwiach płaczą, próbujesz je uspokajać, a sztorm hula na całego; ciężkie ogrodowe krzesła, które do tej pory zdawały się wrosnięte w ziemię, zrywają się nagle, dołączają do rodzinnego dramatu. Jedno przewraca się na oparcie, drugie się unosi, śmiga nad ziemią, jakby nic nie ważyło, i ląduje niebezpiecznie blisko okna. Ja chcę tylko ochronić dzieciaki, wprowadzić je do domu i odwrócić ich uwagę. Nie zamierzam mieszać się w przepychankę ojca z synem, bo wiem, że to nie skończyłoby się dla mnie dobrze, ale kiedy idę w waszą stronę, Fionn oznajmia, że jego noga nigdy więcej nie postanie w twoim domu, i rusza ulicą sam, bez kurtki, ubzdryngolony, z zakrwawioną twarzą, żeby walczyć z wiatrem,

który wieje sto coś na godzinę – i to zmienia postać rzeczy.

Tym oto sposobem spędza w moim pokoju gościnnym resztę najbardziej burzliwej nocy, jaką oglądał ten kraj. Nie chce rozmawiać, i dobrze, bo ja też nie jestem w nastroju. Myję mu twarz; cieszę się, że twoja pięść nie złamała mu nosa. Daję mu czyste ręczniki, szklankę wody, tabletkę od bólu głowy i wielką koszulkę nowojorskiej policji, którą od kogoś dostałam w prezencie wiele lat temu. Zostawiam go samego. Potem siedzę do rana i, pijąc zieloną herbatę, słucham, jak krąży między sypialnią a łazienką, gdzie wymiotuje i wymiotuje. Chwilę przed czwartą budzi mnie głos ptaka. Nie wiem, o co chodzi. Jestem pewna, że ptak znalazł się w jakiejś opresji, że został zmieciony z gniazda w środku nocy. Ale nie. Kiedy nasłuchuję dalej, dochodzę do wniosku, że po prostu śpiewa. Kiedy ostatnio słyszałam śpiew ptaka o czwartej nad ranem? Chyba w poprzednim życiu. O siódmej już świta, powietrze jest spokojne, żadnego wiatru, żadnego deszczu, pogoda ładna. Matka Natura wygląda tak, jakby muchy nie skrzywdziła, a tymczasem w całym kraju ludzie walczą ze zniszczeniami, które zafundowała im w nocy.

Z kubkiem kawy w dłoni oglądam swój ogródek zadowolona, że zdążyłam rozwinąć większość darni. Pozostałe rolki – zniszczone, połamane i podarte – leżą zaklinowane pod kołem mojego auta.

Kiedy tylko mnie dostrzegasz, otwierasz drzwi i przechodzisz przez ulicę, tak jakbyś całą noc czekał, aż się pojawię.

– Jak z nim? Wszystko dobrze? – pytasz z troską wymalowaną na twarzy. Autentycznie mi ciebie żal.

– Jeszcze śpi. Całą noc wymiotował.

Potakujesz z roztargnieniem, jakbyś to przetrawiał.

– Dobrze, dobrze.

– Dobrze?

– Nie będzie taki wyrywny, żeby to powtórzyć.

Taksuję wzrokiem porozrywaną darń rozrzuconą dookoła.

– Cała twoja ciężka praca. – Kręcisz głową.

Wzruszam ramionami, że niby to nic takiego, wciąż zażenowana, że byłeś świadkiem tej harówki, którą równie dobrze można by nazwać reakcją na załamanie psychiczne. Mój ogródek jest płaski, ale z boku domu opada łagodnie na niższy poziom i takim lekkim nachyleniem biegnie aż na tyły. Ta niższa część wyłożona jest tym samym kamieniem co podjazd, ale sam stok zmienił się w zryte bagno. Nie zdążyłam obłożyć tego kawałka darnią. Kolejna niedokończona robota. Myślę o Larrym i znów ogarnia mnie wściekłość.

– Mogłabyś z tego zrobić skalniak. – Wskazujesz połamane płyty w kontenerze. – Moi dziadkowie mieli pagórek w ogrodzie. Cały zmienili w skalny ogródek. Rośliny posadzili między kamieniami. Fionn mógłby ci pomóc. Pewnie są ciężkie.

Przez moją głowę przelatuje mnóstwo złośliwych, niewdzięcznych odpowiedzi na tę sugestię, doprawdy śmiechu warta, ale gryzę się w język.

Spoglądasz ponad moim ramieniem na dom w nadziei, że cię zaproszę.

– Powinieneś dać mu to odespać – mówię.

– Wiem. Tak bym zrobił, ale niedługo pojawi się tu jego mama.

– Ach tak. Kiedy?

Patrzysz na zegarek.

– Za piętnaście minut. Fionn ma mecz rugby.

– Nie najlepszy dzień na kaca. – Jeszcze jedna rzecz, z której nie będą zadowoleni w Belvedere. – Co się stało? – Nie chcę wiedzieć, ale jednocześnie chcę.

– Wczoraj pojechałem go odebrać z rugby. Ale jego nie było. Poszedł w miasto z kolegami. Wrócił do domu w nocy nawalony jak meserszmit. Na szczęście nie naćpany, tylko pijany. Chyba. – Znów marszczysz brwi i zaglądasz do domu. – Zaczął się na mnie rzucać.

– Posłuchaj, wszyscy to przechodziliśmy. – Przypominam sobie czasy, kiedy jako nastolatka sama nieraz przesadziłam. Nie mam pojęcia, dlaczego cię pocieszam. Ciebie, człowieka, który

zwał się do domu na bani częściej, niż jadł porządne śniadanie. Ale ty chyba doceniasz ten gest. – Słuchaj. – Odchrząkam. – Ciągle mam ten list...

Nagle pod twój dom podjeżdża samochód Amy. Sztywniejesz.

- Jest w pokoju gościnnym, na górze, po lewej.
- Dzięki. – Znikasz w domu.

Patrzę, jak Amy przekracza próg, drzwi się zamykają i zapada cisza. Chwilę później wychodzisz, a tuż za tobą Fionn. Wygląda koszmarnie. Brązowoczarny siniak na nosie, dookoła niego zaschnięta krew. Staralam się go umyć w nocy, ale nos musiał mu jeszcze później krwawić. Twarz blada, ściągnięta, jest wykończony i skacowany. Krzywi się, kiedy pada na niego światło z otwartych drzwi. Ciuchy ma zmięte i jestem pewna, że na górze leży nieruszona koszulka nowojorskiej policji. Chłopak szura nogami za tobą, w drzwiach pojawia się twoja żona, staje z dłońmi na biodrach.

Nie chcę widzieć nic więcej. Nie zamierzam być w to zamieszana, opowiadać swojej wersji, z całego serca pragnę się trzymać z daleka od twojego życia, ale jakimś cudem ono cały czas mnie wciąga. Kiedy chronią mnie już zamknięte drzwi, nerwowo wyczekuję dzwonka, bo się boję, że przyjdziecie do mnie i będziecie kłócić się tutaj, ale nagle na ekranie telewizora widzę coś, od czego drętwieję.

To ta dziewczynka. Ta z hotelu. Czterolatka z cienkimi jasnymi włoskami, twarzą elfa, niebieskimi oczami i małym noskiem, która chciała wznieść toast. Telewizor jest ściszony, bo nasłuchiwałam, co robi Fionn, więc teraz nie wiem, co mówią, ale to nie może być nic dobrego. Po portrecie małej pojawia się zdjęcie jej i matki. Dziewczynka – Lily, o ile dobrze pamiętam – siedzi mamie na kolanach, kobieta otacza ją ramionami. Patrzą w obiektyw i uśmiechają się szeroko, tak jakby ktoś powiedział coś zabawnego. Za nimi widać choinkę – zdjęcie musi być sprzed paru tygodni. A potem pojawia się obraz samochodu osobowego i ciężarówki na autostradzie; osobówka jest zmiądzona, ciężarówka

wywrócona. Nagle robi mi się słabo. Podkręcam dźwięk i słucham faktów – obie nie żyją, kierowca ciężarówki w stanie krytycznym. Przygniata mnie rozpacz.

Kiedy odzywa się dzwonek, nie zwracam na niego uwagi i dalej słucham wiadomości. Znowu dzwoni. I jeszcze raz. Wciąż zapłakana i zła na intruza maszeruję do drzwi. Otwieram je i widzę trzy przestraszone twarze.

– Przepraszam – pierwsza odzywa się Amy, twoja żona. – Wybrałam chyba nieodpowiedni moment. – Gniew, który od niej wyczuwam, natychmiast się rozwiewa.

– Nie... po prostu... Właśnie usłyszałam złą nowinę.

Zaglądam nad moim ramieniem. Drzwi do salonu zostawiłam otwarte, w telewizji wciąż lecą wiadomości.

– A tak, słyszałam. Straszne. Oni mieszkają za rogiem... to żona Stevena Warrena. – Amy spogląda na ciebie. – Słyszałeś? Rebecca zginęła. I ich córeczka...

– Lily... – Jej imię grzęźnie mi w gardle.

– Nie słyszałem – odpowiadasz.

Przez chwilę wszyscy milczymy pogrążeni w myślach. Fionn sądzi, że teraz jego kolej, więc wypala chrypliwie:

– Ehm, dzięki za nocleg.

– Nie ma za co – mamroczę pod nosem. Nie mam pojęcia, co według Amy zaszło tutaj w nocy.

Fionn, któremu ulżyło, że zszedł z linii ognia, idzie z powrotem przez ulicę do domu. Powłóczy nogami, zmięte spodnie odsłaniają część majtek. Ty i twoja żona wciąż patrzycie za moje plecy, na telewizor. Amy naprawdę ogląda, ale ty zastanawiasz się nad czymś zupełnie innym.

– Widziałam je wczoraj po południu... Rebeccę i Lily – wymawiam ich imiona, jakbym obie znała, i czuję, że kłamię, choć przecież to prawda.

– To się stało wczoraj po południu. Pewnie byłaś jedną z ostatnich osób, które je widziały – mówi Amy.

Te słowa mnie poruszają. To nie jest oskarżenie, wiem, ona po prostu głośno myśli, ale i tak wpędza mnie w poczucie

odpowiedzialności. I nie wiem, co z tym zrobić. Zupełnie jakby matka z córką w jakiś sposób przynależały do mnie, jakbym miała na własność ostatnie chwile ich życia. Czy powinnam się tym podzielić, żeby właściwe osoby też dostały choć cząstkę? W ten sposób przywróciłabym porządek rzeczy. Oczywiście niepotrzebnie to analizuję, kiedy ty stoisz i wpatrujesz się we mnie, ale pewnie tak na ludzi działa szok. Poza tym jestem zmęczona, mało spałam ze strachu, że Fionn zemdleje, uderzy się w głowę, zadławi wymiocinami albo wstanie i pójdzie gdzieś w środku nocy, a ja wpadnę w kłopoty, że nie dopilnowałam nieletniego.

– Matt, ty też ich znasz. – Amy zwraca się do ciebie.

– Właściwie nie bardzo...

– Znasz, grywałeś z nim w badmintona.

Słyszałam o tobie różne rzeczy, ale ta rewelacja sprawia, że spoglądam na ciebie spod uniesionej brwi.

– Dawno temu.

– On zawsze o ciebie pyta. – Amy odwraca się do mnie. –

Matt pójdzie tam z tobą – proponuje.

– Słucham?

– Pójdzie z tobą. Złożyć kondolencje. Prawda? – rzuca do niego. – Dobrze ci to zrobi. – Jej ton nie jest miły. – Tak czy inaczej, przepraszam za to najście. Chciałam tylko podziękować, że zajęłaś się Fionnem.

Cofa się. Ty wciąż stoisz przy drzwiach, czekasz na instrukcję ode mnie, zgodnie z rozkazem żony, która cię zostawiła, tak jakbyś miał nadzieję, że posłuszeństwem zyskasz parę punktów. A może się mylę. Nagle dociera do mnie, że próbujesz mi coś powiedzieć. Wysyłasz jakiś przekaz. Zaglądam głębiej w twoje oczy. Usiłuję go zrozumieć. Oczekujesz, że będę cię broniła. Żebym jej powiedziała, co widziałam. Wołam za nią.

– Amy, dzisiaj w nocy... To, że Matt uderzył Fionna, to był wypadek. Nie chciał...

Urywam, bo po jej wściekłym spojrzeniu na ciebie, po jej twarzy pełnej nienawiści i obrzydzenia poznaję, że wyskoczyłam przed szereg. Nie miała pojęcia, że go uderzyłeś.

Amy zaczyna pakować dzieci do samochodu, więc podbiegasz, żeby się pożegnać. Uruchomiła już silnik, jest gotowa do odjazdu, pasy pozapinane, drzwi zamknięte. Ciągniesz za klamkę, zmuszasz żonę, żeby zwolniła zamek. Otwierasz drzwi, schylasz się do środka i dajesz całusa dwojgu maluchom z tyłu. Fiona niezręcznie klepiesz po ramieniu, ale on nie patrzy na ciebie. Zamykasz drzwi, dwa razy klepiesz w dach i machasz im na pożegnanie. Nikt nie macha do ciebie; prawdę mówiąc, nikt nawet się nie odwraca, żeby na ciebie popatrzeć. Współczuję ci, choć nie wiem dlaczego, bo byłam świadkiem wszystkiego, czego bezpośrednio doświadczyła twoja żona: nocnych powrotów, pijackich awantur... Nie rozumiem, dlaczego nie odeszła od ciebie wcześniej, a mimo to, kiedy tak stoisz z dłońmi w kieszeniach dzinsów i patrzysz, jak twoja rodzina odjeżdża, zostawia cię samego w wielkim domu, w którym to oni powinni mieszkać, a nie ty, współczuję ci całym sercem.

– Chodź – wołam.

Spoglądasz na mnie.

– Pójdziemy do Stevena.

Podaję ci rękę. Podejrzewam, że to ostatnie, na co masz ochotę, ale zmiana klimatu dobrze ci zrobi. Ja też absolutnie nie mam ochoty składać wizyty Stevenowi, ale przynajmniej oderwę się od tego, co tutaj zaszło.

Wracasz do domu po kurtkę, ja biorę swoją i spotykamy się w połowie drogi.

– Przepraszam, że to powiedziałam – odzywam się po chwili.

– Nie powinnam. Chciałam tylko...

– Nie szkodzi, i tak by się dowiedziała. Lepiej, że to wyszło od razu.

Cóż, samo nie wyszło. Naprawdę nie wiem, jakim cudem znalazłam się po twojej stronie, skoro każdej nocy, kiedy patrzyłam, jak dobijasz się do drzwi, zaklinałam ją w duchu, żeby cię nie wpuszczała.

– Gdzie mieszkają Amy i dzieci? – pytam, kiedy idziemy ulicą.

– U jej rodziców.
– Wróci?
– Nie wiem. Nie rozmawia ze mną. To, co teraz słyszałaś, to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała do mnie od wielu dni.
– Napisała list.
– Wiem.
– Powinieneś go przeczytać.
– Ona też tak twierdzi.
– Więc dlaczego nie chcesz przeczytać?
Nie odpowiadasz.
– Proszę. – Podaję ci list. Przez chwilę patrzysz na niego zaskoczony, w końcu bierzesz i wpychasz do kieszeni. Nie wierzę, że go przeczytasz, ale przynajmniej ci dałam. Moja rola skończona. Czuję lekką ulgę, ale nie jestem przekonana, że wykonałam zadanie. Nawet nie otworzyłeś koperty.
– Przeczytasz?
– Rany, coś się tak uparła na ten list?
– Gdybym ja dostała list od żony, która właśnie ode mnie odeszła, chciałabym wiedzieć, co napisała.
– Jesteś lesbijką?
Przewracam oczami.
– Nie.
Śmiejesz się.
– Zauważyłem, że nie pracujesz. Masz wolne, czy...
– Urlop ogrodniczy – ucinam, zanim usłyszę jakiś obraźliwy epitet, którego z pewnością zamierzasz użyć.
– No tak. – Uśmiechasz się. – Ale pamiętaj, że to wcale nie znaczy, że naprawdę musisz robić za ogrodnika.
– Oczywiście. A ty co? Czytałam, że cię wywalili – mówię to bezczelnie, szorstko.
Przyglądasz mi się tym wzrokiem zbitego z tropu, zaintrygowanego, ale i urażonego psa, tak jak zawsze, kiedy na ciebie warczę, co zdarza się często, o ile tylko pamiętam, że cię nie lubię.
– Jeszcze nie całkiem – odpowiadasz. – Jestem na urlopie...

też ogrodniczym, tak się składa. Tyle że w odróżnieniu od ciebie ja postanowiłem swój przesiedzieć na tyłku.

– Księżycowe opalanie.

Wybuchasz śmiechem.

– Tak.

Kiedy byłyśmy młodsze, Heather i ja tak nazywałyśmy leżenie na dworze, przy księżycu. Myśl o siostrze przypomina mi, że bardzo mnie wkurzasz, więc zamykam się jak małż. Wiem, że zauważyłeś tę zmianę we mnie, to, jak w sekundę z ciepłej robię się lodowata.

– Ale ten urlop to chwilowa sprawa. Na czas dochodzenia dotyczącego mojego zachowania. – Przybierasz oficjalny ton.

Czytam między wierszami.

– Zawiesili cię.

– Oni to nazywają urlopem ogrodniczym.

– Długo?

– Miesiąc. A ty?

– Rok.

Z sykiem wciągasz powietrze.

– Co przekrobałaś?

– Bez przesady, to nie wyrok więzienia. I niczego takiego nie zrobiłam. Chodzi o to, żebym nie pracowała dla konkurencji.

Przyglądasz mi się uważnie, a ja milczę długą chwilę, żeby wziąć się w garść.

– I co potem?

– Mam kilka pomysłów – odpowiadam. – Fajnie móc je spokojnie przemyśleć. – Nie wierzę w ani jedno swoje słowo. – A ty?

– Wrócę, kiedy dostanę zielone światło. Pracuję w radiu.

Zerkam na ciebie z ukosa; sprawdzam, czy żartujesz.

Sądziłam, że zakładasz, że wszyscy cię znają, że nosisz nazwisko na piersi jak odznakę honorową, choć nie bardzo wiem, gdzie tu honor, ale ty mówisz zupełnie poważnie. Wcale nie zakładałeś, że jesteś sławny. To mi się w tobie podoba, a przez to nie lubię cię jeszcze bardziej. Nie możesz wygrać.

– Słyszałam o twojej audycji – oznajmiam z taką dezaprobatą w głosie, że wybuchasz tym swoim dudniącym, rżącym śmiechem palacza.

– Wiedziałem!

– Co wiedziałeś?

– To dlatego taka jesteś, kiedy ze mną rozmawiasz. Spięta.

Zła. Wiecznie agresywna.

Gdyby moi przyjaciele mieli mnie scharakteryzować, nie użyliby takich słów. Jestem trochę ogłuszona tym opisem. To niefajne, że ktoś może tak o mnie myśleć, i z jakiegoś powodu nie chcę, żebyś ty tak o mnie myślał, choć właśnie w ten sposób ci się zaprezentowałam. Ale przecież nie jestem taka zawsze; nie rozumiesz, jakim wysiłkiem dla mnie jest odstępstwo od mojego zwykłego zachowania po to, żeby być niegrzeczną wobec ciebie. Przyjaciele przedstawiliby mnie jako wolnego ducha; zawsze robię to, co uważam za stosowne, nigdy nie tańczę, jak ktoś mi zagra. Mogliby powiedzieć, że jestem zawzięta, w najgorszym wypadku uparta, ale oni znają mnie tylko jako sympatyczną, wyluzowaną babkę, a tymczasem ty wydobywasz ze mnie wszystko co najgorsze.

– Nie przepadasz za mną, co?

– A żebyś wiedział – odpowiadam, znów rozjuszona.

– Która cię obraziła? – Wrzucasz do ust gumę nikotynową.

– To znaczy? – Serce mi wali. Po tych wszystkich latach wreszcie jesteśmy tutaj, wreszcie mogę to z siebie wyrzucić. Oto ta chwila. Mój mózg pracuje jak szalony, gdy szukam odpowiednich słów, żeby ci wytłumaczyć, jak bardzo mnie zraniłeś.

– Która audycja? Który temat? Co takiego powiedziałem, z czym się nie zgadzasz? Bez pudła wyczuwam słuchaczy, którzy nienawidzą mojej audycji. Kiedy tylko gdzieś wchodzę, niemal od razu widzę, kto jest fanem, a kto nie. Szósty zmysł. Poznają po tym, jak na mnie patrzą.

Twoja arogancja wytrąca mnie z równowagi. Trzeba być tobą, żeby tak luzacko podchodzić do negatywnego zjawiska – do tego, że ludzie cię nienawidzą...

– Może chodzi o ciebie, a nie o audycję – zauważam.
– Widzisz, to jest właśnie to, o czym mówię. – Uśmiechasz się i pstrykasz palcami. – Właśnie takie pokrętne uwagi. To nie ja, Jasmine. To audycja. Prowadzę dyskusję. Ona nie odzwierciedla moich osobistych poglądów. Ja zapraszam gości na antenę, żeby dyskutować.

– Wsadzasz kij w mrowisko.
– Muszę. Dzięki temu dzwonią. Dzięki temu jest rozmowa.
– I uważasz, że te rozmowy są potrzebne? – Zatrzymaliśmy się i stoimy twarzą w twarz przed domem Stevena, gdzie trawnik zniknął pod dywanem kwiatów i prezentów, misiów, świeczek i ręcznie wypisanych kartek. – Przecież twoja audycja nie robi niczego w tym kierunku, żeby edukować, wyjaśniać fakty. Ty zapraszasz tylko bandę wariatów, którzy wywalają swoje agresywne, rasistowskie, prymitywne opinie.

Patrzysz na mnie z powagą.
– Każda osoba jest prawdziwa, każdy głos autentyczny. Oni reprezentują sposób myślenia obywateli tego kraju. Uważam, że ludzie powinni to usłyszeć. Bez sensu spędzać czas wyłącznie ze swoimi politycznie poprawnymi przyjaciółmi w przekonaniu, że świat to cudowne, otwarte, pełne zrozumienia miejsce, a potem zjawić się przy urnie wyborczej i nagle odkryć, że tak nie jest. Nasza audycja pozwala się wypowiedzieć każdemu. Dzięki niej parę spraw stało się przedmiotem debaty w parlamencie: przemoc w szkole, małżeństwa homoseksualne. Dzięki nam zamknięto kilka niebezpiecznych domów opieki, żłobków... – zaczynasz wyliczać na palcach.

– Naprawdę myślisz, że wyświadczasz przysługę krajowi? – pytam osłupiała. – Owszem, dyskusje mogą być pożyteczne, jeśli są sensowne. A nie kiedy dzwonią podpici czy naćpani debile, albo uciekinierzy z wariatkowa. To, że pozwalasz jakimś idiotom wygłaszać opinie, ma być dobre? Powinno się im raczej zamknąć gęby.

– Świetny pomysł, Kim Dzong Unie. Wolność słowa be – mówisz, wyraźnie zirytowany.

– Może jego też powinieneś zaprosić do audycji, dać facetowi szansę, niech wyrazi swoje opinie. Tak czy inaczej, z tego, co piszą w gazetach, wynika, że twoja audycja nie wróci na antenę – odpowiadam z zadartą głową i ruszam chodnikiem do drzwi; mam nadzieję, że to go uciszy, że będę miała ostatnie słowo. Swoją ostatnią wredną, agresywną, złą, spiętą odpowiedź.

– O, wróci, wróci. Bob i ja jesteśmy jak dwa palce u jednej ręki. – Pokazujesz mi splecione palce. – Bob to szef rozgłośni, od początku stał po mojej stronie. Robi to tylko po to, żeby zadośćuczynić procedurom. Źle by wyglądało, gdyby postąpił inaczej. Kiedy audycja dostaje tyle skarg co nasza, trzeba czasem zachować jakieś pozory.

– Na pewno jesteś bardzo dumny – dogryzam mu, wciskając dzwonek.

– Naprawdę musiałem cię nieźle wkurzyć.

Czuję twój oddech na uchu. Kiedy na ciebie spoglądam, oczy ci błyszczą psotnie. Przychodzi mi do głowy, że tobie się podoba, że cię nie lubię, i w jakiś sposób – chociaż to chore – mnie też się to podoba. Nielubienie cię dało mi coś, na czym mogę się skupić. Nielubienie cię stało się moją pracą na pełny etat.

Nagle drzwi się otwierają i staje w nich kobieta z czerwonymi oczami, czerwonym nosem i zmiętą chusteczką w garści. Rozpoznaje cię natychmiast, jest zachwycona i zaszczyciona, że się pojawiłeś. Szybko zaprasza cię do środka. To mnie zbija z tropu – czy ludzie nie słyszą tego co ja? Masz na tyle dobrych manier, żeby puścić mnie przodem.

W środku tłok. Ludzie dzielą się długimi chwilami milczenia, przerywanymi od czasu do czasu gadką szmatką, wspomnieniami, nerwowym śmiechem. Stół ugina się od jedzenia: lazanii, ciast i kanapek przyniesionych przez sąsiadów. W drugim pokoju na fotelu siedzi samotny mężczyzna zapatrzony w okno. Na ścianach pełno profesjonalnych zdjęć młodej rodziny: czarno-białych portretów Stevena, Rebekki i Lily. Mamusia i tatuś w czarnych golfach na białym tle, mała Lily w ładnej białej sukience, rozjarzona w świetle studyjnych lamp niczym anioł, z uśmiechem

pełnym małych ząbków. Zdjęcie Lily z lizakiem; zdjęcie Lily baletnicy; zdjęcie, jak Lily się śmieje; zdjęcie, jak Lily pokazuje język mamusi i tatusiowi, którzy patrzą na nią z szerokimi uśmiechami.

Mężczyzna w fotelu to Steven z fotografii; rozpoznaję w nim sąsiada, którego regularnie widuję w okolicy, w supermarkecie, w mięsnym, biegającego nad morzem...

– Matt. – Wstaje i ściska się z tobą.

– Tak mi przykro, Steven.

Długo się obejmujecie. Bliscy kumple od badmintona. Rozglądam się, w końcu wbijam wzrok w podłogę i czekam na swoją kolej. Niezręczna sytuacja.

– To moja sąsiadka Jasmine. Mieszka za rogiem, na mojej ulicy.

– Bardzo panu współczuję straty. – Podaję mu rękę. Ściska ją.

– Dziękuję – odpowiada z powagą. – Jest pani znajomą Rebekki?

– Ja... nie... właściwie... – Czuję się głupio. Nie bardzo wiem, od czego zacząć. Może popełniłam błąd. Może nie powinnam przychodzić. Poczucie odpowiedzialności, które dopadło mnie wcześniej, teraz zdecydowanie osłabło. Sama postrzegam siebie jak intruza. Kobieta, która otworzyła nam drzwi, też jest w pokoju. Wszystkie oczy są zwrócone na mnie. – Widziałam je obie wczoraj po południu, o trzeciej, w hotelu Marine.

Steven robi zdziwioną minę. Odwraca się do kobiety. Ona też wydaje się dezorientowana.

Oboje świdrują mnie wzrokiem. Nie wierzą mi.

– No... nie wiem, czy tam były... – Steven marszczy brwi.

– Lily piła czekoladę na gorąco. Nazywała ją „czeko-mleko”.

Ona uśmiecha się, zakrywa dłonią usta i podbródek, siada na poręczy fotela.

– Była w świetnym humorze. Rebecca nie mogła przestać się śmiać. Usłyszałam ją, jak tylko weszłam do lobby. Lily chciała

wznieść toast.

Steven patrzy na kobietę – prawdopodobnie to jego siostra, teraz widzę podobieństwo.

– To przez przyjęcie w zeszłym tygodniu, Beth – mówi, a ona radośnie kiwa głową, choć oczy ma mokre.

Steven znów spogląda na mnie, łagodnie, z ciekawością, wyczekuje moich kolejnych słów. Ty też mi się przyglądasz i to mnie trochę peszy. Nie wiem, dlaczego przy tobie jestem taka nerwowa, ale staram się nie zwracać na ciebie uwagi i rozmawiać tylko ze Stevenem. Im dłużej na niego patrzę, tym wyraźniej widzę podobieństwo między nim a Lily: jasne rzęsy, twarz elfa. Więc stoję tam – ja, obca kobieta w jego domu – i opowiadam mu o toastach córeczki, o jej rozmowie z mamą, o tym, że do niej zagadnęłam. Opowiadam mu każdy szczegół, jaki pamiętam. Podkreślam śmiech, szczęście, ogromną radość w tej ostatniej godzinie, zanim wsiadły do samochodu i wyruszyły w drogę do rodziców Rebekki w ten burzliwy dzień. Mówię mu to wszystko, bo ja bym chciała wiedzieć.

Steven chłonie każde moje słowo niemal jak w transie, przygląda mi się bacznie, kiedy je wypowiadam, chyba chce się zorientować, czy to wszystko prawda, ma nadzieję, że tak, i w końcu w to wierzy. Patrzy na moje oczy, wargi, a kiedy sądzi, że nie widzę, mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. Nagle milknę, nastaje cisza, a jemu pewnie się zdaje, że zginęły na nowo – były tutaj i nagle ich nie ma. Marszczy twarz w grymasie, załamuje się. Nieruchomieję, bo nie wiem, co robić; chcę go pocieszyć, ale to nie moje zadanie. Jego siostra wkracza do akcji. Ty klepiesz go po plecach i wychodzisz z pokoju. Idę za tobą. Czuję się jak piąte koło u wozu. Poruszam się mechanicznie, jestem przekonana, że niepotrzebnie tu przychodziłam i dzieliłam się tym, co widziałam. Chociaż w sumie sama już nie wiem. Chcę, żebyś podtrzymał mnie na duchu, ale jednocześnie nie chcę, żebyś to był ty.

Już na dworze wyrzucasz gumę nikotynową i zapalasz papierosa. Poliki mi płoną, kiedy tak idziemy. Nic nie mówisz przez całą drogę. W końcu zatrzymujemy się przed moim domem,

spoglądasz na mnie i być może wyczuwasz mój wewnętrzny zamęt albo dostrzegasz zażenowanie, a może na mojej twarzy maluje się autentyczna udręka, bo twoje oczy zatrzymują się na chwilę, studiują mnie, miękkie, ciekawe i uważne jak zawsze, szukają odpowiedzi, jakbym była zagadką, tyle że dość zabawną.

Gasisz papierosa.

– Ja też chciałbym wiedzieć – mówisz. – To było miłe. –
Wyciągasz rękę i ściskasz mój bark.

Dopiero teraz dociera do mnie, że przez dłuższy czas wstrzymywałam powietrze, więc wreszcie je wypuszczam. Ulga, którą czuję, jest dla mnie niespodzianką: ty mi pomogłeś, ty wyciągnąłeś do mnie rękę, ale to kłóci się ze wszystkim, co o tobie myślałam.

– Jasmine! – Znajomy głos wdziera się w moje myśli, więc odwracam się i widzę Heather. Siedzi na moim ganku. Podnosi się i idzie w naszą stronę.

Myśli mi się mącą, kiedy dociera do mnie, że zaraz staniesz twarzą w twarz z osobą, którą przez całe swoje życie próbowałam przed tobą chronić.

Raz na miesiąc, w niedzielę, spotyka się grupa wsparcia Heather. Urządzamy te spotkania od czasu, gdy była nastolatką. Mama zorganizowała to wszystko i nawet w trakcie swojego leczenia brała w nich udział, choćby nie wiadomo jak czuła się chora. I upierała się, żebym ja też dołączała, choć jako nastolatka miałam lepsze rzeczy do roboty. W tamtych czasach tego nie doceniałam, teraz jednak się cieszę, że na nie chodziłam, bo kiedy mama zmarła, wiedziałam, jak załatwia się wiele spraw i w jakim kierunku wszystko powinno zmierzać. Otóż grupa osób spotyka się regularnie, żeby wspólnie pomóc komuś osiągnąć to, co chciałby osiągnąć w życiu. Heather sama decyduje, kogo zaprosić i o czym ma być rozmowa. Planowane są jej CELE – Centralne Elementy Logistyczno-Edukacyjne. Rozmawiamy o jej pragnieniach, o tym, jak je realizować, co się dzieje w jej życiu i jakie następne kroki powinna poczynić. Dyskutujemy o spełnianiu jej marzeń.

Spotkania odbywały się co tydzień w czasach, kiedy planowała wybór gimnazjum, szkoły średniej, college'u. W końcu zdecydowała się na stacjonarny college, w którym uczyła się żyć samodzielnie, poruszać komunikacją miejską, robić podstawowe zakupy, gotować i szykować się do pracy. Spotkania musiały być częste i regularne, kiedy planowała kierunek swojej życiowej drogi, ale w odpowiednim momencie sama zdecydowała, żeby zmniejszyć ich liczbę do jednego w miesiącu.

W przeszłości byli obecni: nauczyciele, asystentka społeczna – z którą Heather przeprowadziła rozmowę kwalifikacyjną – ktoś z college'u, urzędniczka z biura planowania kariery, pracodawcy i oczywiście zawsze ja. Tata przyszedł parę razy, ale nie bardzo się sprawdza w takiej roli. Nie rozumie celu tych zebrań. Chodzi o planowanie, owszem, i o załatwianie spraw. Ale ważne też jest, żeby słuchać Heather, dowiadywać się, jak postrzega swoje miejsce w świecie, gdzie chciałaby być. Tata nie ma cierpliwości do wysłuchiwania tego wszystkiego. Jeśli Heather zamierza pracować, on jej znajdzie posadę; jeśli chce coś porobić, on jej to

załatwi. Ale ja nauczyłam się, że ten proces pozwala mi zajrzeć do jej głowy. Zależy mi, żeby poznać co, jak i dlaczego dzieje się z moją siostrą. Na przykład kiedyś oznajmiła, że rzuca pracę przy pakowaniu zakupów w supermarkecie, choć długo przygotowywała się do tej posady. Akurat na tym spotkaniu był ojciec. Ciągłe poganiał nas wszystkich, żeby to mieć jak najszybciej z głowy, zresztą i tak nigdy mu się nie podobało, że ona wykonuje tę pracę. Całkowicie umknął mu fakt, że planowała się zwolnić, bo ktoś z supermarketu zachowywał się wobec niej niemiło. Pani przy kasie podliczała zakupy za szybko, docinała jej, wpędzała ją w poczucie, że sobie nie radzi, sama brała się do pakowania, kiedy uważała, że Heather rusza się zbyt wolno. Właśnie o takich sprawach musimy się dowiadywać od Heather w trakcie comiesięcznych posiadówek.

Spotkanie było zaplanowane na drugą, ale ona przyszła tu już o pierwszej, kroczy w naszą stronę i staje przed człowiekiem, który reprezentuje wszystko, przed czym tak usilnie próbowałam ją chronić od dzieciństwa. Trudno mi opisać słowami, co teraz odczuwam, ale spróbuję. W jednej chwili byłam wdzięczna za ciepło i pociechę, jakie przyniosły mi twoje słowa – za wsparcie, którego z rozmysłem u ciebie szukałam, co już samo z siebie wywołuje we mnie konflikt – w następnej chcę bronić przed tobą swoją siostrę. Nic dziwnego, że nie możesz mnie rozgryźć.

Skupiam całą uwagę na Heather, idę jej naprzeciw, żeby nie zbliżała się do ciebie. Opiekuńczo obejmuję jej barki. Nie jestem w stanie patrzeć ci w twarz; nie chcę widzieć, jak drwisz, osądzasz czy analizujesz albo próbujesz poprzez jej osobę rozpracować kolejny kawałek mnie. Parzę tylko na nią, uśmiecham się z dumą, bucham miłością. Mam nadzieję, że to wychwycisz, przypomnisz sobie swoją audycję, poczujesz się przez nią okropnie, nowym okiem spojrzysz na siebie, swoją pracę i całe życie. Wkładam w to mnóstwo energii. Heather z pewnością wyczuje, jaki jesteś obrzydliwy, jaki żałosny, niesprawiedliwy, paskudny i uprzedzony. Twierdzisz, że tylko podsycasz dyskusję, ale te słowa wychodzą z twoich ust, to ty jesteś ich źródłem, korzeniem, twórcą. Heather ma

talent do odczytywania ludzi i nigdy nie było lepszego momentu, żeby pokazać, jak to działa w praktyce. Chcę, żebyś wyciągnął do niej rękę i żeby ona cię odrzuciła, tak jak Teda Clifforda. Chcę patrzeć, jak się skręcasz i wijesz z tą zaskoczoną miną, którą przybierasz, kiedy na ciebie napadam, kiedy nagle zmieniam się w zimną sukę.

– Cześć – słyszę twój głos.

– Cześć – odpowiada Heather.

Patrzy na mnie, w końcu trąca mnie łokciem, żebym ją przedstawiła.

– To moja siostra Heather – mówię. – Najwspanialsza osoba na świecie.

Chichocze.

– Heather, to Matt. Mój sąsiad – ciągnę głosem bez wyrazu.

Znów posyłasz mi to zaintrygowane, ciekawskie, uważne spojrzenie. Umiesz już rozpoznawać moje skrajne nastroje i to, co pośrodku.

Machasz do niej. Jestem zbита z tropu, zachowujesz się właściwie, to gest odpowiedni dla kogoś z Pomarańczowego Kręgu. Nagle Heather wyciąga rękę. Odwracam się do niej zaskoczona, ale ona patrzy na ciebie z grzecznym uśmiechem na twarzy. Chcę przerwać tę wymianę uprzejmości, ten uścisk dłoni z diabłem wcielonym, ale nie wiem, czy zdołam wyjaśnić Heather, dlaczego to robię, szczególnie po aferze u taty – który zresztą od tamtej pory jeszcze się do mnie nie odezwał.

– Miło cię poznać. – Ściskasz jej dłoń. – Fajna torba.

Heather ma przy sobie torbę, którą kupiłam jej pięć lat temu na urodziny. Nosi ją codziennie i utrzymuje w idealnym stanie; czyści ją i przycina wystrzępione nitki. To torba didżejska w stylu retro, zaprojektowana do noszenia płyt winylowych i przenośnego gramofonu. Wiem, że woli słuchać czarnych płyt, pomyślałam więc, że to odpowiedni prezent, bo będzie mogła je nosić ze sobą. I nosi, niemal wszędzie. Na klapie jest obrazek czarnego longplaya, więc nawet kiedy Heather nie transportuje swojej kolekcji, wkłada do torby portfel, lunch i parasolkę. Zawsze te trzy rzeczy. Na

próżno błagam ją, żeby zabierała ze sobą też komórkę.

– Dziękuję. To od Jasmine. Mogę tu zmieścić pięćdziesiąt płyt i przenośny gramofon.

– Masz przenośny gramofon?

– Czarny Audio Technica AT-LP60 z pełną automatyką i napędem paskowym. – Otwiera torbę, żeby ci pokazać.

– Ej, świetny sprzęt. – Podchodzisz, żeby zajrzeć do torby, ale nie za blisko. – I widzę, że masz też płyty.

Jesteś autentycznie zaskoczony, autentycznie nią zainteresowany, autentycznie chcesz zobaczyć, co trzyma w swojej didżejskiej torbie.

– Mhm. Stevie Wonder, Michael Jackson... – Przerzuca kolekcję, a ja patrzę na twoją twarz.

– Grandmaster Flash! – Śmiejesz się. – Mogę...? – Sięgasz w stronę torby, a ja spinam się, pewna, że siostra odmówi.

– Tak – zgadza się z radością.

Wysuwasz płytę z przegródki i oglądasz ją uważnie.

– Nie do wiary, to naprawdę Grandmaster Flash.

– And the Furious Five – dodaje. – The Message z udziałem Melle Mel i Duke'a Bootee, nagrana w Sweet Mountain Studios, produkcja Sylvia Robinson, Jiggs Chase i Ed Fletcher. Siedem minut, jedenaście sekund – ciągnie.

Patrzysz na mnie z osłupiałą miną, a potem znów na Heather. Pękam z dumy.

– Niesamowite! Sporo wiesz o muzyce, co?

Zaczyna ci opowiadać o płycie Steviego Wondera: kiedy została nagrana, jakie piosenki są w albumie, wymienia nawet wokalistów studyjnych, muzyków. To robi na tobie ogromne wrażenie. Wyjaśniasz, że jesteś prezenterem. Że pracujesz w radiu. Z początku jest zainteresowana, dopóki nie dowiaduje się, że większość twojej pracy polega na mówieniu. Kwituje, że nie lubi słuchać gadania, tylko muzyki. Pytasz ją, czy była kiedykolwiek w studiu nagraniowym i widziała, jak muzycy nagrywają piosenki, a kiedy odpowiada, że nie, proponujesz, że mógłbyś ją w takie miejsce zabrać, jeśli chce. Heather jest niesamowicie

podekscytowana, a mnie aż zatkąło. Jestem totalnie zdumiona tą rozmową. Nigdy nie podejrzewałam, że to tak będzie wyglądać. Zaczynam się wycofywać, ciągnąć siostrę do domu, żegnam się zdawkowo, a tymczasem wy, starzy kumple, obiecujecie sobie pozostać w kontakcie, ignorując mnie. Ignorując mnie! Już w środku, Heather nawija tylko o twojej propozycji, ja natomiast zaczynam się w duchu wściekać i obmyślać zemstę, jeśli nie dotrzymasz słowa. A gdy scenki w mojej głowie robią się zbyt brutalne, próbuję znaleźć sposób, jak odwrócić uwagę Heather, żeby zapomniała o tym, co powiedziałaś, bo prawdopodobieństwo, że pójdzie do studia nagraniowego, jest minimalne, ponieważ, już poza wszystkim innym, ja się na to nie zgodzę.

Oprócz mnie i Heather na spotkaniu są dziś jej społeczna asystentka Jamie, której jedynym ustępstwem na rzecz zimowej garderoby są grube sportowe skarpety do sandałów, Julie, szefowa z restauracji, i Leilah, która przyszła tu po raz pierwszy. Podoba mi się to, że nie próbuje przeproszać za ojca; prawdę mówiąc, nawet o nim nie wspomina. Leilah ma jedną dużą zaletę: nigdy się nie miesza w relacje między nami a ojcem. Może głównie dlatego, że nigdy nie było w co się mieszać, ale jej obecność tutaj to miły gest i domyślałam się, że chce lepiej poznać Heather, żeby zrozumieć, co zaszło przed tygodniem w jej domu.

Kiedy wszyscy czekają w salonie, zaparzam dzbanek herbaty i parę kubków kawy. Siostra jest przy mnie.

– Heather... – zaczynam, starając się zachować lekki ton. – Dlaczego podałaś rękę temu człowiekowi na dworze?

– Mattowi?

– Tak. Nie ma w tym nic złego, nie rób takiej zaniepokojonej miny, ale nie znasz go, więc po prostu jestem ciekawa...

Zastanawia się nad tym.

– Bo zobaczyłam, że z nim rozmawiasz. I wyglądałaś na bardzo szczęśliwą. No to pomyślałam, że to ktoś miły, skoro moja siostra czuje się przy nim tak dobrze.

Ona nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać.

Skupiam się na ustawianiu rzeczy na tacy. Cały czas usiłuję

jakoś przełknąć wasze spotkanie. W tej chwili muszę czym prędzej wyrzucić cię z głowy. Te posiadówki są ważne dla Heather, ale też dla mnie.

– No to zaczynamy, panno Butler – komunikuję tonem gospodyni tandetnego talk-show.

Heather chichocze.

– Jasmine – mówi zawstydzona, ale bierze się w garść. – Chciałabym spróbować nowego zajęcia. – Patrzy na mnie w szczególny sposób i już wiem, że to będzie dotyczyć Jonathana, o którym ostatnio ciągle słyszę.

Serce zaczyna mi bić jak głupie. Jonathan jest jej przyjacielem od jakiegoś czasu. On też ma zespół Downa i wiem, że Heather się w nim zakochała, co mnie napawa lękiem, tym bardziej że on też się w niej zadurzył. Widzę to w jego oczach, kiedy na nią patrzy. Czuję to, kiedy są w tym samym pomieszczeniu. To piękne i... dla mnie przerażające.

– Jonathan pracuje jako asystent trenera na zajęciach taekwondo – wyjaśnia Heather obecnym. Ja to już wiem, bo poszłam z nią któregoś dnia, żeby popatrzeć, jak Jonathan trenuje dzieciaki poniżej siódmego roku życia, i nie wolno mi było odezwać się ani słowem, bo mogłabym przegapić jakiś jego ruch. – Chciałabym się uczyć taekwondo.

Jamie i Leilah są wspaniałe: szczerze interesują się tym pomysłem i zadają mnóstwo pytań. A ja się martwię. Heather ma trzydzieści cztery lata i z pewnością nie jest sprawna fizycznie, zresztą mnie też z wiekiem coraz dalej do dobrej formy, więc te zajęcia mnie niepokoją. Wygląda jednak na to, że tylko ja mam wątpliwości, więc zgadzam się, żeby spróbowała pójść na trening w najbliższą sobotę rano zamiast na zajęcia z garncarstwa i malowania, które już zdążyły jej się znudzić przez dwa lata.

– Mam pomysł – wtrąca Leilah. – Gdyby nie spodobało ci się taekwondo albo nie było dla ciebie odpowiednie z jakichś powodów, możesz przyjść na moje zajęcia jogi. Ćwiczyłybyś sobie razem z Jonathanem. Co ty na to?

Heather uśmiecha się radośnie na tę propozycję. Mnie też

podoba się ten pomysł: wizja spotkania z Jonathanem w towarzystwie Leilah już nie wywołuje u mnie palpacji serca. Heather zaczyna wpisywać jogę i taekwondo w swój pracowity tydzień. Ja też robię notatki w terminarzu; jej zajęcia wypełniają moje puste strony.

– Kolejny punkt – wołam, a Heather znów się śmieje.

– Jonathan i ja chcielibyśmy pojechać razem na wakacje – oznajmia.

W pokoju zapada cisza, której nie umie wypełnić nawet Jamie. Wszyscy patrzą na mnie. A ja chcę powiedzieć „nie”. Nie, nie, nie. Ale nie mogę.

– Rany... hm... znaczy... rozumiem... hm... – Wypijam łyk herbaty. – Dokąd chcielibyście się wybrać?

– Do mieszkania taty w Hiszpanii.

Leilah gapi się na mnie osłupiała i jeszcze szerzej otwiera oczy.

– A tata pozwoliłby?

– Nie pytałam go. Nie mógł dzisiaj przyjść.

– No cóż, znaczy, nie wiem, czy jest wolne. Leilah? Jest wolne?

– Musiałabym sprawdzić – odpowiada powoli, oszołomiona, że wywołałam ją do odpowiedzi w tak ważnej kwestii. Nie wie, że chcę, żeby zaprzeczyła, albo wie, tylko kłamstwo nie przechodzi jej przez gardło.

– Nawet nie podała wam daty – wcina się Jamie, nie skrywa niezadowolenia z powodu kierunku, w jakim potoczyła się ta rozmowa.

– Wybraliśmy wiosnę – precyzuje Heather. – Jonathan mówi, że latem jest za gorąco.

– I ma absolutną rację – przytakuję, a mój mózg pracuje na zwiększonych obrotach. Teraz już kojarzę, co czuł tata, kiedy mu oznajmiłam, że robię swój pierwszy wakacyjny wypad z chłopakiem. Potem przypomniałam sobie, co ja czułam, kiedy musiałam mu o tym powiedzieć. Spoglądam na Heather i w końcu się uspokajam. – Kochana, ty i Jonathan nigdy wcześniej nie

wyjeżdżaliście razem, a Hiszpania to dość daleko jak na pierwszą podróż. – Kładę nacisk na ostatnie słowa, żeby nie pomyślała, że tak od razu ją gaszę. – Najpierw wybierzcie się na dwa, trzy dni w jakieś ładne miejsce w Irlandii, w którym jeszcze nie byliście. Możecie pojechać pociągiem albo autobusem w jakieś miejsce bliżej domu, ale nie za blisko.

Robi niepewną minę. Ona i Jonathan uzbierali już na bilety i nastawili się na Hiszpanię. Trzeba jednak namówić ją, żeby zrezygnowała z tak poważnego przedsięwzięcia, a to wymaga sporo łagodnej perswazji. Heather jednak słucha uważnie, wszystkich, jak zawsze, bo jest mądra i bierze pod uwagę różne opinie.

Przez ostatnie tygodnie planowałam zabrać Heather na wyspę Fota w zatoce Cork, gdzie znajduje się jedyny w Irlandii rezerwat przyrody. Teraz sugeruję to miejsce, bo na poczekaniu nie potrafię wymyślić nic innego. Siostra w końcu daje się przekonać. Hiszpania idzie w zapomnienie. Jonathan kocha zwierzęta, kocha pociągi, więc to idealny plan. Nic nie poradzę, że mi trochę smutno: tak się cieszyłam, że ją tam zabiorę, a teraz ona będzie dzielić tę frajdę z kimś innym.

– No dobrze. – Biorę głęboki wdech. – Pokoje. – Widzę, że Heather jest zażenowana tym tematem, dlatego przejmuję dowodzenie. – Opcje są takie: dwa pokoje albo jeden pokój z dwoma pojedynczymi łózkami. Albo... – Nie przechodzi mi to przez gardło. Jonathan i Heather są dwojgiem dorosłych ludzi i mają namiętne pragnienia tak jak wszyscy, ale ja czuję się jak nadopiekuńcza matka, której córka oznajmiła, że podobają jej się chłopcy. Znów wciągam powietrze głęboko w płuca i zmuszam się, żeby to wydusić z siebie. – Albo jeden pokój z podwójnym łóżkiem, ale Jonathan może się rozpychać, kto go tam wie – dodaję żartobliwie. – Może ci zająć całe łóżko i sturlasz się na podłogę w środku nocy.

Heather wybucha śmiechem.

– A może chrapie – dodaje Jamie. – O tak. – Zaczyna głośno chrapać, śmiejemy się całą gromadą.

– A może strasznie śmierdzą mu nogi – dorzuca Leilah i zatyka nos.

– Jonathan nie śmierdzi – sprzeciwia się Heather i bierze się pod boki.

– Oooch, Jonathan jest idealny – żartuję.

– Jasmine! – piszczy, znów wywołując powszechną wesołość.

W końcu śmiech cichnie. W milczeniu czekamy na jej decyzję.

– Osobne pokoje – oznajmia cicho.

Natychmiast przechodzimy dalej. Kiedy Jamie zaczyna omawiać logistyczną stronę wyjazdu, puszczam oczko do siostry, a ona uśmiecha się wstydliwie.

To nie pierwszy raz, kiedy wyjeżdża. Podróżowała już wcześniej z grupą przyjaciół, ale zawsze w towarzystwie swojej asystentki albo innego znanego mi dorosłego. Teraz wybrałaby się sam na sam z mężczyzną. Na tę myśl muszę walczyć z nerwowym napięciem, które czuję w żołądku, z uciskiem w gardle i ze łzami napływającymi do oczu.

Omawiamy kolejny problem: choć Heather jest wdzięczna za wszystkie trzy prace, które wykonuje w tygodniu, najbardziej w życiu kocha muzykę, a żadne z jej zajęć nie ma z nią związku. Bardzo by chciała pracować w stacji radiowej albo w studiu nagraniowym i opowiada całemu towarzystwu o swojej rozmowie z Mattem Marshalllem. Wszyscy zgodnie stwierdzają, że to wspomniały zbieg okoliczności, że spotkała go akurat tego dnia, kiedy chciała o tym porozmawiać.

– Jasmine, może zaprosiłybyśmy Matta Marshalla na następne spotkanie, żeby pogadać i zobaczyć, co się da zrobić? – sugeruje Jamie.

Heather niemal piszczy z radości, tak jest podekscytowana tą perspektywą.

Zawsze się staram, żeby nasze spotkania miały pozytywną energię, więc próbuję zachować pogodny ton.

– Może uda się to zaplanować. Może. Być może. Kiedy już z

nim porozmawiam i dowiem się, czy w ogóle są jakiegokolwiek opcje. Jeśli akurat znajdzie czas... chociaż teraz ma przerwę w pracy. Więc... tak. Może – mówię w końcu.

Leilah przygląda mi się podejrzliwie. Czuję ulgę, kiedy podejmujemy kolejny temat.

Po spotkaniu z ciężkim sercem zamykam drzwi za gośćmi i idę na górę, do sypialni. Nie zazdroszczę siostrze, nigdy nie zazdrościłam. Zawsze chciałam dla niej lepszego życia, choć na pewno jest szczęśliwa, mając takie, jakie ma. Dzisiaj jednak po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że ona zawsze wiedziała, jaki kierunek obrać, zawsze wspierał ją zespół. Ludzie jej pomagali, doradzali, służyli za przewodników. Ona wiedziała, co robić. To ja nie wiem. To ja nagle straciłam orientację, to ja nie mam żadnego CELU. Świadomość tego spada na mnie jak tona cegieł, aż nie mogę złapać tchu. Gdyby ktokolwiek spytał mnie teraz, w tej chwili, nie potrafiłabym powiedzieć, jakie są moje marzenia, czego oczekuję, czego pragnę. Gdyby kazano mi wprowadzić plan w życie, nie miałabym pojęcia, od czego zacząć.

Czuję się zupełnie zagubiona.

WIOSNA

*Pora roku między zimą a latem, na półkuli północnej
obejmuje marzec, kwiecień i maj.*

*Wszystko w przyrodzie się odradza i odzyskuje siły witalne po
okresie zmniejszonej lub zerowej aktywności.*

Przez całe życie szanowałam znaki i się do nich stosowałam. Kiedy jadę przez osiedle, gdzie jest: „uwaga – dzieci”, posłusznie zwalniam. Kiedy przy drodze w Park Phoenix widzę znak z reniferem, wiem, że muszę się mieć na baczności, bo zwierzę może nagle wyskoczyć zza drzewa. Zawsze zatrzymuję się na „stop”, ustępuję pierwszeństwa, kiedy trzeba. Ufam znakom. Wierzę, że są odpowiednie, z wyjątkiem przypadków, kiedy jakiś wandal obrócił tablicę w niewłaściwym kierunku. Wierzę, że znaki są po mojej stronie. Dlatego nie bardzo rozumiem ludzi, którzy mówią, że wierzą w znaki, bo one dają jasne wytyczne, co dalej robić. Oczywiście, chodzi o znaki jako symbole, nie jako realne przedmioty.

Symbol to coś widzialnego, co reprezentuje coś niewidzialnego. Symbol jest abstrakcyjny. Biały gołąb jest ptakiem, ale też symbolem pokoju. Uścisk dłoni to działanie, ale też symbol przyjaźni. Symbol reprezentuje coś przez skojarzenie. Często musimy się zastanowić, z czym się kojarzy, bo to nie zawsze takie oczywiste. Kiedy pierwszego marca, pierwszego dnia meteorologicznej wiosny, biegnę sobie wzdłuż Zatoki Dublińskiej w stronę domu, ukazuje mi się prześliczna tęcza. Z daleka wygląda tak, jakby lądowała wprost w moim ogródku na tyłach, a może nawet na dachu, żeby przebić się do domu. To nie jest znak. Tęcza nie daje żadnej wskazówki do wykonania. To symbol. Podobnie jak przebiśniegi, które walczyły, żeby wykluć się z ziemi w styczniu i w lutym, a potem stały ramię w ramię, śliczne i nieśmiałe, wcielenie delikatności, jak gdyby to, co zrobiły, czego dokonały, walcząc z żywiołem, nie było żadnym wyczynem. W ich wykonaniu wydawało się to łatwe.

Kolejny przykład – Monday O’Hara. To, że pojawił się w moim życiu, zaproponował mi pracę, w ogóle że mnie odnalazł i uznał za wartą wysiłku. To również symbolizuje coś niewidzialnego. Często o nim myślę, nie tylko dlatego, że taki przystojny, ale ze względu na to, co reprezentuje. Od naszego

spotkania dwa razy rozmawialiśmy przez telefon i najchętniej wcale bym się nie rozłączała. A on albo jest tak oddany pracy, że poświęca mi tyle czasu, albo też nie ma ochoty się rozłączać. Miesiąc – bo tyle dał mi na zastanowienie się nad posadą – właśnie minął. Nie mogę się doczekać, kiedy znów zobaczę tego gościa.

Tęcza nad moim domem, przebiśniegi, dywan fioletowych krokusów w ogródku Malone'ów i Monday O'Hara to dla mnie symbole. Widzialne zjawiska, które symbolizują coś niewidzialnego: nadzieję.

Zaczynam dzień od porządków. W ekspresowym tempie robię najpierw koszmarny bałagan, więc dociera do mnie, że potrzebuję kontenera na śmieci – i mam go, ale stoi na podjeździe pełen drogiego kamienia, który przyciąga podejrzanych typów; wciąż pukają do moich drzwi i pytają, czy nie pomóc mi się go pozbyć. Aby więc zappełnić kontener niepotrzebnymi kłopotami z domu, muszę najpierw gdzieś przenieść kamienie. Wtedy przypominam sobie twój pomysł ogródka skalnego. I choć wkurza mnie, że korzystam z twojej rady – a jeszcze bardziej to, że zobaczysz, jak z niej korzystam, ponieważ kontener znajduje się przed domem, na wprost twoich okien – wiem, że właśnie to trzeba zrobić. Za późno, żeby prosić projektanta ogrodów o pomoc. Kiedy pojawił się po burzy, spodziewając się znaleźć stertę darni zniszczoną przez deszcz i wiatr, a zamiast tego zastał niezbyt idealny trawnik, powiedziałam mu, że resztę ogródka urządzę sama. Skończę to, co zaczęłam. Choć oczywiście nigdy nie dałabym Larry'emu tej satysfakcji: nie dowie się, że jego uwaga popchnęła mnie do zrobienia czegoś samodzielnie.

Porzucam więc zabałaganiony dom i skupiam się na ogródku. Zamierzam zająć się nim porządnie, skierować na niego całą swoją uwagę. Spisuję listę i wyruszam do marketu ogrodniczego kupić niezbędne rzeczy. Jestem skoncentrowana. Skoncentrowana na celu – ogrodowym celu. Dostaję dwa SMS-y od koleżanek z propozycją wyjścia na kawę, ale kiedy już zamierzam zgodzić się na pierwszą – co ostatnio robiłam odruchowo, chwytając się każdej okazji w środku tygodnia i środku dnia – nagle orientuję się, że

jestem zajęta. Mam mnóstwo pracy do wykonania, zanim znów zaczną się zbierać burzowe chmury. Bez problemu wysyłam odpowiedź: jestem zajęta. Bardzo zajęta. I to przyjemne uczucie.

Dzień wydaje się idealny do tej pracy, bo ziemia jest sucha. Doszłam do wniosku, że z moim „naturalnym indyjskim piaskowcem” nie uzyskam dzikiego wyglądu skalniaka, jaki sobie wymarzyłam, umawiam się więc, że dostarczą mi naturalny kamień. W końcu uczynny młody pracownik marketu, który udzielał mi rad przy każdej wycieczce po zakupy, podjeżdża z przyczepą pełną kamieni. W samą porę.

Ogląda mój piaskowiec.

– Szkoda by było go zmarnować – mówi.

Stoimy z rękami na biodrach i przyglądamy się płytom.

– Mogłaby pani zrobić z nich ścieżkę, tak jak sąsiedzi.

Przyglądamy się wychuchanemu ogródkowi państwa Malone’ów i ich dróżce w kształcie serca, która prowadzi do domku wrózek. Eddie ze swoim młotem pneumatycznym nie był zbyt delikatny, więc moje kamienie mają nieregularne kształty. Ale dzięki temu wyglądają bardziej naturalnie, a mnie się to nawet podoba. Kiedy pracownik marketu odjeżdża, zaczynam bawić się w układanie płyt z piaskowca na trawniku. Improvizuję: używam końca grabi, żeby wymierzyć grubość płyt. Potem mierzę długość swojego kroku i kładę kolejne płyty tak, żeby znalazły się pod stopami w odpowiednich odległościach. Sierpowatym nożem wycinam obrys każdego kamienia – stopą przyciskam nóż, żeby przebić się na wylot przez darń. Potem wyrywam wycięty kawałek. Pogłębiaj dołek na grubość płyty. Całą operację powtarzam przy każdym z dziesięciu kamieni, które ułożyłam w ścieżkę prowadzącą od domu do przyszłego skalniaka. Mieszam drobny grys z wodą w moich nowych taczkach aż do uzyskania konsystencji ciasta na babkę. Nakładam pięć centymetrów mieszanki w każdą dziurę, żeby kamienie nie chwiały się i nie zapadały, po czym wciskam płytę na miejsce i dobijam gumowym młotkiem. Używam poziomicę, żeby leżały równo. Wszystko to zajmuje mi sporo czasu.

O szóstej po południu zapada już zmrok, a ja jestem spocona, głodna, obolała, zmęczona – i tak zadowolona z siebie jak chyba nigdy w życiu. Całkowicie straciłam rachubę czasu, choć gdzieś w trakcie pan Malone, przycinając róże, oznajmił mi wesołym głosem, że powinien to zrobić w styczniu i w lutym, ale przez chorobę Elsy zupełnie nie miał do tego głowy.

Kiedy wieczorem padam do łóżka i wyciągam się w świeżej pościeli pachnącej płynem „Letnia bryza”, reflektuję się, że przez cały dzień ani przez chwilę nie myślałam o swoich problemach. Umysł miałam całkowicie zaabsorbowany bieżącym zadaniem. Może to kwestia genów odziedziczonych po dziadku, a może tego, że jestem Irlandką, ale wyrosłam z ziemi i ten przymus kopania, i samo kopanie, przywraca mnie do życia. Weszłam do ogródka cała spięta, ale jak tylko zaczęłam pracować, napięcie zniknęło bez śladu.

Gdy miałam siedem lat, mama kupiła mi pierwszy rower, „Różowy wrzos”, z biało-liliowym wiklinowym koszykiem z przodu i dzwonkiem, którym lubiłam się bawić, nawet gdy nie jeździłam, tylko na przykład siedziałam na trawie. Uwielbiałam jego dźwięk, czułam, że to głos mojego roweru. Zadawałam mu pytanie, a on drrrryń, odpowiadał. Spędzałam całe dni, jeżdżąc po ulicy – krążyłam, wskakiwałam i zeskakiwałam z krawężników, szybko, powoli, na hamulcu, jakbym była łyżwiarką figurową, która tańczy przed wiwatującą publicznością i sędziami. Wieczorem zostawałam na dworze tak długo, jak się dało, a kolację wręcz połykałam, aż czasem boleśnie dławiała mnie w przełyku, byle tylko móc popędzić z powrotem do swojego roweru. W nocy płakałam, że muszę go zostawić. Parkowałam go w ogródku i patrzyłam, jak stoi sam i czeka na mnie, na naszą kolejną przygodę. Teraz znów czuję się jak dziecko: spoglądam przez okno na pogrążony w mroku ogródek i dokładnie wiem, co gdzie umieścić, wyobrażam sobie każdy element, obmyślam, jak mogę go ukształtować, pielęgnować. Mam tyle możliwości.

Potem śnię przecudowny sen o Mondayu O’Harze, który wymienia z nabożnym zachwytem wszystko, co udało mi się

zrobić w ogródku, tyle że to nie jest już mój ogródek, a Ogrody Powerscourt w hrabstwie Wicklow[9]. Wzruszam ramionami, słuchając jego komplementów, mówię mu, że jestem przebiśniewem, a przebiśniewi właśnie to robią, to nic wielkiego, przebijamy się ponad glebę jak pięści uniesione na znak zwycięstwa. Relacje między nami nabierają temperatury, kiedy nagle w mój sen wdziera się *Paradise City*. Muzyka drze się z megafonów zamocowanych na dachu furgonetki głównego ogrodnika, który raz po raz informuje turystów, że wkrótce zamyka ogrody; Monday orientuje się, że jestem oszustką, że ogrody, które mu pokazałam, nie są moje, że skłamałam. Nagle ogrodnik opuszcza przyciemnianą szybę. To jesteś ty. Patrzysz na mnie i radośnie szczerzysz zęby, twój uśmiech zmienia się w śmiech, który przybiera na sile, a muzyka nadal ryczy. Budzę się gwałtownie i wciąż słyszę *Paradise City*. Zaciskam powieki w nadziei, że wrócę do snu z Mondayem i od nowa zacznę tam, gdzie przerwałam, zanim ogrodnik wszystko zniszczy. Ale kiedy znów zasypiam, to jest już zupełnie inny sen – Kevin siedzi na trawie i plecie wianki ze stokrotek. Wszyscy dookoła są ubrani na czarno, a on mówi i zachowuje się tak, jakby znów miał dziesięć lat, choć wygląda już na mężczyznę, z którym spotkałam się w Starbucksie, a kiedy podchodzi, żeby założyć mi wianek na dłoń, zauważam, że tak naprawdę ozdoba jest z róż i kolce tną mi skórę.

Budzą mnie głosy na dworze. Zdezorientowana wytaczam się z łóżka i wyglądam przez okno. Siedzisz przy stole w swoim ogródku z doktorem Jamesonem. Stół jest już tak zniszczony, że drewno się łuszczy i obłazi. Powinno się je zaimpregnować – ale dlaczego to wydaje mi się ważniejsze niż widok Jamesona z tobą na dworze o trzeciej dziesiąt nad ranem? Doktor siedzi przodem do mnie, ty jak zwykle u szczytu stołu. Na blacie stoi kolekcja puszek. Właśnie dopijasz zawartość jednej z nich, twarz masz zwróconą do nieba, wyciskasz ostatnią kroplę. Zgniatasz opróżnioną puszkę i rzucasz ją w drzewo. Chybiasz, więc natychmiast chwytasz pełną i ciskasz ją gniewnie. Tym razem trafiasz w cel i z pękniętej puszką kipi piana.

Doktor Jameson milknie, żeby popatrzeć, gdzie wylądowała, po czym zaczyna mówić dalej. Nic nie rozumiem. Może zgubił klucz do twojego domu, a jednak z uprzejmości nie chcecie mnie budzić i prosić o kolejny zapasowy. To wydaje mi się bardzo nieprawdopodobne. Bekasz tak głośno, że dźwięk odbija się echem od muru na ślepych końcu ulicy. Nie słyszę słów doktora, choć usilnie się staram cokolwiek wychwycić, w końcu jednak zasypiam ukołysana spokojną melodią jego głosu.

Tym razem śni mi się rozmowa z dziadkiem Adalbertem. Choć jestem dorosła, znów czuję się jak dziecko. Stoimy w jego ogrodzie za domem i dziadek pokazuje mi, jak wysiewać nasiona. Pod jego czujnym okiem rozsypuję pestki słonecznika, przysypuję je ziemią i podlewam. Dziadek mówi do mnie jak do dziecka. Pokazuje mi, w jaki sposób przycina swój zimowy jaśmin i tłumaczy, że można to robić dopiero, kiedy kwiaty całkowicie zamrą. Pokazuje, jak przycina się wszelkie uschnięte i uszkodzone gałązki, żeby poprawić pokrój i gęstość rośliny, a potem skraca boczne odrosty na pięć centymetrów od głównych łodyg. To zapewni bujny rozkwit kolejnej zimy.

– Mnóstwo nowych pędów, Jasmine – mruczy, pracowicie nawożąc i okrywając roślinę tuż przy ziemi.

– To nie jest znak, dziadku. – Specjalnie udaję dziecinny głos, bo nie chcę go zranić przypomnieniem, że już jestem dorosła. Mógłby sobie przez to uświadomić, że od dawna nie żyje. – To mi nie mówi, jaki kierunek obrać – ciągnę, ale on, odwrócony tyłem do mnie, nie przerywa pracy.

– Naprawdę? – odzywa się takim tonem, jakbym bełkotała i plotła od rzeczy.

– Tak, dziadku. Jaśmin jest przycięty, ale gotowy, żeby rosnąć, i to nie znak, tylko symbol.

W tej chwili odwraca się i choć wiem, że śnię, mam pewność, że to on, to naprawdę on. Rozpromienia się, twarz mu się marszczy, oczy niemal zamykają, a rumiane jak jabłka policzki unoszą się w serdecznym uśmiechu.

– Brawo, Jasmine.

Budzę się. Po policzku spływa mi łza.

Jest sobota i gdy tylko otwieram oczy w złotawym świetle sypialni, mam ochotę wyskoczyć z łóżka, szybko włożyć dres i pędzić do ogródka, tak jak chłopiec z filmu *Bałwanek* – ledwie nad sobą panuje, tak bardzo chce zobaczyć się z nowym przyjacielem. Oczywiście w moim przypadku nie chodzi o bałwana, ale o stertę kamieni, które muszę ułożyć na łagodnym przydomowym stoku.

Kiedy jestem już na dworze i patrzę na kamienie, podjeżdża Amy z dziećmi. Wsiadają z samochodu i powoli, z nieszczęśliwymi minami odchodzą od niej. Otwierasz drzwi i jeszcze zanim docierasz do podjazdu, żeby się przywitać, ona odjeżdża. To nie jest dobry znak. Dzieci cię ściskają – ale nie Fionn; on wlecze się podjazdem i wchodzi do domu.

W końcu zapada cisza. Cudownie. Tyle że nie trwa długo. Pan Malone pojawia się w ogródku i słyszę, jak szoruje kamienie na swojej ścieżce.

– Nie powinno się używać myjki – wyjaśnia, gdy dostrzega, że mu się przyglądam. Na kolanach ręcznie szoruje płyty. – To psuje wygląd kamienia. Muszę uporządkować ogród dla Elsy. Jutro wraca.

– Wspaniała nowina, Jimmy.

– To już nie to samo. – Wstał z klęczek, idzie w moją stronę i spotykamy się w pół drogi, gdzie kończą się jego krzaki i trawa, a zaczyna mój samochód i brukowany podjazd.

– Jak to?

– Ona już nie jest taka sama. Ten wylew... – Kiwa głową do siebie, jakby dokończył zdanie w myślach i sam się z nim zgodził. – Nie jest taka sama. Ale Mariorje będzie szczęśliwa. W domu też posprzątam, choć nie wiem, czy Elsa w ogóle zauważy.

Moje obowiązki karmicielki kotki skończyły się, kiedy tylko doktor Jameson wrócił z wakacji, ale zauważyłam, że Jimmy nie radzi sobie najlepiej bez żony. Kuchenny zlew pełen brudnych naczyń, w lodówce paskudny zapach. Nie chciałam się narzucać, ale uznałam, że w sumie to niewielka pomoc, więc umyłam

naczynia i wyrzuciłam spleśniałe warzywa i skisłe mleko z lodówki, zresztą jedyne rzeczy, jakie w niej były. Jimmy tak przywykł do tego, że ktoś inny dba o dom, że nawet nie odnotował, a przynajmniej nie skomentował moich poczynań. Kiedy doktor Jameson wrócił do swojej roli pomocnego sąsiada, wątpiałam, czy jego obowiązki obejmują mycie naczyń. Choć z drugiej strony jego sąsiedzkie poczucie odpowiedzialności za ciebie, jeśli to było to, przeciągnęło się do wpół do czwartej w nocy. O czym rozmawialiście do tak późna? Ty – pijany w sztok, rozśpiewany i rozwrzeszczany, i doktor Jameson – w kurtce North Face i z opalenizną na twarzy?

Milczę przez szacunek dla wewnętrznych rozważań Jimmy'ego, choć wiem, że nie oczekiwał odpowiedzi. W końcu pytam:

– A kiedy najlepiej sadzić drzewa?

Otrząsa się ze swoich smętnych rozmyślań i natychmiast ożywa.

– Najlepsza pora, hm?

Kiwam głową i natychmiast żałuję, że zapytałam. Prawdopodobnie czeka mnie rozwlekły wykład.

– Wczoraj. – Śmieje się, choć w oczach wciąż ma smutek. – Jak na wszystko inne. A jeśli wczoraj się nie udało, to teraz. – I wraca do czyszczenia kamieni.

Twoje drzwi otwierają się i na dwór wychodzi Fionn, cały na czarno, z kapturem zasłaniającym pół twarzy. Młodzieńcze pryszczki i piegi trochę kłóć się z jego mrocznym stylem ubierania. Podchodzi do mnie.

– Ojciec kazał mi pani pomóc – rzuca.

– Ach tak. – Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć. – Ja, ehm, nie potrzebuję pomocy. Naprawdę, dam sobie radę. Ale dzięki. – Lubię pracować samotnie, w spokoju. Nie chcę się zmuszać do pogawędek albo dawania instrukcji. Wolałabym zabrać się do tego sama.

Fionn tęsknie spogląda na kamienie.

– Wyglądają na ciężkie.

To fakt. Ale powtarzam sobie, że nie potrzebuję pomocy. Nigdy nie proszę o pomoc.

– Ja nie chcę tam wracać – mówi bardzo cicho. Kiedy spoglądam na niego, w milczeniu gapi się na kamienie tak, jakby w ogóle się nie odezwał, więc zastanawiam się, czy naprawdę to słyszałam. Jak mogę mu odmówić po czymś takim? I ciekawe, czy to rzeczywiście był twój pomysł, żeby Fionn przyszedł mi pomagać. Wątpię.

– Zaczniemy od tego. – Wskazuję okazały kamień. – Chcę go położyć tam.

Obecność Fionna sprawia, że ruszam się sprawniej, podejmuję decyzje szybciej, niż gdyby go nie było. Z początku silę się na rozmowę, wymyślam, co do niego mówić, żeby było fajnie, dowcipnie, młodzieżowo, ale Fionn wciąż odpowiada monosylabami, domyślam się więc, że ma taką samą ochotę na rozmowę jak i ja. Pracujemy zatem bez słowa. Zaczynamy od dołu stoku i posuwamy się w górę. Nasza komunikacja ogranicza się do pojedynczych słów, wskazówek, czy przesunąć kamień w prawo, w lewo i tak dalej. W miarę upływu godzin Fionn coraz śmieiej podrzuca propozycje, gdzie umieścić to czy tamto.

W końcu spoceni i zasapani przyglądamy się rozmieszczeniu kamieni. Zadowoleni ze wstępnego efektu zabieramy się do starannego osadzania każdego z nich, żeby siedział porządnie, przynajmniej do połowy zagłębiony w ziemi. Mieszamy kompost z grubym piaskiem, aby kamienie stabilniej tkwiły w podłożu. Na kolejnym poziomie kładziemy mniejsze kamienie i zostawiamy mnóstwo kieszeni dla roślin. Po każdym etapie odsuwamy się i porządnie przyglądamy swojemu dziełu z różnych miejsc.

Fionn milczy.

– To będzie wyglądało lepiej z roślinami i kwiatkami – mówię skrępowana, gotowa bronić swojego kawałka ziemi.

– Tak – odpowiada nieodgadnionym tonem. Jego głos jest płaski, bez wyrazu. Chłopak sprawia wrażenia, jakby jednocześnie był przejęty i miał to gdzieś.

– Zastanawiam się, czy nie wbudować tu fontanny – dodaję.

Sprawdzałam już, jak to się robi, i bardzo się cieszę, bo znalazłam filmik z instruktażem, jak zbudować fontannę w osiem godzin. Jeszcze większą radochę sprawiło mi to, że będę mogła wykorzystać do tego swój indyjski piaskowiec.

Oboje w milczeniu przyglądamy się skalniakowi i zastanawiamy nad odpowiednim miejscem.

– Mogłaby być tam – mówi Fionn.

– Ja myślałam, że bardziej w tę stronę.

Fionn znów milczy przez chwilę, w końcu pyta:

– Gdzie jest najbliższe gniazdko?

Wzruszam ramionami.

– Będzie potrzebne do pompy. Zaraz, ma pani lampy. – Chodzi po ogródku, szuka źródła zasilania moich lamp antywłamaniowych. – Tutaj. Najlepiej zrobić fontannę bliżej tego miejsca.

– Okej – odpowiadam równie obojętnym tonem; wcale nie chcę, ale to uzależnia. O wiele łatwiej się nie wysilać i rozumiem, dlaczego to robi. – Przeprowadzę rurę tędy, pod kamieniami, o tak. – Układam kawałki piaskowca jeden na drugim, żeby mu pokazać. – Woda będzie wypływać przez środek.

– Znaczą tryskać w górę?

– Nie, raczej... kipieć.

Kiwa głową, raz. Nie jest pod wrażeniem.

– Zamierza to pani robić teraz?

– Jutro.

Ma zawiedzioną minę, choć nie mogę mieć pewności przy jego zachowaniu, które oscyluje między nonszalancją a przygnębieniem. Nie zapraszam go na jutro. Nie przeszkadzało mi jego towarzystwo, ale wolę działać sama, zwłaszcza że nie mam pojęcia, co robię. Chcę szukać drogi samodzielnie i nie musieć o tym dyskutować, tłumaczyć czegokolwiek. Choć z Fionnem nie byłoby zbyt żywej dyskusji.

– Zużyje pani wszystkie kamienie?

– Połowę.

– Da mi pani drugą połowę?

– Po co ci?
Wzrusza ramionami, ale to jasne, że coś mu chodzi po głowie.
Patrzę na niego, czekam na ciąg dalszy.
– Żeby je rozwalić.
– Aha.
– Mogę to pożyczyć? – Wskazuje mój gumowy młotek.
W jego oczach po raz pierwszy widzę coś w rodzaju nadziei.
– Okej – przytakuję niepewnie.
Ładuje kawałki piaskowca do taczek i wiezie na drugą stronę ulicy, do twojego stołu. Potem wraca po więcej. Kiedy tak chodzi tam i z powrotem, ty wynurzasz się z domu, żeby zobaczyć, co robi. Nawet pytasz go o to, ale ignoruje cię i wraca do mojego ogródka. Przyglądasz mu się przez chwilę, potem idziesz za nim.
– Cześć. – Kroczysz ścieżką z rękami w kieszeniach.
Przyglądasz się skalniakowi. – Wygląda nieźle.
– Dzięki. Niech to szlag – klnę nagle, bo zza rogu wyłania się mój kuzyn Kevin. Idzie sobie powoli i rozgląda się na prawo i lewo, szukając mojego domu. – Nie ma mnie. – Rzucam wszystko i pędzę do środka.
– Co?
– Nie ma mnie – powtarzam, wskazując Kevina, po czym przemykam drzwi. Zostawiam szparę, bo chcę słyszeć, co mówi.
Spacerkiem wchodzi na podjazd.
– Dzień dobry – wita się z tobą i Fionnem, który bardzo ostrożnie układa płyty w taczkach, choć wcześniej twierdził, że zamierza je rozwalić.
– Dzień dobry – odpowiadasz.
Kiedy cię nie widzę, brzmisz bardziej jak prezenter, tak jakby twój „radiowy głos” był zarezerwowany dla obcych. Przemykam się do okna obok drzwi i zerkam znad parapetu. Kevin wygląda niczym pastor: wyprostowany jakby kij połknął, brązowe sztruksy, płaszcz przeciwdeszczowy. Wszystko dobrane, schludne, w kolorach ziemi. Wyobrażam go sobie w sandałach latem.
– Jasmine nie ma – oznajmiasz.

– Ach tak. – Kevin spogląda na dom, więc się chowam. – Szkoda. Na pewno? Bo... hm, drzwi są otwarte.

Przez moment boję się, że zaraz przyjdzie mnie szukać, tak jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi i absolutnie nie chciałam, żeby mnie znalazł. Bo ten, kto cię znajdzie, musi się przyłączyć do ciebie i oboje czekacie w ukryciu, aż namierzy was reszta. Kevin zawsze znajdował mnie pierwszy i pchał się do mojej kryjówki, przyciskał do mnie, aż czułam jego oddech na szyi i bicie serca przy skórze. Już wtedy było mi z tym nieswojo.

Milczysz. Niesamowicie, nie potrafisz wymyślić kłamstwa. Oczywiście nigdy nie przyłapałam cię na kłamstwie, ale po prostu ogólnie mam o tobie złe zdanie, więc zakładam, że jesteś też kłamcą. To Fionn przychodzi mi na ratunek.

– Zostawiła otwarte dla nas. Jesteśmy jej ogrodnikami – mówi, i ten jego brak emocji, brak zainteresowania czynią go absolutnie wiarygodnym.

Spoglądasz na niego z podziwem.

– Aha. W takim razie jeszcze raz spróbuję zadzwonić na komórkę – odpowiada Kevin. Zaczyna ustępować. – Na wypadek gdybym się nie dodzwonił, przekażcie jej, że był tu Kevin, dobra? Kevin.

– Kevin, okej – powtarzasz wyraźnie zażenowany, że znalazłeś się w tej sytuacji.

– Jasne, Kieran – rzuca Fionn i rusza ścieżką z taczkami.

– Kevin – powtarza mój kuzyn miłym, choć lekko zaniepokojonym tonem.

– Tak, tak – mówisz, a on wolnym krokiem rusza tam, skąd przyszedł. Wciąż ogląda się przez ramię, upewnia się, czy nagle nie wyskoczę z domu. Nawet kiedy już go nie widać, nie czuję się bezpieczna.

– Poszedł – informujesz i pukasz w drzwi.

Otwieram je powoli, wyslizguję się i staję obok ciebie, żebyś mnie zasłonił, gdyby Kevin jednak zawrócił.

– Dzięki.

– Chłopak?

– Rany, nie. Ale chce być z mną.

– A ty nie chcesz.

– Nie

– Wygląda na miłego faceta.

Muszę natychmiast ukręcić łeb tej niewinnej pogawędce. Nie chcę z tobą rozmawiać o moim życiu miłosnym czy też jego braku.

– To mój kuzyn – wypalam w nadziei, że to zamknie temat Kevina.

Otwierasz szeroko oczy.

– Jeju.

– Adoptowany.

– Aha.

– Mimo wszystko to jest i zawsze będzie dla mnie obrzydliwe – dodaję na swoją obronę.

Cisza.

– Ja z kolei mam taką jedną kuzynkę, Eileen – rzucasz nagle.

– Miała naprawdę wielkie balony, nawet kiedy byliśmy smarkaczami. Kiedy o niej myślę, pamiętam tylko te... – Unosisz rozpostarte dłonie na wysokość piersi, jak gdybyś trzymał w nich potężne porcje powietrza. – Zawsze się w niej kochałem.

Mówiliśmy na nią Tacka na Okruszki, bo wszystko jej spadało na te cycki. Jak na półkę.

Cały czas oboje patrzymy na Fionna, nie na siebie. Stoimy plecami do ściany mojego domu, przodem do ulicy.

– Dorobiła się już gromadki dzieci. Więc jej melony są raczej tutaj... – Opuszczasz dłonie, tak że wyimaginowany biust opada w okolice pasa. – Ale gdyby mi jutro powiedziała, że jest adoptowana... Brałbym się za nią, wiesz?

– Matt – wzdycham.

Zerkam na ciebie i widzę ten twój psotny wyraz twarzy. Kręcę głową. Czy twoja historia jest prawdziwa, czy nie, podpuszczasz mnie z rozmysłem. Nie chwytam przynęty.

– Twoja siostra...

– Ma zespół Downa – wchodzę ci w słowo. Krzyżuję ręce na piersi, gotowa do walki. Wiecznie na baczności: Co ty

powiedziałeś o mojej siostrze? To była przyczyna większości moich dziecięcych bólek. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Wyglądasz na zbitego z tropu, więc trochę łagodzę postawę.

– Nooo..., ale chodziło mi o to, że jest prawdziwą melomanką.

Podejrzliwie mrużę oczy i zakładam, że mówisz szczerze.

– A. – Pauza. – Tak. To prawda.

– Prawdopodobnie wie więcej ode mnie.

– To akurat nie jest jakiś wielki wyczyn.

Uśmiechasz się.

– Zorganizowałem coś dla niej na przyszły tydzień.

Zwiedzanie stacji. Myślisz, że będzie zainteresowana? Tak sobie pomyślałem. Robiłem to wcześniej dla paru osób, ale nigdy dla kogoś, kto, jak sądzę, naprawdę to doceni i w pełni z tego skorzysta. Co ty na to?

Gapię się na ciebie osłupiała; stać mnie tylko na szybkie skinienie głową.

– Świetnie. Mam nadzieję, że się nie pogniewasz za to pytanie, ale chciałbym wiedzieć, jak to urządzić, żeby było dobrze. Mam po nią podjechać czy ty chcesz ją zawieźć? Może dotrze sama?

Wciąż wpatruję się w ciebie, zaskoczona. Nie poznaję cię. To, że zorganizowałaś dla niej wizytę w radiu i że masz na tyle rozsądku, żeby się zastanawiać nad logistyką, nie mieści mi się w głowie.

– Załatwiłeś jej zwiedzanie?

Masz zdezorientowaną minę.

– Przecież obiecałem. Coś nie tak? Odwołać?

– Nie, nie – odpowiadam szybko. – Będzie bardzo szczęśliwa. – Z trudem znajduję kolejne słowa. – Sama dojedzie autobusem – zapewniam, znów lekko najeżona. – To dla niej nie jest żaden problem.

– Super. – Wpatrujesz się badawczo w moje oczy; nie podoba mi się to.

– Ale mogę ją przywieźć – dodaję. – Jeśli nie masz nic

przeciwko.

– Oczywiście. – Uśmiechasz się. – Jesteś opiekuńczą starszą siostrą.

– Młodsza.

Marszczysz brwi.

– Heather jest starsza ode mnie.

Nagle wszystko staje się dla ciebie jasne. Robisz taką minę, jakby cię olśniło. Ale pod spodem kryje się ironia.

– No tak, teraz rozumiem. Jest dojrzała od ciebie.

Uśmiech łaskocze kąci moich ust, ale nie pozwalam im nawet drgnąć. Odwracam wzrok na Fionna. Podążasz za moim spojrzeniem.

Patrzemy, jak chłopak bierze młotek.

– Naprawdę mu na to pozwolisz? – pytasz.

– A ty pozwolisz?

– To nie moje kamienie.

– Okruch może mu wpaść do oka.

Cisza.

– Może się skaleczyć. Trafić w tętnicę.

Ruszasz w stronę syna.

Nie wiem, co mu mówisz, ale na pewno nie poradziłeś sobie najlepiej. Jeszcze nie skończyłeś zdania, a Fionn zaczyna rozwalać kawałki mojego drogiego indyjskiego piaskowca na twoim stole ogrodowym. Odskakujesz, żeby nie trafiły w ciebie odłamki. Zupełnie jakbyś dla niego nie istniał.

Przez dwadzieścia minut rozbija wszystko w drobny mak, z policzkami zaczerwienionymi z wysiłku, z gniewnym grymasem na twarzy. Twoja córka, blondyneczka, która zawsze tańczy, zamiast chodzić, przygląda mu się z wnętrza jeepa, bo bliżej nie pozwoliła jej podejść, a ty stoisz pod drzwiami z założonymi rękami, wyprostowany, raczej zatroskany niż zażenowany, i patrzysz, jak wyżywa się na moich kosztownych kamieniach. Kiedy kończy, ocenia swoją robotę; ramiona zwisają mu luźno, wolne od napięcia. Potem unosi wzrok i patrzy wokół, nagle zauważa otoczenie i obserwujących go ludzi, tak jakby wybudził

się ze śpiączki. Znow tężęje, znow nasuwa kaptur na głowę – żółw chowa się w skorupie. Wrzuca młotek do taczki i pcha ją przez ulicę.

– Dzięki – burczy do mnie, potem odchodzi. Powłóczy nogami, idzie z opuszczoną głową. Mija swoją siostrę i przepycha się obok ciebie, żeby wejść do domu. Słyszę trzaśnięcie drzwi na piętrze.

To wszystko przypomina mi, że powinnam zadzwonić do ojca.

Powinnam. Ale nie dzwonię. Kilka tygodni po rozpoczęciu tego cholernego urlopu ogrodniczego zrozumiałam, że ja zatrasnęłam swoje drzwi dawno temu, nawet nie pamiętam, kiedy to się stało – nie wiem, kiedy zatrasnęłam ani kiedy to do mnie dotarło – teraz jednak to dla mnie oczywiste, ale nie jestem jeszcze gotowa wyjść ze swojego pokoju.

W środku nocy budzą mnie te same ciche głosy – płyną z łagodną bryzą do mojego domu, jakby ten wietrzyk był posłańcem, który dostarcza mi je do rąk własnych. Sekundę po przebudzeniu jestem już całkiem przytomna. Nieważne, że totalnie nie mam siły; wczorajsza fizyczna praca w ogródku tak mi dała w kość, że teraz przy każdym ruchu czuję jej efekty, ale to satysfakcjonujący ból. To nie ból głowy, do którego przywykłam po zbyt długich rozmowach przez komórkę, które rozpały mi ucho i policzek, ani ból oczu od gapienia się przez cały dzień w monitor, ani problemy z kręgosłupem, ani nerwoból w prawym barku od złej postawy przy biurku i garbienia się nad komputerem. Ten ból nie jest w niczym podobny do tamtych, nie przypomina nawet zakwasów po treningu, po przerwie od ćwiczeń. To zupełnie inne uczucie i tak zadowolające, że niemal buzuje w środku. Choć padam ze zmęczenia, mój umysł odżył. To wszystko dodaje mi wigoru, jestem napompowana energią i po części zawdzięczam to temu, że ziemia nakarmiła moją duszę, ale głównie pobudza mnie ciekawość, dlaczego doktor Jameson znów przyłączył się do ciebie przy ogrodowym stole i siedzi na zimnie aż do pierwszej w nocy. Co jest tak ważne, że nie można tego omówić za dnia? Przede wszystkim jednak dręczy mnie pytanie, co wy dwaj możecie mieć ze sobą wspólnego? Wydajecie się chyba najmniej prawdopodobnymi kandydatami na przyjaciół, może jeszcze mniej niż ty i ja – a to o czymś świadczy. W końcu dochodzę do wniosku, że ty jesteś popieprzony, a doktor Jameson to człowiek, który musi porządkować, naprawiać. Pewnie podpasz pod jego obowiązki w straży sąsiedzkiej; może uważa cię za potencjalne zagrożenie dla mieszkańców ulicy. Przecież rozwaliłeś latarnię, okno i garaż.

Odrzucam kołdrę na bok i przyznaję się do porażki. Wessałeś mnie.

Przechodzę przez ulicę w uggach i puchowej kurtce, z herbatą w termosie i kubkami.

– A, oto i ona we własnej osobie – oznajmia doktor Jameson,

jakbyście właśnie rozmawiali o mnie.

Patrzysz na mnie przekrwionymi oczami, pijany oczywiście.

– Widzisz? Mówiłem ci, przylepiła się do mnie – rzucasz cierpko, ale trochę bez przekonania.

– Dobry wieczór, doktorze. Herbaty?

– Tak, poproszę. – Jego zmęczone oczy błyszczą w świetle księżycy. To już jego druga zarwana noc.

Tobie nawet nie proponuję. Ściskasz w dłoniach szklanekę whisky, a na blacie stoi na wpół opróżniona butelka. Nie wiem, ile już wypiełeś. Dwie albo trzy szklaneczki, przynajmniej z tej flaszki. W powietrzu wisi gęsty zapach whisky, ale przecież może pochodzić z butelki, nie z twoich ust. Dziś jednak jesteś jakiś inny: wydajesz się pokonany, jakby uszła z ciebie cała chęć do walki. I choć nie powstrzymuje cię to od docinków pod moim adresem, robisz to z mniejszym zapałem niż zwykle.

– Ładna piżamka – mówisz.

– To nie piżamka. – Starannie sprawdzam, czy na krześle nie ma okruchów kamienia, których wciąż pełno dookoła, choć Fionn wczoraj wieczorem pozamiatał po sobie, ewidentnie wbrew swojej woli, sądząc po gniewnym szuraniu miotłą po cemencie. – To spodnie po domu – odpowiadam, a ty parszasz śmiechem.

Siadam naprzeciwko ciebie, przy drugim szczycie stołu, i obejmuję dłońmi kubek z herbatą, żeby nie zmarznąć.

– No, herbatka u Szalonego Kapelusznika jak się patrzy – odzywasz się znowu. – Wybiła już płaczliwa godzina?

Zabolało, ale nie daję się sprowokować.

– Cóż, nasz przyjaciel lubi sobie pożartować z ludzi – komentuje doktor Jameson porozumiewawczo, a zarazem dobrodusznie. – Nie zwracałbym na niego większej uwagi.

– Za to mi płacą – odpowiadasz.

– Już nie. – Zerkam na ciebie znad kubka. Może szukam awantury, sama nie wiem. Próbowałam dopasować się do twojego tonu, ale najwyraźniej, kiedy ja jestem uszczypliwa, ty tracisz poczucie humoru. Posyłasz mi kamienne spojrzenie, to mnie zaskakuje. Trafiłam w czuły punkt. I dobrze.

Uśmiecham się. Rewanż.

– Co się stało, Matt? Bob cię nie ustawi na nowo? Myślałam, że jesteście jak palce jednej ręki. – Splatam palce, tak jak ty to kiedyś zrobiłeś.

– Bob miał zawał – informujesz ponuro. – Leży w szpitalu podłączony do respiratora. Boimy się, że nie przeżyje.

Czuję się okropnie. Mój uśmiech znika.

– O rany, Matt. Przepraszam – wykrztuszam wreszcie z siebie. Czuję się naprawdę paskudnie.

– Bob został zwolniony – wyjaśnia doktor Jameson. – Matt, proszę cię.

Śmiejesz się, ale twój śmiech nie jest wesoły, a ja dostaję szału, że wpędziłeś mnie w poczucie winy, zmusiłeś do przeprosin.

– Doktorku, nie dojdiesz do ładu z tą kobietą. Raz na dole, raz na górze, jak striptizerka na rurze.

– No już, już – pacyfikuje go doktor Jameson.

Nie mogę temu zaprzeczyć. Tej części z górą i dołem, oczywiście, nie z tańcem na rurze. Tak to jest, kiedy z nim rozmawiam.

– Więc twój kumpel stracił pracę. – Piję łyk herbaty. Znów czuję, że mam przewagę. – To nie wróży dobrze temu rutynowemu dochodzeniu na temat twojego zachowania, co?

– Nie, nie wróży dobrze. – Wpatrujesz się we mnie.

– Chyba że na jego miejsce zatrudnią jakiegoś innego kumpla. Kogoś, kto będzie skłonny przymknąć oko na twój fatalny błąd. Po raz enty.

Posyłasz mi niebezpieczne spojrzenie i wypijasz whisky. Powinnaś odczytać sygnały, ale nie odczytuję, albo odczytuję, a mimo to brnę dalej. Już wcześniej myślałam, że jesteś człowiekiem na krawędzi, ale w porównaniu z tym, co widzę teraz, byłeś absolutnie stabilny. Mam ochotę wystawić palec i cię popchnąć, żebyś runął w przepaść. To jest dla mnie jak terapia.

– O-o – rzucam złośliwie, odczytując twoją minę. – Zatrudnili kogoś, kto cię nie lubi. Szok. Ciekawe, gdzie go znaleźli.

– Ja – prostuje doktor Jameson. – Olivia Fry. Angielka. Z bardzo popularnej brytyjskiej stacji, o ile się orientuję.

– Z okropnej stacji – wtrącasz; nerwowo pocierasz twarz.

– Nie jest twoją fanką? – pytam.

– Nie. – Znów to mroczne spojrzenie.

Wypijam kolejny łyżeczek.

– Nie rób takiej smutnej miny, Jasmine.

Unoszę rękę.

– Wiesz co, Matt, poniekąd nawet rozumiem, że uważasz to, co robisz, za działalność w dobrej sprawie...

Próbujesz mi przerwać.

– Czekaj, czekaj. – Podnoszę głos.

– Ćśśś – wtrąca się doktor Jameson. – Obudzicie Murphych.

Zniżam głos do szeptu, ale staram się, żeby nadal brzmiał stanowczo i mocno.

– Ale ten sylwester? Ta kobieta w studiu? Co to miało być?

Zapada długa chwila milczenia. Doktor patrzy to na mnie, to na ciebie. Widzę, że jest ciekaw, czy odpowiesz mi szczerze.

– Urznąłem się – odpowiadasz w końcu, ale to nie jest samoobrona, to wyznanie winy. Spoglądam zaskoczona na doktora. – Bezmyślnie wziąłem przed audycją pigułki na uspokojenie i popiłem alkoholem.

– Ech, nie powinieneś tego robić. – Jameson gwałtownie kręci głową; zna już tę historię. – To mocne leki, Matt. W ogóle nie powinieneś pić. Tego nie wolno mieszać. Szczerze mówiąc, tabletki też radzę ci odstawić.

– Mieszałem wcześniej i wszystko byłoby dobrze, tyle że rano łyknąłem pigułki nasenne – wyjaśniasz.

Doktor Jameson z przerażeniem łapie się za głowę.

– Więc przyznajesz, że audycja w sylwestra wypadła koszmarnie – podejmuję, bardziej zaskoczona twoim przyznaniem się do winy niż tą małą spowiedzią lekomana.

Patrzysz na mnie z ironicznie uniesioną brwią, niezbyt przejęty moją prowokacją. Orientuję się, że nie zamierzasz odpowiedzieć, więc spoglądam na Jamesona.

– A jak tam wakacje?

– A, dobrze. – Doktor bierze się w garść. – Miło było zobaczyć krewnych i...

– Padało przez dwa tygodnie, tkwili w hotelu i zrobili z doktorka etatową niańkę.

– Nie było aż tak źle.

– Doktorku, każesz mi patrzeć prawdzie w oczy, więc najwyższa pora, żebyś sam zrobił to samo. Wykorzystali cię. Jameson kapituluje.

Mnie rzuca się w uszy zdanie „każesz mi patrzeć prawdzie w oczy”. Mały wgląd w twoją relację z miłym doktorem; nie sądziłam, że o tej godzinie w swoim ogródku będziesz patrzył prawdzie w oczy.

– Przykro mi to słyszeć – mówię do Jamesona.

– Bo to... widzisz, bo to... Miałem nadzieję spędzić z nimi święta, widzisz, ale nie... nie ma mowy.

– Doktorek spędza święta sam od piętnastu lat.

– Trochę krócej – prostuje. – Miałem nadzieję, że w tym roku to się jednak zmieni. Ale... – ożywia się – nieważne.

Siedzimy w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach.

– Nieźle się spisałaś z ogródkiem – podejmuje po chwili Jameson.

– Dzięki. – Spoglądam dumnie na swoje dzieło.

– Jest na urlopie ogrodniczym – mówisz, po czym wybuchasz śmiechem i prychnasz do szklanki, udając, że to kaszel.

Narasta we mnie gniew.

– Fionn pomógł mi ze skalniakiem. Chciał być jak najdalej od ojca – informuję.

Doktora bawią nasze docinki. Mnie nie.

– Ma piętnaście lat. Każdy w tym wieku chce być jak najdalej od ojca – odpowiadasz.

Uznaję twoją rację.

– A tutaj... – wskazujesz głową swój dom – cała trójka najchętniej siedziałaby u siebie i bawiła się iPadami.

– To im coś zaproponuj – radzę. – Rusz głową. Fionn lubi pracę na dworze, wymyśl jakąś wspólną robotę. – Patrzę na stół. – Wyszlifujcie i polakierujcie ten kłopot. Chłopak będzie miał zajęcie. Dołącz do niego. Może nawet zaczniecie rozmawiać. – Robię złośliwie zaskoczoną minę.

Znów cisza.

– Urlop ogrodniczy – wtrąca Jameson. – Jak długo, Jasmine?

– Rok.

– Czym się zajmowałaś?

– Byłam współzałożycielką firmy Idea Factory.

Wymyślaliśmy i wprowadzaliśmy w życie pomysły i strategie dla innych firm.

– Konsulting? – pytasz.

– Nie. – Kręcę głową.

– Więc reklama.

– Nie, nie – zaprzeczam.

– No więc, co właściwie...

– Na pewno nic, o czym można dyskutować na antenie, Matt – odgryzam się.

– Hu, hu, hu – śmiejesz się śpiwnie. Wiesz, że trafiłeś w kolejny czuły punkt, a ja zareagowałam idealnie. Zatańczyłam tak, jak mi zagrałeś. – Uraziłem ją, doktoru. Gdzieś, kiedyś – wyjaśniasz.

– Dlaczego poprzestawać na jednym razie? Może uraża mnie wszystko, co mówisz? – To nieprawda. Robi mi się głupio. Myślę o tych sytuacjach, kiedy twoje słowa niosły mi pociechę.

Patrzę na swój ogródek, jedyną rzecz, która ostatnio może oderwać moje myśli od ponurych rozważań, jedyną rzecz, która może odwrócić moją uwagę od tej rozmowy i powstrzymać przed palnięciem czegoś, czego będę żałować. Do tej pory zachowywałeś pogodę ducha, ale zdaję sobie sprawę, że jeśli nie przestanę cię prowokować, prawdopodobnie nie wytrzymasz, i vice versa.

– I co zrobisz? – pyta doktor.

Czuję się tak, jakbym musiała wracać z bardzo daleka, żeby mu odpowiedzieć.

– Chyba zbuduję fontannę.
– Nie chodziło mi o...
– Ona wie, o co ci chodziło. – Przyglądasz mi się zamyślony.
– Doktorku, ta para, która mieszka obok mnie... –
Bezwiednie używam przydomka nadanego mi przez ciebie, na co reagujesz śmiechem.
– Lennonowie – przypomina mi.
– Widziałam, jak wczoraj chodzili od drzwi do drzwi. Coś organizują?
– Rozkręcają potajemne stowarzyszenie swingersów –
odpowiadasz. – Tuż pod naszym nosem.
Ignoruję cię.
– Ja jej się chyba podobam – zwracasz się do doktora.
– Jesteś strasznie dziecinny.
– A ciebie tak łatwo wkręcić, że aż żal tego nie robić.
– Bo zwykle nikt mnie nie tak głupio wkręca.
– Lennonowie się żegnali – mówi Jameson, jak gdyby w ogóle nie słyszał naszej dziecinnej pyskówki. – Postanowili wynająć dom i wybrać się w kilkumiesięczny rejs. Po tym, co spotkało Elbę Malone, chcą jeszcze fajnie pożyć, póki mają szansę.
– Kto wynajmie dom?
– Twój kuzyn – wypalasz.
– Naprawdę? Ja słyszałam, że twoja żona – odgryzam się.
– Jakiś menedżer. Samotny. Korporacje płacą teraz fortunę swojej kadrze kierowniczej. Wprowadza się w przyszłym tygodniu. Widziałem, jak się tu rozglądał. Młody facet.
Dziwacznie cmokasz językiem i orientuję się, że to pod moim adresem. Szczeniacka drwina.
– Nigdy nic nie wiadomo, Jasmine. – Puszczasz do mnie oko.
– Błagam.
– Czas leci. Nie robisz się młodsza. Tik-tak, tik-tak, trzeba szybko zacząć starać się o dzieci.
Znów rozpala się we mnie gniew. Masz talent, muszę ci to przyznać, do nieustannego grania na ludzkich słabościach.
– Ja nie chcę dzieci – odpowiadam zniesmaczona. Wiem, że

w ogóle nie powinnam się odzywać, ale nie mogę pozwolić ci myśleć, że wygrywasz. – I nigdy nie chciałam.

– Doprawdy? – rzucasz z ciekawością.

– To wielka szkoda – wtrąca się doktor Jameson, a ja mam ochotę wstać i pójść sobie od tych dwóch facetów, którzy nagle uznali, że to, co robię lub czego nie robię ze swoim ciałem, to ich sprawa. – Widuję starsze kobiety, które żałują tej decyzji. Powinnaś się zastanowić, rozważyć to głębiej. – Patrzy na mnie tak, jakbym wyrzuciła z siebie te słowa bez chwili zastanowienia nad tematem.

Zawsze wiedziałam, że nie chcę dzieci. Wiedziałam to już od małego.

– Nie ma sensu teraz żałować czegoś, czego być może nie będę żałowała później. – Właśnie tej odpowiedzi udzielam wszystkim, którzy mówią to co doktor. – Więc skoro dobrze się z tym czuję, zamierzam trzymać się swojej decyzji.

Ty wciąż gapisz się na mnie, ale unikam twojego wzroku.

– Lennonowie z tobą też się pożegnali? – zwracam się do niego.

Przeczysz ruchem głowy.

– Dlaczego nie pożegnali się z nami? – rzucam pytanie w powietrze. – Przecież oboje staliśmy w ogródku, kiedy chodzili po sąsiadach. Minęli nas tak po prostu.

Parskasz śmiechem, kręcisz whisky w szklance. Prawie nic nie wypiełeś, od kiedy z wami usiadłam, i bardzo dobrze, bo twoje dzieci są w domu, spędzają u tatusia jedyną noc w tygodniu, a ty piknikujesz sobie na dworze.

– Dlaczego mieliby się żegnać z tobą? Raczej nie jesteś sąsiadką roku. Dwa miesiące kopania, żeby wyleczyć się z jakiegoś załamania nerwowego...

Czuję, że tracę panowanie, a wiem, że nie powinnam. To jest dokładnie to, czego chcesz: podjudzasz, dopóki wszyscy dookoła nie wybuchną, oprócz ciebie oczywiście. Pragniesz ranić. Zranieni ludzie ranią ludzi.

– Więc co zrobi ze sobą zwolniony prezenter? – odparowuję.

Nic na to nie poradzę, nie mogłam się powstrzymać. – Inne rozgłośnie ustawiają się już w kolejce?

– Nie zostałem zwolniony.

– Jeszcze nie. Ale zostaniesz.

– Przedłużyli mi urlop ogrodniczy aż do odwołania – informujesz z psotnym błyskiem w oku. – Wygląda więc na to, że utknęliśmy tu oboje. Ty i ja.

Coś przeskakuje w mojej głowie. A raczej pęka. Coś sobie uświadomiłam i czuję, jak żar wściekłości przepala mnie od środka.

– Ale pójdziesz do radia w przyszłym tygodniu? – pytam.

– Nie – odpowiadasz powoli, odrywając spojrzenie od whisky, żeby spojrzeć mi w oczy. – Planują restrukturyzację. Nie wolno mi przekroczyć drzwi, dopóki mi nie powiedzą, co z moim stanowiskiem.

– Obiecałeś mojej siostrze, że zabierzesz ją na zwiedzanie.

Wytrzeszczasz na mnie oczy, bo nie wiesz, czy mówię poważnie, ale widzisz, że się nie śmieję. Walisz szklanką o stół, aż oboje z doktorem Jamesonem podskakujemy.

– Naprawdę myślisz, do cholery, że w tej chwili obchodzi mnie twoja siostra?

Gniew wybucha we mnie, rozchodzi się żyłami jak trucizna. Wszędzie. Nienawiść. Złość. Obrzydzenie. Wściekłość.

– Nie, nie myślę.

Czuję, że Jameson świdruje mnie wzrokiem, bo wychwycił w moim głosie coś, co ja czuję, a czego ty nie słyszysz.

– Mam tam troje dzieci. I żonę, którą bardzo chciałbym widzieć z powrotem w domu. W tej chwili to oni mnie obchodzą.

– Serio? Ciekawe. Bo jest druga piętnaście w nocy, a ty chlasz whisky w ogródku, chociaż powinieneś być z dziećmi w domu. Ale odpowiedzialność to nie jest twoja najmocniejsza strona, co?

Oczywiście, powinnam się przymknąć, ale nie mogę. Od tygodnia słucham paplaniny podekscytowanej Heather na temat wycieczki do radia. Dzień w dzień. Non stop. Czytała informacje o

twojej stacji. Potrafi wyrecytować całą ramówkę, kto i o której prowadzi daną audycję, posprawdzała nazwiska producentów i dziennikarzy. Codziennie dzwoniła do mnie, żeby mi wszystko to relacjonować. Podczas ostatniej rozmowy oznajmiła, że mogłaby rzucić zajęcie u notariusza, które tak lubi, i spróbować pracy w rozgłośni, gdyby pan Marshall jej pomógł. Zachowywała się tak, jakby wyczuwała moją dezaprobatę względem całej tej sprawy; byłam niechętna, pełna wątpliwości, nie chciałam dać się porwać jej entuzjazmowi, bo obawiałam się właśnie czegoś takiego. To sprawiało, że Heather jeszcze bardziej chciała mnie przekonać, pokazać swoją radość, żebym nie mogła wkroczyć i odwołać spotkania. Teraz furia kipi mi pod samą skórą, czuję, że zaraz eksploduje.

– Żona cię zostawiła, straciłeś pracę, dzieci cię nie cierpią...

– Zamknij się – mamroczesz. Kręcisz głową i wbijasz oczy w stół.

Postanawiam mówić dalej, bo chcę cię zranić. Chcę cię zranić tak, jak ty zraniłeś mnie wiele lat temu.

– Twoje dzieci nie mogą znieść twojej obecności...

– Zamknij się! – krzyczysz nagle.

Łapiesz szklankę i rzucasz nią we mnie. W twoich oczach widzę nienawiść, ale masz tak fatalnego celu, że nie muszę nawet uchylać się przed pociskiem. Szklanka przelatuje obok i ląduje na ziemi gdzieś za mną. Nie wiem, co zrobisz teraz. Zamachniesz się czymś większym, na przykład krzesłem, jak wtedy, kiedy rozbiłeś okno, a może pięścią, tak jak z synem – tyle że tym razem to nie będzie przypadek.

– No już, już – wcina się doktor głośnym szeptem. Stoi, tak jak i my dwoje, i wyciąga ręce, żeby nas rozdzielić, niczym bokserki sędzia, ale i tak tylko stół trzyma nas na dystans.

– Ty pieprznięta suko, jak śmiesz mówić takie rzeczy – syczysz.

– Moczymorda i... – Przetykam ostatnie słowo, bo odwaga mnie opuszcza, a na jej miejsce zakrada się smutek, przerażenie. – Przepraszam, doktoru, ale obiecał coś mojej siostrze. Powinien

dotrzymać słowa.

Odwracam się i zostawiam ich. Cała się trzęsę z wściekłości, z nadmiaru adrenaliny. Nie zabrałam nawet termosu i kubków; teraz nie wiem, czy termos lub kubek nie śmignie w powietrzu i nie rozbije mi głowy.

Kiedy nauczyliśmy się o mitologii greckiej, jako zadanie domowe dostaliśmy napisanie własnej wersji historii Achillesa. Potem mieliśmy przeczytać pracę na głos i kiedy moi koledzy jeden po drugim przedstawiali swoje wypracowania, prawdziwe historie wzięte z dziejów, losy przywódców, którzy upadli przez swoje słabości, zorientowałam się, że źle zinterpretowałam zadanie – ale dobrze je zrozumiałam. Napisałam o czarownicy, która nienawidziła dzieci za ich okrutne serca, za niemiłe rzeczy, jakie mówiły o jej ulubionej kotce. Knuła, jak je złapać, zabić i zjeść, ale problem w tym, że bała się lizaków, a za każdym razem, kiedy zbliżała się do jakiegoś dziecka, miało w ustach lizaka, a on działał jak słodkie ochronne pole siłowe. Rozeszła się wieść o lękach czarownicy i już wkrótce wszystkie dzieciaki nosiły ze sobą lizaki, wyciągały je w jej stronę, lepkie i słodkie, wymachiwały jej nimi przed nosem, aż w końcu z obrzydzenia musiała uciec, i tak zniknęła na zawsze.

Dostałam trzy z plusem – niezbyt dobrze, ale o wiele gorszy, bardziej żenujący był śmiech kolegów, kiedy czytałam wypracowanie. Niektórzy myśleli, że napisałam to jako dowcip, żeby zirytować nauczyciela, większość uznała ten tekst po prostu za głupi. Nauczyciel dał mi niewysoką ocenę nie dlatego, że źle zrozumiałam polecenie, ale dlatego, że jego zdaniem nie rozumiałam przesłania mitu. Lizaki nie mogły być piętą achillesową czarownicy, powiedział; były czymś, czego się bała, ale nie one doprowadziły ją do upadku. Nie dał mi szansy odpowiedzieć – w szkole albo ktoś cię rozumiał, albo nie – ale to nauczyciel się mylił, nie ja, bo to nie lizaki były słabością czarownicy, tylko jej kotka. Chcąc za wszelką cenę chronić swoje ulubione zwierzątko, skończyła jako wyrzutek społeczeństwa i na zawsze pozostała samotna.

Napisałam tę historię, kiedy miałam dziesięć lat. Już wtedy wiedziałam coś, z czym muszę się pogodzić teraz, w tej chwili: że Heather jest moją słabością. Każdą kłótnię, każde

nieporozumienie, nieudany związek czy też możliwy związek, który nie miał szans zaistnieć – wszystko bez wyjątku można wyjaśnić jakąś reakcją, uwagą, czymkolwiek związanym z Heather. Nie mogłabym zadawać się z osobą, która ignoruje moją siostrę lub zachowuje się wobec niej arogancko, umyślnie lub nie. Jedno krzywe spojrzenie na Heather i ktoś taki natychmiast był wykluczany. Nigdy nie wdawałam się w dyskusje o ich procesach myślowych czy przekonaniach, nie miałam cierpliwości ani czasu. Chłopcy. Ojciec. Koledzy. Wszystkich odsunęłam. Nie wiem, czy zawsze taka byłam, czy to przez śmierć mamy postępuję tak, jak ona by tego chciała, przynajmniej w moim pojęciu. Ogólnie wydaje mi się, że chroniła Heather równie usilnie jak ja, ale nie mam konkretnych wspomnień czy przykładów, które by to potwierdzały. Po raz pierwszy świta mi, że moje zachowanie wynika z absolutnie nieuzasadnionego przekonania. To mną wstrząsa.

Czuję się okropnie po tych wszystkich jadowitych słowach, które rzuciłam ci w twarz, ale zmuszam się, żeby się od tego odciąć. Sen przychodzi łatwo, bo mojemu mózgowi nie podoba się alternatywa: stawienie czoła temu, co powiedziałam. Ostatnia myśl przed zaśnięciem to pytanie, czy kotka nie czułaby się szczęśliwsza, gdyby czarownica była mniej opiekuńcza. Bo co miała z tego wiecznego niezadowolenia swojej opiekunki?

Parkuję na ulicy ciotki Jennifer, kawałek od jej domu. Plan jest taki, żeby podjechać tutaj i zaparkować, i na tym kończą się moje pomysły co dalej. Zastanawiam się, czy tam wejść, czy nie. Czy w ogóle wiem, co robię z Heather, co robię ze wszystkim, czy nie wiem? Poważne pytanie dotyczące kwestii, której do tej pory byłam taka pewna. Z samochodu patrzę na dom, głowę mam jednocześnie pustą i pełną rozpedzonych myśli. Plan jest taki, żeby wysiąść z samochodu. Na tym kończą się moje pomysły co dalej.

Nigdy nie ma potrzeby uprzedzać ciotki Jennifer o wizycie. Jej dom zawsze jest pełen ludzi: czworo dorosłych dzieci wpada co chwilę, do tego ich małżonkowie i dzieciaki, i nikt się nie zapowiada, a teraz, kiedy ciotka prowadzi dom zastępczy, bywają

u niej osoby zupełnie mi nieznane. U ciotki zawsze czułam się mile widziana, i całe szczęście, bo nie miałam dokąd pójść, kiedy mama chorowała. Było oczywiste, że jeśli umrze, to się tam wprowadzę, ale potem zaszło to zdarzenie na huśtawce, i zniszczyło mój obraz tego domu, skaziło relacje z Kevinem, a z czasem również relacje z ciotką Jennifer.

Teraz rozumiem, jak duży to był dla niej stres, stracić jednocześnie syna i siostrzenicę, która, jak obiecała siostrze, miała być przy niej bezpieczna. Nie straciła nas w fizycznym sensie, wciąż byliśmy na miejscu, ale nawet kiedy Kevin się wyprowadził, ja jakoś nie mogłam się dobrze poczuć u ciotki i zdecydowałam się zamieszkać w kampusie Uniwersytetu Limerick. To był dla mnie odpoczynek od wszystkich, nowy początek. Odwiedzałam Heather co drugi weekend. Zżyłam się z przyjaciółmi; stworzyliśmy własną rodzinę, a w czasie świątecznych przerw od nauki pozwalałam się rozpieszczać rodzinom koleżanek. Heather czuła się szczęśliwa w domu opieki – mama przed śmiercią załatwiła jej tam pobyt – a przy okazji świąt mieszkała u Jennifer, do której wpadał tata, żeby zjeść z córką i dowiedzieć się, co u niej słyhać, jakby to stanowiło podstawę związku między rodzicem a dzieckiem. Ten układ odpowiadał wszystkim, łącznie ze mną. W tym czasie we własnej głowie stworzyłam dla siostry matkę, jaka niekoniecznie istniała naprawdę, i obdarzyłam ją ideałami, których mogła wcale nie wyznawać.

Powoli idę do drzwi. Plan jest taki, żeby podejść do drzwi, na tym kończą się moje pomysły co dalej.

– Jasmine – woła zaskoczona Jennifer, kiedy widzi mnie w progu.

Ma rude farbowane włosy, ostrzyżone na chłopaka od kiedy pamiętam. Ubiera się w kolory ziemi: sprane zielenie i beże, gniecione welury, długie hippisowskie suknie z legginsami pod spodem, buty, które zawsze mają podeszwy grube jak poduszkowce, ogromne, ciężkie wisiorki. Jej wargi niezmiennie mają ten sam kolor co włosy, bardziej mahoniowe w odcieniu niż moja strażacka czerwień.

– Jaka miła niespodzianka! Wejdz, wejdz. Och, szkoda, że nie uprzedziłaś, że wpadniesz, powiedziałabym Fionie, żeby została. Poszła na mszę z Endą. Wiem, nie patrz tak na mnie, nikt z tej rodziny nie był na mszy od ślubu Michaela, ale Enda ma w tym roku komunię i rodziców zachęca się do chodzenia z dziećmi do kościoła, więc Fiona chodzi, żeby Enda potem nie zachowywał się jak turysta. Podobno na mszy o dziesiątej dzieciom wolno się bawić. Jak tak dalej pójdzie, w katolickich kościołach nie będzie gdzie usiąść.

Prowadzi mnie do kuchni, która powinna mieć dawny klimat, powinna w jakiś emocjonalny sposób połączyć mnie z przeszłością, ale została zupełnie przerobiona.

– Prezent na moje sześćdziesiąte urodziny – wyjaśnia Jennifer, widząc, że oglądam nową przybudówkę. – Chcieli mnie wysłać w rejs. Ja zażyczyłam sobie nowej kuchni. Do czego sprowadziło się moje życie? – narzeka dobrodusznie.

Podoba mi się, że jest inaczej, bo to natychmiast ustawia mnie w nowym kontekście, z dala od wspomnień minionych lat. A przynajmniej pomaga mi ujrzeć je w innym świetle, pod innym kątem. Teraz jestem mniej uczestniczką, bardziej obserwatorką, kiedy próbuję sobie przypomnieć, czy coś było tam, a może tam, i czy fasolowe pufy stoją na swoim miejscu.

– Nie mogę długo zostać – zaznaczam od razu, kiedy Jennifer usadawia się z filiżanką ziołowej herbaty. – Za godzinę jestem umówiona z Heather. Budujemy fontannę u mnie w ogródku.

– Wspaniale! – Jej twarz rozpromienia się, choć widzę na niej zaskoczenie.

Mój plan to powiedzieć jej, co mnie gryzie, na tym kończą mi się pomysły co dalej...

– Przyszłam do ciebie, bo... ostatnio dużo myślałam. Mam mnóstwo wolnego czasu, jak wiesz.

– Cudownie. – Żadnego współczucia. To mi się podoba.

– Myślałam o mamie. O wielu sprawach – wyjaśniam, po trosze samej sobie. – Ale przede wszystkim o tym, jak to było z nią i Heather.

Widzę jej zdumienie, ale panuje nad nim. Z pewnością spodziewała się, że przyszedłam rozmawiać o Kevinie.

– Jest parę białych plam.

– Pomogę ci, na ile zdołam – obiecuje.

– Hmm, trudno mi to określić. Jaka była w stosunku do Heather? To znaczy, wiem, że ją chroniła, to oczywiste. Chciała, żeby Heather była samodzielna, ułożyła sobie życie, ale... co czuła? Czego się bała? Czy kiedykolwiek rozmawiała z tobą o swojej córce? Zwierzała ci się? Mówiła na przykład, przed czym pragnie ją chronić? Heather naprawdę rozwija teraz skrzydła... zawsze dobrze sobie radziła – przyznaję. – Ma chłopaka.

– Jonathana. – Jennifer się uśmiecha. – Ciągłe o nim słyszymy. Zaprosiliśmy go na podwieczorek.

– Naprawdę?

– A potem zrobił pokaz taekwondo. Nakręcił Billy'ego, nauczył go paru podstawowych ciosów. Billy stukł kopniakiem moje porcelanowe matrioski.

Śmieję się, a potem zakrywam usta ręką. Ruskie laleczki z chińskiej porcelany zawsze bawiły nas do łez.

– Nic nie szkodzi. – Śmieje się ze mną. – Warto było zobaczyć Billy'ego z nogą zadartą tak wysoko.

Przez chwilę milczymy ubawione, nagle atmosfera się zmienia.

– Wiesz, Jasmine, robisz świetną robotę. Heather jest szczęśliwa. Bezpieczna. Nieprawdopodobnie zajęta. Do licha, potrzebuje sekretarki, żeby ustalać jej rozkład dnia! Nie nadążam za nią.

– Tak, wiem. Ale... czasem przydałaby mi się rada mamy. Zastanawia się głęboko.

– Kiedyś pewna kobieta powiedziała coś o Heather. Coś okropnego. Nie celowo, po prostu z czystej ignorancji.

– Tacy są najgorsi. – Wzruszam ramionami, ale pilnie nadstawiam uszu. Właśnie to chcę usłyszeć.

– No więc, twoja mama długo, długo nad tym myślała, aż w końcu zaprosiła ją na wtorkowego brydza.

– Serio?

– Przysięgam. Zaprosiła ją na siódmą wieczorem, chociaż brydż zaczynał się o ósmej. Udała, że się pomyliła, i kazała tej kobiecie siedzieć w salonie, kiedy sama przygotowywała was do snu.

Marszczę brwi.

– To była jej zemsta? Zmusić kobietę, żeby zmarnowała godzinę?

Jennifer uśmiecha się i już wiem, że nie zrozumiałam sedna.

– Chciała, żeby zobaczyła Heather w domu, taką, jaka jest naprawdę; żeby zobaczyła, że we trzy spędzacie wieczór jak każda inna rodzina. Zadbala o to, żeby kobieta widziała i słyszała absolutnie wszystko, całą waszą normalność. A wiesz, kto to był?

Kręcę głową.

– Carol Murphy.

– Przecież Carol i mama były najlepszymi przyjaciółkami.

– Właśnie tak. Zostały nimi po tym wieczorze.

Z trudem przetrawiam tę rewelację. Carol – najbliższa przyjaciółka mamy. Trzymały się razem, odkąd pamiętam. Nie mieści mi się w głowie, że Carol kiedyś miała jakieś wypaczone poglądy na temat Heather. Wiem, że to możliwe, ale trudno mi się z tym pogodzić i moje ciepłe uczucia dla Carol nagle stygną. To dzieje się w ułamku sekundy. Właśnie tak zmieniają się moje odczucia wobec wszystkich, kiedy orientuję się, że są ignorantami, wiedzą za mało, nie potrafią się odpowiednio odezwać czy zachować wobec Heather.

Jennifer najwyraźniej wyczuwa mój stan wewnętrzny, więc mówi dalej:

– Twoja mama nigdy nikogo nie skreślała, Jasmine, bo właśnie tego się bała: że ludzie będą skreślać Heather.

Tak, tego szukałam. Plan jest taki, żeby przyjąć tę informację i jakoś zastosować ją we własnym życiu. Na tym kończą się moje pomysły co dalej.

Ściągnęłam sobie z netu instrukcję, jak zbudować fontannę. Kilka razy obejrzałam na YouTubie film, w którym jakiś

arystokrata w wutowanej kamizelce, w butelkowitzielonych kaloszach i z wielkim, perkatym nosem, stojąc przed swoim pałacem, wyjaśniał mi cały proces tak, jakbym była dzieckiem. Jeśli chodzi o ogrodnictwo, lubię, jak ktoś tak do mnie mówi, bo akurat pod względem wiedzy na ten temat jestem na poziomie dziecka. Pan twierdzi, że robota potrwa osiem godzin i na dowód wykonuje ją w tym czasie, oczywiście skróconym do ośmiu minut. Ja obstawiam, że zajmie mi to z tydzień, mimo że Heather przyjdzie pomóc. A może właśnie dlatego, że przyjdzie pomóc. I mam szczerą nadzieję, że pochłonie mi to aż tyle czasu, bo nie mam żadnych innych planów.

– Oooch, Jasmine – woła Heather na widok ogródka. – Nie do wiary, że to ten sam ogródek.

– Wiem. Podoba ci się?

– Bardzo.

Patrzy na mnie w milczeniu, co trochę mnie krępuje.

– Co? – Odwracam wzrok i zajmuję się narzędziami.

– Jestem zaskoczona, że Jasmine to zrobiła – mówi tak, jakby mnie tam nie było, ale gapi się wprost na mnie. Jej ton mnie zaskakuje. – Strasznie zajęta Jasmine.

– Proszę, proszę. Ty jesteś bardziej zajęta ode mnie. – Staram się zachować lekki ton.

Odgarnia kosmyk włosów z mojego czoła i zakłada mi za ucho. Musi stanąć na palcach, żeby to zrobić.

– Jestem z ciebie dumna, Jasmine.

Łzy szczypią mnie pod powiekami i czuję się zawstydzona. Nie przypominam sobie, żeby mówiła to kiedyś wcześniej. Wzrusza mnie to tak bardzo, tak nagle, tak głęboko.

– Cóż, w końcu jestem na urlopie ogrodniczym, co nie? No dobra. – Klaszczę w dłonie. – Zanim zaczniemy, coś ci kupiłam.

Wręczam jej ogrodnicze ubranie, które zamówiłam online. Zielone kalosze w różowe kwiaty, kombinezon, ciepłą czapkę i różowe rękawice robocze.

Właśnie kopujemy dołek pod misę fontanny, kiedy twoje drzwi się otwierają. Staram się nie patrzeć i udaje mi się to, bo

serce tłucze mi się na myśl o kolejnej konfrontacji z tobą, ale kiedy słyszę powłóczyście kroki, szuranie mówi mi, że to Fionn. Teraz bez problemu spoglądam w górę. Na szyi ma słuchawki Beats by Dre, dłonie głęboko w kieszeniach. Jego pięści są o wiele za duże, żeby wciskać je w tak małe kieszenie, dlatego i barki są dość wysoko uniesione, bo dłonie nie mieszczą się swobodnie. Nic nie mówi, tylko stoi sobie i czeka, aż ja się odezwę.

– Cześć, Fionn. – Prostuję plecy, już mocno obolałe.

Burczy coś niedosłyszalnego.

– To moja siostra Heather.

Otóż i test na dobrego człowieka. Nagle przypominam sobie, że muszę przestać przypisywać aż takie znaczenie tej jednej chwili: prezentacji. Ale Fionn zdaje test. Burczy to samo niedosłyszalne powitanie pod adresem Heather i żadnej z nas nie patrzy w oczy.

Heather macha.

– Ojciec się zastanawiał, czy nie potrzebujecie pomocy. – Ogląda narzędzia i dołek. – Robicie fontannę?

– Tak. – Czuję się okropnie, ale choć wiem, że nie miałam prawa wygarniać ci wczoraj w nocy tego wszystkiego, nie zamierzam znów niańczyć twojego syna. Poza tym planowałam spędzić ten dzień z Heather. Ale nie mogę tego zrobić. Nie mogę go odesłać. Ty pewnie jeszcze leżysz skacowany w łóżku. Wyobrażam sobie twoją ciemną, duszną sypialnię, ciebie jak wielki garb pod kołdrą, szczelnie zaciągnięte zasłony odcinające światło dnia, a tymczasem twoje dzieci są na dole, ciągle w piżamach, choć już południe: rozrzucają płatki po kuchni, skaczą po nich, wgniatają je w wykładzinę. Podpalają różne rzeczy.

Kiedy podaję Fionnowi rydel, słyszę wybuch dziecięcego śmiechu i widzę, jak ty i dwoje blondasków wychodzicie z ogrodu za domem. Mówisz coś, bardzo serdeczny, radosny, zabawny. Masz sprężysty krok, jesteś w niezłej formie jak na kogoś, kto w tym samym ogródku niecałe dwanaście godzin temu rzucał we mnie szklankami.

Gwizdzesz. To wezwanie.

Wiem, że gwizdzesz na Fionna. Fionn też wie, że gwizdzesz na Fionna, ale się nie odwraca. Ja również nie patrzę na ciebie.

– Fionn, chodź, chłopaku – wołasz dobrodusznie.

– Pomagam. – Jego głos jest dziwnie płaczliwy, w końcu się łamie.

– Nie, nie pomagasz – odpowiadasz radośnie, kładąc jakieś rzeczy na stole.

Chciałabym zobaczyć, co to jest, ale przy okazji musiałabym popatrzeć na ciebie. Za nic.

– Cześć, Heather – rzucasz wesoło.

– Cześć, Matt. – Moja siostra macha do niego, a mnie zdumiewa ta wymiana uprzejmości.

Ignorujesz mnie. A ja boję się spojrzeć ci w oczy.

Fionn wzdycha, rzuca szpadel i bez słowa wlecze się z powrotem przez ulicę; dłonie znów znikają w malutkich kieszeniach, a ciężar długich ramion zsuwa spodnie, aż odsłaniają gumkę bokserek.

Wesołym głosem zaczynasz tłumaczyć dzieciom, co chcesz zrobić. Mam ochotę podsłuchiwać, ale Heather coś gada, a ja nie mogę jej powiedzieć, żeby przestała. W końcu włączasz muzykę w samochodzie. Dzieciaki są podekscytowane. Dziewczynka, która tańczy zamiast chodzić, płasza dookoła was, chłopiec mocno skupia się na zadaniu. Próbuję dyskretnie podejrzeć, co robicie; staram się ustawić tak, żeby być przodem do ciebie, ale wciąż wyglądać na bardzo zajętą. Wszyscy stoicie przy stole ogrodowym. I zawzięcie szlifujecie go papierem ściernym. Ledwie się powstrzymuję, żeby nie rzucić roboty i się nie gapić. Jestem w szoku. Posłuchałeś mojej rady.

Heather wciąż nawija.

W końcu zaczynam słuchać tego, co mówi. Chce podejść do ciebie i porozmawiać o zwiedzaniu stacji radiowej. Zagłębiała się w temat, ma konkretne studia, które chciałaby zobaczyć. Tłumaczę jej, że to niewłaściwe, że niedziela, że teraz spędzasz czas z rodziną.

– Będę uprzejma, Jasmine – odpowiada. W oczach ma

ślągalny wyraz, który łamie mi serce, bo nigdy nie wątpiałam w to, że będzie uprzejma, i nie chcę, żeby pomyślała, że to jej zachowania się obawiam. W końcu przerywam pracę.

Moja siostra ma jeszcze jedną cechę. Kiedy wbije sobie coś do głowy, absolutnie musi to zrobić. Koniecznie. Jeśli nie może, nie potrafi tego zrozumieć i to wstrząsa jej światem. Może takie zachowanie wynika z niepełnosprawności: utrudnienia każą ci ciężiej pracować, żeby coś osiągnąć, i nie pozwalają pogodzić się z odmową. Wkładasz większy wysiłek niż większość ludzi, żeby stanąć na wysokości zadania, i starasz się, żeby lęk przed wszystkim, co ci zagraża, nigdy nie wygrał. Kiedy ja odrobiłam już pracę domową i mogłam oglądać telewizję, Heather miała zajęcia z logopedą. Kiedy ja mogłam wyjść na dwór i bawić się z kolegami, Heather miała dodatkowe lekcje czytania. Długo i z trudem uczyła się jazdy na rowerze, kiedy ja po prostu wsiadłam i pojechałam. Zawsze na wszystko musiała pracować ciężiej. Dlatego spotkania grupy wsparcia są tak ważne, bo jeśli Heather sugeruje coś, co nie do końca jest wykonalne, możemy to wspólnie przedyskutować, zanim pomysł nią zawładnie. I owszem, na spotkaniu omówiła wizytę w stacji i wszyscy się zgodzili, że to świetny pomysł – oprócz mnie, a ja nie wypowiedziałam swojego zdania na głos. I w ten sposób ją zawiodłam.

Poznałam kiedyś matkę, która opisując charakter swojego syna, stwierdziła: „typowy Down”. Miałam ochotę dać jej w twarz. Nie wolno tak uogólniać i sugerować się wybranymi cechami. Każdy jest unikalny. Ta zawzięta część osobowości Heather nie ma nic wspólnego z zespołem Downa. A jeśli tak, to i ja, i tata też mamy zespół Downa, bo jak już coś złapiemy w zęby, nie puszczamy.

Zastanawiam się, czy nie skłamać. Mam kłamstwo na końcu języka. Zawsze czuję, że jeśli jakimś cudem zdołam zagwarantować Heather szczęście, to wszystko będzie w porządku. Ale już dawno obiecałam sobie mówić Heather tylko prawdę. Może od czasu do czasu coś tam osłodzę, ale to moje największe przewinienie. Nigdy nie okłamałam jej tak naprawdę. Teraz

dociera do mnie, że lada chwila naruszę swój kodeks etyczny, więc się powstrzymuję. Mój chłopak powiedział mi kiedyś, że ciągle staram się zadowalać ludzi, choć oczywiście to nieprawda, bo jego nie zadowoliliam – nawet się nie starałam. Był chyba ostatnią osobą na mojej liście, którą próbowałam zadowolić. Teraz doznaję olśnienia, że sama z siebie zrobiłam maszynkę do zadowalania Heather. Niewielu osobom chcę sprawiać przyjemność, wszystko obraca się wokół siostry. A na dodatek to nie wynika z mojej troskliwości. Wręcz przeciwnie, to raczej samolubstwo, bo w ostatecznym rozrachunku wszystko obraca się również wokół mnie.

Przez lata wmawiałam sobie: Heather oczekuje, że będę się nią zajmowała. Ale czy naprawdę? A może tylko mnie się tak wydaje? Teraz dociera do mnie, że nigdy nie prosiła, żebym załatwiała jakieś jej sprawy, nigdy nie okazała, że muszę jej pomóc. To ja sama narzuciłam sobie to zadanie. Wywarłam na sobie taką presję. Przeżywam objawienie. We własnym ogródku. Stojąc po kolana w wykopanym dołku.

Kiedy mnie wylali z pracy, moja pierwsza myśl była: „Nie mogę powiedzieć Heather”. Sądziłam, że ją zdenerwuję, że muszę ją chronić przed świadomością istnienia złych rzeczy, że wystraszy się, że sama zostanie zwolniona. Ci mi strzeliło do głowy? Co to za edukacja? Heather wie więcej ode mnie na temat okrucieństwa tego świata. Codziennie słyszy obraźliwe słowa; zwykli, porządni ludzie rzucają jej pogardliwe uwagi prosto w twarz albo za plecami, bo nie potrafią inaczej. Ja zaledwie jej w tym towarzyszę. Kiedy tak słucham ciebie i twoich dzieci, jak szlifujecie stół i śmiejecie się w ten świeży, jasny, słoneczny wiosenny dzień, z *Happy Pharrella* ryczącym z twojego iPhone’a, doznaję olśnienia. Nie muszę zmieniać całego swojego życia, żeby zadowolić siebie i Heather. Nie mogę wciąż chronić jej przed wszystkim. Może wystarczy, jeśli po prostu będę przy niej, żeby ją wesprzeć, kiedy zostanie zraniona.

– Okej – mówię w końcu. Głos mi drży. Co ja robię?
Posyłam ją do ciebie, żebyś złamał jej serce. Ja na to pozwalałam.

Tak się trzęsę, że nie mogę złapać tchu, więc siadam na ogrodowej ławce i patrzę, jak siostra przechodzi przez ulicę.

Jasnowłose cherubinki przerywają szlifowanie i przyglądają się jej nieufnie.

– Cześć – woła radośnie.

Ty i Heather rozmawiacie. Nie słyszę słów i to mnie wykańcza. Muszę wiedzieć, żeby móc kontrolować rozmowę i sterować nią tak, żeby Heather nie została zraniona. Czuję się bezradna, a jednocześnie jak kat. To ja ją tam posłałam, żeby zabić jej wiarę w ludzi, być może nawet we mnie.

Obserwuję, jak coś jej tłumaczysz, widzę twój miękki wyraz twarzy, łagodne gesty, którymi podkreślasz słowa. Nagle zamykasz się i patrzysz na nią. Czekasz na jej reakcję, ale ona się nie odzywa. Kładziesz ręce na biodrach. Stoisz z niepewną miną. Nie masz pewności, czy wyciągnąć do Heather rękę; robisz to, ale jej nie dotykasz, wiesz, że nie można. I w końcu patrzysz na mnie. Zatroškany. Co zrobić z tą młodą kobietą, która gapi się na ciebie w milczeniu? Co powiedzieć? Potrzebujesz mojej pomocy.

Serce mi pęka, że robię to Heather, ale ja ci tej pomocy nie udzielę.

Znów zaczynasz coś mówić, ona jednak odwraca się od ciebie i idzie z powrotem przez ulicę. Wygląda tak, jakby dostała w twarz. Bolesna mina, szkliste oczy, zaróżowiony nos. Tkwię nieruchomo i patrzę na nią, kiedy podchodzi do mnie, a potem mnie mija.

Właśnie to się dzieje, panie Marshall, kiedy się zawodzi ludzi. Nauczysz się tego i zapamiętasz wyraz twarzy mojej siostry.

Heather siedzi w domu i słucha muzyki na swoim gramofonie, w milczeniu radzi sobie z tym, że została odwołana wycieczka do radia. Nie chce o tym rozmawiać i bardzo dobrze, bo ja też zupełnie nie mam na to ochoty. Dalej kopię w ogródku, a im głębiej wkopuję się w ziemię, tym głębiej wkopuję się w siebie. Gdy jestem już dość głęboko, obolała i obnażona, przychodzi czas zamknąć ranę. Usypuję pięć centymetrów żwiru w dołku, z którego wylazłam, i na żwirze umieszczam misę. Mierzę odległość

od dziury do najbliższego gniazdka, przycinam odpowiedni kawałek rurki PCV. Przeciągam przez rurkę sznurek i taśmą hydrauliczną mocuję jeden jej koniec do gniazda pompy, którą podłączę później. Korzystając ze sznurka, przeciągam wtyczkę pompy przez rurkę i przyklejam taśmą do drugiego końca. Ta część zajmuje mi trochę czasu. Układam rurkę w rowku i przykrywam darnią. Następnie umieszczam pompę pośrodku misy i osłaniam ją siatką. Nowymi nożycami do drutu wycinam dziurę w środku siatki.

Teraz powinnam podłączyć pompę do rury wodociągowej, ale nie potrafię. To zbyt skomplikowane; burczę, mamroczę i przeklinam pod nosem, kiedy nagle słyszę głos za plecami.

– Cześć, ogrodniczko.

To nie ty. Wiem od razu. Zrywam się i upuszczam nożyce do misy.

– Cholera. Monday. Cześć. Przepraszam. Wystraszyłeś mnie. Ja właśnie. Kurde. Nożyce. Ja... tutaj. No... – Wzdycham i ocieram spoconą twarz. – Próbuję zbudować fontannę.

Stoję w dziurze w ziemi, więc Monday widziany z dołu wydaje się jeszcze bardziej majestatyczny niż zwykle. Ma na sobie granatowy garnitur, ale bez krawata. Uśmiech nie schodzi mu z twarzy i jest przeznaczony wyłącznie dla mnie. Ukradkiem zerkam na ciebie. Przyłapuję cię, jak szybko odwracasz wzrok, i natychmiast dalej lakierujesz stół z dziećmi, zagadując je tym wesołym tonem instruktora na obozie, który udało ci się utrzymać prawie przez godzinę.

– Dzwoniłem do ciebie parę razy, ale byłaś we własnym świecie – mówi Monday nadal z uśmiechem i kuca nade mną. – Co tu masz?

– Jeden wielki pasztet. – Pokazuję mu, co powinnam zrobić.

– Mogę?

– Proszę.

Wyciąga do mnie rękę, a ja ją chwytam i pozwalam się wywindować z dziury. To nie jest znak. To nawet nie symbol. To coś, co się dzieje naprawdę. Kiedy moja skóra dotyka jego skóry,

czuję to na całym ciele. Może tylko ja. Monday nie odsuwa się od brzegu, więc ląduję tuż przy nim, muskam nosem jego koszulę, widzę nagie ciało pod rozpiętymi guzikami. Chciałabym tak stać w nieskończoność i czuć jego twarde mięśnie tuż przy sobie, ale zamiast tego odsuwam się niezgrabnie. Nie jestem w stanie spojrzeć na niego, bo boję się, że zauważył, jak na mnie podział. Zdejmuje marynarkę, a ja wnoszę ją do domu i korzystam z okazji, żeby się trochę ogarnąć, poprawić włosy i ochłonać. Kiedy wracam, Monday z podwiniętymi rękawami klęczy na trawie i, marszcząc w skupieniu czoło, podłącza pompę do rury. Próbuję go zagadywać, ale jest skupiony, więc czuję się jak natrętna mucha. Obserwuję go przez chwilę, po czym robi mi się głupio, że go podziwiam w bardzo niestosowny sposób. Zaczynam ukradkiem zerkać na ciebie i twoje dzieci. Lakierujecie stół. Oprócz Fionna, którzy porzucił robotę, siedzi na krześle i gra na iPadzie. Pozostałych dwoje jednak świetnie się bawi przy renowacji blatu. Ty jesteś ożywiony, zaangażowany, rozgadany, zabawny. Dobry z ciebie ojciec, przykro mi, że oceniłam cię inaczej. Cyniczna strona mojej osobowości zastanawia się, czy to wszystko jest tylko pokazem dla mnie po tym, co wczoraj mówiłam, ale kiedy widzę szczere twarze i słyszę radosne głosy, wstydzę się sama przed sobą, bo znów pomyślałam, że cały świat kręci się wokół mnie. Potem klóczę się sama ze sobą o ten wstyd, bo przecież jednak zawiodłeś Heather i rzuciłeś szklanką w moją głowę. Klótnię wygrywam ja: zasługujesz na całą moją nieufność.

Monday patrzy na mnie i to wybija mnie z transu. Najwyraźniej powiedział coś i czeka na odpowiedź. Proszę, żeby powtórzył, ale nagle czuję zażenowanie, bo widzę, że śledzi wzrokiem moje spojrzenie. I dostrzega ciebie.

– Jego głos brzmi znajomo. To Matt Marshall?

– Tak.

Monday nie jest ani podekscytowany, ani zniesmaczony, a mnie dziwią własne odczucia. Nie chcę, żeby podskakując z radości, oznajmił, że cię uwielbia, i popędził na drugą stronę po autograf, ale też podejrzenie nerwowo wypatruję objawów jego

niechęci, tak jakbym była gotowa cię bronić. Hm, dziwaczna reakcja, biorąc pod uwagę, że tak tobą gardzę, szczególnie po tym, jak zraniłeś Heather. Gdybyśmy byli ze sobą, musiałabym cię rzucić i wyprowadzić się gdzie pieprz rośnie. Cóż, właśnie to zrobiła twoja żona. Może po prostu tak działasz na ludzi.

– To mi zajmie parę minut dłużej – oznajmia Monday. Posyła mi spojrzenie, które wywołuje mój uśmiech.

– Nie musisz tego robić.

– Wiem. Ale dzięki temu zyskasz parę minut więcej, żeby zastanowić się nad posadą. Do tej pory zajmuje ci to mnóstwo czasu.

Przygryzam wargę.

– Przepraszam. Powiedziałaś, że mam miesiąc na decyzję.

– Maksymalnie. Porozmawiamy, kiedy to skończę, dobra?

Patrzę na kable w jego dłoni.

– A ty w ogóle choć trochę znasz się na tym?

– Kupiłem stary wiejski domek w Skerries i sam go wyremontowałem. Nowy dach, nowa hydraulika, nowa elektryka. Trwało to parę lat, ale teraz nadaje się do mieszkania. I nie martw się, niczego nie wysadziłem w powietrze. Na razie.

Próbuję wyobrazić sobie Mondaya w jego chatce w sennym miasteczku Skerries, jak ubrany w biały wełniany sweter kupuje co rano świeże ryby od rybaka... ale jakoś nie mogę. Widzę go tylko rozebranego od pasa w górę, jak zrywa deski podłogi i zdziera tapetę potężnymi elektrycznymi narzędziami.

– Będiesz miała później czas, żeby porozmawiać? –

Dostrzega moje puste spojrzenie i dodaje: – Umówiliśmy się na rozmowę...

Nagłe olśnienie.

– Ach tak. Myślałam, że chodziło ci o rozmowę przez telefon, i dlatego... nie umawialiśmy się na konkretną datę, ale dziś może być.

Wydaje się zażenowany, że wpadł tak niespodziewanie w niedzielę, a może w jego zażenowaniu kryje się coś więcej? Nawet jeśli, szybko to maskuje. A może tylko mi się wydaje, wmawiam

sobie, że widzę jego wrażliwą stronę, i że wpadł bez zapowiedzi, bo naprawdę chciał mnie zobaczyć. Przez ułamek sekundy, kiedy patrzymy na siebie, wierzę, że to prawdopodobne, ale teraz to po prostu interesy, jak zwykle... a może nie całkiem jak zwykle, skoro niszczy sobie świetny garnitur, klęcząc nad dziurą w moim ogródku.

Pół godziny później, kiedy już zaparzyłam nam kawę, Monday i Heather siedzą przy kuchennym stole. Moja siostra opowiada mu, gdzie pracuje. Zawsze jest dumna z tego, co robi, i to dla niej najłatwiejszy temat do rozmowy z obcymi. Cieszę się, że potrafi nawiązywać kontakt i prowadzić konwersację, choć nieustannie martwię się o jej bezpieczeństwo. Nie chcę, żeby opowiadała przypadkowym mężczyznom o swoim tygodniowym rozkładzie zajęć, bo co jeśli któryś zechce się zjawić tam, gdzie akurat ona jest? Oczywiście nie martwię się, że mówi o tym Mondayowi. Ona też czuje się bezpiecznie i swobodnie, bo kiedy kończy, pyta o jego pracę.

– Jestem łowcą głów – odpowiada Monday. – Muszę znajdować odpowiednich kandydatów na stanowiska w różnych firmach. Czasami podbieram ich konkurencji.

– A to nie oszustwo?

– Nie do końca. – Uśmiecha się. – Nie lubię oszukiwać. Jestem raczej kimś, kto rozwiązuje problemy. To jak wielkie puzzle. Umieszczam właściwych ludzi na właściwych miejscach. Bo czasami nie są tam, gdzie powinni być.

Przy tym zdaniu patrzy mi w oczy. Nie mówi wolniej, jak gdyby Heather nie była w stanie zrozumieć, ani głośniej, jakby była głucha, choć akurat nosi aparat słuchowy. Jego zdania są krótkie i proste, do rzeczy.

Potem Heather zaczyna mu opowiadać o mnie, o moich posadach: to uproszczona wersja, jaką podawałam jej przez lata. Jestem skołowana, bo wydaje mi się, że źle zrozumiała wyjaśnienia Mondaya, ale nagle dociera do mnie, że ona próbuje mnie zareklamować. To wzrusza mnie tak bardzo, że aż nieruchomieję. Jestem oczarowana, przytłoczona wdzięcznością,

że siostra robi to dla mnie, a przede wszystkim, że na to wpadła. Monday znajduje ludziom pracę, a ja potrzebuję pracy. Wylicza moje zalety i okrasza je anegdotkami, żeby je podkreślić. Nauczyła się tego, kiedy sama brała udział w rozmowach kwalifikacyjnych, i teraz stosuje to do mnie.

Każde zdanie zaczyna od „Jasmine jest...”. Pierwsze kończy przymiotnikiem „dobra”, po czym podaje przykład mojej dobroci. Mówi mu, że zapłaciłam za jej mieszkanie.

– Jasmine jest mądra – wylicza dalej. – Kiedyś byliśmy na parkingu w supermarkecie i znalazła dwadzieścia euro przy kasie automatycznej. Obok leżała wizytówka lekarza z zanotowaną datą wizyty. Więc Jasmine wysłała pieniądze i wizytówkę do lekarza i napisała mu, że osoba, która przyjdzie w tym terminie, zgubiła pieniądze na parkingu. – Uśmiecha się promiennie. – Mądre, prawda?

– Rzeczywiście, bardzo mądre – odpowiada Monday z uśmiechem.

Mam nadzieję, że już skończyła; to urocze, ale trudno mi słuchać takich peanów. Heather jednak nie przerywa tematu:

– Jasmine jest hojna.

Kręcę głową i wracam do swojego zajęcia. Po chwili zerkam na Mondaya i widzę, że jest wzruszony. Patrzy na nią uważnie, jak zakłęty. Musiał wyczuć, że go obserwuję, bo spogląda na mnie, uśmiecha się łagodnie, i nagle muszę znów się czymś zająć. Nie zawsze ją rozumie, prosi, żeby powtórzyła to czy tamto. Mimo długoletniej terapii jej mowa nie jest zbyt wyraźna, ale choć ja sama rozumiem wszystko, powstrzymuję się, żeby nie wchodzić jej w słowo. Heather nie jest dzieckiem. Nie potrzebuje tłumacza.

– Wygląda na to, że Jasmine jest wspaniała – mówi Monday, znów patrząc mi w oczy. – I ja się z tym zgadzam. Myślę, że wielu ludzi byłoby szczęśliwych, mając kogoś takiego.

Nie patrzę na niego, ale widzę go kątem oka, jego twarz zwróconą do mnie. Poruszam się niezdarne, serce mi łomocze, w żołądku mam motyle. Niemal upuszczam karton z mlekiem i rozlewam je na blacie, choć celowałam do kubka.

– To prawda – przyznaje Heather.

– A ty jesteś wspaniałą siostrą, że tak o niej mówisz.

Jej kolejna wypowiedź wywołuje u mnie wir emocji i wyrzuca mnie z kuchni tak szybko, że nawet Monday ma dość rozsądku, żeby zakończyć wizytę i napisać mi SMS z prywatnego numeru, że prosi o telefon w wolnej chwili.

– Jestem jej starszą siostrą. Kiedy mama umierała, powiedziała mi, że muszę się opiekować Jasmine. Robię też inne rzeczy, ale opieka nad Jasmine to moja główna praca.

W poniedziałek z samego rana budzi mnie warkot kosiarki tuż pod moim oknem. To bolesne pod wieloma względami. Po pierwsze, jest dopiero parę minut po ósmej, a sam odgłos raczej nie należy do przyjemnych, po drugie, zeszłego wieczoru przed snem wypilał butelkę czerwonego wina. No, może trochę więcej i może to był całkiem inny alkohol, niemniej jednak dzisiaj go czuję: to łup, łup, łup, które przeszywa mi czaszkę, dostaje się wprost do mózgu, a potem niczym świder wyłazi przez tył głowy, gdzie rytmicznie rezonuje o poduszkę. Bezmyślnym użytkownikiem kosiarki może być ktokolwiek z czwórki emerytowanych sąsiadów, którzy żyją według własnego planu dnia, absolutnie nie przejmując się cudzym, tym bardziej że wiedzą, że nie mam już pracy. To może być każdy, ale ja już wiem, że to ty. Wiem to, zanim w ogóle unoszę głowę z poduszki, bo to trwa o wiele za długo. Nikt na świecie nie ma tyle trawy i tylko niedoświadczony ogrodnik może się tak grzebać. Wyglądam na dwór. Mam wrażenie, że czekałeś, aż się pojawię. Natychmiast unosisz głowę i machasz mi wesoło. Wręcz ociekasz złośliwością. Wyłączasz kosiarkę, jakbyś właśnie osiągnął zamierzony cel, i maszerujesz w moją stronę.

Nie mogę się ruszyć. Mam helikopter w głowie, naprawdę muszę się położyć z powrotem, ale ty stoisz pod drzwiami i dzwonisz, za długo i za głośno, jakbyś naciskał palcem siniak na mojej skórze i wystukiwał na nim wiadomość alfabetem Morse'a, żeby mnie torturować. Padam na łóżko w nadziei, że jeśli cię zignoruję, w końcu sobie pójdiesz, ale ty, jak każdy inny problem, nie znikasz; robisz się bardziej uciążliwy. W końcu ruszasz mnie nie ty, ale widok butelki wódki obok łóżka; to on wyrzuca mnie – w ślimaczym tempie – z sypialni.

Otwieram frontowe drzwi, światło dnia wypala mi dziury w oczach. Krzywię się, kulę i cofam w bezpieczny mrok pokoju zaciemnionego zasłonami. Wchodzisz za mną.

– O raj. – Przyglądasz mi się uważnie. Gadasz jak doktor

Jameson. – Dzień dobry. – Jesteś przesadnie radosny i głośny, cały dziarski. Denerwująco dziarski. Gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, pomyślałabym, że patrzyłeś, jak się urzynam, po czym specjalnie wstałeś wcześniej niż kiedykolwiek, żeby móc hałasować mi pod oknem. Co więcej, zmusiłeś się do pogodnego nastroju, jakiego nigdy u ciebie nie widziałam.

Zamierzam powiedzieć „cześć”, ale wychodzi mi ponure chrypięcie.

– Rany. Ciężka noc? Widzę, że niezła imprezka była w niedzielę pod trójką.

Stękam w odpowiedzi.

Zaczynasz chodzić po salonie i rozsuwać zasłony, otwierasz okno. Natychmiast przeszywa mnie dreszcz, więc chwytam kaszmirowy koc z kanapy, na którą klapnęłam. Opatulam się i patrzę na ciebie nieufnie, kiedy idziesz do kuchni, a raczej otwartego aneksu, bo cały parter mojego domu to otwarta przestrzeń, i grzebiesz po szafkach.

– Miska na cytryny – mówię słabym głosem.

Nieruchomiejesz.

– Co?

– Twój klucz. W misce na cytryny.

– Nie szukam swojego klucza, nie zatrzasnąłem się na dworze.

– Alleluja.

– Dlaczego miska na cytryny?

– Cieszę się, że pytasz. – Uśmiecham się. – Bo jesteś wiecznie skwaszony.

– A ty zgorzkniała i pokręcona? – odparowuje i mój uśmiech znika.

Dalej krzątasz się po kuchni. Słyszę kubki, czajnik, szelest papieru, czuję tosty. Zamykam oczy i zapadam w drzemkę.

Kiedy się budzę, podajesz mi herbatę i tost z masłem. Żołądek mi się wywraca, ale jestem głodna.

– Zjedz to, pomoże.

– Powiedział ekspert – mruczę półprzytomnie i siadam.

Ty sadowisz się w fotelu naprzeciwko mnie, obok okna, tak jasnego, że muszę mrużyć oczy. Wyglądasz prawie anielsko w padającym świetle, twoja prawa strona lekko się rozmywa, jakbyś był hologramem. Wzdychasz ze znużeniem i nie ma w tym nic anielskiego. Ale to westchnienie nie wynika ze zmęczenia. Wydajesz się jakiś odmłodzony, różowy od rześkiego porannego powietrza, twoje ubranie pachnie skoszoną trawą. Jesteś znużony mną.

– Dziękuję. – Przypominam sobie o manierach.

– Co do tamtej nocy... – zaczynasz.

Burczę coś i macham ręką, wypijam łyk herbaty. Słodka, słodsza niż to, co zwykle pijam, ale dobra. W tej sytuacji... I, co najważniejsze, to na pewno nie wódka. Nie chcę mówić o tamtej nocy, o tym, co zaszło między nami.

– Przepraszam, że rzuciłem w ciebie szklanką.

Teraz jesteś śmiertelnie poważny. Być może nawet przejęty, a tego nie mogę znieść.

Powoli przeżuwasz tosta i przetykam.

– Oboje zachowaliśmy się paskudnie – kwituję w końcu, żeby jak najszybciej mieć ten temat z głowy.

Nie to chciałeś usłyszeć. Masz nadzieję na przeprosiny.

– No cóż, Jasmine, po prostu zareagowałem na twoje słowa.

– Tak, i przyjmuję przeprosiny – odpowiadam. Dlaczego nie mogę się zdobyć na to, żeby się pokajać, choć wiem, że powinnam?

– Powiedziałaś parę wstrętnych rzeczy – ciągniesz.

– Przyszedłeś tu po przeprosiny?

– Nie, żeby przeprosić.

Zastanawiam się nad tym jeszcze raz.

– Już powiedziałam, oboje zachowaliśmy się paskudnie.

Przyglądasz mi się uważnie i niemal widzę rozpędzone trybiki w twojej głowie. Decydujesz się nie napadać na mnie, i wielkie dzięki za to, choć wiem, że zasłużyłam na burę. Jestem okropna. Idę na drobne ustępstwo.

– Byłam rozczarowana, że zawiodłeś moją siostrę.

– Przepraszam. Nie sądziłem, że tak się tym przejmie.
– Ona nie łamie obietnic. I łatwo ufa ludziom. – W odróżnieniu ode mnie. Ja im w ogóle nie ufam.
Kiwasz głową, przetrawiasz to.
– Wiesz, nie stwierdziłem, że to nigdy nie będzie możliwe, tylko nie w najbliższej przyszłości.
– Jakie są szanse?
– W tej chwili raczej marne – przyznajesz ponuro.
Powinnam pomyśleć, jakie są konsekwencje tego, że straciłeś pracę, dla ciebie i twojej rodziny, nie dla Heather, która nie zwiedzi radia. Kiedyś ktoś nazwał mnie wrażliwą ze względu na moje uczucia do Heather, ale wygląda na to, że jeśli chodzi o innych, jestem zupełnie obojętna.
– Przez to, co mi nagadałaś, przestałem pić – wypalasz nagle.
Gapię się na ciebie zaskoczona. I zaskoczył mnie raczej fakt, że cokolwiek, co powiedziałam, mogło mieć na ciebie wpływ, za to absolutnie mnie nie dziwi wyznanie, że odstawiłeś alkohol. Bo ci nie wierzę. Nie wierzę, że mówisz poważnie. To trochę tak, jakbyś był niewiernym mężem, a ja mam totalnie dość twoich deklaracji, że się zmienisz. Jakimś cudem już tak się zżyliśmy.
– Naprawdę przestałem. – Precyzyjnie odczytujesz wyraz moich oczu. – Miałaś rację. W tym, co powiedziałaś o dzieciach.
– Och, błagam cię, Matt – ucinam zdesperowana. Poddaję się. – W niczym nie miałam racji. Nie znam cię. Nie znam twojego życia.
– Prawdę mówiąc... – zwlekasz, jak gdybyś się zastanawiał, czy to powiedzieć, czy nie – znasz. Widzisz je codziennie. Wiesz więcej niż ktokolwiek.
Cisza.
– I znasz mnie. – Patrzysz na mnie z namysłem. – Co prawda, mylisz się w niektórych sprawach, ale dla mnie to po prostu jeszcze jedno wyzwanie: coś komuś udowodnić.
– Nie musisz mi nic udowadniać – kłamię. Chciałabym wierzyć w to, co mówię, ale tak nie jest. W każdym jednym słowie, które pada z twoich ust, doszukuję się potwierdzenia, że

jednak wredny z ciebie typ.

– W każdym razie chciałbym, żebyś to wzięła. – Podajesz mi zmiętą kopertę z listem od twojej żony.

– Jeszcze nie przeczytałeś? Matt!

– Nie mogę. Nie chcę wiedzieć, co w nim jest. Nie mogę.

– Amy zaczęła z tobą rozmawiać?

Kręcisz głową.

– Bo wszystko, co chciała powiedzieć, napisała tutaj, a ty to sobie odpuszczasz! Nie rozumiem cię.

– Więc mi to przeczytaj.

– Nie! Przeczytaj sobie sam, do cholery. – Rzucam list na stolik.

– A jeśli napisała, że nigdy nie wróci?

– To przynajmniej będziesz wiedział. Zamiast... czekać beczynnienie.

– Nie czekam beczynnienie. Już nie. I udowodnię jej.

– Co jej udowodnisz?

– Jaki jestem.

– Zdaje się, że już to zrobiłeś. Dlatego odeszła – mówię to półżartem i czekam, aż się uśmiechniesz, ale się nie uśmiechasz.

Wzdychasz. Patrzysz na kopertę i wydaje mi się, że wreszcie udało mi się do ciebie dotrzeć. Bierzesz ją i wstajesz.

– Wkładam do cytryn.

Uśmiecham się; cieszę się, że mnie nie widzisz.

Pod twój dom podjeżdża samochód.

– Goście – mówię z ulgą, że ta rozmowa się skończyła i że sobie pójdiesz. W głowie mi się kręci, a tost pływa po morzu wódki z sokiem porzeczkowym, surfuje na fali niestrawności.

Przyglądasz się samochodowi przez okno, z rękami na biodrach, z ponurą miną. Wciąż niezłe z ciebie ciacho. Nie żebyś był stary, jesteś tuż po czterdziestce, ale bardziej mi chodzi o twój styl życia. Zarwane noce, alkohol, mieszanki pigułek na uspokojenie i wszystkie inne wybryki nie odcisnęły się na twoim wyglądzie tak bardzo, jak powinny.

– To chyba nie do mnie. – Wciąż przyglądasz się autu. –

Facet po prostu siedzi w samochodzie.

– Dlaczego nigdy nie pracowałeś w telewizji? – pytam nagle. Prezenterzy, którzy odnoszą sukcesy, mają licznych słuchaczy i fanów. Zwykle przenoszą się na wizję, zwłaszcza ci całkiem przystojni, a w telewizji uroda jest równie ceniona jak inteligencja. Czasem nawet bardziej.

– Pracowałem. – Odwracasz się, zaskoczony równie mocno jak ja, że zadałam ci osobiste pytanie o życie, o pracę. – Jakies pięć lat temu miałem nocny talk-show... W środy o wpół do dwunastej w nocy. – Patrzysz na mnie tak, jakbym powinna to wiedzieć, ale kręcę głową. – Siedzieliśmy przy stole z bandą ludzi, których ściągnął ktoś inny, i rozmawialiśmy na tematy, jakie chciałem poruszać, ale nie tak, jak chciałem. Zwinąłem się stamtąd. W telewizji o niczym samemu się nie decyduje. Radio daje dużo większą swobodę.

– Można na przykład uczcić Nowy Rok odgłosami orgazmu. Wzdychasz i siadasz z powrotem.

– Nie tylko kobiety gadają o takich rzeczach, wiesz. Jestem zbita z tropu.

– Mam przyjaciela. Nazwijmy go Joey.

– A nie możemy go nazwać tobą?

– Nie. To nie ja. – I wierzę ci. – Któregoś dnia Joey mówi mi, że on i jego żona mają problem z zapłodnieniem. Są po ślubie siedem lat, a jeszcze nie dorobili się dzieci. Aż któregoś wieczoru przy piwie zwierzył mi się, że udaje, kiedy są w łóżku. Pierwszy raz słyszałem o czymś takim. A przynajmniej od faceta. Nic w tym złego, kiedy kobieta udaje, oczywiście, ale sprawa wygląda inaczej, kiedy ściemnia facet, a jego żona chce mieć dzieci. Wtedy to się staje problemem. Nie może jej powiedzieć, że udawał. Naprawdę sam się zapędził w kozi róg, rozumiesz. Ona się zbadła i wyszło, że z jej instalacją raczej wszystko w porządku...

Doprawdy, twój dobór słów jest inspirujący.

– Więc chciała, żeby sprawdził swój sprzęt. Czy jest płodny. Ale nie chciał, bo wiedział, że nic mu nie jest. A przynajmniej tak zakładał. I zamiast się przyznać, że w większości przypadków

pogrywa i że wolałby figlować w łóżku w trochę inny sposób, taki który by mu pomógł, oświadczył jej, że nie chce mieć dzieci. Chociaż chciał, ale spanikował i nic innego nie przychodziło mu do głowy. Tak czy inaczej, się rozstali. Tylko dlatego, że nie potrafił powiedzieć prawdy. – Kręcisz głową. – Pomyślałem, że warto o tym porozmawiać na antenie.

– Bo warto – mówię. Osobiście nie byłabym zbyt zachwycona, że rozmowa polega na przekrzykiwaniu się ludzi, których ledwie słyszać przez złe połączenie, ale rozumiem jego rację.

– Tony wpadł więc na pomysł, żeby uczcić Nowy Rok wizytą kobiety. Powiedziałem: okej, niech będzie. W sumie, co mi tam. Uważałem, że to zabawne. I miało związek z dyskusją. Nic wielkiego.

– Kto to Tony?

– Producent. On to zorganizował. Ściągnął tę babkę do studia. I zaczęła wydawać odgłosy do mikrofonu. Nie, to nie był prawdziwy pokaz – wyjaśniasz mi. – Wbrew temu, co piszą tabloidy. Ale była prostytutką. W tym problem. Tony jej zapłacił. – Znow kręcisz głową. – Rany. Tony też sobie wszystko spięprzył. Od jakiegoś czasu miał problemy z dziewczyną. Rzuciła go, a on... no cóż, nie radzi sobie tak dobrze jak ja.

– Na moje oko to wina Tony'ego.

– Nie. Ja prowadzę audycję. Ja decyduję, co się w niej dzieje. Szczerze mówiąc, byłem tak nachlany tej nocy i przez cały tydzień, że straciłem kontakt z rzeczywistością. Robiłem tak wiele razy i uchodziło mi na sucho, ale teraz... – Wstajesz i znow wyglądasz przez okno. – Co ten gość wyrabia? Gapi się na mój dom.

W końcu i ja dźwigam się z kanapy, żeby popatrzeć. Samochód stoi dokładnie na wprost twojego domu, mężczyzna wpatruje się w okna.

– Masz wielu walniętych fanów?

– Tak. Jedna dziewczyna tak oszalała na moim punkcie, że wprowadziła się do domu naprzeciwko. Ruda. Duże piersi.

Uczepiła się jak rzep.

Naprawdę się uśmiecham.

– Może on czeka, bo wie, że cię nie ma w domu.

– A skąd miałby to wiedzieć? Chyba że mnie obserwował.

Idę do niego.

Słyszę gniew w twoim głosie i wiem, że źle to rozegrasz.

– Stój, Matt. Wysiada.

Wracasz do okna i obserwujemy go razem. Trzyma coś w dłoni. Coś czarnego. Aparat. Unosi go i zaczyna pstrykać fotki twojego domu.

– Co za skur...

Reakcja jest spóźniona. Fotograf zdążył zrobić sporo zdjęć, zanim dociera do ciebie, co jest grane. Patrzymy, jak ogląda je na wyświetlaczu aparatu, po czym idzie dalej wzdłuż ulicy, żeby zrobić ujęcie pod innym kątem.

– Nie rób niczego głupiego, Matt – ostrzegam. – Wpakujesz się tylko w jeszcze większe kłopoty – wołam za tobą, ale ta rada trafia w próżnię, dosłownie, nie w przenośni, bo już zdążyłeś wypaść z mojego domu.

Wygląda to trochę tak, jakby moje słowa podsunęły ci pomysł, ponieważ robisz dokładnie to, przed czym cię ostrzegałam: szarżujesz na fotografa. Ten się odwraca, widzi ciebie, dostrzega agresję na twojej twarzy i uśmiecha się zachwycony okazją do zdjęcia. Ale ty się nie zatrzymujesz. Sięgasz po aparat, chwytasz go, rzucasz na ulicę, po czym siłą wsadzasz faceta do samochodu. Nie wychwytyuję wszystkich szczegółów, bo oglądam tę scenę, co rusz zasłaniając oczy ręką. Poza tym coś mi mówi, że lepiej, jak nie będzie świadków.

Efekt twojego zachowania jest taki, że godzinę później wciąż siedzę w szlafroku, pod twoim domem koczują kolejnych trzech fotografów, a ty chodzisz w tę i w tę po moim salonie, zasłaniasz mi *Diagnoza: morderstwo*[10] i wrzeszczysz przez telefon do swojego agenta. Wiadomość, że cię wylali, wyciekła do mediów, zanim stacja poinformowała ciebie, a na dodatek wlepili ci sześciomiesięczny urlop ogrodniczy, żebyś się natychmiast nie

zatrudnił w konkurencyjnej rozgłośni – czym właśnie się odgrażasz.

Doskonale wiem, jak się czujesz, ale widzę też, że chcesz zatrudnić się w innej rozgłośni tylko po to, żeby się odegrać na obecnym pracodawcy, a nie dlatego, że naprawdę marzysz o powrocie do pracy. Myślę sobie, że może sześć miesięcy na zastanowienie nad kolejnym ruchem dobrze ci zrobi. To interesująca koncepcja, na którą nie wpadłam wcześniej. Choć ty czujesz się uwięziony, ja widzę dla ciebie szansę. Chyba robię postępy.

Przez reporterów na ulicy nie mogę pracować w ogródku, choć fontanna woła, żebym ją dokończyła, a organizm na kacu rozpaczliwie domaga się świeżego powietrza. Miałam nadzieję, że sobie pójdą na drugie śniadanie, ale niestety; jeden znika i wraca z reklamówką pełną kanapek z supermarketu; wszyscy opierają się o jeden z samochodów i zajadają przed domem. Owszem, próbowałam wyjść, kiedy zrobili sobie przerwę, ale jak tylko otworzyłam drzwi, szynka, jajko, kapusta i szare torebki pofrunęły na wszystkie strony, bo panowie rzucili śniadanie i złapali za aparaty. Mimo moich protestów, że jestem osobą prywatną, nie przestawali pstrykać mi zdjęć. Dopiero kiedy zrozumieli, że prędzej skończy im się miejsce na kartach pamięci, niż ja wstanę z klęczek i porzucę robotę, dali sobie spokój. Oczywiście, czułam się zbyt skrępowana, żeby pracować pod ich czujnym okiem – tym bardziej że nie miałam pojęcia, co robię – więc w końcu uciekłam z powrotem do domu.

– Przepraszam – mówisz, kiedy trzaskam drzwiami i czerwona na twarzy odwracam się do ciebie.

Zaczyna lać, niebo zaciąga się chmurami aż do wieczora. Kiedy wszyscy czterej paparazzi uciekają do jednego samochodu i kulą się, chroniąc wielkie aparaty, krzyczę do nich:

– Ha! Niech wam zardzewieją!

W milczeniu gotujesz się z wściekłości, ale zerkasz na mnie z rozbawieniem.

Wpada do nas doktor Jameson i udaje zirytowanego, ale w

głębi duszy jest zachwycony impasem i zamieszaniem. Chce omówić problem paparazzich na naszej ulicy, zastanowić się, co z tym zrobić. Idę na górę się położyć.

W pewnym momencie dzwoni do mnie przyjaciółka i pyta, czy może wpaść. To jej się nie zdarza. Dziwne. Z dwóch powodów: Caroline pracuje w banku, w dziale windykacji, i nigdy nie jest osiągalna w tygodniu, a po drugie, jak już ma wolne, uprawia seks ze swoim nowym chłopakiem, osiem lat od niej młodszym, z którym się spiknęła, kiedy odkryła, że mąż zdradza ją na prawo i lewo. W sumie cieszyłam się, że jej nie widuję, bo ma lepiej ode mnie. Pod wieloma względami.

Przychodzi tak podekscytowana, że chyba zaraz pęknie. Jedynym miejscem, gdzie możemy spokojnie porozmawiać, jest moja sypialnia. Na dole ty miotasz się jak lew w klatce i naradzasz z prawnikiem, ponieważ paparazzo, któremu rozbiłeś aparat, grozi ci oskarżeniem o zniszczenie mienia. Oczywiście nie będziesz za to odpowiadał, ponieważ facet zdążył już zarobić na twoich zdjęciach. Pojawiły się w internecie, na przeróżnych plotkarskich i rozrywkowych portalach. Widać, jak szarżujesz na fotografa z taką miną, jakbyś chciał kogoś zabić. Koleś pstryknął cię z zabiej perspektywy, więc wyglądasz jak King Kong z podwójnym podbródkiem i wielkim brzuchem, pragnący miażdżyć wszystko, co stanie mu na drodze.

Doktor Jameson i ja pochylamy się nad laptopem, żeby je obejrzeć.

– O raju – jęczysz. – Cieszę się, że nie ma tu dzieci.
– Mój skalniak wygląda całkiem ładnie. – Przyglądam się ogródkowi w tle. – Ale szkoda, że nie skończyłam fontanny. – Robię nadąsaną minę.

Idę na górę, zanim zrobisz mi King Konga, a doktor Jameson wraca do programu *Domy pod młotek*.

– To mieszkanie wyglądało lepiej przed renowacją – ocenia, kiedy wychodzę z salonu.

– Masz tu jakiś dom wariatów – stwierdza Caroline i odbiera ode mnie kubek kawy, który jej przyniosłam.

– Witaj w moim nowym świecie – rzucam cierpko.
– To na czym skończyłam?
– Na strzelających cukierkach.
– A tak. – Oczy zaczynają jej błyszczeć i na nowo podejmuje opowiadanie o sypialnianych figlach ze swoim nowym chłopakiem, które zresztą już dawno wyszły poza sypialnię. – No ale w sumie – bierze wdech po skończonej opowieści – tak naprawdę przyszedłam tutaj, bo wpadłam na pomysł świetnego biznesu... i chcę, żebyś ze mną przy tym pracowała – piszczy. – Ja mam tylko ten megapomysł i zero pojęcia co dalej. A ty robiłaś to mnóstwo razy. Zgodzisz się? Proszę!

– O rety. – Szeroko otwieram oczy, bardzo podekscytowana, ale i trochę zaniepokojona. Praca z przyjaciółmi to śliska sprawa, a jeszcze nawet nie poznałam tego pomysłu. Planuję w głowie, jak się wykręcić, bo spodziewam się, że będzie do dupy. – No, dawaj.

Jest lepiej przygotowana, niż się spodziewałam. Wyciąga teczkę z naklejką Gúna Nua: to po irlandzku „nowa sukienka”. Pomysł jest taki: wrzucasz zdjęcie swojej sukienki na stronę serwisu – Caroline wykupiła już adres – i wybierasz inną, na którą chcesz się zamienić. Twoja sukienka zostaje odebrana, na jej miejsce przyjeżdża nowa. Żadne pieniądze nie przechodzą z rąk do rąk, wszystko załatwia się na podstawie deklaracji, że ciuchy będą wyprane i w idealnym stanie.

– Duży wybór designerskich kiecek, vintage, high street, co tylko chcesz. To jak dostać nową sukienkę, a przy okazji pozbyć się rzeczy, które ci tylko zawalają szafę.

– To na czym będziesz zarabiać?

– Na wpisowym. Płacisz za członkostwo. Za pięćdziesiąt euro rocznie możesz dostać tyle darmowych ciuchów, ile dusza zapagnie. Serio, Jasmine, wiem, że to będzie miało wzięcie. Codziennie widzę ludzi, którzy kiepsko stoją z kasą. Strasznie przygnębiające. Wymiana ubrań to strzał w dziesiątkę, na bank.

Pomysł nie jest idealny, daleko mu do tego, i uważam, że pięćdziesiąt euro to za drogo, ale na każdy problem, jaki dostrzegam, znajduję też rozwiązanie. Zaczynam być

zainteresowana.

– Wiem, że tobie by się to przydało, więc naprawdę się zastanów – przekonuje mnie usilnie Caroline. Jej starania przynoszą odwrotny skutek.

To brzmi, jak gdyby mi wyświadczała przysługę, a wcale tak nie jest: to ona mnie potrzebuje, żeby dopracować pomysł. Jak na razie jest niezły, ale słabo przemyślany. To Caroline musi mieć moje wsparcie, żeby go urzeczywistnić. Nie podoba mi się, że wykręca sprawę w taki sposób, jakby to ona miała mi pomóc. Zaczynam się gotować z irytacji, ale tego nie wyczuwa i ciągnie w najlepsze:

– Ten twój urlop ogrodniczy jest do kiedy? Do listopada? Możemy pracować nad biznesem po cichu, aż będziemy gotowe wejść na rynek, a do tej pory tobie się skończy urlop. I bardzo dobrze, bo już wtedy nie będzie w ogródku ani kawałka miejsca na żonkile. – To ma być komplement, ale jakoś tego nie czuję.

– Żonkile nie rosną w listopadzie – odpowiadam. Chcę, żeby się odczepiła od mojego ogródka.

Marszczy brwi.

– Okej – mówi powoli.

Milczę długą chwilę.

Zatrząskuje teczkę.

– Jeśli uważasz, że to do dupy, to po prostu powiedz. – Tuli teczkę do piersi.

– Nie, nie chodzi o pomysł. Po prostu nie mam noża na gardle. Caroline, doceniam, że o mnie pomyślałaś i uważasz, że to będzie dla mnie dobre, ale ja już mam ofertę pracy.

– Jakiej pracy?

– Odnalazł mnie łowca głów... cudowny zresztą. –

Uśmiecham się i staram zachować powagę. – Trzeba rozkręcić organizację zajmującą się zmianami klimatu i prawami człowieka.

– Zmiany klimatu? Skąd to nagle zainteresowanie? Czyżby twoje przebiśniegi spóźniły się w tym roku? – Rzy jak koń.

To ma być śmieszne. Wszyscy przyjaciele żartują sobie ostatnio z mojej ogrodniczej pasji. Odmawiałam spotkań na kawę,

podczas wieczornych wyjść opowiadałam o swoich pracach. To nowa zabawa towarzyska: pożartujmy sobie z Jasmine i jej ogródka. Rozumiem, naprawdę, ale... Wyraz oczu Caroline każe mi się zastanawiać, czy w ogóle powinnam myśleć o tym stanowisku, ale wkurza mnie jej postawa, ta sugestia, że to ja potrzebuję jej.

– I co, bierzesz tę robotę?

– Zastanawiam się. – Mnie samą zaskakuje ta szczerość.

– A poznasz Bono?

Jej mina mięknie nareszcie, a ja śmieję się i ze znużeniem pocieram twarz.

– Jasmine – odzywa się Caroline łagodnie po chwili. –

Chcesz ze mną pracować czy nie? Nie obrażę się, jeśli odmówisz.

Przygryzam wargę. Nie umiem podjąć decyzji tu i teraz.

– Opowiedz mi jeszcze raz o tych strzelających cukierkach.

Zrozumiała, że potrzebuję więcej czasu.

– Okej, ale z kimkolwiek to planujesz, musisz mu powiedzieć, żeby ogolił wszystko na dole, bo to się trochę klei.

Mówi i mówi, ale ja mogę myśleć tylko o Mondayu. Nie przez pomysły ze strzelającymi cukierkami, ale dlatego, że nie chcę go zawieść – tego człowieka, którego ledwie znam, a który pokłada we mnie tyle wiary.

– Monday – mówię do telefonu. Czuję się jak na rauszu, kiedy słyszę jego głos, ale i trochę zdenerwowana przez to, co mu zaraz zakomunikuję.

– Jasmine. Super. Właśnie o tobie myślałem. A to zdarza mi się coraz częściej.

Piękne wyznanie, zupełnie niezwykle, biorąc pod uwagę charakter naszej znajomości, ale on szybko przechodzi dalej, tak jakby w ogóle nie rzucił tej uwagi. Chyba jest na dworze: słyszę samochody, ludzi, wiatr. Zajęty człowiek w centrum miasta, poluje na ludzi, kiedy ja stoję tutaj, w ogródku. Specjalnie wybrałam to miejsce na rozmowę, bo ostatnio tylko tutaj mój umysł bywa spokojny i jasny. To już dzień trzeci, paparazzi chronią się przed zimnem, pochowali się w samochodach i czekają, aż Matt wyjdzie

i znowu narozrabia. Wywierają presję, żeby sprowokować go do wybuchu, a tymczasem szczegóły tego, co naprawdę zaszło w studiu w sylwestra, wypływają w tabloidach. Relacje są całkowicie zgodne z tym, co mi powiedział, ale na łamach gazet zaczynają żyć własnym życiem, kiedy prostytutka sprzedaje swoją wersję i na światło dzienne wychodzą rewelacje o jej „związku” z Tonym. To brudna afera i każda stacja radiowa chciałaby się od niej odciąć.

– Jak tam fontanna? – pyta Monday.

– Prawie skończona. Właśnie zbijam pokrywę. Używam młotka i gwoździ. Gdyby moi dawni koledzy z pracy mnie teraz widzieli...

– Ci paparazzi powinni się mieć na baczności.

Milknę i rozglądam się, żeby sprawdzić, czy go tu nie ma, choć dźwięki w tle wskazują wyraźnie, że jest gdzie indziej.

– Widziałem zdjęcia w necie – dodaje, ponieważ ja przez długi czas milczę. – Twój ogródek wyszedł całkiem ładnie.

– Szkoda tylko, że nie zdążyłam z fontanną.

Słyszę uśmiech w jego głosie.

– W takim tempie na pewno jeszcze dasz radę. A pomyślałem o tobie, bo przeczytałem dzisiaj, że zasięg występowania kampanuli będzie się zmniejszał w wyniku zmian klimatu. W okresie zimy wiosenne kwiaty, takie jak kampanule, rozpoczynają już proces wzrostu, ponieważ latem i jesienią zawiązały liście i kwiaty w podziemnych cebulkach i bulwach.

To brzmi tak, jakby czytał. Siadam na nowej ogrodowej ławeczce i słucham z uśmiechem.

– Dzięki temu mogą rosnąć już zimą i wczesną wiosną, korzystając z zapasów zgromadzonych w cebulce. W przypadku cieplejszych wiosen, wywołanych zmianami klimatycznymi, kampanule tracą przewagę uzyskaną dzięki wcześniejszemu startowi i przegrają w konkurencji z roślinami wrażliwymi na temperatury, które zaczną wegetację wcześniej niż w przeszłości.

Nie bardzo wiem, co na to odpowiedzieć.

– Bardzo mi przykro, ale ja nie mam w ogródku kampanuli. – Patrzę dookoła, żeby się upewnić.

– Ale to byłaby wielka szkoda, nie oglądać tej pięknej, niebieskiej mgiełki w lasach, prawda?

Obrazek stworzył piękny, ale nie mam bladego pojęcia, dlaczego jego zdaniem właśnie to mnie przekona, żeby przyjąć propozycję pracy w fundacji.

– Monday – zaczynam poważnym tonem. – Jest coś, o czym ci nie powiedziałam.

Waha się przez moment, wyczuwa niebezpieczeństwo.

– Tak?

– Powinam cię od razu uprzedzić, ale, ehm... – Odchrząkuję. – Jestem na urlopie ogrodniczym. Przez rok. Kończy się w listopadzie.

– W listopadzie? – powtarza niezbyt szczęśliwy. Jako profesjonalista nie zdradza gniewu, ale na pewno jest zły. Zmarnowałam jego czas, teraz to rozumiem; grałam z nim w jakąś gierkę, kiedy on starał się wykonywać swoje obowiązki zawodowe.

– Cóż, lepiej by było, gdybym wiedział o tym parę tygodni temu, Jasmine. – Wymawia moje imię tak, że aż się kulę. Jestem strasznie zawstydzona, to mnie niemal całkiem paraliżuje. Czuję się tak, jakbym została przyłapana ze spuszczonej majtkami, kiedy paparazzi tłoczą się dookoła i pstrykają zdjęcia. Dziękujemy za małe łaski: przynajmniej nie rozmawiam z Mondayem twarzą w twarz.

– Przepraszam, że ci nie powiedziałam, po prostu... – Nie potrafię wymyślić usprawiedliwienia, ale on pozostawia mnie w ciszy, czeka, aż się wytłumaczę. To mi mówi, że jest zły i zdecydowanie chce wyjaśnień. – Wstydziałam się.

Mam wrażenie, że stanął jak wryty.

– Na litość boską, dlaczego miałabyś się wstydzić? – pyta szczerze zaskoczony. Złość się ulotniła.

– Rany, nie wiem. Wylali mnie i nie mogę pracować przez rok.

– Jasmine, to przecież normalne. Nie widzę żadnego powodu do wstydu. Szczerze mówiąc, to komplement, jeśli nie chcą, żebyś

pracowała dla kogoś innego.

– Nie myślałam o tym w ten sposób.

– A powinnaś. Tak między nami, ja bym nie miał nic przeciwko temu, żeby płacili mi za leniuchowanie przez rok. – Śmieje się, a mnie już jest o niebo lepiej.

Milczymy długą chwilę. Nie bardzo wiem, co teraz zrobić. Jeśli ta posada nie jest już osiągalna, to nie mamy powodu do kolejnego spotkania, a tak strasznie pragnę się z nim jeszcze spotkać. Mam o tym wspomnieć? Zaprosić go na randkę? Czy to pożegnanie? Jego kolejne słowa ratują mnie przed wypowiedzią.

– Chcesz się starać o tę pracę, Jasmine?

Wyobrażam sobie scenariusz, w którym mówię „nie”. Monday się rozłącza i nigdy więcej nie dzwoni, wracam do swojego urlopu ogrodniczego, mojej niepewnej przyszłości, nudnej i przerażającej teraźniejszości. Nie chcę znów czuć się tak, jak przez ostatnie miesiące.

– Mhm, zależy mi na pracy – mówię i nagle uświadamiam sobie swoje potknięcie. – Znaczy, tej pracy.

– Świetnie. Przedstawię im sytuację. Zobaczymy, co powiedzą, okej?

– Tak, oczywiście. Jasne. – Prostuję się, przechodzę na profesjonalny tryb. – Naprawdę bardzo cię przepraszam.

Rozłączamy się. Przez dobre pięć minut kulę się i chowam twarz w dłoniach, a potem, jak gdybym usiłowała skryć się przed rozmową, którą właśnie odbyłam, wracam do zajęć w ogródku. W końcu wszystkie myśli znikają mi z głowy, kiedy biorę się do zbijania pokrywy z desek rozsuniętych na kilka centymetrów. Przykryję nią fontannę. Układam właśnie płyty indyjskiego piaskowca jedna na drugiej i zaznaczam środek ołówkiem, żeby wywiercić dziurę na rurę, kiedy nagle, tknięta pewną myślą, rzucam narzędzia na trawę i pędzę do domu. Podchodzę wprost do ściany ze zdjęciami obok kuchennego stołu i je przeglądam. Dobrze wiem, czego szukam. Kiedy to dostrzegam, zakrywam usta dłońmi i sama nie mogę uwierzyć, jak błyskawicznie przytłaczają mnie emocje. Przez to, że ten obrazek znaczy dla mnie tak dużo,

ale i przez to, że Monday zdawał sobie z tego sprawę.

Obok miejsca, gdzie siedział kilka dni temu, wisi zdjęcie: ja, Heather, tata i mama – jedyne zdjęcie całej czwórki, jakie mam, zrobione podczas jednej z naszych regularnych wycieczek do ogrodu botanicznego. Wszyscy szeroko się uśmiechamy (mnie brakuje przedniego zęba) i leżymy na łące kampanuli.

To zdjęcie zmusza mnie do rozważań. Do długich rozmyślań na temat mnóstwa spraw. Rozmyślam, kiedy wykańczam fontannę, a potem zbijam kratę i maluję ją na czerwono na cześć dziadka Adalberta Mary, a potem mocuję oczka i linki do ściany domu, żeby mój świeżo posadzony zimowy jaśmin mógł się po nich piąć. A potem, kiedy myślę, że nie umiem już myśleć i wszyscy uwzięli się, żeby podejmować za mnie życiowe decyzje, decyduję się położyć więcej trawy z boku domu i zasiać kwiatową łąkę. Eddie wraca, żeby ryc dalej, ale teraz nie jestem już głupia: kończy skuwać ten mały kawałek w jeden dzień, potem przygotowuję glebę i w kolejnym tygodniu sieję mieszankę polnych kwiatów: mak, rumianek, margerytki i chabry. To mały teren, ale wysiewam kwiaty obok miejsca przeznaczonego na niewielką cieplarnianą przybudówkę, którą niedługo mi dowiozą. Stanie przy wolnej ścianie mojego bliźniaka. Żeby ptaki nie wydziobały nasion, w ramach niedzielnych wspólnych zajęć rozwieszamy z Heather nad wysianą łąką płataninę sznurków z doczepionymi płytami kompaktowymi. Nawet to robimy z namysłem, wybieramy piosenki, które naszym zdaniem odstraszą ptaki.

Sadzę więc i sieję, i sieję, i sadzę. I kiedy tak sadzę i sieję, myślę, choć nie zdaję sobie sprawy, że myślę. Chwilami wręcz jestem pewna, że nie myślę o niczym, a tu przychodzi jakaś myśl. Zjawia się tak nagle i niespodziewanie, że nie mogę się wyprostować, stoję z napiętymi, obolałymi plecami i się rozglądam – bo od kogo lub z czego wzięła się ta nagła myśl i czy ktokolwiek widział, jak mnie dopada? Marzec zmienia się w kwiecień, a ja wciąż dumam. Wyrrywam chwasty. Chronię młode roślinki przed zimmem, bo choć dni robią się coraz cieplejsze, wciąż miewamy silne wiatry i potężne ulewy. Myślę o swoich kwiatkach, kiedy wieczorem wychodzę spotkać się z przyjaciółmi. Szczególnie jak jest wyjątkowo silna ulewa, a ludzie wchodzą do restauracji i otrząsają parasole, zrzucają z siebie przemoczone płaszcze. Rano pierwsza moja myśl dotyczy ogródka. Myślę o ogródku, leżąc w

ramionach mężczyzny, którego poznałam w barze, i słucham wycia wiatru za oknami jego sypialni. Chcę być w domu, z moim ogródkiem, bo tam wszystko ma sens. Wciąż coś robię. Nie pozwalam, żeby trawa urosła za wysoka, bo po stryżeniu będzie żółta. Nie mogę jej zaniedbać. Regularnie czeszę darń grabiami, żeby martwe źdźbła i śmieci nie zbierały się od spodu; mam nadzieję, że trawa będzie dzięki temu zdrowsza, że nie zagnieżdżą się w niej chwasty i mech. I cały czas, kiedy to robię, myślę.

Żonkile, które kiedyś wyrastały z ziemi, dumne i wysokie, pierwsze plamy koloru w szarzyźnie wczesnej wiosny, powoli przekwitają. Kwiaty są zwiędnięte, więc, choć z żalem, ucinam główki poniżej zgrubienia, łodyżki nie tykam. Jeśli zostawi się przekwitłe kwiaty, roślina włoży energię w wytwarzanie nasion. Gdy usuniemy kwiat, siła witalna zostanie przekierowana do tworzenia przyszłego pąka w cebulce.

W ogródku zawsze jest ruch, zawsze coś rośnie. Nawet gdy czuję, że czas przestał płynąć, wystarczy mi wyjść na dwór i wszystko wokół się zmienia. W miejscu, gdzie niedawno był maleńki pączek, nagle jest kwiat i patrzy na mnie, otwarty i dumny z tego, co osiągnął, kiedy spaliśmy.

Monday potwierdził, że moje stanowisko ma zostać utworzone w listopadzie i aktualnie szuka innych kandydatów, żeby im też je zaproponować, więc rozmowa kwalifikacyjna została przełożona na dziewiątego czerwca. Nie mogę się doczekać. Bardzo chcę znów poczuć się jak dawna ja. Niech już ten roczny wyrok dobiegnie końca. Ale choć niezliczoną ilość razy sobie tego życzyłam, zastanawiam się, co zrobię, kiedy przyjdzie ten dzień. W listopadzie znów będzie zimno, ciemno, buro i burzliwie. Oczywiście to też ma swój urok, ale dla mnie to będzie czas decyzji w kwestii dalszego życia, być może, oby, początku nowej pracy, jeśli ją dostanę. Ni stąd, ni zowąd pojawia się pragnienie, żeby czas zwolnił. Patrzę na swój odmieniony ogródek, na ruch wody w fontannie, na wiosenne kwiaty, jak unoszą główki, i dociera do mnie, że nie zatrzymam tego, co na mnie czeka. Dużo ogrodowych zajęć polega na przygotowaniu się do tego, co

przyjdzie później – jaka pora roku, jaka pogoda – i teraz muszę zacząć to robić ze swoim życiem.

Wbrew obawom, że Monday więcej się nie odezwie, zadzwonił, i to nawet parę razy, żeby się spotkać i pogadać. Nasze rozmowy jakimś cudem zawsze wtedy zbaczały na tematy niezwiązane z pracą. Czuję się przy nim tak dobrze, tak swobodnie; nie muszę niczego udawać ani ukrywać tego, co naprawdę czuję odnośnie braku pracy. Mimo że mam frajdę z harówki w ogródku, nie wymazuje to chwil, kiedy wciąż czuję się samotna i bezwartościowa; ani na moment nie odbiera mi niepokoju co do przyszłości, nie pozwala mi tylko w kółko nad nią rozmyślać. Za to Monday odpędza moją samotność. Jego entuzjazm, żeby się spotkać i rozmawiać godzinami, rozwiewa moje poczucie, że jestem bezwartościowa. Prawdę mówiąc – i wiem, że to coś absolutnie przeciwnego do wcześniejszych biadoleń – chciałabym, żeby nie było żadnej pracy, żebyśmy mogli z Mondayem spotykać się tak w nieskończoność i gadać sobie o świecie, o swoich marzeniach, fantazjach, nie o rzeczywistości...

To tylko rozmowa kwalifikacyjna, jeszcze nie praca, więc nie podejmuję żadnych decyzji w kwestii propozycji Caroline. Widziałyśmy się parę razy i rozmawiałyśmy o Gúna Nua. Pomogłam jej rozwinąć pomysł, jednak nie deklarowałam długoterminowego zaangażowania. Dzięki temu będę mogła się z tego wykręcić w razie potrzeby, ale patrząc z biznesowej strony, obecna sytuacja nie jest idealna dla żadnej z nas. I wiem, że nie wystarczy fakt, że się przyjaźnimy. To samo myślałam o Larrym, który w końcu mnie zwolnił i zafundował mi roczny cholerny urlop. Wyrok, który z czasem, dzięki cudownym dniom w ogródku, stał się darem, choć Larry z pewnością nie chciałby tego usłyszeć. I tym sposobem moja terażniejszość płynie sobie spokojnie, czasem miło, czasem smutno albo burzliwie, ale moja przyszłość jest wciąż tak samo niepewna.

Minęły już ponad dwa miesiące od incydentu z Heather u ojca. Siostra jak zwykle na swój cudowny sposób wybaczyła – zapomniała czy po prostu udała, że to jej nie ruszyło – i jej

stosunki z tatą potoczyły się gładko. Moje nie. Nieodzywanie się do niego z jednej strony pomaga, z drugiej tylko pogarsza stan rzeczy. Owszem, nie muszę się z nim zadawać, a jestem na niego coraz bardziej wściekła, bo wciąż kłócę się z nim w myślach. Ale niewidywanie się z nim oznacza też, że nie widuję swojej małej siostrzyczki Zary, a to jest nie do przyjęcia. I głównie ze względu na nią podnoszę słuchawkę. Umawiamy się na placu zabaw obok przystani Howth. Dzień jest pogodny, ale musimy się dobrze opatulić przed zimnym morskim wiatrem. Zimowe ubrania ustąpiły miejsca lżejszej garderobie, wiosenne kurtki wietrzą się albo wychodzą na pierwszy spacer, ludzie leżą sobie na trawie, wcinają rybę z frytkami. Zapach octu miesza się ze słonym powietrzem, aż mi ślinka leci.

– Jasmine! – Słyszę Zarę, a w następnej chwili widzę, jak pędzi, żeby mnie uściskać.

Podnoszę ją i kręcę jak na karuzeli. Natychmiast dopadają mnie wyrzuty sumienia, że jej tak długo nie odwiedzałam. Nie ma na to usprawiedliwienia, moje zachowanie wobec niej było niewybaczalne. To, jak urosła od ostatniego razu, najlepiej symbolizuje nasz brak kontaktów. Dziesięć tygodni to długo w jej krótkim życiu.

Ja i ojciec od razu zaczynamy rozmawiać przez Zarę. Tata pierwszy.

– Opowiedz Jasmine, jak karmiliśmy foki rybami.

Opowiada.

– Opowiedz Jasmine, jak rybak pozwolił ci potrzymać wędkę.

Opowiada.

Zara jest jednym z tych dzieci, które zawsze ściągają na siebie uwagę, zawsze są proszone na asystenta magika, wpuszczane do kokpitu, żeby poznać pilota, oprowadzane po restauracyjnych kuchniach przez szefów. Wręcz kipi ciekawością świata, zagaduje ludzi, którzy w zamian chcą sprawić jej przyjemność, nagradzać ją, imponować jej. W końcu ja i ojciec nie mamy innego wyjścia: musimy stać ramię w ramię na skraju placu

zabaw i patrzeć, jak mała szaleje z nowymi koleżankami, które poznała dwie sekundy wcześniej.

On o niczym nie wspomni, dobrze wiem. Woli tak tkwić w niezręcznym milczeniu niż zaryzykować kłopotliwą rozmowę. Nawet kiedy zostaje zmuszony do dyskusji na jakiś temat, przy tych nielicznych okazjach, kiedy nie może się wymigać, zwykle nie ma wiele do powiedzenia. To wkurzające, choć bardzo rzadko się zdarza, że chcę z nim przedyskutować coś ważnego.

Odziedziczyłam to po nim. Kiedy zejdzie się dwoje ludzi, którzy nie rozmawiają o różnych sprawach, zachodzi większe ryzyko eksplozji niż między osobami, które się komunikują. A raczej implozji, bo cała wojna toczy się w środku.

– Ten numer z Tedem Cliffordem był nie w porządku – mówię nagle. Nie potrafię odpowiednio zagaić ani łagodnie nakreślić problemu.

– Robi nabór na stanowisko głównej księgowej. Czterdzieści kawałków rocznie. Chciał porozmawiać z tobą osobiście – odparowuje ojciec gniewnym głosem. Nie musiał się nakręcać, ten gniew trzymał na podorędziu, gotów, aż poruszę temat. – Moglibyście porozmawiać o tym w cztery oczy. Nie przy wszystkich zainteresowanych. Idealna okazja. Wiesz, ile osób walczy o tę pracę?

Zupełnie nie o to mi chodziło. Miałam na myśli to, jak potraktował Heather, jak na nią zareagował, a nie pracę. Owszem, to też jest problem. Co prawda, nie tak ważny, ale na tyle dręczący, że zamierzałam zająć się nim w następnej kolejności.

– Chodziło mi o Heather. – Spoglądam na niego po raz pierwszy i wyraz jego twarzy mówi mi, że zupełnie nie kapuje, w czym problem. W końcu go oświeca.

– Rozmawiałem o tym z Heather następnego dnia. Już dawno po sprawie, Jasmine.

– No i?

– No i teraz rozumiem koncepcję kręgów.

– Ach, rozumiesz. Teraz.

– Tak. Teraz. – Patrzy na mnie ze złością.

– Ona ma trzydzieści cztery lata, stosujemy system kręgow już od dawna.

Powinnam powiedzieć to głośniej, ale ledwie mamroczę. Nie wiem nawet, czy ojciec to słyszy. Bardzo na to liczę, choć nie jestem zdolna do otwartej kłótni, konfrontacji. A może nie mam nic przeciwko temu, żeby walić prosto z mostu, tyle że potem wolę się wycofać, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Dziecko we mnie trzęsie się zawsze, że rozgniewało tatusia, nawet jeśli moja wewnętrzna nastolatka buntuje się na całego.

– Traktujesz ją, jakby była inna. Jakby była specjalnej troski.

– Nic podobnego. Traktuję ją tak samo, jak wszystkich innych, i to cię złości. To ty traktujesz ją inaczej – odpowiada. – Powinnaś się nad tym zastanowić. I jeśli wolno mi zauważyć, raczej nie wcielasz w życie tych swoich mądrości. Zawsze masz jeden zestaw zasad dla siebie i drugi dla reszty świata. Te całe kręgi działają u ciebie inaczej niż u innych, bo każdy człowiek, kto próbuje się do ciebie zbliżyć, jest pomarańczowy. Nie, Zara, kochanie, nie wdrapuj się na to. – Ucina rozmowę i pędzi na pomoc małej.

– To twój dziadziuś? – pyta jakieś dziecko, a Zara śmieje się, jakby nigdy nie słyszała lepszego dowcipu.

– To mój tatuś!

W końcu oboje lądują na koniku; brzuch ojca ledwie mieści się za uchwyty. Kiedy jedzie w dół, widzę łysy placek w jego przerzedzonych włosach. Ojciec naprawdę wygląda jak jej dziadek.

Jestem lekko ogłuszona jego słowami. Wypowiedział je swobodnie, bez gniewu, przez co powinnam łatwiej puścić je mimo uszu, ale tak nie jest. To właśnie spokój, z jakim je wygłosił, kazał mi ich słuchać i sprawił, że dotarły do mnie jasno i wyraźnie.

Pomarańczowy Krąg Machania jest najdalej od Fioletowego, który reprezentuje maksymalną prywatność. Pomarańczowy to krąg dla dalekich znajomych – zero fizycznego i emocjonalnego kontaktu.

„Każdy, kto próbuje się do ciebie zbliżyć, jest

pomarańczowy”.

Nieprawda, chcę mu wykrzyzczyć. Ale nie wiem, czy miałabym rację. Tak naprawdę blisko siebie dopuszczam wyłącznie siostrę. Ojca z pewnością umieściłam w Pomarańczowym Kręgu. Przyszłam tutaj, żeby objechać go za to, jak się zachował – nie, przyszłam zobaczyć się z Zará, ale w drugiej kolejności chciałam mu powiedzieć, że musi się zmienić. Nie przypuszczałam, że sytuacja się odwróci, że to ja znajdę się na widelcu.

Choć, być może, mój Czerwony Krąg jest największy. Niektórzy ludzie na zawsze pozostają obcy.

Skołowana, z podkulonym ogonem, wracam do swojego ogródka. Wracam do myślenia. Trzeba poodcinać martwe główki kwiatów i przygotować się do lata.

LATO

Pora roku między wiosną a jesienią, na półkuli północnej obejmuje najcieplejsze miesiące: czerwiec, lipiec i sierpień.

Szczyt rozwoju, doskonałości, rozkwitu urody, zanim zacznie się zamieranie. Najpiękniejszy okres życia.

Uwielbiam czerwiec, a czerwiec w ogródku podlewanym miłością to najwspanialsza nagroda, jaką ogrodnik może dostać za swoją ciężką pracę. Każdy miesiąc, każda pora ma swoje uroki, ale to latem przyroda jest najbardziej żywotna, najbardziej jaskrawa, najbardziej dumna i spektakularna. Jeśli wiosna jest pełna nadziei, to lato jest dumne, jesień pokorna, a zima waleczna. Kiedy myślę o wiosnie, widzę wielkie młode sarnie oczy spoglądające na mnie w górę spod długich rzęs. Kiedy myślę o lecie, widzę wyprostowane plecy, wypiętą i nadętą pierś. Kiedy myślę o jesieni, widzę spuszczoną głowę i blady, nostalgiczny uśmiech, a zimę wyobrażam sobie z posiniaczonymi, twardymi kolanami i pięściami, warcząca, gotową do walki.

Czerwiec przynosi nieustanne podlewanie, odnowę darni, cotygodniowe koszenie, pół tuzina wiszących koszy z kwiatami, różowe piwonie, kremowe róże, wieloletnie kwiaty w najróżniejszych kolorach i obfity ogródek ziołowy, który hoduję w donicy za kuchennym oknem. Czerwiec przynosi częste wizyty twoich dzieci w ogródku, którym i ty zaczęłaś się żywo interesować i zaprowadziłaś warzywnik pod boczną ścianą domu, jakbyś chciała rywalizować ze mną: zasiałaś pnącą i szparagową fasolę, marchewkę, brukselki i cukinie. Rano prześcigamy się, kto wcześniej wyjdzie do pracy w ogródku, i to pierwsze z zadowoleniem macha na powitanie spóźnialskiemu. Teraz to już rywalizacja, kto pierwszy rozsunie zasłony w sypialni. I pracujemy oboje, ja w swoim ogródku, ty w swoim, a państwo Malone'owie siedzą w swoim. Pani Malone zawsze w wózku inwalidzkim, bo udar odebrał jej zdolność poruszania się, mówienia i czytania, więc pan Malone czyta jej wiersze Patricka Kavanagha; jego miękki zaśpiew z Donegal płynie do mnie ponad wiciokrzewem. Ty i ja potrafimy nie odzywać się godzinami, nie wymieniając się spostrzeżeniami ani ogrodniczymi pytaniami przez ulicę, ale mamy wrażenie, jakbyśmy pracowali razem. A może tylko ja mam takie wrażenie. I jest w tym coś miłego. Kiedy widzę, jak popijasz łyk

zimnej wody z butelki, przypominam sobie, że i ja powinnam się napić. Kiedy ja prostuję plecy i mówię, że idę zjeść lunch, ty oznajmiasz, że też coś zjesz. Nie jadamy razem, ale trzymamy się tych samych godzin. Czasami siedzę sobie na ogrodowej ławce i jem sałatkę, a ty siedzisz przy swoim ogrodowym stole, którego nie usunąłeś z trawnika od frontu, i poniekąd towarzyszymy sobie nawzajem, ale nie do końca. Oboje machamy na dzień dobry i na dobranoc krawaciarzowi, który wynajmuje dom pod szóstką i mija nas w swoim bmw, ale jak na razie jeszcze nikogo nie zauważył i jedzie dalej. Zupełnie nie zwraca uwagi na nasze sąsiedzkie pozdrowienia. Z początku jego nonszalancja mnie wkurzała. Teraz jednocześnie wkurza i budzi współczucie, bo dokładnie wiem, co się dzieje w jego głowie. Nie ma czasu na nas, na nasze przyziemne rzeczy. Jest zbyt zajęty. On myśli o sprawach. Prawdziwych sprawach. Takich, które odwracają uwagę od życia.

A mnie coraz bliżej do tego, żeby znów stać się kimś takim, bo w czerwcu ma się odbyć moja rozmowa kwalifikacyjna. Kiedy tylko Monday podał mi datę, zaczęłam ją zaklinać, żeby przyszła jak najszybciej, ale teraz ta chwila prawie nadeszła i pragnę, żeby tydzień zwolnił biegu. Dziewiąty czerwca, dziewiąty czerwca, tak mnie to wytrąca z równowagi, że staram się o tym nie myśleć, choć Monday nie daje mi spokoju i wpada, żeby omówić ze mną pytania przy ugotowanej przeze mnie kolacji. Denerwuję się nie dlatego, że czuję się niekompetentna; wręcz przeciwnie, denerwuję się, bo czuję się kompetentna, a przez ostatnie tygodnie zrozumiałam, że chcę tej pracy bardziej niż czegokolwiek innego, więc oczywiście martwię się, że jej nie dostanę. A jeśli jej nie dostanę, moje bezrobocie zacznie być sporym problemem. Nie chcę znów – już oficjalnie, po zakończeniu urlopu ogrodniczego – czuć się znudzona, bezwartościowa, spanikowana i pełna lęku o przyszłość. W pewnym sensie to jest cisza przed burzą, a jeśli tak wygląda cisza...

- Okej, więc proszę jeszcze raz od początku, pani Butler.
- Monday – jęczę. Siedzimy w kuchni, a on po raz dziesiąty powtarza ze mną rozmowę kwalifikacyjną. – Robisz to ze

wszystkimi wytypowanymi osobami?

– Nie. – Odwraca wzrok trochę najeżony.

– Więc dlaczego mnie tak specjalnie traktujesz?

Powiedz to, powiedz. Zaklinam go w duchu, żeby wydusił z siebie coś, co tak bardzo pragnę usłyszeć.

– Zależy mi, żebyś dostała tę posadę.

– Dlaczego? – Długa chwila ciszy.

– Bo wszyscy inni kandydaci mają pracę – mówi w końcu. –

Ty na nią zasługujesz.

Wzdycham. To nie jest odpowiedź, na jaką miałam nadzieję.

– Dzięki. A tak w ogóle to kto startuje? Są lepsi ode mnie?

– Przecież wiesz, że tego nie mogę zdradzić. – Uśmiecha się.

– Poza tym to by ci w niczym nie pomogło.

– Niby skąd ta pewność? Mogłabym dokonać sabotażu w dniu rekrutacji. Poprzecinać opony, nalać różowej farby do szamponu i tak dalej.

Śmieje się głośno i patrzy na mnie tak, jakbym jednocześnie interesowała go i zdumiewała. We mnie wszystko topnieje.

– A, byłbym zapomniał – odzywa się, kiedy sprzątam talerze.

– Nastąpiła zmiana planów. Rozmowa została przesunięta na dziesiątego.

Przestaję zgarniać resztki jedzenia do kosza i przenoszę wzrok na Mondaya. Gardło mi się zaciska, żołądek kurczy.

– I postanowiłeś wspomnieć o tym dopiero teraz.

– To tylko dzień później, Jasmine, nie rób takiej przerażonej miny – odpowiada z uśmiechem. Cały czas gapi się na mnie, pocierając żuchwę.

– Nie jestem przerażona, jestem... – Zastanawiam się, czy się przyznać, czy nie. Nie wiem, dlaczego miałabym to zatajać, ale tak naprawdę ta rozmowa o pracę w tej chwili nie stanowi dla mnie priorytetu, i to mnie przeraża. Potrzebuję tego spotkania kwalifikacyjnego. Potrzebuję tej pracy. Muszę wrócić do gry.

Dziesiąty czerwca to dzień, kiedy Heather wyjeżdża na cztery dni na wyspę Fota z Jonathanem. Kiedy jej nie będzie, zamierzam siedzieć w domu i czekać, czekać, aż zadzwoni telefon,

aż sąsiad załomocze do drzwi i zmartwiony oznajmi, że coś się stało, tak jak to się dzieje w filmach. Albo czekać, aż policjant za progiem zdejmie czapkę i z szacunkiem pochyli głowę. Jeśli tego dnia pojadę na rozmowę, nie będę mogła całkowicie skupić się na myśleniu o Heather. Ktoś mógłby przypuszczać, że to dobrze, ale nie, bo musiałabym wyłączyć komórkę co najmniej na godzinę, nie mogłabym nasłuchiwać szóstego zmysłu, nie poczułabym tego nagłego przyływu strachu, który, być może, zaalarmowałby mnie, że dzieje się coś złego. Jak będę siedzieć na rozmowie, nie wskoczę od razu do samochodu i nie popędzę natychmiast do Cork. Chcę dostać pracę, ale Heather jest dla mnie najważniejsza na świecie. Nic z tego nie będzie.

– Jasmine. – Monday podchodzi do mnie. – Coś nie tak?

– Nie, skąd – kłamię, a on o tym wie.

Po jego wyjściu siedzę przy kuchennym stole i obgryzam paznokcie do skóry.

Monday dzwoni do mnie w czwartek, dziewiątego, kiedy jestem u Heather i pomagam jej się pakować, żeby mieć pewność, że wszystko przygotowane do podróży następnego dnia. Jest podejrzliwy, nic dziwnego, bo odpowiadam mu wymijająco i choć mam przekonanie, że pójdę na tę rozmowę, nawet ja nie wierzę we własne słowa, kiedy zapewniam, że tak się stanie. Potrzebuję tej pracy. Muszę wrócić do gry. Ale Heather. Serce mam rozdarte na pół, przygniata mnie niepokój.

– Do zobaczenia jutro, Jasmine – kończy rozmowę Monday.

– Do zobaczenia jutro – powtarzam i niemal zacinam się na ostatnim słowie.

Następnego dnia zegniam Heather na dworcu Heuston tak, jakbym rozstawała się z żołnierzem jadącym na wojnę, a o jedenastej, kiedy powinnam być w sali konferencyjnej, rekomendować swoją osobę i wracać do gry, siedzę w wagonie parę rzędów dalej i patrzę, jak Heather i Jonathan grają w wojnę w drodze do Cork. Monday dzwoni do mnie cztery razy, ale nie odbieram. W tej chwili nie zrozumiałaby tego, ale ja wiem, że robię to, co trzeba.

Na fotelu po skosie siada jakiś mężczyzna i zasłania mi widok na siostrę. Zawsze uważałam, że natura jest szczerą, prawdziwą, otwartą. Ciężko pracujesz – otrzymujesz nagrodę. Ale nawet w ogródku istnieje podstęp, są zwodnicze sztuczki. To jest zgodne z naturą. Robimy to, żeby przetrwać. Stapelia wie, jak przyciągnąć dobroczynne owady wyglądem i zapachem gnijącego mięsa. Nie dość, że nie wygląda zbyt ładnie, to jeszcze wydziela obrzydliwy zapach. Biorę z niej przykład. Głośno dmucham nos i hałaśliwie odchrząkuję. Młody mężczyzna, pełen słusznego obrzydzenia, przesiada się gdzie indziej i znów widzę Heather. Oszustwo jest zgodne z naturą.

Monday dzwoni do mnie po raz piąty. U passiflory wykształciły się małe żółte plamki, które przypominają jajeczka motyla z rodzaju *heliconius*. To skłania samiczki motyla do szukania innego miejsca, żeby ich potomstwo nie musiało konkurować z innymi gąsienicami, kiedy już się wyklują. Myślę o pewnej koleżance: kiedy w klubie zaprasza ją do tańca nieciekawy facet, ona wspomina o swoim nieistniejącym dziecku i tylko patrzy, jak gość zwiewa w podskokach. Zbywam telefony Mondaya. Oszustwo jest zgodne z naturą.

Na stacji na Jonathana i Heather czeka samochód; ustaliliśmy to z hotelem. Kierowca stoi z tabliczką z ich nazwiskami. Jeszcze go nie dostrzegli. Mijają go, szukają w złym kierunku. Mam ochotę zawołać do nich, ale w ostatniej chwili gryzę się w język. I bardzo dobrze, bo zawracają, tak jakby usłyszeli moje myśli, i tym razem zauważają kierowcę.

Samiec osy *lissopimpla excelsa* jest tak zafascynowany jęczyczkiem orchidei, że ejakuluje wprost na płatkę. Kwiaty, które potrafią skłonić owady do ejakulacji, mają największy współczynnik zapyleń. Moja koleżanka zaszła w ciążę, żeby jej chłopak się z nią ożenił, potem zaszła jeszcze raz, żeby utrzymać rozpadające się małżeństwo. Przypominam to sobie i myślę: oszustwo jest zgodne z naturą. Biorę taksówkę, jadę za ich samochodem do hotelu.

Heather i Jonathan meldują się i biorą dwa osobne pokoje,

zgodnie z umową. Nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymuję oddech, dopóki powietrze nie wylatuje z sykiem z moich ust, a ciało się nie rozluźnia. Pokój zabukowałam z pociągu. Tak jak prosiłam, będę na tym samym piętrze co Heather i Jonathan. Mam przy sobie tylko biznesową aktówkę i dziwnie mi się meldować bez bagażu, ale już kiedyś przetrwałam spontaniczny weekendowy wypad dzięki jednorazowym stringom ze spa, więc teraz też dam radę. Nie spędzam w pokoju ani chwili. Idę prosto do lobby, aby czekać i mieć nadzieję, że ich nie przegapiłam. Kiedy, trzymając się za ręce, zwiedzają teren dookoła hotelu, staram się trzymać jak najdalej, ale nie wystarcza mi oglądanie Heather z daleka, ja muszę zobaczyć jej twarz. Muszę odczytać wyraz jej twarzy, żeby wiedzieć, czy naprawdę wszystko jest w porządku. Nabieram trochę więcej odwagi i chowam się za najbliższymi drzewami. Heather i Jonathan znajdują sobie plac zabaw za grupą domków letniskowych, rojący się od dzieci. Heather siada na huśtawce, a Jonathan ją buja. Usadawiam się na trawie, unoszę twarz do słońca i zamykam oczy; uśmiecham się, nasłuchując ich śmiechu. Cieszę się, że tu jestem. Postąpiłam właściwie.

Spędzają dziewięćdziesiąt minut na placu zabaw, a potem idą popływać. Patrzę, jak żółty czepek Heather podskakuje w wodzie, kiedy Jonathan udaje rekina, jak grają w siatkówkę (fatalnie), jak Heather piszczy, kiedy Jonathan ją ochlapuje. Jest troskliwy i uważny i opiekuje się nią na każdym kroku, traktuje ją niemal jakby była ze szkła, a może bardzo cenna, jakby asystowanie jej było zaszczytem. Otwiera jej drzwi, odsuwa krzesła, jest odrobinę niezdarny, ale wszystko mu się udaje. Heather jest tak niezależna, a jednak pozwala mu na to wszystko, wydaje się zadowolona, że on to robi. Tyle lat starała się być osobą, która nie potrzebuje zbędnej pomocy, że teraz oglądanie jej w takiej roli zdumiewa mnie. Przebierają się do kolacji. Heather zakłada nową sukienkę, którą kupiłyśmy razem, i maluje usta. Zwykle nie nosi makijażu, więc szminka to poważna sprawa. Jest czerwona i nie pasuje do różowej sukienki, ale uparła się przy niej. Wygląda dojrzałe, kiedy tak idą razem; zauważam, że jej odrosty na włosach są przetykane

siwizną i sama nie wiem, kiedy to się stało. Gdy są już w windzie, mogę bezpiecznie ruszyć ich śladem i wdychać jej perfumy. Postawiona przed niezwykle trudną decyzją, jakich użyć, zapytała mnie, jakich używała mama i kupiliśmy właśnie te. Zapach mamy wypełnia mi płuca, kiedy śledzę Heather.

Kolację jedzą na dole, w głównej jadalni. Ja wybieram miejsce przy barze, skąd mam ich na widoku. Heather zamawia entré z koziego sera, co mnie dziwi, bo wiem, że go nie lubi. Wydaje mi się, że źle przeczytała pozycję w karcie. Zamawiam to samo, żeby wiedzieć, jak smakuje; dzięki temu, jeśli zechce mi o tym opowiedzieć, będę wiedziała, o czym mówi. Zamawiają po kieliszku wina i trochę mnie to martwi, bo Heather nie pija alkoholu. Próbuje łyżeczek i krzywi się. Oboje się śmieją i Heather odsuwa kieliszek jak najdalej od siebie. Ja zamawiam to samo i wypijam do dna. Jestem zadowolona, że siedzę tutaj i patrzę na nią, czuję się częścią tego wszystkiego, choć nie do końca biorę w tym udział.

Heather zjada jabłko i buraczki ze swojego entré, ale zostawia kozi ser. Słyszę, jak wyjaśnia kelnerowi, że źle przeczytała kartę i sądziła, że to zwykły ser; nie chce, żeby pomyślał, że to wina kucharza. Jest nerwowa; poznaję to po tym, jak co chwilę poprawia włosy za uchem, choć nie ma czego poprawiać. Mam ochotę powiedzieć jej, że wszystko jest dobrze, ja tu jestem, i przez chwilę zastanawiam się, czy nie dopuścić jej do tajemnicy, ale szybko z tego rezygnuję. Ona musi myśleć, że robi to wszystko sama. Jedzą trzy dania: Jonathan wcina cały swój stek z przystawkami, a Heather je panierowaną rybę z frytkami. Próbują wzajemnie swoich deserów. Jonathan podaje jej swoje czekoladowe fondue łyżeczką wprost do ust, ale widocznie jest zdenerwowany, bo dłoń mu drży i czekolada ląduje na jej nosie. Chłopak czerwieni się jak burak i robi taką minę, jakby miał się rozpłakać, ale uspokaja się, gdy Heather zaczyna się śmiać. Moczy serwetkę w swoim kieliszku z wodą i pochyla się, żeby czule zetrzeć czekoladę z jej twarzy. Heather ani na chwilę nie spuszcza z niego oka. Przychodzi mi do głowy, że chyba nie zauważyliby

mnie, nawet gdybym siedziała tuż obok nich.

Litops potocznie jest zwany żywym kamieniem. Rośliny te najlepiej czują się na pustyni, ukryte w kamienistych miejscach, więc kiedy ich żółte kwiaty wybuchają nagle, wygląda to tak, jakby wzięły się znikąd. Niespodzianka! Mam ochotę zrobić to teraz, ale nie, zostaję tutaj, gdzie Heather i Jonathan mnie nie widzą. Oszustwo jest zgodne z naturą.

Wieczorem włączam telefon, mam kolejne cztery nieodebrane połączenia od Mondaya, a jego SMS-y przechodzą z gniewnych w zaniepokojone.

Caladium steudneriifolium udaje, że jest chore; wzór na liściach imituje szkody dokonane przez larwy ciem przegryzające roślinę, co zapobiega składaniu jajeczek przez ćmy. Mówię Mondayowi, że strasznie się pochorowałam. Oszustwo jest zgodne z naturą.

Heather dzwoni do mnie, kiedy obie jesteśmy już w swoich pokojach, i opowiada mi, co przydarzyło jej się w ciągu dnia. Wszystko to widziałam na własne oczy i jestem szczęśliwa, że się tym ze mną podzieliła, nie przemilczała niczego.

Wypijam butelkę wina z minibaru i nasłuchuję odgłosów z korytarza. Za każdym razem, gdy słyszę, jak się otwierają drzwi, wydaje mi się, że to od ich strony, więc ukradkiem wyglądam na korytarz, a po chwili chowam się z powrotem. Przez całą noc zostają w swoich pokojach.

Następnego dnia jadą na wycieczkę na wyspę Fota. Mnóstwo czasu spędzają na obserwowaniu i fotografowaniu gibbonów białorękich, które głośno śpiewają i bujają się dziko ku zachwytowi Heather. Oboje robią sobie zdjęcia nawzajem, a potem Jonathan prosi jakiegoś nastolatka, żeby pstryknął ich razem. Nie podoba mi się wygląd chłopaka, akurat ja nie powierzyłabym mu telefonu. Lekkomyślność Jonathana mnie irytuje. Podchodzę bliżej, na wszelki wypadek. Banda kolegów nastolatka już się naśmiewa z Heather i Jonathana, którzy z uszczęśliwionymi minami zbliżają głowy, pozując do zdjęcia. Podchodzę coraz bliżej i bliżej, gotowa skoczyć na niego, gdyby zaczął wiać z komórka.

Chłopak robi zdjęcie i oddaje telefon. Zamieram, potem chowam się za drzewo, żeby mnie nie zauważyli. Oglądają zdjęcia, po czym zaskakują mnie, bo ruszają w moim kierunku... i właśnie w tej chwili odzywa się moja komórka. To MMS od Heather – zdjęcie jej i Jonathana. Robi mi się smutno, jestem rozczarowana sama sobą, że w ogóle tu przyjechałam. Jakby ktoś wziął szpilkę i przekuł mój balon. Dlaczego nie zaufałam siostrze, że będzie mnie informować, angażować w każde działanie? Chciałam dzielić z nią to miejsce, pozbawiłam się tej możliwości przez własną propozycję, a jednak ona dzieli się ze mną wszystkim. Wytracona z równowagi odsuwam się trochę dalej.

Heather i Jonathan spędzają w parku cztery godziny. Jest gorąco i wilgotno, roi się od szkolnych wycieczek i rodzin. Żałuję, że nie mam ubrania bardziej odpowiedniego na tę pogodę niż czarny kostium, który włożyłam rano na rozmowę. Trzymam się w cieniu, ale nie tracę ich z oczu ani na chwilę. Zatrzymują się w lodziarni i rozmawiają, po godzinie wracają do hotelu. Siadają w barze, piją 7UP-a i gadają dalej. Heather chyba nigdy nie dyskutowała z nikim tak długo przy jednym posiedzeniu, ale teraz z obojga wylewają się słowa; są całkowicie skupieni na sobie nawzajem. To piękne, ale znów wywołuje u mnie cień smutku, przez co czuję się śmieszna. Nie jestem tutaj, żeby użalać się nad sobą. Heather i Jonathan jedzą kolację w barze i wcześniej kładą się spać, zmęczeni długim dniem na powietrzu.

Dostaję jeszcze jeden SMS od Mondaya. „Zadzwoń. Proszę”.

Mój palec zawisa nad przyciskiem „połącz”, ale w tej chwili telefon dzwoni i przez czterdzieści pięć minut rozmawiam z Heather o tym, jak jej minął dzień. Opowiada mi o każdym najmniejszym szczególe. Radość, jaką czułam wczoraj z tego, że Heather dzieli się ze mną wszystkim, zniknęła bez śladu. Czuję się jak zdrajca. Nie zaufałam, że sobie poradzi. Nie powinnam tutaj być.

Dzień trzeci. Heather i Jonathan jutro wracają, a teraz siedzą przed hotelem i znów nawijają. Pogoda, z rana piękna, szybko się pogorszyła. Kiedy inni wracają do środka, żeby schronić się przed

chłodnym wiatrem, oni, obojętni na zimno, rozmawiają dalej. Chwilami milczą i tylko siedzą sobie, po prostu czują się dobrze w swoim towarzystwie, a ja nie mogę się na nich napatrzyć zafascynowana tym, co się między nimi dzieje.

Coś zmienia się we mnie. Choć już wcześniej mi zaświtało, że niepotrzebnie tu przyjeżdżałam, teraz dociera do mnie, że muszę wyjechać natychmiast. Bo jeśli Heather się dowie, może to popsuć naszą relację. Ta wycieczka jest dla niej ważna, a moja obecność tutaj to brak szacunku. Oczywiście, zdawałam sobie z tego sprawę od samego początku, ale dopiero w tej chwili potrafię to nazwać wprost. Zdradziłam ją i przez to czuję niesmak i wkurzam się na samą siebie. Żeby to zrobić, zawiodłam Mondaya – zdradziłam kolejną osobę. Muszę spadać.

Pędzę do pokoju, żeby zebrać tych swoich parę rzeczy. Wymeldowuję się. Kiedy pośpiesznie idę przez lobby, chcąc jak najszybciej uciec z miejsca zbrodni, wpadam prosto na Heather i Jonathana.

– Jasmine! – Na twarzy mojej siostry maluje się szok. W pierwszej chwili cieszy się, że mnie widzi, ale po chwili analizuje sytuację i radość zmienia się w zdziwienie, osłupienie. Jest zbyt uprzejma, żeby się na mnie złościć, choć wszystkiego się domyśliła.

Ogłuszona ich widokiem nie wiem, co powiedzieć. Zostałam przyłapaną na gorącym uczynku. Poczucie winy mam wypisane na czole. Oboje to widzą i spoglądają na siebie, równie zbulwersowani jak ja.

– Chciałam mieć pewność, że u was wszystko w porządku. – Głos mi drży. – Tak bardzo... się martwiłam o ciebie. – Głos mi się łamie i w końcu szepczę: – Przepraszam.

Heather patrzy na mnie zszokowana.

– Śledziłaś mnie, Jasmine?

– Już wyjeżdżam, przyrzekam. Przepraszam. – Szybko muskam jej czoło wargami i uciekam. Niezgrabnie wpadam na ludzi w korytarzu.

Spojrzenie, które posyła mi Heather, i to, jak się czuję, nie

jest zgodne z naturą.

Przez parę kolejnych godzin siedzę w pociągu z twarzą w dłoniach i powtarzam jak mantrę: Zawiodłam Mondaya, zawiodłam Heather, zawiodłam siebie.

Podjeżdżam taksówką pod dom. Jestem wykończona i rozpaczliwie chcę zmienić ubranie. Patrzę na ogródek w nadziei, że zaraz poczuję ulgę, przyływ energii, którego nauczyłam się już spodziewać. Ale nic z tego. Coś jest nie tak. Ogródek stracił swoją żywotność.

Rzeczywistość dała mi nauczkę, wszechświat zemścił się na mnie. Porzuciłam ogródek na trzy dni podczas fali upałów i nikogo nie poprosiłam o pomoc. Kwiaty są spragnione. Co gorsza, wszystko pogryzły pomrowy. Kremowe róże zwiędły, różowe piwonie wyglądają bardzo mizernie. Przez cały dzień jakoś się trzymałam, ale widok mojego ukochanego ogródka doprowadza mnie do łez. Zawiodłam Mondaya, zawiodłam Heather, zawiodłam siebie.

Straciłam ważną życiową okazję, żeby być przy siostrze. Ale ona mnie nie potrzebowała. Powtarzam to sobie. Heather mnie nie potrzebowała. Może to ja trzymam się jej kurczowo, szukając pomocy, ucieczki od własnego świata. Zamiast przeżywać własne życie, wzięłam na siebie rolę jej przewodnika, a w pewnym sensie też matki. I sama nie wiem, czy to był efekt troszczenia się o nią, czy przyczyna, dla której zdecydowałam się to robić. Nie sądzę, żeby to miało znaczenie, ale wiem, że takie są fakty.

W tym roku czułam się bezradna, więc poświęciłam się ogródkowi, żeby zachować nad czymś kontrolę; sądziłam, że ogródek nagnie się do mojej woli. Pokazał mi, że tego nie robi. Nic nie nagina się do naszej woli. Zaniedbałam ogródek i pozwoliłam, żeby przejęły go robaki.

Dokładnie to samo zrobiłam ze sobą.

Nie licząc zdrady, czerwiec przynosi również chrzciny, obowiązki matki chrzestnej i jednorazowy seks z moim byłym – Laurence to chłopak, który wytrzymał najdłużej; wszyscy, łącznie ze mną, uważali go za kandydata na męża, ale w końcu mnie zostawił. Przespanie się z nim po dwóch latach przerwy było błędem, całkiem przyjemnym błędem, ale na pewno się nie powtórzy. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, jednak po całym dniu picia na słońcu wróciły stare, znajome uczucia, czy może ich wspomnienie, ich echo, więc pomyliłam je z obecnymi emocjami, tak samo jak pomyliłam męską toaletę z damską i szklankę wody z wódką. Po prostu kolejna śmieszna wpadka tego długiego letniego dnia. A może tęskniłam za chwilą pewności, poczucia bycia kochaną, bycia zakochaną. Tyle że to tak nie zadziało, oczywiście że nie. Odgrzewane kotlety nigdy nie są smaczne, a hasło „robiłam to już tysiąc razy” czasem przynosi opłakane skutki. Nie próbujcie tego w domu, dzieciaki.

Dlatego też sterczę pijana przed twoim domem o drugiej w nocy i rzucam kamykami w okno, z butelką różowego wina i dwoma kieliszkami w ręce.

Rozsuwasz zasłony; masz zaspaną, zdezorientowaną twarz, włosy sterczą ci na głowie. Kiedy mnie dostrzegasz, znikasz z widoku, więc siadam przy stole i czekam na ciebie. Chwilę później otwierasz drzwi w dresie i człapiasz w moją stronę. Zauważasz, w jakim jestem stanie, twoja półprzytomna, pytająca mina szybko zmienia się w rozbawioną, a niebieskie oczy znów błyszczą psotnie, choć są mniejsze i otoczone większą ilością zmarszczek; zmieniają się w szparki, kiedy się uśmiechasz.

– Proszę, proszę, kogo my tu mamy? – Szczerzysz się szeroko. Irytująco, po bratersku czochrasz mi włosy, po czym dosiadasz się do mnie. – Nieźle się wstawiłaś.

– Pomyślałam, że zwołam sąsiedzkie zebranie w trybie pilnym – bełkoczę. Podsuwam ci kieliszek i przechylam się, żeby go napełnić. Przy okazji o mało nie spadam z krzesła.

– Ja dziękuję. – Zakrywasz kieliszek dłonią.
– Ciągłe nie pijesz? – pytam rozczarowana.
– A czy wyciągałem cię ostatnio z łóżka w środku nocy, żebyś mnie wpuściła do domu?
Zastanawiam się nad tym.
– Nie.
– Od czterech tygodni.
Dolewam jeszcze trochę do swojego pełnego kieliszka.
– Smutas.
– Alkoholik.
– Zwał jak zwał. – Wypijam łyk wina.
– Pięknie mnie wspierasz – rzucasz dobrodusznie.
– Nie jesteś alkoholikiem, jesteś moczymordą, a to różnica.
– Rany. Kontrowersyjne stwierdzenie. Wyjaśnij mi to, proszę.
– Głupek z ciebie, i tyle. Samolubny głupek. Wolisz siedzieć do późna niż wcześniej wstawać. Nie jesteś uzależniony, tak naprawdę nie masz nawet problemu z pić, masz problem z życiem. Chodzisz na spotkania AA?
– Nie. No, coś w tym rodzaju. Zasiadam tu z doktorkiem.
– Emerytowany internista się nie liczy.
– Doktorek jest alkoholikiem. Nie pije ponad dwadzieścia lat. Nie wiesz o nim wielu rzeczy – dodaje, gdy widzi moją zszokowaną minę. – Jego żona oznajmiła, że nie będzie mieć dzieci, dopóki on nie wytrzeźwieje. Przestał dopiero po pięćdziesiątce. Za późno. Ale została z nim.
– No cóż, teraz nie żyje. – Wypijam do dna.
Marszczysz brwi.
– Tak, Sherlocku. Nie żyje.
– Więc w końcu go zostawiła. – Nie mam pojęcia, dlaczego mówię to wszystko. Pewnie chcę być irytująca i najwyraźniej mi się udaje. Fajnie być tobą. Teraz rozumiem, dlaczego to robisz.
Wstajesz i znikasz w domu. Myślę, że poszedłeś sobie na dobre, ale wracasz z paczką serowych nachosów.
– Dzieci są u ciebie?

– Kris i Kylie zapytali, czy mogą zostać na jeszcze jedną noc. Dobrze się bawią w warzywniku.

– Kris i Kylie. Więc takie mają imiona. To brzmi, jakby byli bliźniętami.

– Bo są.

– Aha.

Obok twojego domu jest naprawdę imponujący warzywnik. Choć w ciemnościach ledwo co widać, przyglądam mu się bardzo uważnie. Wybuchasz śmiechem.

– Zazdrosna?

– Ja? Żartujesz. Mając coś takiego? – Patrzymy na mój ogródek. Śmiem twierdzić, że jest najładniejszy przy tej ulicy... – Nie próbuj ze mną rywalizować, Marshall – ostrzegam.

– Gdzieżbym śmiał – odpowiadasz z udawaną powagą. – Fiona nadal jakoś to nie kręci.

– Może nigdy go nie będzie kręcić. – W zamyśleniu wodzę palcem po brzegu kieliszka. – Cokolwiek byś zrobił.

– Hm, bardzo pocieszające, dzięki.

– Nie jestem tutaj, żeby cię pocieszać. Mówię, jakie są realia. Jeśli chcesz radosnych wskazówek życiowych, pogadaj z „ma się rozumieć” doktorkiem.

– Rozmawiam.

– Ale zaskoczyłeś mnie tym jego piciem. Dobrze, że nie zabił żadnego pacjenta.

– Tak, potrafił pić i funkcjonować. Tacy są najgorsi.

– Ty na szczęście należałeś do tej drugiej grupy.

Przyjmujesz oba docinki: że jesteś alkoholikiem i że nie byłeś w stanie funkcjonować.

– Wiem. On mi to uświadomił.

Milkniemy. Wcinasz nachosy, ja popijam wino. Zdaję sobie sprawę, że robię to, co zwykle: atakuję cię.

– Każdy chłopak, z jakim kiedykolwiek byłem, zostawił mnie. Wiedziałaś o tym?

– Nie, pierwsze słyszę. – Znów masz tę rozbawioną minę. – Chociaż nie mogę powiedzieć, że jestem jakoś specjalnie

zdziwiony – dodajesz z łagodną ironią.

– Bardzo ciężko ze mną żyć – mówię ku twojemu zaskoczeniu.

– A to dlaczego?

– Bo chcę, żeby wszystko było po mojemu. Nie lubię błędów.

– Jezu, to nie chciałybyś żyć ze mną.

– Święta racja. Nie chciałabym.

Cisza.

– Skąd to wyznanie akurat dzisiaj?

– Przespałam się ze swoim byłym.

Patrzysz na zegarek. Druga.

– Wyszłam, jak spał.

– Pewnie tylko udawał, że śpi.

– O tym nie pomyślałam.

– Ja bez przerwy stosowałam ten trik.

– No cóż, zadziałał. Poszła sobie.

Nie jesteś zachwycony tym żartem, może dlatego, że nie brzmiał jak żart.

– I to ci powiedział? Że ciężko z tobą żyć?

– Nie wprost. Sama na to wpadłam. Zrozumiałam to ostatnio, kiedy... – Patrzę na swój ogródek, piękny i kwitnący, który połączył mnie z magicznym, wewnętrznym źródłem wiedzy. Im głębiej kopię w ziemi, tym głębiej kopię w sobie.

– Więc skąd wiesz, że to prawda? Może wcale nie chodzi o to, że trudno z tobą żyć? Może po prostu jesteś zajęta, piękną kobietą sukcesu, która nie zadowolili się byle czym?

To mnie wzrusza do łez.

– Może – dodajesz.

Łzy wysychają natychmiast.

– A może jesteś do niczego w łóżku i nie da się z tobą wytrzymać. – Wybuchasz śmiechem.

Rzucam w ciebie nachosami.

– Powiedział mi, że czuł się przy mnie samotny. Dlatego odszedł.

Cisza.

– Samotny przy tobie – mówisz powoli, z namysłem.
– Właśnie tak, samotny przy mnie – powtarzam, napełniając kieliszek.

Wyobraźcie sobie, jak się czułam. I jak Laurence się czuł, żyjąc z kimś, a jednak samotnie. To okropne być samotnym w towarzystwie ukochanej osoby. Trudno powiedzieć coś takiego, ale jeszcze gorzej usłyszeć. Strasznie być tą osobą, o której tak powiedziano.

– Wyznał to przed czy po tym, jak się z tobą przespał? – Pochylasz się do przodu i opierasz łokcie na stole. Przyglądasz mi się z uwagą i ciekawością.

– Przed. Ale wiem, o czym myślisz. To nie był tekst na podryw.

– To był tekst na podryw – odpowiadasz zirytowany. – No coś ty, Jasmine, nie kumasz? Założę się, że byliście gdzieś we dwoje, sam na sam, i że akurat zbliżał się koniec imprezy. On cię bierze na bok: Jasmine, singielkę bez pracy, zapewne w dość kruchym stanie ducha, otoczoną przyjaciółkami, które wypluwają z siebie dzieciaki jak karabin naboje. I choć ona twierdzi, że nie chce mieć dzieci, to i tak ta sprawa zajmuje jej myśli. Wtedy on wytrząsa ten tekst z rękawa. Patrzy na ciebie, na twoje rude włosy i duże cycki...

Parskam i staram się nie uśmiechnąć.

– Rozmazany eyeliner...

Wycieram powieki pod oczami.

– To jest tekst na podryw. Co prawda, istnieje ryzyko, że się wściekniesz i chluśniesz w niego drinkiem, ale raczej poczujesz się winna i cię zaliczy. Działa dziewięć razy na dziesięć.

– Pozwól, że zacytuję doktora: „Farmazoni!”. Nie próbowałeś tego dziesięć razy – mówię z powątpiewaniem.

– Dwa. Jedna chlusnęła mi drinkiem w twarz, druga dała, czego chciałem. A tym drinkiem była sambuca i naprawdę ucierpiałem, bo kawa wciąż się paliła.

Parskam śmiechem.

– Nareszcie. Uśmiechnęła się – wzdychasz miękko.

Zapalam papierosa.
– Przecież nie palisz.
– Palę tylko, kiedy piję.
– Dzikuska.
Przewracam oczami.
– A twój chłopak? Powiesz mi, co dzisiaj zrobiłaś?
– Jaki chłopak?
– Ten przystojny gość, który ciągle do ciebie wpada. Ten, który nie jest twoim kuzynem. – Unosisz ręce ze śmiechem. – Wybacz, nie mogłem się powstrzymać.
– To nie jest mój chłopak. To Monday. Łowca głów. Próbował mnie skaptować do pracy.
– Monday?
– Urodził się w poniedziałek.
– No tak. I ten Monday chce ci zaproponować robotę?
Nie podoba mi się twoja rozbawiona mina.
– Chciał. A co? Myślisz, że to też sposób na podryw? – rzucam tylko z sarkazmem. Nie spodziewam się, że będziesz się nad tym zastanawiał.
– A co to za praca?
– W Fundacji DavidGordonWhite.
– W tym doradztwie podatkowym?
– Założyli fundację na rzecz sprawiedliwości klimatycznej. Patrzysz na mnie znacząco.
– Ty rozkręcasz start-upy.
– Fundacja jest nowa. Musiałabym ją odpalić.
– I ty mi mówisz, że on nie próbuje cię zaciągnąć do łóżka?
– Chciałabym – odpowiadam. Wybuchasz śmiechem.
Rzucam papierosa na ziemię i zdeptuję go sandałem na obcasie. Przeleciało mi przez głowę, żeby zgasić go na świeżo polakierowanym stole, ale powstrzymuje mnie myśl o ciężkiej pracy twoich dzieci. – Tak czy inaczej, już za późno. Nie poszłam na rozmowę.
– Dlaczego? Wystraszyłaś się? – Tym razem nie robisz sobie jaj.

– Nie. – To prawda, bałam się, ale to nie miało nic wspólnego z pracą.

Zastanawiam się, czy powiedzieć ci prawdę. Wtedy musiałabym wytłumaczyć się ze swoich obaw związanych z samodzielnym wyjazdem Heather, a nie chcę wzmacniać twojego stereotypowego widzenia zespołu Downa, nawet jeśli sama popełniłam błąd. Siostra wróciła do domu już tydzień temu i o ile rozmawiałyśmy przez telefon – oczywiście, że ze mną rozmawia, bo przecież nie umiałaby być niemiła – o tyle między nami nie jest już tak samo. Oddaliła się. Straciłam jakąś jej część, tę niewidzialną nić, która trzymała nas razem.

– Nie poszłaś na rozmowę, bo byłaś pijana? – dociekasz z troską.

– Nie – ucinam.

– Okej, okej. Po prostu to temat na czasie, więc pomyślałem, że o tym wspomnę, skoro ty byłaś tak uprzejma i zwróciłaś mi uwagę na moje picie. – Obronnie unosisz ręce.

– Spoko – odpowiadam łagodniej. – Jestem po prostu... taka... – Wydaję ustami taki odgłos, jakby ktoś spuszczał powietrze z balona, potem wzdycham; nie umiem trafniej podsumować swoich uczuć.

– Rozumiem.

Tak, na pewno. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Siedzimy w przyjaznym milczeniu, co mi przypomina, jak Heather i Jonathan czuli się w swoim towarzystwie. Zazdrościłam im, nie zdając sobie sprawy, że mam ten luksus tutaj, z tobą.

– Mężczyzna, który przychodzi do ciebie z małą dziewczynką. To twój ojciec?

Potwierdzam ruchem głowy.

– Wygląda na dobrego tatę.

Myślę, że zaraz znów zaczniesz mi dogryzać, ale kiedy przeciągasz dłonią po gładkim, lakierowanym drewnie, wiem, że myślisz o sobie i swojej nieciekawej sytuacji.

– Teraz jest dobry – przyznaję. Mam ochotę dodać „dla kogoś innego”, ale nie dodaję.

Unosisz oczy. Przyglądasz mi się tym swoim wzrokiem, którego nienawidzę, bo czuję się tak, jakbyś zaglądał, a przynajmniej usiłował zajrzeć w głąb mojej duszy.

- Interesujące.
 - Interesujące – wzdycham. – Co w tym interesującego?
 - Po prostu wyjaśnia parę rzeczy, które mi powiedziałaś.
 - Powiedziałaś ci, że jesteś okropnym ojcem, ponieważ byłeś okropnym ojcem.
 - Ale to zauważyłaś. Przeszkadzało ci to.
 - Nie odpowiadam. Piję wino.
 - Próbuje ci to teraz wynagrodzić?
 - Nie. Wtrąca się w moje życie, a to zupełnie coś innego. – Widzę twoje pytające spojrzenie, więc wyjaśniam: – Na siłę załatwia mi pracę. W swojej dawnej firmie. Ktoś mu jest winien przysługę, takie tam.
 - To chyba pomocne.
 - To nie jest pomocne. To nepotyzm.
 - Jakaś dobra robota?
 - Owszem. Główna księgowa, kierownik ośmioosobowego zespołu. Czterdzieści tysięcy – powtarzam mantrę ojca, naśladowując jego głos.
 - Ciepła posadka.
 - Tak, świetna. Przecież mówiłam.
 - I nie zrobiłby tego dla byle kogo.
 - Oczywiście, że nie.
 - I musiałybyś przejść rozmowę kwalifikacyjną.
 - No jasne. Firma już nie należy do niego. On tylko zgłosił moją kandydaturę.
 - Więc w ciebie wierzy. Uważa, że się do tego nadajesz. To na pewno dumny człowiek. Nie chciałby, żeby mała zdolna córka narobiła mu wstydu.
- Jeżę się na ten komentarz i zastanawiam się, czy pijesz do Heather. Przygotowuję się do kłótni, ale nagle orientuję się, że nie o to ci chodziło. Nie wiem, co ci powiedzieć.
- To chyba jednak komplement.

– Skoro tak twierdzisz.

– Ty i Fionn... wiele was łączy.

Wiem, że krytykujesz moją dziecinną reakcję, więc rzucam ci się do gardła:

– To, że oboje mamy gównianych ojców?

Wzdychasz.

– Gdybym ci powiedział, że znam kogoś, kto ma wspaniałą pomysł na start-up i szuka współpracownika, byłabyś zainteresowana?

– Czy ten ktoś ma na imię Caroline? – Słyszę w swoim głosie przerażenie.

– Mówię hipotetycznie.

– Tak. Spotkałabym się z tym kimś.

– A twój ojciec zna kogoś, kto szuka osoby do pracy, ale nie bierzesz tego pod uwagę.

Nie wiem, jak na to odpowiedzieć, więc, żeby pozostać w duchu Fionna, wzruszam ramionami.

– Ja na twoim miejscu bym tego nie odrzucał tak kategorycznie.

– Nie potrzebuję jego pomocy.

– Owszem, potrzebujesz.

Milczę.

– Bujasz się z łowcą głów, który próbuje cię skaptować do pracy niezbyt w twoim klimacie, i z przyjaciółką, która chce, żebyś pomogła jej założyć sukienkową stronę internetową. Byłem u ciebie, słyszałem – wyjaśniasz, widząc moją reakcję. – Oczywiście, że potrzebujesz pomocy.

Nadal milczę.

– Wiem, że nie lubisz cudzych opinii. Uważasz, że ludzie się myślą. Że nie mają otwartych umysłów. Nie patrz tak na mnie, to twoje słowa. Czasami, powtarzam: czasami wydaje mi się, że patrzysz na sprawy pod całkiem niewłaściwym kątem. Nie wiem, przed czym się twoim zdaniem bronisz, ale bronisz się nie przed tym, co trzeba.

Pozostawiasz to zdanie w zawieszeniu. Wolałam już, kiedy

cię nienawidziłam i nie rozmawialiśmy ze sobą. Ale skoro ty przetrzepałeś moje problemy, czuję, że teraz ja mogę się zabrać za twoje.

– O co chodzi z tą piosenką Guns N'Roses?

Gapisz się na mnie tępo.

– Jaką piosenką?

– *Paradise City*? – Uśmiecham się. – Ryczy z głośników prawie za każdym razem, kiedy wracasz do domu.

Wzrok, który mówi, że nie kapujesz.

– O nic nie chodzi. Odtwarzacz w jeepie się zaciął. Gra tylko ten kawałek.

Jestem rozczarowana. Kiedy już sądziłam, że znalazłam w tobie coś znaczącego, okazuje się, że jestem w błędzie. Kiedy sądziłam, że coś dostrzegłam, okazuje się, że to pomyłka.

– Lepiej wróć do łóżka. Dzieciaki wcześniej wstają. Jutro zrywamy groszek i sadzimy pomidory.

Udaję, że to zrobiło na mnie wrażenie, a tak naprawdę zżera mnie zazdrość. Mnie groszek nie wyszedł.

– Wszystko dobrze?

– Mhm, jasne.

– A tak dla twojej wiadomości, Jasmine, ja powiedziałbym o tobie coś wręcz przeciwnego.

– To znaczy?

– Gdyby nie ty, czułbym się samotny zbyt wiele razy. W twoim towarzystwie nigdy nie czułem się samotny, ani przez sekundę.

Zatyka mnie. Patrzę, jak znikasz w domu. Nagle zupełnie trzeźwieję. Choć kręci mi się w głowie, moje myśli są klarowne. Siedzę u szczytu stołu, na miejscu, które zwykle zajmujesz ty. Pijacki stół. Teraz zostałam przy nim ja. Życie potrafi płatać figle.

Następnego ranka budzi mnie słońce. Pada na moją twarz. Słyszę dzwonek przy drzwiach. Skóra mnie pali tak, jakbym leżała na asfalcie, a Bóg, dziecinny żartowniś, trzymał nade mną szkło powiększające. Kiedy padałam do łóżka, nie zaciągnęłam zasłon. Wszystko natychmiast do mnie wraca, jak gdyby ktoś walnął mnie w głowę skarpetą pełną kamieni. Chrzcziny, Laurence. Nie przejmuję się nawet, że w nocy wyciągnęłam cię na dwór; Laurence przebija wszystko.

Dzwonek wciąż dzwoni.

– Nie ma jej, tato! – krzyczy jakaś dziewczynka pod moim oknem. Kylie. Albo jednak Kris, bo jeszcze nie przechodził mutacji.

– Jest, jest. Próbuj dalej – odkrzykujesz przez ulicę.

Ze stęknieniem otwieram oczy i próbuję się przystosować do białego światła. W ustach mam saharę, zerkam więc na nocną szafkę, szukając butelki z wodą, ale zamiast niej widzę pustą flaszkę po wódce. Zbiera mi się na pawia. Ten widok robi się zbyt znajomy i wiem, po prostu wiem, że to ostatni raz. Nie zniosę więcej. Wreszcie wyleczyłam się z pragnienia wyleczenia się z siebie. Chcę już wrócić. Budzik mówi mi, że jest południe, i wierzę mu. Czuję mocno rozgrzane słońce na rozpalonych policzkach.

Potykam się na schodach, chwytam się poręczy. Serce łomocze mi z przestachu, ale to pobudka, jakiej potrzebowałam. Otwieram drzwi i widzę dwoje blondasków i Mondaya. Pierwsi dwoje taksują mój rozchełstany negliż z niesmakiem, ten trzeci z rozbawieniem. Natychmiast zamykam im drzwi przed nosem, słyszę śmiech Mondaya.

– Chodźcie, brzdące, dajmy jej chwilę, niech się ogarnie.

Uchylam drzwi, żeby go wpuścić, po czym biegnę na górę wziąć prysznic i doprowadzić się do porządku. Wracam na dół odświeżona, ale z nietęgą miną. Wszystko mnie boli: głowa, ciało...

– Ciężka noc? – pyta Monday umiarkowanie rozbawiony moim stanem. – A może ciągle jesteś chora? – Ostatnie zdanie brzmi gniewnie, aż się kulę.

Ledwie mogę na niego patrzeć. Mam koszmarne poczucie winy, że nie pojawiłam się na rozmowie, ale przede wszystkim dlatego, że nie miałam odwagi poinformować go, że mnie nie będzie. Zaparzył mi kawę, jest ubrany na luzie; bez garnituru wydaje się jakiś taki bardziej bezbronny. To nie wygląda na biznesową wizytę, nie może się schować za maską profesjonalizmu, za którą zwykle znika. Nagle dopada mnie mdlące poczucie winy z powodu Laurence’a, jakbym zdradziła Mondaya, choć to totalny absurd. On jest łowcą głów, a ja bezrobotną i nigdy nie było nic więcej, nawet aluzji niczego więcej, ale chęć zatajenia przed nim skoku w bok z Laurence’em mówi mi, że jednak coś było. Milczące i ukryte, ale realne. Oczywiście musiałam się przespać z kimś innym, żeby to zrozumieć.

– Monday. – Biorę go za rękę, czego absolutnie się nie spodziewał. – Bardzo cię przepraszam za zeszły tydzień. Proszę, nie myśl, że ta decyzja przyszła mi łatwo. Chcę ci teraz wszystko wytłumaczyć i mam nadzieję, że zrozumiesz.

– Więc nie byłaś chora – mówi tonem bez wyrazu.

– Nie. – Przygryzam wargę.

– Chyba nie mamy za wiele czasu na rozmowę. – Spogląda na zegarek, a mnie ściska się serce.

– Jeśli możesz, proszę, zostań, wyjaśnię ci...

– Nie, wcale nie wychodzę. – Opiera się o kuchenną szafkę i krzyżuje ręce na piersi.

Jestem skonsternowana, ale ledwie mogę wytrzymać jego wzrok bez uśmiechu. Monday mnie rozbija, zmienia w galaretkę. W końcu on sam się uśmiecha i kręci głową, tak jakby ten uśmiech był wbrew jego woli.

– Jesteś w proszku – mówi łagodnie, miękko, jak gdyby to był komplement.

– Wiem. Przepraszam.

Patrzy na moje usta i z trudem przełyka ślinę. Zastanawiam się, kiedy, do licha, to się wreszcie stanie. Bo myślę, że to się naprawdę stanie. Może powinnam coś powiedzieć, wykonać pierwszy ruch i pocałować go, ale w tej chwili odzywa się dzwonek i Monday podskakuje spłoszony, jakby nas na czymś przyłapano.

Wzdycham i otwieram drzwi, i oto wchodzisz ty ze swoimi jasnowłosymi dziećmi, mój ojciec, Zara, Leilah z bardzo przepraszającą miną, a za nią Kevin, któremu depczą po piętach Heather i jej asystentka Jamie. Heather wygląda na bardzo dumną z siebie. Ty wydajesz się niezmiernie rozbawiony. Monday nagle spogląda na mnie z niepokojem. Odsuwa się od szafki i zwiesza ręce.

– Dobrze się czujesz?

Cała się trzęsę. Nie wiem, czy odstawienie alkoholu ma z tym coś wspólnego, ale przerażenie, które ogarnęło mnie na myśl, co się zaraz stanie, z pewnością odgrywa w tym swoją rolę. Serce, które przed chwilą tłukło się z namiętności, teraz tłucze się ze strachu, niepokoju, nerwów. Mózg mi mówi: uciekaj. Już! Bez żadnej walki. Wiem, co to jest, wiem, co wykombinowali. Widzę zadowoloną Heather, która uważa, że robi to dla mojego dobra, że się z tego ucieszę.

Kevin bierze mnie w serdeczny uścisk – zastygam w bezruchu z rękami po bokach, jak najdalej od jego ciała; nie jestem w stanie go dotknąć.

Wybuchasz śmiechem. Moje życie stało się twoją sobotnią rozrywką w ten letni weekend bez meczu w telewizji.

Kevin wreszcie się odsuwa.

– Heather prosiła mnie, żebym zaprosił Jennifer, ale nie było jej w domu, więc pomyślałem, że ją zastąpię.

Otwieram usta, ale nie wychodzą z nich słowa.

– Ogrodnik? – zwraca się do ciebie. Zapamiętał cię z tego dnia, kiedy do mnie przyszedł.

Patrzysz na mnie ubawiony po pachy.

– Matt jest moim sąsiadem. Jego syn pomagał mi w ogródku

jakiś czas temu.

Kevin wbija w ciebie zimne spojrzenie.

– Daj spokój, nie mów, że pierwszy raz kobieta zasłoniła się przed tobą znajomym samcem – odparowujesz i szczerzysz się jak kot z Cheshire.

Wszyscy wchodzą do salonu, siadają; niektórzy biorą ze sobą kuchenne krzesła, bo brakuje miejsc. Ty rozglądasz się dookoła z szerokim uśmiechem, cały zadowolony. Dzieci siedzą razem przy kuchennym stole z kolorowankami i plasteliną. Ja miotam się po kuchni. Udaję, że robię herbatę, kawę, ale tak naprawdę układam plany ucieczki, wymówki, klauzule warunkowego zwolnienia. Monday trzyma się z tyłu, ja jestem tak spanikowana, że właściwie mnie tu nie ma.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

Przestaję chodzić.

– Chcę umrzeć – odpowiadam stanowczo. – Chcę, cholera, umrzeć. Teraz.

Monday opuszcza rękę i ogarnia wzrokiem zebranych, przygryzając wargę tym wyszczerbionym przednim zębem. Wygląda tak, jakby próbował wykombinować, co zrobić, żeby mnie stąd wydostać. Kurczowo czepiam się nadziei.

Jamie przychodzi do kuchni. Słyszę mlaskanie jej stóp w sandałach, kiedy idzie. Chyba już wolę, jak nosi te swoje sportowe skarpety.

– Przyniosłam ciastka. – Kładzie na blacie paczkę herbatników z galaretką.

Nie cierpię herbatników z galaretką.

– Jamie, co tu się dzieje, do diabła? Co to ma być?

– Heather chciała to urządzić. Zebrała dla ciebie grupę wsparcia.

– Niech to jasny szlag! – wypalam trochę za głośno i słyszę, jak rechoczesz w salonie.

– Ja poproszę. Kawę z dwiema kostkami cukru i odrobiną mleka, skarbie – wołasz.

Wchodzi Caroline w ciemnych okularach, tak wielkich, że

zasłaniają jej pół twarzy.

– Boże, ale jestem skacowana. Te chrzciny mnie wykańczają. O raju! – Klepie mnie w ramię i syczy: – Słyszałam, że przespałaś się wczoraj z Laurence'em!

Kulę się. Wiem, że Monday stoi mi tuż za plecami i że usłyszał. Jego wzrok przepala mi plecy. Czuję gulę w gardle. Spoglądam na niego, a on odwraca wzrok, szuka sobie zajęcia. W końcu wynosi tacę z kubkami do salonu i siada.

– Och. – Caroline dopiero teraz załapuje. – Nie miałam pojęcia, że wy...

– Nieważne. – Ze znużeniem pocieram twarz. – A wiedziałaś o tym spotkaniu?

Przytakuje, po czym wyjmuje z torebki pudełko tabletek od bólu głowy, łyka dwie i popija butelką wody.

– Nie wolno mi było się wygadać. Heather planowała ci zrobić niespodziankę.

Panikuję na całego. Chcę zwiać, bardzo chcę, ale jedno spojrzenie na siostrę, która przewodniczy w tym kręgu, ubrana w najlepszą bluzkę i eleganckie spodnie, taka dumna, promienna, pewna siebie i zachwycona tym, co udało jej się zorganizować, i już wiem, że nie mogę dać dyla. Muszę to wytrzymać.

Siadam w jedynym wolnym fotelu, zostawionym specjalnie dla mnie. Wszystkie oczy są zwrócone na mnie. Twoje błyszczą z rozbawienia. Jesteś szczęśliwy, widząc mnie zażenowaną i bezbronną, sępie jeden. Oczy Mondaya pozostają twarde i zimne; wpatruje się w nogę stolika, a wcześniejsza troska o mnie wyparowała bez śladu. Caroline ma oczy przekrwione; odsuwa się od krążącego wśród obecnych talerza z herbatnikami, tak jakby ktoś podsuwał jej tykającą bombę.

Kevin wpatruje się we mnie uważnie, pochylony naprzód, z łokciami na kolanach, i stara się słać w moją stronę swoje radosne, pozytywne, zboczone myśli. To wytrąca mnie z równowagi. Jego włochate palce stóp, które są w klapkach poniżej obcisłych brązowych sztruksów, wytrącają mnie z równowagi. On cały wytrąca mnie z równowagi. Leilah boi się na mnie spojrzeć, jestem

pewna; przygryza wargę, rozgląda się po pokoju i w kółko zadaje sobie pytanie, dlaczego nie wyszła za człowieka z mniej skomplikowaną rodziną. Tata obok niej mozolnie pisze SMS grubymi palcami. Monday siedzi wciśnięty po drugiej stronie Lilah.

– Wy się znacie? – pytam i oboje jednocześnie kiwają sobie głowami; Monday wciąż nie patrzy mi w oczy.

Jamie zaczyna.

– Dziękuję, że tu dzisiaj przyszliście. Heather poświęciła czas, żeby skontaktować się z każdym z was osobiście i zorganizować to spotkanie, co wymagało wiele planowania i namysłu, i oto jesteście. Witamy was serdecznie. Oddaję ci głos, Heather.

Podwijam nogi na fotelu i obejmuję je – przyjmuję pozycję obronną. Próbuję sobie wmówić, że robię to dla Heather, że urządzenie tego to dla niej ćwiczenie, i choć to brzmi protekcyjnie, taka jest prawda, i te myśli mi pomagają. Ale kiedy tylko słyszę jej głos, łzy cisną mi się do oczu, z dumy i wzruszenia.

– Dziękuję wszystkim za przybycie. Przez ponad piętnaście lat moja siostra Jasmine przychodziła na spotkania mojej grupy wsparcia i to mi tak bardzo pomogło, że teraz chcę zrobić to samo dla niej. Jesteście grupą wsparcia Jasmine, jej kręgiem przyjaciół.
– Rozgląda się z satysfakcją.

Patrzę na ludzi, którzy tu przyszli, i czuję się żaloszna. Kiedy puszczasz do mnie oczko, wpychając sobie ciastko do ust, mam ochotę cię walnąć. I walnę.

– Chcemy ci pokazać, że cię kochamy i wspieramy, i że jesteście tu dla ciebie – ciągnie Heather i zaczyna klaskać.

Reszta się przyłącza: niektórzy z entuzjazmem, Caroline delikatnie, bo hałas rani jej uszy. Ty gwizdzesz jak na widok ładnej laski, a tata robi taką minę, jakby chciał ci dać w zęby. Monday zachowuje się, jak gdyby go nie było, ale wiem, że jest, czuję jego energię w każdym pomieszczeniu, w którym przebywa, przykuwa mój wzrok za każdym razem, kiedy jest blisko, przyciąga moje

ciało, każda część mnie chce ruszyć w jego stronę.

– Moja młodsza siostra Jasmine zawsze była zajęta. Zajęta, zajęta, zajęta. A kiedy nie była, opiekowała się mną. Ale teraz nie jest zajęta i nie musi się już mną opiekować. Musi się zaopiekować sobą.

Łzy znów napływają mi do oczu. Zakrywam się ramionami, nogami, dłońmi, całym ciałem mówię „zamknięte”.

Wszyscy na mnie patrzą. Chcę umrzeć. Tu i teraz.

Odchrząkuję, przestaję się chować i stawiam nogi na podłodze. Zakładam jedną na drugą.

– Dziękuję, że przyszliście. Z pewnością wiecie, że to dla mnie niespodzianka i nie jestem na to przygotowana, ale wielkie dzięki, Heather, że to zorganizowałaś. Wiem, że moje dobro leży ci na sercu. – Zamierzam maksymalnie to uprościć. Dać im coś, ale tak naprawdę nic, nie wpuścić nikogo, ale udawać, że się w to bawię. Przyjmę wszelką konstruktywną krytykę z uśmiechem. Podziękuję. I po sprawie. Taki jest plan gry. – Utrata pracy w listopadzie była trudnym doświadczeniem. Naprawdę kochałam tę robotę i było mi bardzo trudno przez ostatnie sześć miesięcy wstawać rano i nie czuć się... użyteczną. – Znów odchrząkuję. – Ale teraz już rozumiem, czy raczej zrozumiałam, że nie jest tak źle, jak mi się wydawało. – Czy mówiąc im, że poniekąd dobrze się bawię, że są pozytywne aspekty, których nigdy się nie spodziewałam, zdradzę zbyt wiele? Patrzą na twoją zaciekawioną twarz, na Kevina, tak przejętego sprawą, na Mondaya, który natychmiast wbija nieodgadnione spojrzenie w stołową nogę, i uznaję, że nie muszą wiedzieć o mojej ogrodniczej terapii. Gdybym im powiedziała, że to mi pomaga, jednocześnie przyznałabym się, że potrzebowałam pomocy, a w tę stronę nie chcę się zapuszczać. – No dobrze. Więc plan jest taki. – Mówię to do Heather, bo to jej obawy doprowadziły do tego zebrania, a więc rozwianie tych obaw pozwoli szybko je zakończyć. – Dokończę swój urlop ogrodniczy, który potrwa jeszcze pół roku, a potem znajdę sobie fajną posadę. Dziękuję więc wszystkim za pomoc w przeszłości i aktualne wsparcie, i za pojawienie się tu dzisiaj. –

Kończę radosnym, żwawym, pozytywnym tonem. Nie ma żadnych powodów do zmartwień czy niepokoju. Jasmine jest w szczytowej formie.

– Rany – przerywasz ciszę. – To było wzruszające, Jasmine. I głębokie. Naprawdę czuję teraz, że wiem, co ci w duszy gra. – Twój głos ocieka sarkazmem. Wrzucasz do ust chipsa.

Czuję zapach śmietany i cebulki, a mnie burczy w brzuchu.

– A co ty planujesz zrobić po swoim urlopie ogrodniczym, Matt? Podziel się z nami.

– Ej, to nie jest mój krąg przyjaciół – odpowiadasz z tym swoim uśmiechem.

– Mój też najwyraźniej nie całkiem – odgryzam się.

– Postarajmy się utrzymać miłą atmosferę – wtrąca się Kevin swoim księżowskim głosem, z uniesionymi rękami. Powoli je opuszcza, tak jakby nas hipnotyzował albo wykonywał układ taneczny boysbandu z lat dziewięćdziesiątych.

– Ja jestem wyluzowany i spokojny. – Bierzesz kolejnego pringlesa.

Powinieneś utyć od tych wszystkich przekąsek, które podjadasz, odkąd rzuciłeś palenie, ale nie utyłeś. Wydajesz się szczuplejszy, sprawniejszy, świeższy niż wcześniej, co zawdzięczasz temu, że odstawiłeś alkohol.

– Można chyba powiedzieć, że, nie licząc Petera i Heather, ja znam Jasmine najdłużej. – Kevin patrzy na mnie i się uśmiecha. Przechodzi mnie dreszcz. – I czuję, że ją rozumiem.

– Doprawdy? – Odwracasz się do niego. – W takim razie możesz nam powiedzieć, która z trzech propozycji pracy jest dla niej najbardziej odpowiednia.

Tym sposobem załatwiłeś i Kevina, i mnie. Bo żadne z nas nie ma pojęcia, z różnych powodów oczywiście.

– Trzech propozycji? – pyta z irytacją Caroline.

Monday podrywa głowę i patrzy na mnie, marszcząc brwi. Próbuje rozgryźć tę zatwardziałą kłamczuchę, która nagle się przed nim objawiła. Omawianie z nim dwóch pozostałych propozycji nie miało sensu, ponieważ pod uwagę brałam tylko tę jego. Ale

kwestia, którą raczyłeś poruszyć, stawia mnie w bardzo niekorzystnym świetle. Wychodzę na zdrajczynię.

To ironia losu, że akurat ty znasz mnie najlepiej z tych wszystkich ludzi, i zadałeś najistotniejsze pytanie, bo trzy osoby, które oferowały mi pracę, są tutaj i zasadniczo nie wiedzą o sobie nawzajem. Wszyscy troje patrzą na mnie i czekają na odpowiedź. Brakuje ci rozrób na antenie, więc robisz sobie rozrywkę z mojego życia.

Przyłapuję się na tym, że przez długą chwilę w milczeniu gapię się na ciebie z nienawiścią.

– A jakie są te trzy opcje? – pyta Kevin z łagodnym, miękkim, wyrozumiałym uśmiechem, jakby rzeczywiście mi pomagał. – Hm?

Nie podoba mi się to, jak na mnie patrzy. Nagle przerywam napięcie:

– Monday, poznałeś już mojego kuzyna?

Monday przytomnieje, wywołany do odpowiedzi. Nie potrafię sobie wyobrazić, co czują ci ludzie, którzy zostali tu wezwani, ale skoro ja jestem zażenowana, im musi być jeszcze gorzej.

– Poznałeś mojego kuzyna? – powtarzam.

– Cóż, my właściwie jeszcze nie... – przerywa mi Kevin.

– To mój kuzyn. – Kładę nacisk na ostatnie słowo. – Kevinie, to Monday.

Ściskają sobie dłonie nad stolikiem, a ty uśmiechasz się pod nosem, bo dokładnie wiesz, do czego zmierzam.

Cisza.

– Otóż wspomniałam o Mondayu, ponieważ pracuje w Diversified Search International i zaproponował mi pracę w DavidGordonWhite.

Ojciec pochyla się do przodu i patrzy na Mondaya tak, jakby ten nagle zaczął się liczyć.

– Ale to już nieaktualne, więc, Monday, jeśli masz ochotę sobie stąd iść, nikt się nie obrazi – mówię z nerwowym uśmiechem. Och, żeby wyszedł. Nie chcę, żeby mężczyzna,

którego uwielbiam, zobaczył, jak się rozsypuję w tym kręgu terroru. Poza tym na pewno jest wściekły przez to, co powiedziała Caroline. Niech idzie.

– Dlaczego to już nieaktualne? – pyta ojciec.

Patrzę na Mondaya. Teraz ma okazję się zemścić, ale nie odzywa się ani słowem.

– Ehm. Nie poszłam na rozmowę kwalifikacyjną – odpowiadam sama.

Tata przeklina i mruga z niedowierzaniem.

– Peter. – Leilah dźga go łokciem, a Heather patrzy na mnie zaskoczona, szeroko otwartymi oczami.

– A dlaczegoż to nie poszłaś na rozmowę? – drażni ojciec z irytacją.

– Była chora – odzywa się w końcu Monday, choć to nie brzmi tak, jakby mnie bronił. Jego głos wciąż jest bez wyrazu, wyprany z... Mondaya. – Chyba powinniśmy posłuchać o pozostałych możliwościach – dodaje. – Nie wiedziałem, że dostałaś inne propozycje.

Sposób, w jaki wypowiada „inne propozycje”, budzi we mnie podejrzenie, że nie mówi o pracy, tylko o Laurensie. Tak wiele chciałabym mu wytłumaczyć, kiedy ten cyrk wreszcie się skończy... ale tylko jemu. Nie obchodzi mnie, co myślą pozostali. Co do ciebie, jesteś jedyną osobą, która już wie wszystko.

– Chora, sraty-taty – mamrocze ojciec i dostaje kolejnego szturchańca od Leilah.

– Byłaś chora, Jasmine? – pyta Heather bardzo zatroskana. – W Cork?

– Chwila, jak to: w Cork? – Jamie pochyla się do przodu. – Myślałam, że ustaliliśmy, że Heather pojedzie sama. Nie tak się umawialiśmy? – Patrzy na Leilah, która też uczestniczyła w tamtym spotkaniu.

Leilah patrzy na mnie wyraźnie rozdarta; nie chce nikomu deptać po odciskach. Widzę, że w jej głowie toczy się bitwa.

– No więc? – pyta ją ojciec.

– Tak – odpowiada, jakby wykaszlnęła to, klepięta w plecy.

– Ale jestem pewna, że Jasmine miała powód, żeby tam jechać.
Jamie zwraca się do obecnych.

– Heather pojechała na swoją pierwszą wycieczkę sama z chłopakiem, Jonathanem. Na spotkaniu grupy wsparcia zgodziliśmy się, że absolutnie może się wybrać w tę podróż samodzielnie, a wszelka ingerencja będzie miała zły wpływ...

– Okej, Jamie, dziękuję – warczę. Ze znużeniem masuję twarz.

– Więc dlaczego pojechałaś? – ciągnie jednak asystentka, choć ciut mniej wojowniczym głosem.

– Martwiła się o nią. – Kevin staje w mojej obronie. – Przecież to oczywiste.

– Kiedy tam byłaś, Heather? – pyta spokojnie Monday.

– Od piątku do poniedziałku. – Uśmiecha się.

Monday kiwa głową, przetrawia to.

– Dobrze się bawiłaś?

– Jak nigdy w życiu! – odpowiada, szczerząc się radośnie.

Monday patrzy na mnie z łagodnością, którą na nowo w sobie odnalazł. Patrzą tak wszyscy z wyjątkiem taty. On tylko kręci głową i skupia się na telefonie, żeby czegoś nie wypalić.

Niedobrze. Czuję pieczenie pod powiekami. Przecież nie mogę się rozplakać.

– Ja po prostu... Ona nigdy nie... To pierwszy raz, kiedy... No wiecie, z... – Wzdycham. Czuję na sobie ich świdrujące spojrzenia. Słyszę drżenie własnego głosu. W końcu patrzę na siostrę. – Nie byłam gotowa puścić cię w świat. – Nie udaje mi się powstrzymać łzy; płynie po policzku, a ja wycieram ją natychmiast, udając, że się w ogóle nie pojawiła.

Heather się rumieni.

– Ja się nigdzie nie wybieram, Jasmine – mówi wstydliwie. – Nie zostawię cię. Przeze mnie nie poszłaś na rozmowę o pracę?

Po tych słowach płynie kolejna łza. I kolejna. Szybko wycieram je wszystkie, oczy mam spuszczone, bo nie chcę widzieć, jak oni na mnie patrzą.

– Mogę wyjść? – pytam jak mała dziewczynka.

Nikt nie odpowiada. Nikt nie czuje się uprawniony powiedzieć „tak” albo „nie”.

– Cześć, Monday. Wiedziałam o tobie – odzywa się nagle Caroline, która otrząsnęła się z kaca i wkracza do akcji, żeby mnie ratować. – Jestem Caroline, przyjaciółka Jasmine.

– Cześć.

– Mam pomysł na stronę internetową, przy której mi pomaga. Zagryzam zęby, ale powstrzymuję się od komentarza.

– Co się stało, Jasmine? – Kevin przygląda mi się uważnie.

– Nic – odpowiadam. Ale mój ostry ton sprawia, że „nic” brzmi jak „coś”. Zwracam się do Caroline: – No cóż, to nie całkiem tak, że ci „pomagam”. Ja ją z tobą rozwijam, bo tym się zajmuję. Rozwijaniem, implementacją... „Pomagam” brzmi... No wiesz...

Obraca głowę w moją stronę tak szybko, że omal nie skręca sobie karku.

I chłodno patrzy na mnie najwyraźniej obrażona. Pojedyncze mrugnięcie, napięte, błyszczące czoło, choć to po części wina botoksu. W innych okolicznościach wycofałabym się, w sumie to moja przyjaciółka, ale w biznesie obstawałabym przy swoim, co mi mówi, że nasza współpraca jest skazana na porażkę.

– No i jeszcze tata – szybko przechodzę dalej.

– Chwileczkę – stopuje mnie Kevin. – Dobrze by było pogłębić ten temat.

– Słuchaj, to nie jest sesja terapeutyczna. – Uśmiecham się zimno. – To tylko luźna pogawędka. I wydaje mi się, że dobiega końca.

– Myślę, że aby wynieść z tego jak najwięcej, powinnaś... Przerывam mu.

– Kevin, to nie pora na...

– Z przyjemnością to pogłębię. – Caroline wzrusza ramionami, tak jakby nie widziała problemu, ale jej ton i mowa ciała wskazują na coś innego: nie mam najmniejszej ochoty niczego z nią pogłębiać.

Wszyscy patrzą na mnie i na nią. Pochylasz się do przodu w

fotelu, opierasz łokcie na kolanach. Brakuje ci tylko miski z popcornem. Dyskretnie machasz w powietrzu pięścią i po cichu skandujesz: Walka! Walka! Walka!, po czym się śmiejesz.

– Nie będziemy walczyć – warczę na ciebie. – Okej. – Odchrząkuję i uśmiecham się do Heather, żeby odzyskać równowagę. – Czuję, że mogłabym ci się bardziej przydać, niż mi na to teraz pozwalasz.

To nie zabrzmiało tak źle, a jednak Caroline groźnie marszczy twarz; aż się boję, że zaraz skoczy na mnie jak zmija.

– W jakim sensie? – rzuca piskliwym tonem.

– Przyszedłaś do mnie, żebym pomogła ci rozwinąć twój pomysł, ale właściwie nie przyjmujesz żadnej mojej sugestii.

– To ty wiesz, jak zakładać firmy. Ja nie mam o tym zielonego pojęcia.

– Tak, tyle że to nie polega jedynie na tym, że przekażę ci swoją listę kontaktów, Caroline. Kiedy rozwijam firmę, opracowuję i wdrażam strategię. Mój głos się liczy. Jeśli nie mogę rozwijać pomysłu razem z tobą, to nie mam w tym żadnego interesu. To musi reprezentować również mnie – mówię łagodnie, ale stanowczo.

Wszyscy siedzimy w milczeniu, gdy Caroline gapi się na mnie w osłupieniu.

– A trzecia propozycja? – pyta nagle Kevin i jestem mu wdzięczna, że popchnął temat do przodu.

– Od jej ojca – odpowiadasz i wszyscy patrzą najpierw na ciebie, potem na niego.

Tata, prawdopodobnie znudzony już tym zebraniem, przechodzi prosto do rzeczy.

– Główna księgowa, firma poligraficzna. Ośmioosobowy zespół. Czterdzieści kawałków. O ile posada jest jeszcze wolna.

– Jest – podpowiada mi Leilah, co wkurza ojca.

– Mogłaby to robić przez sen – zapewnia obecnych. Cały czas patrzy na komórkę w dłoni, tak jakby czytał na głos, ale nie czyta. – O ile pojawi się na rozmowie.

Monday nie dołącza się do tych drwin, choć ojciec

niewątpliwie miał na to nadzieję.

– Widzisz, ja nie chcę pracy, którą mogłabym wykonywać przez sen.

– Oczywiście, ty chcesz być inna.

Ten komentarz mnie zaskakuje. Ty wydajesz się nim zachwycony, ale nie w taki sam sposób, jak poprzednimi. Przyglądasz się ojcu uważnie. Kevin oczywiście czuje się głęboko urażony w moim imieniu.

– Ależ, Peter – prycha nadąsany. – Myślę, że powinieneś przeprosić Jasmine za tę uwagę.

– Co ty gadasz? – rzuca ostro ojciec.

Heather ewidentnie czuje się teraz nieswojo.

– Zawsze taki byłeś, odkąd pamiętam – odpowiada Kevin, nagle rozgniewany. – Ile razy Jasmine nie chciała robić tego, czego ty chciałeś, odpychałeś ją.

To prawda. Patrzę na ojca.

– Jasmine nigdy nie robiła tego, czego ja chciałem. Nigdy nie zrobiła niczego, czego chciał ktokolwiek z wyjątkiem jej samej. Twoim zdaniem niby dlaczego znalazła się w tej idiotycznej sytuacji?

– A to źle, że wybiera własną drogę? – pyta Kevin. – Czy nie powinno ci zależeć, żeby była niezależna? Bardzo wcześnie straciła matkę. Wcześniej ciocia długie lata chorowała. Jakoś nie pamiętam, żebyś był przy Jasmine, z wyjątkiem chwil, kiedy wkraczałeś, żeby jej powiedzieć, co ma robić i co twoim zdaniem zrobiła źle.

W tej chwili wróciły do mnie wszystkie rozmowy z Kevinem. Wszystkie zmartwienia, lęki, frustracje czasów dojrzewania napłynęły jak fala. Nocne rozmowy na huśtawce, zanim mnie pocałował, na imprezach, w drodze do szkoły. On zawsze słuchał. Dzieliłam się z nim swoim życiem. Jakimś cudem zapomniałam o tym, ale on najwyraźniej nie.

– Z całym szacunkiem – wypala ojciec bez cienia szacunku – to nie ma nic wspólnego z tobą. Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, dlaczego tu jesteś.

Kevin kontynuuje spokojnie, jak gdyby pragnął to powiedzieć od lat, jak gdyby mówił o samym sobie.

– Matka wychowała ją tak, żeby umiała sama podejmować decyzje. Poradzić sobie w życiu. Szukać własnej drogi. Musiała sobie dać radę, bo nie miała przy sobie mamy. Zakładała firmy...

– I sprzedała każdą jedną, do cholery.

– A ty nie sprzedałeś swojej?

– Ja przeszedłem na emeryturę. A ona przez próbę sprzedaży tej ostatniej została wylana.

Ojciec jest czerwony na twarzy. Leilah kładzie mu dłoń na ramieniu i szepcze coś do ucha, ale on ją ignoruje, czy może nie słyszy, bo jego pyskówka z Kevinem trwa dalej. Wyłączam się.

Larry traktował swoją firmę jak córkę. Nie chciał wypuścić jej w świat. Moja matka wychowywała mnie, wiedząc, że będzie musiała mnie wypuścić.

Wpadam na pomysły i je sprzedaję.

Nie chcę mieć dzieci. Mama nie chciała zostawiać Heather i teraz ja nie potrafię jej wypuścić w świat.

„Nigdy nie kończysz tego, co zaczęłaś”, słyszę słowa Larry’ego.

Kręci mi się w głowie. Za dużo myśli się po niej tłucze. Wracają do mnie rozmowy z ludźmi, moje przekonania dziwnie mi się przypatrują, ubawione niemal śpiewają: „Wiedziałyśmy o tym cały czas, a ty nie?”.

Wychowujesz dzieci, żeby pozwolić im odejść.

Kevin powiedział mi, że umrę.

Tworzę firmy, żeby je sprzedać.

Kurczowo trzymam się Heather, bo mama nie mogła.

– A niby z jakiej racji to jest twoja sprawa? – Ojciec podnosi głos; Heather zatyka uszy dłońmi. – Masz problem ze wszystkimi w tej rodzinie. Zawsze miałeś. Z wyjątkiem niej, oczywiście.

Wiecznie w znowie, wiecznie we dwoje coś kombinowaliście...

– Bo żadne z nas nie czuło, że należy do tej nienormalnej, apodyktycznej...

– Och, zamknij się i wracaj do Australii. Zostaw te gadki dla

swojego psychiatry...

– Wybacz, ale tego nie zrobię, i właśnie z tego powodu ona i ja...

– Dobrze się czujesz, Jasmine?

To ty. Patrzysz na mnie i po raz pierwszy się nie uśmiechasz. Nie śmiejesz się już ze mnie. Twoje słowa dobiegają z bardzo daleka.

Mamrocze coś.

– Jesteś blada. – Zamierzasz wstać, ale zamiast tego ja wstaję.

Robię to za szybko. Jestem odwodniona po wczorajszym picciu i emocjonalnie wyczerpana tym cyrkiem; Monday wyciąga rękę, żebym się nie przewróciła. Podpieram się na oparciu jego krzesła i wbijam wzrok we frontowe drzwi. Tym razem nie pytam o pozwolenie.

– Przepraszam – szepczę.

Podłoga przesuwa się pode mną, kiedy idę do jedyne go celu, który pozostaje nieruchomy, bo ściany poruszają się wokół mnie, zacieśniają, napierają. Muszę się wydostać, zanim całkiem mnie zmiażdżą. Docieram do drzwi, na światło słońca, świeże powietrze, czuję zapach trawy i kwiatów, słyszę ciurkanie fontanny. Siadam na ławce, podkulam nogi i przyciskam je do tułowia. Głęboko oddycham. Wdech, wydech.

Nie wiem, jak długo jestem na dworze, ale tamci w końcu odbierają aluzję. Drzwi się otwierają. Wychodzi Caroline, mija mnie, idzie bez słowa prosto do samochodu i odjeżdża. Za nią ojciec, Leilah i Zara. Spuszczam głowę. Czuję wodę po goleniu Mondaya, kiedy przez chwilę stoi przy mnie, ale i on odchodzi. I w końcu pojawia się ty. Wiem, że to ty; po prostu wyczuwam cię w powietrzu, a potem dołączają do ciebie dzieci i już nie mam żadnych wątpliwości.

– No, to nie było łatwe – mówisz.

Nie odpowiadam, spuszczam tylko głowę jeszcze niżej. Czuję twoją dłoń na ramieniu. Delikatny, ale mocny uścisk, doceniam to. Odchodzisz, jednak z podjazdu wołasz jeszcze:

– A, i dzięki, że wczoraj w nocy podrzuciłaś mi list Amy. Masz rację. Może pora, żebym go przeczytał. To już pół roku, a ona ciągle ze mną nie rozmawia. Już gorzej być nie może, chyba. Oby.

Kiedy cię już nie ma, słyszę, jak Jamie uspokaja Heather w domu. Pędzę do niej. Kevin sterczy w pokoju i nie bardzo wie, co robić.

– Idź, Kevin. Zadzwoń do ciebie.

Wciąż się nie rusza.

– Kevin. – Wzdycham. – Dziękuję za dzisiaj. Doceniam, że próbowałaś pomóc. Zapomniałam... o tym wszystkim, ale ty najwyraźniej nie. Zawsze byłeś przy mnie.

Kiwa głową, posyła mi smutny uśmiech.

Kładę mu dłoń na policzku i czule całuję go w drugi.

– Przestań ze wszystkimi walczyć – szepczę.

Z trudem przełyka ślinę i zastanawia się nad tym. W końcu żegna się skinieniem głowy i wychodzi.

Prowadzę Heather na kanapę i obejmuję ją z przylepionym uśmiechem.

– A po co te łzy? – Śmieję się. – Głuptasie, nie ma się czym martwić. – Wycieram jej policzki.

– Chciałam pomóc, Jasmine.

– I pomogłaś. – Tulę ją do piersi i kołyszę jak dziecko.

Żeby pofrunąć, trzeba najpierw oczyścić skrzydła z gówna. Pierwszy krok: rozpoznać, co jest gównem. Zrobione.

Jako mała dziewczynka, może ośmioletnia, uwielbiałam manipulować kelnerami. Kiedy dowiedziałam się o niewerbalnym języku w restauracjach, zapragnęłam się nim posługiwać.

Podobało mi się, że istnieje szyfr, którym mogę się komunikować z dorosłym i który stawia nas na równi. W naszej ulubionej restauracji był taki jeden kelner, jego wyjątkowo lubiłam dręczyć. Składałam razem nóż i widelec, a kiedy widziałam, że idzie po talerze, szybko znów rozsuwałam sztucce. Uwielbiałam patrzeć, jak skręca nagle, parę kroków od naszego stołu, niczym zbłąkany pocisk. Robiłam to kilka razy podczas każdej wizyty, ale nie na

tyle często, żeby się zorientował, że drażnię go specjalnie. To samo z menu. Zamknięte oznaczało, że decyzja została podjęta, otwarte, że jeszcze nie. Zamykałam więc swoje razem z resztą rodziny, a kiedy tylko kelner ruszał w naszą stronę z notesem i długopisem w dłoniach, znów je otwierałam, krzywiłam się i udawałam, że wciąż się namyślałam.

Nie wiem, co to znaczy, że pomyślałam o tym teraz. Nie wiem, co mi to mówi o mnie samej poza tym, że od najmłodszych lat lubiłam wysyłać sprzeczne sygnały.

Kiedy wracam z przystanku autobusowego, na który odprowadziłam Heather, bo uparła się, że nie mogę prowadzić taka „zdenerwowana”, nagle docierają do mnie twoje słowa. Nareszcie, z opóźnieniem słyszę, jak dziękujesz mi za podrzucenie w nocy listu. W mojej głowie odzywiają się dzwonki alarmowe, zatrzymuje się jak wryta. To dość przerażające: dowiedzieć się, że coś zrobiłam, czego nie zrobiłam. W pierwszej chwili myślę, że się pomyliłeś – oczywiście, że się pomyliłeś. Próbowалаm dać ci list od żony przy różnych okazjach, a ty go oddawałeś albo prosiłeś, żebym ci przeczytała. Leży w misce na cytryny, bo jesteś skwaszony, oboje zgodziliśmy się co do tego. Ale. Ale. Powiedziałeś „wczoraj w nocy”. Podziękowałeś, że dałam ci list „wczoraj w nocy”.

Jednak to nie mogłam być ja, bo wczoraj w nocy byłam urżnięta i szukałam dzina na dnie butelki z wódką. Może twoja żona podzuciła ci kolejny list i myślisz, że to ja ci go dałam, ale nie wspomniałeś mi o tym, kiedy spotkaliśmy się wczoraj przy ogrodowym stole, co sugeruje, że został ci dostarczony już po naszym spotkaniu. A wiedziałabym, że twoja żona przyjechała, bo nie spałam do szóstej rano, więc usłyszałabym ją, zobaczyła – do diabła, pobiegłabym do niej przez ulicę i zaprosiła na pieczenie ciasteczek.

– Dzień dobry, Jasmine. – Doktor Jameson, cały wesolutki. – Tak sobie pomyślałem, żeby zorganizować małą imprezkę w dzień letniego przesilenia. Grill w moim ogrodzie, dla uczczenia tego pięknego lata. Co ty na to? Nie mam jeszcze odpowiedzi od tego spod szóstki, zaraz pójdę do niego.

Patrzy na mnie i zapada długa cisza.

Trybiki w mojej głowie pędzą jak szalone, miałą kolejne wydarzenia.

– Dobrze się czujesz, Jasmine?

Nagle ruszam truchtem, który zmienia się w sprint, przeskakuję nad zraszaczami pana Malone’a i wpadam do domu.

W środku zatrzymuję się zdyszana i rozglądam, szukam poszlak. Salon wciąż przypomina o wcześniejszym katastrofalnym zebraniu. Kuchnia wygląda jak dziecinna wersja miejsca zbrodni, umazana tu i ówdzie świecowymi kredkami, stół, krzesła, podłoga uciapane plasteliną. Miska na cytryny. Miska na cytryny jest pusta. Znaczący są w niej cytryny i jest twój klucz, ale listu nie ma. Poszlaka numer jeden.

Pędzę na górę i dopiero teraz porządnie rozglądam się po sypialni. Łóżko zostało zaścielone w pośpiechu, ale wygląda zwyczajnie. Na nocnej szafce pusta butelka po wódce i... otwarty list, który Amy napisała do ciebie. Rzucam się w poprzek przez łóżko i chwytam go. Przeczytałam go w którymś momencie między drugą w nocy a szóstą rano. Zapewne bliżej szóstej. Podczas godzin, których nie pamiętam. Szukałam jakiejś wskazówki dla samej siebie. Miałam nadzieję na inspirację, na słowa zachęty i miłości. Choćby nawet cudze. Ale kiedy otworzyłam list Amy do ciebie, znalazłam:

Matt,
weź się w garść.

Amy

Doprowadził mnie do furii. To pamiętam. Płakałam rozczarowana Amy, całym światem. I? Co zrobiłam później? Myślałam, że zasnęłam, ale dlaczego list, który, jak twierdzisz, jest teraz u ciebie, leży tutaj, nie w twoim domu?

Mrużę oczy, rozglądam się po pokoju. Muszą być jakieś wskazówki. Pod toaletką widzę kulkę zmiętego papieru. Widzę kosz na śmieci, z którego wylewają się papierowe kulki. I nagle boję się przyglądać temu bliżej. Ale muszę.

Staję na czworakach, z jękiem rozwijam papier.

Matt, mój drogi,
nie umiem powiedzieć Ci w twarz, że Cię zostawiam. Nie sądzę, żebyś zechciał słuchać...

– O nie. Jasmine, ty idiotko. – Przeglądam wszystkie kartki i czytam różne warianty tego samego zdania, niektóre całkowicie różne, a wszystkie koszmarnie nie na miejscu: nabazgrane po

pijaku wersje tego, co moim zdaniem Amy powinna ci powiedzieć, co moim zdaniem by cię zmotywowało, a także, o zgrozo, co ja sama o tobie myślałam, kiedy cię nienawidziłam. Nie mam najbledszego pojęcia, która wersja trafiła na drugą stronę ulicy, cieszę się jednak, że przynajmniej żadna z tych tutaj. Co chciałabym teraz zrobić? Dramatycznie rzucić się na łóżko i zawyć. Co powinnam teraz zrobić? Pobiec przez ulicę i przyznać się do winy popełnionej w pijanym widzie. Przecież zrozumiesz. Ale nie, nie dam rady. Sądziłam, że mój dzień nie może już być gorszy. Okazuje się, że może i że sięgnęłam dna. Muszę odzyskać ten list, odkręcić tę głupotę, znaleźć pracę, przestać się zachowywać jak wariatka.

Rozlega się dzwonek przy drzwiach. Tak mnie przeraża, że jeszcze po długiej chwili słyszę jego jazgotliwy dźwięk w głowie i czuję łomot serca. Jak gdybym została przyłapana nad zwłokami. Znieruchomiała niczym jeleń w reflektorach samochodu stoję w sypialni, zupełnie sztywna, i nie wiem, co zrobić. Przeczytałeś list. Wpadłam.

Wyglądam przez okno i widzę czubek twojej głowy. Zbieram się w sobie i schodzę na dół. Przyznam się. Postąpię jak należy. Otwieram drzwi i uśmiecham się nerwowo. Trzymasz się pod boki z marsową miną. Grymas znika na chwilę.

– Znowu jesteś pijana?

– Nie.

Cisza.

– A ty?

– Nie.

Nie do końca przekonany co do mojej trzeźwości znów się marszczysz.

– Widziałaś tych ludzi? Tych, co przychodzą do domu doktorka?

Nic nie rozumiem. Co to ma wspólnego z listem? Próbuję znaleźć łączące ogniwo.

– Jeśli dałaś w palnik, to po prostu powiedz.

– Nie piłam.

– Nie ruszy mnie to. Wręcz ułatwi komunikację z tobą. Mogę inaczej składać zdania. Mówić znacznie wolniej.

– Do cholery, nie jestem pijana – wypalam.

– Świetnie. No więc? Widziałaś tych ludzi, którzy wchodzą i wychodzą?

– A co, urządza bibę i cię nie zaprosił? – Trochę się uspokajam, bo nie zostałam przyłapaną. Jeszcze.

– Coś z pewnością urządza. Z półgodzinną częstotliwością. Przez całe popołudnie.

– Rany, ty naprawdę musisz znaleźć pracę. – Zaczynasz gadać jak ja.

– O trzeciej przyjechała jakaś kobieta. Siedziała przez pół godziny. Potem odjechała, a o trzeciej trzydzieści zjawił się facet. Poszedł sobie tuż przed czwartą, o czwartej trzydzieści przyszła jakaś para. Potem...

– Tak, chyba już załapałam, co to znaczy „co pół godziny”.

Oboje zakładamy ręce i patrzymy na dom Jamesona. Po sąsiedzku pan Malone czyta *The Field* Johna B. Keane’a a pani Malone, która siedzi na leżaku z kocem na kolanach. Pan Malone świetnie sobie radzi z robieniem dobrej miny do złej gry. Codziennie czyta przez piętnaście minut, potem pielęgnuje ogród, wraca i zaczyna czytać tam, gdzie przerwał. Jest niezłym lektorem. Pani Malone zawsze patrzy w przestrzeń nieobecny wzrokiem, ale on nie daje za wygraną, mówi swoim dobrodusznym tonem, komentuje pogodę, opowiada o ogródku, dzieli się własnymi rozmyślaniami tak, jakby prowadzili ożywioną rozmowę. W zeszłym tygodniu czytał Jackie Collins; lubi od czasu do czasu zmienić klimat. To piękne, jak sobie radzi, ale i bardzo smutne.

W naszą ślepą uliczkę wjeżdża zza rogu samochód i serce zaczyna mi się tłuc jak ptak w klatce, a w żołądku mam motyle, jeszcze zanim poznaję kierowcę. Ale wiem, że to on. Albo wyczuwam, że to on. Albo mam nadzieję, że to on. Za każdym razem, kiedy ktoś zbliża się do mnie czy do domu, mam nadzieję, że to on. Monday wysiada z samochodu.

– No, jeśli dzisiejsze przedpołudnie go nie spłoszyło, to nic

go nie spłoszy – stwierdzasz, a ja się uśmiecham.

Monday rusza długim krokiem na swoich długich nogach, kręcąc kluczykami na palcu.

Liczę na to, że się zorientujesz, kiedy złym spojrzeniem nakazuję ci odejść, ale się nie orientujesz. A może i tak, tyle że nie odchodzisz. Musisz udowodnić swoją rację.

– Cześć – rzuca Monday.

– Zapomniałeś czegoś? – pytasz z ironią, ale bez jadu, raczej psotnie.

Monday uśmiecha się i patrzy mi prosto w oczy. Wróciła cała miękkość i czułość. Mój żołądek robi salta.

– Prawdę mówiąc, tak.

– Obserwujemy dom doktorka. – Wyjaśniasz dziwne wizyty co pół godziny, które tak cię zaniepokoiły.

Monday staje obok mnie i też patrzy, dotyka mnie nagim ramieniem, a ja zapominam, po co w ogóle gapimy się na ten dom, i zamiast tego skupiam się na wrażeniach wywołanych przez ten leciutki dotyk, elektryzujący moje ciało. Monday wpatruje się w dom, a ja walczę z chętką, żeby patrzeć na niego, i przegrywam: zerkam ukradkiem, kiedy tylko mogę, spoglądam na te piwne oczy z zielonymi cętkami. Nagle, kiedy już myślę, że mogę bezpiecznie popatrzeć dłużej, on odwraca się i te oczy zatapiają się w moje. Posyła mi zadziorne spojrzenie, tak jakby chciał pokazać, że mnie przyłapał, a potem robi krzywą minę pod twoim adresem, żartując sobie z tej czujnej straży.

– O tam. Tam! – Nagle się ożywasz i przerywasz naszą wspólną chwilę. Odklejasz się od ściany. – Widzicie?

– Hm. – Monday rusza podjazdem, żeby lepiej ocenić wzrokiem podejrzaną kobietę, która idzie ulicą. – Niedobrze.

– Mówiłem – rzucasz z ulgą, że ktoś jest po twojej stronie. – I to są przeróżni ludzie. W większości dosyć dziwni.

– Może robi nabór na gosposię – podsuwam.

– A ty byś chciała, żeby ona sprzątała twój dom? – pytasz.

– O, z pewnością żeby posprzątała – mówi Monday, a ja nie mogę się nie uśmiechnąć, bo widzę, jak zmieniacie się w Turnera i

Hoocha[11]. Ty jesteś Hooch, oczywiście.

– Może wcale nie przysłała do doktora. – Przyglądam się kobiecie. W dresie Adidasa, nowych sportowych butach. Jest pijana albo naćpana; obstawiam to drugie, bo wygląda na heroinistkę. – To może być twoja fanka – dodaję.

Kobieta przygląda się domom, patrzy na numery, po czym skręca do Jamesona. Monday schodzi na koniec podjazdu. Idziesz za nim. A ja wlokę się za wami, bo co innego mam zrobić? Przechodzimy przez ulicę i decydujemy się usiąść przy twoim stole, skąd mamy lepszy widok i możemy nasłuchiwać, co takiego dzieje się u doktora. Po krótkiej dyskusji decydujecie, że w razie czego wchodzić do niego do środka. Wymyślcie, co powiedzieć, gdyby trzeba było interweniować. Planujecie, jak tę babkę stamtąd wyciągnąć, i nieźle się przy tym nakręcacie.

– Przeczytałeś już list? – pytam od niechcienia.

– Jaki list?

– Ten, który ci dałam.

– Nie. Jeszcze nie.

– Tak sobie pomyślałam, że jednak ja ci go przeczytam. No wiesz, jeśli chcesz.

Patrzysz na mnie z namysłem, podejrzliwie. Monday też.

– Może jednak lepiej, gdybyś nie musiał stawić temu czoła sam. Kto wie, jak zareagujesz. Tak świetnie sobie radzisz, nie chcę, żebyś poszedł prosto do pubu. Powinieneś mieć kogoś przy sobie. Nawet jeśli nie mnie. – Wiem, że nie poprosiłbyś nikogo innego, ale mam nadzieję uspić tym twoją podejrzliwość i udaje mi się, a ty wydajesz się szczerze zadowolony.

– Dzięki, Jasmine.

– To może od razu mi go dasz?

– Teraz?

– Tak. – Wzruszam ramionami. – Żeby mieć to z głowy. –

Patrzę na Mondaya i wyjaśniam mu: – Żona od niego odeszła. Zostawiła list. On nie chce go przeczytać. I bardzo słusznie. – Znów zwracam się do ciebie. – Bo ja powinnam go przeczytać. Tak, daj mi go.

Monday przesłania uśmiech palcami. Ma długie, piękne palce. Palce pianisty.

– Nie, nie teraz. – Zaczynasz lekko panikować, że tak na ciebie naciskam.

– Dlaczego nie?

– Bo pilnuję doktora.

– Przeczytam ci, jak będziesz pilnował. – Nie, nic z tego.

Spalę ten list, jak tylko dostanę go w ręce. Zręcznie podmienię na oryginał. Muszę chronić siebie.

– Dzieci. Nie chcę, żeby słyszały.

Już mam powiedzieć, że nie usłyszą, bo ich nie ma w pobliżu, ale burzą mój plan. Dwoje blondasków wychodzi z ogrodu domu numer sześć z nachmurzonymi minami.

– Co się stało? – Idziesz w ich stronę.

– Co przeskrobałaś? – pyta mnie Monday z rozbawieniem.

– Nic – odpowiadam z obojętną miną.

Śmieje się, kręci głową i wzdycha tak, jakbym była niegrzeczną dziewczynką. W końcu sama nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Monday mnie zna i to mi się podoba. Minęło już sporo czasu, od kiedy ktoś tak dobrze mnie znał. Nie licząc ciebie, oczywiście, ale ty wywróciłaś kopniakiem mój znak „nie przeszkadzać”, kiedy nie uważałam.

– Nie chciał kupić – mówi Kris.

– Tylko on na całej ulicy – dodaje Kylie.

– Czego nie chciał kupić? – pytam.

– Naszych perfum. Zrobiliśmy je z płatków i wody.

– I trawy.

– I zdechłego pająka.

– Nieźle. – Unoszę brwi.

– Ty kupiłaś dwie butelki – zwracasz się do mnie. – Wisisz mi piąta.

Dopiero w tej chwili zauważam, że dzieci ustawiły na podjeździe stragan: turystyczny stolik nakryto papierowym obrusem w czerwonej kratkę. Stoją na nim buteleczki z brązową substancją, w której coś pływa, i kartonik z ceną: pięćdziesiąt

centów za butelkę. Dlaczego wiszę ci piątkę, to dla mnie tajemnica, ale biorąc pod uwagę, że sfalszowałam list od twojej żony, odpuszczam ci to.

– Co powiedział? – mówisz do dzieci gniewnym tonem.

– Kto? – pyta mnie bezgłośnie Monday.

– Numer sześć. Krawaciarz. Najemca – odpowiadam i wracam do blondasków, zaangażowana w sprawę.

– W sumie nic. Rozmawiał przez telefon. Potem rzucił „nie, dziękuję” i zamknął drzwi.

– Co za bezczelny gnojek – wściekasz się, a dzieciaki chichoczą. – Ten facet zaczyna mnie wkurzać – złościsz się dalej, zaciskasz pięści.

– Mnie też. Macham do niego każdego ranka, od kiedy się wprowadził, a on nawet nie raczył na mnie spojrzeć – dodaję.

Monday wybucha śmiechem.

– Wy na serio musicie sobie znaleźć pracę. Za bardzo miesza wam się w głowach.

– To jej coś załatw, Monday – wypalasz z psotnym błyskiem w oku.

– Taki mam plan, Matt. – Patrzy ci prosto w oczy.

– Może powinieneś ją zaprosić na kolację. W sprawie pracy – ciągniesz.

Wiem, co sugerujesz, i Monday też wie, ale zachowuje spokój.

– Jeśli to zadziała – odpowiada już trochę mniej pewny siebie.

Nie chcę, żebyś go wypłoszył tymi swoimi gadkami. Wracam do tematu.

– A wystarczyłoby, żeby choć trochę sypnął groszem dzieciom, które tak ciężko pracowały nad swoimi perfumami. Poprosił przynajmniej, żebyście mu dali powąchać?

– Nie – mówi nadąsany Kris.

– No, to już zwyczajnie wredne – stwierdzam.

To nakreca cię jeszcze bardziej. Wiedziałam, że tak będzie, w sumie specjalnie to zrobiłam.

– Idę tam – decydujesz.
– I dobrze – rzucam.
– A co mu powiesz? – Monday uśmiecha się szeroko, zakładając nogę na nogę. Jego dżinsy są wystrzępione na dole, a dziura na udzie odsłania nagą skórę.
– Że powinien być nieco bardziej przyjazny, jeśli chce mieszkać w przyjaznym sąsiedztwie. Oni mają siedem lat.
– Wydaje mi się, że przejąłeś się bardziej niż twoje dzieciaki – stwierdza Monday.
– I nie chce przyjść do doktora na grilla z okazji letniego przesilenia – dodaję. – A przecież doktorek wszystkim dobrze życzy.
Monday znów się uśmiecha, ale jednocześnie marszczy brwi; próbuje mnie rozgryźć.
To wystarcza, żeby cię przekonać do wizyty u krawaciarza. Jestem zachwycona. Zostawiłeś otwarte drzwi. Kiedy ty będziesz się kłócił ze skąpym gościem, ja wślizgnę się do środka, znajdę list i go zniszczę. Doskonały plan.
– Ty idziesz ze mną – mówisz nagle.
– Ja?
– Tak. Ty.
– Tak, Jasmine – podkreśla Monday. Oparty o stół, z podbródkiem na dłoni, patrzy na mnie leniwie, psotnie. Wie, że rujnuje wszystko, cokolwiek planuję. Bawi się mną i nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby bawił się inaczej. Mogłabym wymyślić niejedyn sposób, w jaki Monday mógłby się ze mną zabawić, ale nie tak.
– Nie potrzebujesz mojej pomocy. – Ignoruję Mondaya. – To twoje dzieci. Możesz ich bronić beze mnie.
– No idź, Jasmine – nie ustępuje Monday.
Wiem, że moja szansa, żeby zniszczyć list, właśnie się rozviała. Posyłam Mondayowi spojrzenie pełne szczerego obrzydzenia, ale to go tylko rozśmiesza. Wkurzająca reakcja, jednak mnie się podoba, bo to znaczy, że jest gotów stawić mi czoło. Nie będzie chodził wokół mnie na paluszkach, nie będzie

próbował mnie za wszelką cenę zadowolić. Będzie mnie testował, oddawał mi pięknym za nadobne. Monday chce się bawić.

– Ja będę pilnował domu doktora. – Puszczą do mnie oko.

– I co mu powiesz? – pytam cię nerwowo, kiedy stoimy już pod drzwiami numeru sześć.

– Dokładnie to, co powiedziałem przed chwilą. O przyjaznym zachowaniu.

– Jasne. – Przełykam ślinę. – A my dwoje jesteśmy idealni do tego, żeby prawić morały w tej kwestii.

Słyszemy, jak rozmawia w środku przez telefon. Jeszcze raz dzwonisz do drzwi, długo i mocno. To nie jest rozmowa biznesowa. Facet się śmieje, mówi zupełnie swobodnie. To nawet nic ważnego. Wspomina o rugby. Wymienia parę przezwisk. Liggio i Spideya, i chłopaków. Mam ochotę zwymiotować. Mówi o meczu. Ty robisz się z każdą minutą bardziej wkurzony, a ja nie zostaję daleko w tyle. Widzę, że gość wygląda na nas przez okno, ale w najlepsze gada dalej.

– To znowu ktoś z sąsiadów. – Jego słowa dobiegają nas przez otwarte okno.

Ruszasz wściekłym krokiem w stronę okna i kiedy już zanosi się na to, że zaraz wleziesz do środka, krawaciarza ratuje wołanie Mondaya:

– Hej!

Spoglądamy w tamtą stronę i widzimy, jak Monday rusza ulicą za kobietą, która wyszła z domu doktora Jamesona.

Oboje biegniemy za nim.

– Zabieraj łapy! – wrzeszczy kobieta na Mondaya, który uchyla się zręcznie, żeby uniknąć jej wymachujących pięści.

– Auć! Jeju! – słyszymy, bo trafia go kilka razy. – Spokojnie! – krzyczy; kobieta opanowuje się i przestaje go tłuc. Odsuwa się o krok, mierzy Mondaya nieufnym wzrokiem. Intensywnie porusza żuchwą, jak krowa żująca trawę.

– Wydaje mi się, że ma pani pod bluzą coś, co należy do mojego przyjaciela – mówi Monday.

– Wcale nie.

– Chyba jednak tak. – Uśmiecha się, jego orzechowo-zielone oczy błyszczą.

– Jestem w ciąży.

– A kto jest tatusiem? Apple? Dell? – Przenoszę wzrok na jej brzuch i przygryzam wargę, żeby się nie roześmiać. Pod bluzą rysuje się prostokątny kształt.

– Chwileczkę – mówisz nagle półgłosem. – Może nie powinniśmy patrzeć.

– Dlaczego nie? – pytam.

– Bo może... – Odwracasz się plecami od kobiety, która najwyraźniej zastanawia się nad ucieczką. Mówisz kątem ust. – Może dostała to od doktora, rozumiesz?

– Myślisz, że dostała od doktora pudło narkotyków w kształcie laptopa?

Monday kaszle, żeby zamaskować śmiech. Spoglądasz na niego ze złością.

Doktor Jameson pojawia się w drzwiach z filiżanką na spodeczku w dłoni.

– Juuhuuu!

– Ach. Baron narkotykowy we własnej osobie – rzuca Monday konspiratorskim tonem; nie mogę się nie roześmiać.

Kobieta oddala się szybkim, kaczym krokiem. Monday łapie ją i przytrzymuje za ramię, nie zrażając się jej przekleństwami i oskarżeniami o molestowanie seksualne oraz napastowanie.

Jameson podchodzi do nich, wciąż z filiżanką w dłoni.

– Mags! Poszedłem tylko zaparzyć ci herbaty. Tak szybko wychodzisz?

Monday szamocze się z Mags i nagle coś z trzaskiem ląduje między jej nogami.

– Chyba odeszły jej wody – szydę.

Wszyscy spoglądamy w dół i widzimy na ziemi laptop doktora.

Ty, ja i doktorek siedzimy przy stole w twoim ogródku. Patrzemy, jak Monday naprawia laptop, który jest tylko lekko uszkodzony, i słuchamy wyjaśnień Jamesona na temat ogłoszenia,

jakie zamieścił w lokalnej gazecie. Serce mi się kraje: w ten sposób szukał towarzystwa na Boże Narodzenie.

– Carol umarła w wieku sześćdziesięciu jeden lat. Zbyt młodo. Nie mieliśmy dzieci, jak wiecie, bo nie umiałem się wziąć w garść, aż było za późno. Nigdy sobie tego nie wybaczę. – Oczy ma szkliste i mocno zaciska zęby, żeby zapanować nad emocjami. Monday przerywa pracę nad laptopem i spogląda na doktora. – Mam osiemdziesiąt jeden lat. To już dwadzieścia lat bez niej. Siedemnaście samotnych Wigilii. Wcześniej chodziłem do siostry, ale zmarła, Panie świeć nad jej duszą. Nie chciałem spędzać kolejnych świąt sam. Słyszałem o jednym gościu z mojego klubu golfowego, który dał w gazecie ogłoszenie, że poszukuje gosposi. Teraz są w zasadzie nierozłączni. Wiecie, nie w tym sensie, oczywiście, ale przynajmniej kogoś ma przy sobie. Codziennie. Ja nie chcę nikogo codziennie, niekoniecznie, ale pomyślałem, że tego jednego dnia, kiedy nie mogę znieść samotności, przydałby się do towarzystwa ktoś, kto czuje się tak samo jak ja. Muszą być jacyś ludzie, którzy nie chcą siedzieć sami w Boże Narodzenie.

To jest niewyobrażalnie smutne i żadne z nas nie ma na to dowcipnej odpowiedzi, żadne nawet nie próbuje go odwieść od tego pomysłu. Człowiek jest samotny, potrzebuje bratniej duszy: oby ją znalazł.

Widzę, że to poruszyło w tobie jakąś strunę. No jasne. Żona cię zostawiła, zabrała ze sobą dzieci i jeśli nie zdołasz jej jakoś przekonać do siebie, też czekają cię samotne święta. Może nie będziesz fizycznie sam, tak jak doktor Jameson. Jakiś przyjaciel zaprosi cię do siebie, ale nawet w jego towarzystwie będziesz się pewnie czuł samotny jak nigdy w życiu. Widzę, jak to przetrawiasz. Może będziecie razem z Jamesonem siedzieć na przeciwnych końcach jego błyszczącego mahoniowego stołu i wysilać się na rozmowę, a może jeszcze lepiej: z talerzami na kolanach oglądać świąteczny program w telewizji.

Amy nie mogła sobie wybrać lepszej chwili. Przyjeżdża odebrać dzieci. Jak zwykle nie wysiada z samochodu, żeby z tobą porozmawiać; siedzi w ciemnych okularach i czeka, aż dzieciaki

wskoczą do auta. Fionn siedzi obok niej. On też cię nie zauważa. Próbujesz z nią porozmawiać, ale nie chce otworzyć drzwi. Nieustępliwie pukasz i robisz błagalną minę, więc w końcu opuszcza szybę – ledwie odrobinę. Smutny widok. Nie wiem, co do niej mówisz, ale nie idzie ci to płynnie. Niezdarne usiłowanie nawiązania rozmowy. Grzecznej rozmowy z kobietą, którą kochasz. Dzieci radośnie zbiegają podjazdem z torbami w rękach. Ściskają cię szybko, a już w samochodzie natychmiast oznajmniają, że złapały narkomankę. Na twojej twarzy maluje się ból. Szyba się zamyka. Amy odjeżdża z piskiem opon.

Próbuję namówić cię, żebyś oddał mi list, ale to na nic. Z pewnością w tej chwili jesteś na to zbyt obolały. Układam więc plan. Operacja „Miska na cytryny” rozpocznie się, jak tylko u ciebie pogasną światła.

Przez całą noc gapię się na twój dom. Obserwuję jak jastrząb, pilniej niż kiedykolwiek, a to już o czymś świadczy. Widzę cię w salonie, kiedy przy pozapalanych światłach oglądasz telewizję. Jakieś niedzielne rozgrywki sportowe, poznaję to po tym, jak unosisz się z fotela w oczekiwaniu, a potem rozczarowany ciężko siadasz z powrotem. Za każdym razem kiedy wstajesz, żeby gdzieś pójść, boję się, że idziesz po list, ale nie, dotrzymujesz słowa. Szanuję to u ciebie, choć to, co zrobiłam i co zamierzam zrobić, nie zasługuje na podobny szacunek. Ale ty tego nie wiesz.

Chociaż jestem podminowana na samą myśl o moim planie, przez wczorajszą zarwaną noc i ostre picie trudno mi teraz utrzymać otwarte oczy, zachować przytomność. Przez pigułki od bólu głowy chce mi się spać jeszcze bardziej, a po pięciu filiżankach kawy jestem nakręcona, a jednocześnie zamulona ze zmęczenia. W końcu, tuż przed północą, światła w salonie gasną i idziesz na górę. Jestem gotowa do akcji, ale wtedy zapala się światło w sypialni i już nie gaśnie, podobnie jak telewizor, i wiem, że czeka mnie kolejna ciężka noc. Przysypiam. O trzeciej nad ranem budzę się ubrana i wyglądam na twój dom. Światła pogaszone.

Pora działać.

Ulica jak wymarła, wszyscy głęboko śpią, łącznie z krawaciarzem, a raczej na czele z krawaciarzem, który ma przed sobą pracowity, ważny poniedziałkowy ranek. Przekradam się przez ulicę prosto pod twoje drzwi z oryginalnym listem, teraz już poplamionym wódką i colą, i z twoim kluczem z miski na cytryny. Przeleciało mi przez głowę, że możesz mieć alarm, ale przez te osiem miesięcy, gdy patrzyłam, jak wchodzisz i wychodzisz, ani razu nic na to nie wskazywało. Poza tym do kompletu z kluczem dostałabym kod. Po cichutku wpycham klucz do dziurki i obracam go z łatwością. Weszłam. Zdejmuję buty i stoję w przedpokoju. Czeka, aż oczy przywykną mi do ciemności. Serce łomocze mi w piersi. Nie weszłam tutaj tak na pałę, mam plan. Niemal całą noc

go układałam. I mam latarkę.

Zaczynam od stolika w przedpokoju. Na blacie leżą zaklejone i otwarte koperty z rachunkami. Pocztówka od ciotki Nellie, która świetnie się bawi na Malcie. Zaglądam do szuflady: żadnych papierów.

Przechodzę do kuchni, gdzie panuje zaskakujący porządek. W zlewie zaledwie kilka filiżanek i talerzy, które zostawiłeś do rana. W twojej misce z owocami leżą czarne banany i niedojrzałe avocado. Listu brak. Niespiesznie przeszukuję kuchenne zakamarki. Każdy ma w kuchni szufladę z rupieciami i znajduję ją: podkładki pod talerze, jadłospisy knajp na wynos, baterie, stare i nowe rachunki, książeczka opłat za abonament TV, stare kartki urodzinowe, rysunki dzieci. Listu ani śladu. Masz w kuchni tablicę, całkiem czystą, pewnie nieużywaną od kiedy nie mieszka tu Amy. Żadnych notatek, żadnych przypomnień, list zakupów, żadnej rodzinnej komunikacji, bo jesteś całkiem sam. Nagle zaczynam ci współczuć samotności w tym pustym rodzinnym domu. Cóż, kiedyś tętnił życiem. Myślę o człowieku, którego zostawiła Amy, i dla niego nie mam żadnego współczucia, zasłużył na to, ale ty... tobie współczuję. To dla mnie kolejny bodziec, żeby znaleźć list.

Przechodzę do salonu. Pachnie tu kawą i octem – no tak, żarcie na wynos, które wytaszczyłeś z samochodu o ósmej wieczorem; gdybyś przyjechał chwilę później, nakryłbyś mnie na pierwszej próbie włamania. To była niezła lekcja. Nauczyła mnie czekania, cierpliwości. Teraz oświetlam latarką wnękę z półkami. Książki, DVD, lubisz thrillery i kryminały. Widzę nawet *Turnera i Hoocha*. Na półkach zdjęcia w ramkach: rodzina, niemowlęta, wakacje, wyprawy na ryby, wycieczki na plażę, rozpoczęcia roku szkolnego. Zastanawiam się, dlaczego Amy nie zabrała ich ze sobą, i widzę w tym znak, że jednak wróci. Ale w tej chwili światło latarki pada na gołe ściany z wystającymi haczykami i dociera do mnie, że te na półce to wszystko, co zostawiła razem z tobą. Zdumiewa mnie dyplom psychologa z twoim nazwiskiem i oprawione zdjęcie: ty w todze i birecie, z rulonem w dłoni. Po

chwili jednak przypominam sobie, jak czasem na mnie patrzysz, jak próbujesz mnie rozgryźć, tak jakbyś zaglądał mi w duszę, i jak lubisz analizować mnie, wszystkich dookoła, i nagle to ma sens. Twoja twarz szczerzy się do mnie szeroko radośnie spod biretu, jak gdybyś właśnie powiedział coś niegrzecznego. Już wtedy miałeś bezczelną gębę.

Wydaje mi się, że słyszę ruch na górze. Nieruchomieję. Gaszę latarkę, wstrzymuję oddech w czarnej ciszy, nasłuchuję. Dom milczy. Znów włączam latarkę i dalej przepatruję przegródki sekretarzyka, który stoi w kącie z widokiem na patio od tyłu. Stare zdjęcia, ubezpieczenie samochodu, kupony rabatowe, zbieranina kluczy, zero listu. Z oczywistych powodów odwlekałam wejście na górę. To już ostateczność, najgorszy scenariusz, ale twój dom, jak na dom rodzinny, jest wyjątkowo niezabałaganiony, nie masz stert papierzyk czy nieprzeczytanej poczty. Być może muszę pójść właśnie na górę. Próbuję wymyślić, gdzie mógłbyś trzymać coś takiego. Na pewno nie w szafce na dokumenty, jest zbyt chłodna, zbyt bezosobowa. Nagle zachciało ci się przeczytać ten list, a to znaczy, że masz go pod ręką, gdzieś, gdzie możesz go co chwilę dotykać, spoglądać na niego. Jeśli więc nie ma tego listu w kieszeni twojej marynarki, która wisi na poręczy schodów, to muszę iść na górę.

Nie ma go w kieszeni.

Biorę głęboki wdech i nagle wydaje mi się, że znów słyszę jakiś odgłos na tyłach domu, w kuchni; wstrzymuję powietrze w obawie, że usłyszysz, jak oddycham. Zaczynam panikować, muszę złapać tchu, a puls w uszach huczy tak głośno, że przeszkadza mi nasłuchiwać i usłyszeć, co się dzieje w sąsiednim pomieszczeniu, wypuszczam więc powietrze powolnym drżącym strumieniem. To idiotyczne, wiem. Powinnam być we własnym łóżku, a nie myszkować po twoim domu. Chociaż obserwowałam go tyle nocy, że teraz w jakiś sposób czuję się do tego uprawniona. Może jestem prześladowcą, może właśnie to czują stalkerzy: że ich działania są całkowicie normalne. Ale kiedy myślę, że musiałabym ci się tłumaczyć z tego listu, z determinacją stawiam krok na schody.

Pierwszy stopień skrzypi, zamieram. Cofam nogę. Ten list musi być gdzieś na dole, może jednak poszukam tutaj, zamiast zakradać się do twojej sypialni, kiedy śpisz; aż dostaję dreszczy. I nagle coś mi przychodzi do głowy, wraca wspomnienie tego, co powiedziałeś, tłumacząc mi, jak przestałeś pić.

„Mam zdjęcie ojca na lodówce. To mi pomaga za każdym razem, kiedy otwieram flaszkę”.

„Super”.

„Nie bardzo. Był agresywnym alkoholikiem. Zdjęcie ma mi przypominać, że nie chcę być taki jak on”.

Kieruję latarkę w drugi koniec korytarza i szybkim, pewnym krokiem wracam do kuchni. Lodówka to na pewno właściwe miejsce. Widziałam na niej kilka rysunków i dyplomów sportowych, ale nie szukałam listu. Unoszę latarkę, żeby poświecić na drzwiczki, i widzę kopertę, prawdziwą kopertę z fałszywym listem. Radośnie szczerzę zęby i nagle bam! Coś twardego uderza mnie w bok głowy, czuję to głównie na uchu, ale i na twarzy. Upadam na ziemię, lecę jak wór ziemniaków, zupełnie bezwładnie, wrzeszczę z bólu. Słyszę kroki na schodach i jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że zaatakował mnie włamywacz. Przeszkodziłam intruzowi i teraz ty schodzisz na dół, prosto w pułapkę. Czyha na ciebie niebezpieczeństwo, trzeba cię ostrzec, ale najpierw muszę dorwać ten list z lodówki i podmienić na oryginał. I zrobiłabym to, gdyby nie ból przeszywający mi czaszkę i lepka wilgoć na twarzy.

– Kazałem ci zaczekać! – cedzisz przez zęby.

Nic już nie rozumiem. Ty też w tym siedzisz? Włamujesz się do własnego domu? Myślę o oszustwie podatkowym i że wpakowałam się w nieciekawą sytuację. Bo jeśli ty w tym bierzesz udział – a to pewne, skoro gadasz cichcem do swojego współnika, który dał mi w łeb i najwyraźniej wszedł do domu przez kuchenne drzwi – to moje życie jest zagrożone. Powinnam uciekać. Ale najpierw: list na lodówce. Unoszę głowę i czuję, że wszystko faluje pode mną. Choć w kuchni wciąż panuje ciemność, światło księżycy rzuca jasny prostokąt na kafelki podłogi. Odbicie oświetla

lodówkę. Przeżywam surrealistyczną chwilę – wierzę, że księżyc i cały wszechświat są po mojej stronie, rozjaśniają mi drogę, prowadzą mnie. Ale nie mogę się ruszyć.

Jęczę.

– Kto to jest? – pytasz.

– Nie wiem, po prostu go walnąłem.

– Zapalmy światło.

– Może najpierw wezwać policję?

– A po co? Sami damy facetowi nauczkę.

– Stanowczo protestuję przeciwko...

– Daj spokój, doktorku, na co komu straż sąsiedzka, jeśli nie możemy...

– Straż jest od stróżowania, nie od wiązania i tortur.

– Czym go walnąłeś? Rany, patelnią? Mówiłem ci, żebyś wziął kij golfowy.

– Wyszedł na mnie szybciej, niż się spodziewałem.

– Czekaj, próbuje uciec. Czołga się...

Nagle zapala się światło. Leżę u stóp lodówki, centymetry od listu. Jeśli wyciągnę rękę, co właściwie robię, prawie, prawie mogę go dosięgnąć.

– Jasmine! – wykrzykujesz.

– O Boże, o Boże – powtarza osłupiały doktor Jameson.

Światło jest tak jasne, że niczego nie widzę, a moja głowa... matko, moja głowa.

– Raźnałeś Jasmine?

– Przecież nie wiedziałem, że to ona, nie? O Boziu.

– Już dobrze, dobrze – przemawiasz do mnie uspokajająco.

We dwóch próbujecie mnie podnieść i odsunąć od lodówki, więc jęczę, i to nie tylko z bólu. Widzę, jak list się oddala coraz bardziej, kiedy wynosicie mnie z kuchni na kanapę. A byłam tak blisko.

– Co ona mamrocze? – Doktor przysuwa swoje kłapciate, wielkie ucho do moich ust.

– Coś o lodówce. – Układasz moją głowę na poduszce z bardzo zatroskaną miną.

– Lodówka. Niezły pomysł, Jasmine. Przyniosę lód. –
Jameson oddała się pospiesznie.

– Trzeba szyć?

Szyć?

Oglądasz mnie z bardzo bliska, widzę rude włoski w twoim nosie. Jeden gruby i siwy wystaje, mam ochotę go wyrwać.

– Jakiej patelni użyłeś? – zwracasz się do Jamesona.

– Aluminiowego tefala – odpowiada, wracając z opatrunkiem. – Mam cały zestaw. Jak zbierzesz pięć kuponów SuperValu, wystarczy dołożyć piętnaście euro. Robię na niej świetne francuskie tosty. – Przysuwa twarz do mojej i skupia się mocno. Jego oddech pachnie landrynkami.

– Jasmine, na litość boską, co ty tu robiłaś? – Wzdychasz skołowany.

Odchrząkuję.

– Użyłam twojego zapasowego klucza. Myślałam, że ktoś się włamał. To musiał być doktorek – tłumaczę słabym głosem.

Zamykam oczy, kiedy doktor osusza mi ranę. – Auć.

– Przepraszam, kochana. To nie byłem ja, bo zadzwoniłem do Matta, jak tylko zobaczyłem twoją latarkę – wyjaśnia Jameson.

– Jasmine – mówisz ostrzegawczym tonem. – Wykrztuś to.

Biorę głęboki wdech.

– Dałam ci zły list. Od Amy. Ten, który teraz masz, ja napisałam. Do kogoś innego. Pomieszały mi się. Pomyliłam koperty.

Otwieram jedno oko i sprawdzam, czy to kupujesz.

Stoisz nade mną ze skrzyżowanymi na piersi rękami i taksujesz mnie wzrokiem. Jesteś w wyblakłej koszulce z olimpiady w Barcelonie z dziewięćdziesiątego drugiego roku i w luźnych bokserkach w prążki. Wydaje się, że nie wszystko stracone. To się jeszcze może udać. Nagle idziesz do kuchni.

– Nie otwieraj go – wrzeszczę i od krzyku głowa mi niemal pęka.

– Czekaj, nie ruszaj się – prosi doktor Jameson. – Już prawie skończyłem.

Przynosisz kopertę. Nie podoba mi się wyraz twojej twarzy. Znów to bezczelne, psotne spojrzenie. Klepiesz kopertą w otwartą dłoń, powoli, rytmicznie, chodząc przede mną w tę i we w tę. Będziesz się droczył.

– No dobra, Jasmine. Włamałaś się do mojego domu...

– Miałam klucz.

– ...żeby odzyskać list, który, jak twierdzisz, napisałaś do kogoś innego. Dlaczego po prostu mi o tym nie powiedziałaś?

– Bo się bałam, że go otworzysz. To bardzo osobisty list, a ja ci nie ufam.

Unosisz palec.

– Wiarygodne. Brawo. Rzeczywiście bym przeczytał.

Jameson każe mi przyciskać woreczek mrożonego groszku do głowy, a kiedy siadam, żeby stawić ci czoło, zajmuje miejsce obok mnie.

– Dla mnie to też wiarygodne – oznajmia. Ma rozczochrane, łózkowe włosy; założył eleganckie skórzane półbuty do ortalionowego dresu, którego wcześniej nie widziałam. Najwidoczniej złapał pierwsze, co mu wpadło w ręce.

– A co to, proces?

– Mhm... – Patrzysz na mnie zmrużonymi oczami, nie przestajesz chodzić.

Ale teatrzyk.

– Jesteś pewien, że głowa mi nie odpadła? – zwracam się do Jamesona.

– A boli cię szyja?

Poruszam głową.

– Tak.

Przysuwa się i zaczyna mi obmacywać kark.

– Tutaj?

– Au.

– A tutaj?

– Tak.

– Tu?

– Też.

Zatrzymujesz się i wbijasz we mnie wzrok.

– Do kogo jest ten twój list?

Zwlekam. Oceniam sytuację. Wiem, że mnie sprawdzisz.

– Do Matta – odpowiadam.

Śmiejesz się.

– Do Matta.

– Tak.

– Co za zbieg okoliczności.

– Stąd pomyłka.

Podajesz mi list, więc szybko sięgam po niego. Jest tuż poza moim zasięgiem, milimetry od czubków palców, kiedy zabierasz go z powrotem i otwierasz.

– Nie! – jęczę i zakrywam twarz poduszką.

– Czytaj na głos – prosi Jameson.

Rzucam w niego poduszką i sięgam po drugą, żeby się za nią schować.

– „Matt, mój drogi” – zaczynasz z tą swoją bezczelną miną, głosem ociekającym złościwością, ale kiedy czytasz fragment po cichu, żeby sprawdzić, co będzie dalej, sarkazm znika. Przerywasz. Spoglądasz na mnie, potem czytasz normalnym głosem. –

„Wszyscy miewamy w życiu chwile, które wyróżniają się spośród innych, okresy, które wywołują w nas drobną lub głęboką zmianę. Ja potrafię wskazać w swoim życiu cztery takie okresy: rok, w którym się urodziłam; rok, w którym się dowiedziałam, że umrę; rok, kiedy umarła moja matka. A teraz przeżywam kolejny: rok, kiedy cię poznałam”.

Zakrywam twarz. Teraz wszystko mi się przypomina.

– „Słyszałam twój głos każdego dnia, słuchałam obrzydliwych słów, które wyrażały twoje prymitywne myśli, i cię osądziłam. Nie lubiłam cię. Można jednak myśleć, że się kogoś zna, a tak naprawdę wcale go nie znać. I ty stanowisz tego najlepszy dowód. Dowiedziałam się, że jesteś kimś więcej, niż udajesz, kimś więcej niż człowiek, za jakiego sam się uważasz. Bardzo często bywasz kimś mniej wartościowym, kimś okropnym, i to odstraszyło od ciebie ludzi. Przypuszczam, że czasami

pragniesz ranić, i to też rozumiem. Zranieni ludzie ranią ludzi”. – Odchrząkujesz, więc zerkam na ciebie przez palce, bo wydaje mi się, że się rozpłaczesz. – „Ale kiedy myślisz, że nikt nie słucha, albo kiedy sądzisz, że nikt nie zwraca na ciebie uwagi, jesteś kimś więcej. Wielka szkoda, że sam w to nie wierzysz i nie pokazujesz tego ludziom, których kochasz”. – Przez kolejny fragment głos ci się trzęsie. Widzę, że autentycznie się wzruszyłeś, super, ale jestem potwornie zażenowana. Patrzę, jak czytasz. – „Tego roku, kiedy cię poznałam, poznałam siebie. Ty powinieneś zrobić to samo, bo uważam, że znajdziesz dobrego człowieka”.

Koniec. W pokoju zapada długa cisza.

– Proszę, proszę – odzywa się w końcu doktor ze szklanymi oczami.

Ty znów odchrząkujesz.

– No cóż, kimkolwiek jest ten Matt, na pewno bardzo doceni to, co do niego napisałaś.

– Dzięki – szepczę. Mam taką nadzieję.

Wstaję, żeby wyjąć ci list z ręki, ale kiedy już go trzymam, nie chcesz puścić. Myślę, że się ze mną droczysz, jednak gdy nasze oczy się spotykają, widzę, że jesteś poważny. Twoja dłoń muska moją. Skłaniasz głowę w podziękowaniu – szczerym, pełnym wzruszenia.

Odwzajemniam gest z uśmiechem.

Mamy drugą falę upałów tego lata. Mamy też niedobory wody: władze miasta zakręcają wodociągi na parę godzin każdego dnia, a jeśli ktoś zostaje przyłapany na używaniu węża do mycia samochodu, zraszania ogródka, polewania psa czy siebie, skłonni są powiesić go na miejscu. Czy coś w tym stylu.

Statystyki zwolnień chorobowych osiągnęły w tym tygodniu rekord wszech czasów, zieleńce są oblegane przez półnagie ciała, zapach olejku do opalania i grilla wisi w powietrzu, a nabite autobusy z centrum nad morze gibią się na boki, wioząc swój wesoły ładunek.

Caroline i ja gapimy się na siebie przez ogrodowy stół milczące i zniecierpliwione; każda chce coś powiedzieć, ale gryzie się w język. Jest piękna sobota, siedzimy pod parasolem w jej ogrodzie za domem. To nasze pierwsze spotkanie, od kiedy Heather urządziła interwencję, aby przełamać życiowy impas swojej siostry. Do tej wzrokowej przepychanki doprowadziła moja kolejna propozycja, którą Caroline znów odrzuciła.

Zasugerowałam, żeby zmieniła nazwę swojego biznesu z irlandzkiej na „Sukienki od ręki” – to nada temu przedsięwzięciu bardziej międzynarodowy charakter. Ona wie, że to ma sens, ale trudno jej się rozstać z ładnym logo i zaakceptować fakt, że nowa nazwa nie jest jej pomysłem. Ostatecznie jednak uznała moje osiągnięcia w tej dziedzinie, dlatego do mnie przyszła. Ale właśnie tego się obawiałam. To znaczy, świetnie, tyle że jej zależy na sukcesie i na niczym innym. Nie wzięła pod uwagę powodu, dla którego moje projekty odniosły sukces: bo włożyłam w nie swoją wrażliwość, pasję, dałam pomysły i serce; nie słuchałam ślepo cudzych poleceń. Nasza współpraca nigdy nie wypali. Teraz rozumiem, w jaki sposób sama pracuję, jak chcę pracować i jak muszę pracować.

I choć to wymaga niezręcznej rozmowy, przeprowadziłabym ją dojrzałe, gdyby to był ktoś, z kim nie jestem związana emocjonalnie. A nie Caroline, moja przyjaciółka od dziesięciu lat,

w której ogrodzie właśnie siedzę, której trzymałam głowę nad sedesem, do której spuchniętych piersi przykładalam liście kapusty, której osuszałam łzy, kiedy rozpadło się jej małżeństwo, i której córka upiekła lukrowane babeczki na dzisiaj. Minęło sporo czasu, zanim zdołaliśmy się spotkać po zebraniu grupy wsparcia w moim domu, i wiem, że to dlatego, że żadna z nas nie chce konfliktu czy konfrontacji, ale jednocześnie żadna z nas nie jest gotowa ustąpić.

– Caroline – mówię łagodnie i ujmuję jej dłoń. Poprawia się zażenowana na krześle. – Obawiam się, że musimy zerwać naszą współpracę.

Odchyła głowę do tyłu i wybucha śmiechem. Już wszystko dobrze między nami.

Słońce jest jeszcze na niebie, kiedy wybieram się na Bloom, największy w Irlandii ogrodniczy, gastronomiczny i rodzinny festyn. Odbywa się w Parku Phoenix w pierwszy czerwcowy weekend i przyciąga tysiące ludzi. Są tu pokazy gotowania i rękodzieła, darmowe porady ekspertów od ogrodnictwa, irlandzkie produkty regionalne, rozrywka na żywo, warsztaty ogrodnicze. Mój kawałek nieba. Zaprosił mnie tu Monday – zostawił bilet w skrzynce pocztowej razem z zasuszoną kampanulą wsuniętą w kopertę. Od tej pory odbyliśmy tylko jedną rozmowę przez telefon; kiedy przyjąłem zaproszenie, tajemniczo zapowiedział, że będę wiedziała, gdzie go znaleźć, i szybko się rozłączył. Podejrzewam, że kampanula jest wskazówką. I rzeczywiście. Zmartwiony, że spędzę noc w Parku Phoenix, szukając niewłaściwych tropów, pisze do mnie SMS: „Kampanula jest wskazówką”, to trochę żałosne i słodkie zarazem.

W parku są strefy dla dzieci, strefy kulinarne, główne sceny i mniejsze sceny z popisami sławnych szefów kuchni, irlandzkimi tańcami ludowymi, wystawkami „zrób to sam”, demonstracją puszczania baniek i pokazami mody. Park huczy od imprez, każdy znajdzie coś dla siebie. Wokół mnie utytułowani projektanci ogrodów stworzyli własne światy na niewielkich działkach. Jest tu elegancki i ulizany ogród skandynawski, ogród japoński, chiński,

ogród z *Czarnoksiężnika z Oz* – niektóre zabawne, niektóre dziwaczne, niektóre wręcz zapierają dech, a wszystkie przenoszą mnie zupełnie gdzie indziej.

Choć serce rwie mi się do Mondaya, spaceruję powoli, bo nie chcę przegapić wskazówek, a poza tym napawam się atmosferą. W zeszłym roku o tej porze nawet bym nie pomyślała, żeby tu przyjść. Nie sądziłabym, że ten festyn jest dla kogoś takiego jak ja, chyba że miałabym tu jakiś interes, kogoś do przekonania, jakiś cel do osiągnięcia. A gdybym była tu w biznesowym charakterze, przegapiłabym urodę tego miejsca. To brzmi jak banał, kiedy ktoś mówi, że trzeba „zwolnić tempo”, ale to prawda. Ja zwolniłam tempo i dzięki temu dostrzegam dużo więcej.

W tej chwili widzę krajobraz z Connemara z murkami z kamienia i z przyczepą kempingową – imitację typowej irlandzkiej działki letniskowej – i czuję, że to już blisko. Jest tu pole kampanuli, liliowa mgiełka ściele się niczym dywan, prowadzi spojrzenie aż za murki, ku torfowiskom i jezioru... i jest. Monday stoi w drzwiach przyczepy z lat sześćdziesiątych wrośniętej w wysoką trawę, jakby porzucono ją dawno temu. Kwiecista roleta w otwartych drzwiach powiewa na wietrze.

Zatrzymuję się przy zardzewiałej furtce.

– *Fáilte*, Jasmine – wita mnie po irlandzku z wstydliwym uśmiechem, w którym wyczuwam nerwowość.

Śmieję się.

– Wchodź – zaprasza mnie gestem i kiedy otwieram furtkę, słyszę perfekcyjne skrzypnięcie, tak jakby ta cała scena rozgrywała się w filmie.

Idę między wysokimi fioletowymi kwiatami okalającymi ścieżkę, są poprzetykane zwiewnymi kremowymi roślinami, które przesycają powietrze charakterystycznym zapachem: to krwawnica i wiązówka. Jest gorący dzień, a na tę okazję ubrałam się w kwiecistą letnią sukienkę, choć maki na niej przypominają raczej pop art niż wiejski ogród. Zapach wiązówki ustępuje miejsca ostremu aromatowi dzikiego czosnku.

Kiedy podchodzę, Monday dostrzega ogromnego guza

nabitego mi patelnią przez doktora Jamesona. Ujmuje moją twarz w dłonie, zatroskany i zagniewany.

– Co się stało?

– Wypadek.

– Kto to zrobił? – Mroczna, zaniepokojona, zła mina.

– Doktorek. Długa historia...

– Co?

– Niechący. Przez ten list... – Przygryzam wargę.

Uśmiecha się i kręci głową.

– Naprawdę, nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak wasza trójka... – Delikatnie całuje mnie w siniaka. – Nigdy nie spotkałem nikogo takiego jak ty. – Bierze mnie za rękę, głaszcze kciukiem dłoń, aż przechodzi mnie dreszcz, potem prowadzi do przyczepy. Zaglądam do środka i widzę stół nakryty do lunchu.

– Robisz to dla wszystkich, których wyławiasz z rynku?

– To zależy od prowizji.

– Wyobrażam sobie, co potrafisz zdziałać, kiedy naprawdę dają ci prowizję – żartuję. – Teraz żałuję, że nie dostałam tej posady.

Wbijają we mnie spojrzenie, od którego łomocze mi serce; próbuję uspokoić ściśnięty żołądek, kiedy siadamy w małej przyczepie, a pod składanym stolikiem dotykamy się kolanami.

– Cóż, zamiast wiecznie nachodzić cię w domu, pomyślałem, że zaproszę cię do swojego i pokażę choć namiastkę miejsca, z którego pochodzę.

– Monday, to jest piękne. I niewiarygodnie urocze.

Rumieni się, ale dzielnie brnie dalej:

– I żeby podkreślić domową atmosferę, przyniosłem ci to, co jadałem w dzieciństwie. – Otwiera plastikowe pojemniczki. – Jagody, poziomki. Zbieraliśmy je, a babcia robiła z nich dżem. Szarlotka. – Otwiera pudełko za pudełkiem i odkrywa wszystkie pyszności. – Pesto z dzikiego czosnku z gorącym ciemnym chlebem.

Ślinka napływa mi do ust.

– Sam to przygotowałaś?

Znów ma zażenowaną minę.

– Tak, ale to przepisy *maiméó*[12]. Zawsze wychodzą. Moja mama zupełnie nie umie gotować, więc na lunch jadałem... – uroczyście prezentuje zawartość pudełka śniadaniowego z Supermanem – kanapki ze śmietaną i sałatą.

– Rany.

– Wiem. Była beznadziejna. Ciągłe jest. Tak naprawdę wychowała mnie *maiméó*. Twarda kobieta, przeprowadziła się z wysp Aran, kiedy mama zaszła w ciążę, choć w sercu zawsze pozostawała wyspiarką i mieszkanie z dala od Aran prawie ją zabijało. Zabierała mnie tam, kiedy tylko mogła.

– Żyje?

– Nie.

– Przykro mi.

Nie odpowiada; zaczyna nakładać jedzenie.

– Twój dom jest o wiele spokojniejszy niż mój... ostatnio. Przepraszam za to zebranie... – Muszę o tym powiedzieć.

– Daj spokój. To mnie jest przykro, że zważyło ci się to na głowę. Ta kobieta, asystentka twojej siostry, Jamie, powiedziała mi, że to niespodzianka. Pomyślałem, że ci się spodoba.

– Na pewno tak nie pomyślałeś.

– Nie znam cię zbyt dobrze, Jasmine. Ale bardzo chcę poznać. – Tym razem żadnego rumieńca, tylko piwno-zielone oczy.

– Jak tam twój eks?

– O rany. Monday. Tak strasznie cię za to przepraszam. Naprawdę...

– Nie musisz za nic przepraszać. Nie byliśmy... Nie było nic... – Ale widzę, że to go boli.

– I przepraszam za rozmowę kwalifikacyjną. – Zakrywam twarz dłońmi. – Nie zaczęłam zbyt dobrze, co? Skoro jedyne, co mam ci do przekazania, to przeprosiny.

– Rozumiem, dlaczego nie przyszedłeś na rozmowę. Rozumiem, dlaczego pojechałaś za Heather. Tylko dlaczego nic nie powiedziałaś? Dzwoniłem i dzwoniłem. Postarałbym się przesunąć datę.

– Wiem. – Krzywię się. – Nie miałam pojęcia, co ci powiedzieć.

– Prawda zawsze mi pasuje. – Od niechcienia wzrusza ramionami.

– Okej. Tak. Przepraszam.

– Już przestań.

Kiwam głową.

– Pewnie nie zechcesz mi nagrać jakiejś innej pracy? – próbuję żałośnie. – Potrafię być godna zaufania...

– Mam dla ciebie wspaniałą propozycję. – Nakłada bitą śmietaną na słodkie bułeczki z dżemem truskawkowym.

– Tak? – Ożywiam się.

Przestaje smarować i posyła mi jedno z tych swoich spojrzeń.

– Co powiesz na to: czarnowłosa, zielonooka, piegowata, ciemnoskóra, metr osiemdziesiąt trzy wzrostu, urodzony w Connemara? Jedyny na milion. A dokładniej: jedyny na cztery przecinek siedem dziesiątych miliona.

Moje serce wzbija się pod niebo.

– Biorę – mówię, wtedy pochyla się, żeby mnie pocałować, a ten pocałunek jest długi, cudowny, dokładnie taki, jakiego się spodziewałam i jaki sobie wymarzyłam.

– Masz łokieć w dżemie – szepczę w trakcie.

– Wiem – odszeptuje.

– I nie masz metra osiemdziesięciu trzech.

– Ćśśś – szepcze znów i całuje dalej. – Nie mów nikomu.

Odsuwamy się od siebie ze śmiechem.

– Więc teraz moja kolej na przeprosiny. – Bawi się moimi palcami. Nie jestem drobna, ale moje dłonie w jego wyglądają jak dłonie lalki. – Przepraszam, że tak długo mi zeszło, zanim...

– Wystartowałeś do mnie? – podsuwam.

– Mhm. – Wreszcie patrzy mi w oczy. – Tak naprawdę jestem dość nieśmiały.

Wierzę mu. Jak na kogoś tak pewnego siebie w pracy jest czarująco niewprawy w sprawach damsko-męskich.

– Wykorzystałem sytuację zawodową jako pretekst, żeby się

z tobą widywać, zanim zebrałem się na odwagę. Za każdym razem, kiedy trulem o posadzie, próbowałem zgadnąć, czy powiesz „nie” albo roześmiesz mi się w twarz. To chyba oczywiste, że kiedy łowię kogoś do pracy, nie ląduję u niego na kolacji.

– Ani nie pomagasz przy fontannie.

Śmieje się.

– No tak. Ani nie pomagam szpiegować sąsiada.

– Kiedy organizowałeś to spotkanie, nie byłeś zbyt nieśmiały – zauważam.

– Cóż, lubię zaszpanować – odpowiada; oboje wybuchamy śmiechem. – Ta historia z byłym facetem dała mi niezbędnego kopa w tyłek.

Znów się krzywię.

– Czy on... chce cię odzyskać?

– Tak – oświadczam ze śmiertelną powagą.

– Aha.

– Parę razy zadzwonił do mnie o pierwszej w nocy i śpiewał mi *Bootie Call All Saints*. Śpiewa jak ministrant.

– Aha – powtarza Monday nieco mniej zaniepokojonym tonem.

– Więc masz z kim rywalizować – dodaję.

– To może bitwa na głosy? – sugeruje. – Wiesz, jak tylko zobaczyłem tę twoją rudą głowę upapraną błotem i liśćmi, wiedziałem, że muszę cię zdobyć. Nie potrafiłem tylko wymyślić, jak się do tego zabrać. Praca dała mi czas. Więc nie przejmuj się, nie zmarnowałem przez ciebie ani chwili.

Znów się całujemy. Prawdę mówiąc, mogłabym od zaraz wprowadzić się do tej przyczepki i zostać z nim na zawsze, choć żadne z nas nawet nie stanie tu prosto. Słyszemy głosy pod oknem, kiedy jakaś grupka ogląda ogródek.

– A, coś ci kupiłem. – Pociera nos, drapie się w skroń, nagle zmieszany. Mamrocze coś od rzeczy. To wydaje mi się takie urocze, że po prostu siedzę, patrzę na niego z szerokim uśmiechem i nie robię nic, żeby mu pomóc. – Do twojego ogródka – ciągnie zażenowany. – Ale jeśli uznasz, że to głupie, wezmę z powrotem i

nie ma problemu. To nie jest drogie, po prostu zobaczyłem i pomyślałem o tobie, że ci się może spodobać, znaczy, nie znam nikogo innego, kto prawie mieszka w ogródku, oczywiście z wyjątkiem mojej mamy, która dosłownie mieszka w... W każdym razie zabiorę, jeśli...

– Monday, naprawdę pięknie opowiadasz o tym prezencie – mówię drwiąco, kładąc dłoń na sercu.

– Przyzwyczajaj się do tego – mówi łagodnie, po czym sięga pod stolik i pokazuje mi tę rzecz do ogródka. Zakrywa twarz rękami, żeby nie widzieć mojej reakcji. – I co? – pyta stłumionym głosem.

Całuję jego dłonie. Opuszcza je na kolana, a uśmiech ulgi zastępuje niepewność na jego twarzy.

– Cudne.

– Czy ja wiem?

– Idealne. Dziękuję.

Całujemy się w przyczepie w Connemara w Parku Phoenix; w dłoni trzymam obtłuczoną ogrodową imitację drogowskazu z napisem „Cuda rosną tylko tam, gdzie je zasadzisz”.

Monday i ja leżymy w moim łóżku. Jest sierpień. Dziesiąta wieczorem, zasłony rozsunięte, niebo jeszcze jasne. Dzieci z sąsiednich ulic wciąż bawią się na dworze. Mój ogródek buzuje życiem. Dookoła nadal słychać odgłosy aktywności, czuć zapach grilla. Bujam w cudownej bańce błogostanu, leżę naga obok Mondaya, pławię się w chwale i nasyceniu po cudownym seksie. Patrzę na niebo i zdumiewam się jego czerwonym odcieniem.

– Czerwone niebo wieczorem... – zaczynam mówić i nagle w oknie pojawia się twoja twarz. – Aaahhhhhh! Arrrrrggggghhh!

Monday o mało nie dostaje zawału, kiedy zrywam się jak oparzona. Ciągnę za sobą prześcieradło, próbuję się nim okryć, ale tylko zaplątuję się niemiłosiernie.

– Jezuu! – krzyczy na twój widok.

Zaczynasz się śmiać: obleśny, obłąkańczy rechot. Po twoich półprzytomnych oczach poznaję, że jesteś pijany.

– Fajny tejaż – bełkoczesz, pukasz w okno.

Zaczynam żałować, że zbudowałam od frontu kratę, która sięga pod okno sypialni. Po ścianie pnie się róża odmiany *parkdirektor riggers* odporna, wieloletnia, o czerwonych kwiatach.

Monday jęczy.

– On chyba jest dziabnięty.

– Chyba? – Spoglądam na niego.

– Idź – mówi ze znużeniem. – Idź i rób z nim to, co tam we dwoje robicie o dziesiątej w czwartkowy wieczór.

Otwieram drzwi w szlafroku i zastaję cię przy stole w ogródku. Siedzisz ubrany w smoking.

Gwiżdżę.

Ty przeklinasz na mój widok.

Drzwi twojego domu są szeroko otwarte, więc wrzucam zapasowy klucz do kieszeni i dołączam do ciebie.

– Widzę, że wreszcie dał ci pracę. – Prychasz i parszczasz tym swoim brudnym, dychawicznym śmiechem. Dziś wróciłeś też do papierosów.

- Zapomniałeś dzisiaj skosić trawę.
- Zachowaj swoje uwagi dla siebie, Delio Smith[13].
- To kucharka.
- Odwal się.

Jesteś dzisiaj zły, Matt. Wróciliśmy do punktu wyjścia. Dopijasz piwo z butelki i rzucasz ją przez ulicę. Rozbija się po mojej stronie chodnika. Monday wygląda przez okno, stwierdza, że nic mi się nie stało, i znowu znika.

– Co cię tak nakręciło?

– Pojechałem na rozdanie nagród radiowych. Nie byłem nominowany. Totalny syf. Powiedziałem im to. Wygarnąłem też parę innych rzeczy. Nagadałem o osobach, które nie stały za mną murem, chociaż powinny. Mówiłem to na scenie, do mikrofonu, żeby wszyscy dobrze słyszeli. Organizatorom nie spodobało się moje zachowanie. Więc mnie wypieprzyli.

Dwa kroki w przód, jeden krok w tył. Oboje mamy tak samo. To chyba naturalne. Nikt nie jest doskonały. Ja nie osądzam, w każdym razie publicznie. Ty perorujesz o pracy, o braku pracy, o wszystkich ludziach na świecie, którzy pracują. Trudno za tobą nadażyć, zaczynasz i urywasz, porzucasz wątki, zanim na dobre je rozwiniesz. Twój tok myślenia wyraźnie świadczy o miejscu, w jakim się teraz znajdujesz. W pewnym sensie się z tobą zgadzam. Po części opisujesz to, jak sama się czułam przez ostatni rok i wciąż czasami się czuję, usiłując każdego dnia znaleźć swoje miejsce. Społeczeństwo hołduje kulturze pracy, przemawiasz, tylko dzieci i starcy mogą nie harować, a odsetek osób, które padają na zawał tuż po przejściu na emeryturę, bardzo cię niepokoi. Uważasz, że umrzesz z nudów, i notujesz sobie, że musisz pójść z tym do doktora Jamesona.

Trudno ci znaleźć pracę, a właściwie to niemożliwe. Twój urlop ogrodniczy się skończył, jesteś oficjalnie bezrobotny. Kiedyś byłeś gorącym towarem, teraz z całą pewnością pracodawcy nie biją się o ciebie. Figurujesz na czarnej liście. Nikt nie zamierza ryzykować i zatrudniać nieprzewidywalnego szaleńca owianego złą sławą. A ci, którzy okazują zainteresowanie, chcą cię z

niewłaściwych powodów, pragną, żebyś podkreślił swoją ciemną stronę, zmienił się w komiksową wersję samego siebie. Ale to nie skłoni Amy do powrotu i nawet ty sam nie czujesz się dobrze z tą częścią swojej osobowości. Odbyłeś nieskończoną liczbę spotkań ze swoim agentem, ale on nie oddzwania już tak często jak kiedyś i spędza więcej czasu ze wschodzącą gwiazdą telewizji, która ma bielsze zęby, gęstsze włosy, ładniejszą skórę i politycznie poprawny dowcip. Gospodynie domowe uwielbiają tego gościa, kierowcy ciężarówek jakoś znoszą. Dziś oblałeś go szklanką wody, a on, kiedy nikt nie patrzył, poprosił cię na dwór. Skłamał, że chce dojrzałe z tobą porozmawiać, po czym przylutował ci w nos, poprawił smoking od Toma Forda i wrócił do środka z plastikowym uśmiechem, żeby wręczyć komuś nagrodę. To twoje słowa. Masz nadzieję, że umrze na chorobę weneryczną. I próbujesz wymienić je wszystkie.

Potem przechodzisz do prezentera, który zdobył twoją nagrodę – wygrywał w tej kategorii co roku od sześciu bitych lat. Facet opowiada w radiu o ptakach i ogrodach. Wiem też, że próbujesz mnie zranić ze względu na moją nową pasję, ale nic z tego. Znam już twoje sztuczki. Kiedy sam cierpisz, próbujesz ranić innych. Ze mną ci się to nie uda.

Potem zaczynasz najeżdżać na krawaciarza. Ostatnio poprosił ciebie i Amy, żebyście mówili ciszej, kiedy pewnego wieczoru prowadziliście gorącą dyskusję na ulicy. Koleś został głównym obiektem twojej nienawiści. Spekulujesz, że uwielbia zebrania na temat zebrań, brzmienie własnego głosu i wygłasza długie przemowy na temat swojego zamiłowania do wtyczek analnych oraz podobnych przedmiotów – wymyślasz je na bieżąco.

Wchodzę do twojego domu i wracam z rolką papieru toaletowego.

– Mam pomysł – przerywam ci bluzgi pod adresem krawaciarza.

– Ja nie płaczę – rzucasz gniewnie na widok papieru. – I już się wysrałem. Na twoje róże.

– Chodź, Matt.

Idziesz za mną przez ulicę. I wreszcie się uśmiechasz, kiedy załapujesz, o co mi chodzi. Przyłączasz się ochoczo. Przez dziesięć minut po cichutku dekorujemy papierem toaletowym ogródek krawaciarza. Pękamy ze śmiechu, ledwie panujemy nad zwieraczami. Musimy co chwilę przerywać i nawzajem zatykać sobie usta, żeby nie narobić hałasu i nie obudzić nadętego buca. Przeplatamy papier przez gałęzie jego kasztanowca. Zwisające kawałki wyglądają jak witki wierzby płaczącej. Ozdabiamy papierem kwiatowe klomby, próbujemy zawiązać wielką kokardę na jego bmw. Owijamy kolumnę na ganku, potem drzemy małe kawałki na confetti i posypujemy trawę. Po skończonej robocie przybijamy sobie piątkę. Kiedy się odwracamy, widzimy, że obserwują nas Monday i doktorek. Monday wygląda seksownie: boso, w dzinsach i koszulce; usiłuje zapanować nad rozbawieniem. Jameson wystroił się w swój awaryjny mundur – ortalionowy dres oraz błyszczące półbuty – i wydaje się szczerze zatroskany stanem naszych umysłów.

– On jest na bani; ale ty, jaką ty masz wymówkę? – Monday stoi ze skrzyżowanymi na piersi rękami, znacząco unosi brwi. – Serio, musicie sobie znaleźć jakąś robotę.

– Mam nadzieję zacząć od poniedziałku, Panie Poniedziałek. – Rechoczesz z własnego dowcipu. Patrzysz na jego bose stopy. – Czyli ty też jesteś w to wkręcony.

– W co?

– W tę sztuczkę Jasmine. Widziałem raz, jak to robi. W środku nocy. Z płaczem. W zimie. Pieprznięta laska.

Monday wybucha śmiechem.

– Wiedziała! – wykrzykuję. – Wiedziała, że mnie podglądasz. Ale tamtej nocy nie płakałam.

– A, fakt. Płakałaś tej nocy, kiedy robiłaś trawnik. I wyglądało to tak, jakby twój dom zrzygał się trawą do ogródka.

Nic nie poradzę, muszę się roześmiać, ale zachowujemy się zbyt głośno, więc Monday i doktorek prowadzą nas kawałek dalej od domu krawaciarza, żeby się nie obudził i nie zobaczył w tym momencie dekoracji w ogródku.

Nie zwracając uwagi na radę doktora Jamesona, skopujesz z nóg skórzane półbuty i rzucasz we mnie śmierdzącymi skarpetkami. Postanawiasz zapuścić korzenie, uziemić się, ale wykonujesz przy tym dziwaczny taniec, który rozśmiesza nas, czy tego chcemy, czy nie. To wszystko jest dość zabawne, dopóki nie nadeptujesz na kawałek stłuczonej butelki, którą sam rzuciłeś przez ulicę.

 Doktor biegnie ci na pomoc.

JESIEŃ

*Pora roku między latem a zimą, na półkuli północnej
obejmuje zwykle wrzesień, październik i listopad.*

Okres dojrzałości.

Monday, ty i ja siedzimy obok siebie na kanapie i podjadamy holenderskie wafle w nienagannie utrzymanym salonie doktora. Pachnie tu bazylią i cytrynami – na parapecie ciągnie się rząderek doniczek z bazylią, a w nasłonecznionym kącie stoi drzewko cytrynowe. Pies leniuchuje w promieniach słonecznych i patrzy na nas znudzonym wzrokiem. Nie pierwszy raz tu jesteśmy, to już trzecia sobota, kiedy asystujemy w castingu doktora na świątecznego towarzysza.

Nie byliśmy tak bezduszni, żeby nie zaprosić go do siebie. Ty wyszedłeś z propozycją pierwszy, choć głównie dlatego, że próbujesz zapunktować u Amy, która wciąż trzyma cię na dystans i czeka na znak, że się starasz, że się odmieniłeś, że – cytując – wzięłeś się w garść. Okazało się, że list, który napisała, zamiast cię zdołować, jak się obawiałam, tak naprawdę dał ci nadzieję. O ile zrozumiałam, pisała ci takie listy już wcześniej, na różnych etapach waszego wspólnego życia, między innymi kiedy trzy razy próbowałeś się jej oświadczyć i za każdym razem oblatywał cię strach. Postrzegasz ten jej list jako interwencję, coś w rodzaju grupy wsparcia dla twojego małżeństwa. Między skąpymi wersami wyczytałeś ukrytą wskazówkę, że ona naprawdę do ciebie wróci, ale jest już wrzesień, a wy wciąż nie za bardzo ze sobą rozmawiacie. Myślałeś, że zaproszenie doktora Jamesona będzie dla niej dowodem, jak się zmieniłeś, a tymczasem ona uznała to za bezmyślność: jak zwykle nie postawiłeś rodziny na pierwszym miejscu, jak zwykle myślisz o własnych potrzebach, a na dodatek nie chcesz spędzić Bożego Narodzenia z nią. Miała na ten temat sporo do powiedzenia. Słyszałam któregoś wieczoru, jak ci to wykrzykuje i tym razem krawaciarz nie był na tyle głupi, żeby marudzić. Jestem pewna, że doktor Jameson też to słyszał, przez co odrzucenie twojej propozycji było dla niego zarazem łatwiejsze i bardziej niezręczne. Fakt, że nie spędzi świąt ze swoim najbliższym sąsiadem i przyjacielem, musiał być dla niego dodatkowym ciosem, i teraz widzę, że nagle zaczął wyglądać

starzej, jest bardziej znużony, choć stara się udawać, że to wszystko go bawi.

– Przynajmniej z nim rozmawia – stwierdził Monday, kiedy w łóżku słuchaliśmy waszej kłótni przy ogrodowym stole i dumaliśmy z samozadowoleniem, jak każda świeża para, że my nigdy nie będziemy tak traktować siebie.

Ale poruszyłeś ten temat w złym momencie. Twoje wybryki na rozdaniu nagród radiowych znów trafiły do mediów i straciłeś wszelkie szanse na dobrą fuchę w jednej z konkurencyjnych stacji, która brała cię pod uwagę. Stanowisz zbyt duże ryzyko. Zamiast tamtej propozycji dostałeś inną, od mniej znanej lokalnej stacji – nadaje tylko na terenie Dublina, ale przynajmniej poprowadzisz własną audycję: *Matt Marshall komentuje*. Od północy do trzeciej nad ranem będziesz omawiać bieżące wydarzenia. Oczywiście warunkiem jest nienagane zachowanie. Zacząłeś dwa tygodnie temu i byłeś tak miły, że zorganizowałeś Heather pracę w swoim biurze przez jeden dzień w tygodniu. Omówiliśmy to, kiedy przyszedłeś na jej grupę wsparcia. Nowa audycja oznacza drastyczne zmniejszenie zarobków i nie masz już do pomocy takiej ekipy jak kiedyś, więc w zasadzie spadłeś na sam dół drabiny. Amy idzie więc do pracy, ale myślę, że choć zostaliście niejako zmuszeni do tych zmian, wyjdą wam obojgu na dobre. Coś o tym wiem.

Natychmiast wyłączyłam się z tego, co mówi siedząca przede mną młoda kobieta. Stwierdzenie, że jest hippiską new age, byłoby niegrzeczne i lekceważące, ale aktualnie mieszka na drzewie i próbuje powstrzymać deweloperów przed zrównaniem go z ziemią, ponieważ jest to siedlisko rzadkiego gatunku ślimaka. Podziwiam jej silne przekonania: ślimaki potrzebują ludzi takich jak ona, żeby chronili je przed takimi jak ja, ale chroniąc ślimaki, blokuje budowę niezwykle potrzebnego szpitala dziecięcego. Chciałabym, żeby ludzie tak zaciekle walczyli o dzieci, jak walczą o ślimaki. Nie wydaje mi się, żeby doktor Jameson był równie empatyczny w kwestii ślimaków, jak dziewczyna ma nadzieję: zjadły mu sałatę w warzywniku. Ale nie dlatego nie mogę się

skupić, tylko przez Mondaya. Siedzi obok mnie, tak blisko, że czuję żar przez jego koszulkę, miękką i cienką, niemal przejrzystą. Spoglądam na lewo, w dół i widzę sutek. Monday przyłapuje mnie, posyła spojrzenie, które już dobrze znam, bardzo stęsknione, i myślę sobie, że byłaby wielka szkoda zmarnować ten stan. Głaszcze kciukiem wnętrze mojej dłoni, raz, w dół i w górę, i to wystarczy. Pragnę go. A on patrzy na mnie tak, jakby chciał mnie wziąć tu i teraz. I prawie jestem gotowa to zrobić, tylko boję się, że komentowałbyś nasz harce na bieżąco.

Wrześniowe powietrze jest duszne, ciężkie, jak gdyby zbierało się na burzę. Pogoda, od której boli głowa i która doprowadza zwierzęta – i ciebie – do szału. Mam nadzieję, że będzie padać, bo mój ogródek potrzebuje wody. Po drugiej stronie ulicy pan Malone siedzi sam na leżaku, z filiżanką herbaty. Trzyma ją już tak od godziny. Gdyby od czasu do czasu nie mrugał, pomyślałabym, że nie żyje, ale tak właśnie wygląda od śmierci pani Malone; drugi udar odebrał jej życie trzy tygodnie temu. Wyobrażam ją sobie, jak piele ogródek, na czworakach, w tweedowej spódnicy, a potem widzę ją taką po udarze – siedzi w ogródku z panem Malone'em, a on jej czyta... I nagle on jest sam, łzy napływają mi do oczu.

Monday znów na mnie zerka, zatroskany. Ścisną mi dłoń, jeszcze bardziej mnie rozpala. Nie wprowadził się do mnie oficjalnie, ale w sumie nie ma żadnej różnicy, bo spędza u mnie większość nocy. Dostał nawet trochę miejsca w szafie na swoje rzeczy, a jego szczoteczka i przybory do golenia leżą obok moich kosmetyków. Te noce, kiedy nie śpi u mnie – kiedy mówimy sobie, że powinniśmy zwolnić, poodwiedzać przyjaciół, spędzić wieczór osobno – są torturą; patrzę na jego rzeczy i pragnę, żeby był ze mną. Monday ma psa Madrę, biszoptowego labradora, który zachowuje się jak pan domu. Przejął mój ulubiony fotel, ale to mi nie przeszkadza, skoro i tak leżę z Mondayem na kanapie; Madra zostaje nawet na ten czas, kiedy jego pana nie ma, co poniekąd odbiera sens całemu temu byciu osobno. Zdarza się, że ty wciąż potrzebujesz mnie w nocy, ale nie tak często jak kiedyś. Czasami

wyglądam przez okno i czekam na warkot twojego jeepa, który pędzi ulicą z Guns N' Roses ryczącymi z głośnika, tyle że już się nie wkurzam.

Ja też zaprosiłam doktora Jamesona, żeby spędził ze mną Boże Narodzenie. Albo byłabym mu bardzo wdzięczna, gdyby zajął moje miejsce, a ja posiedziałyabym sobie w domu, bo pierwszy dzień świąt mamy spędzić z ekscentryczną matką Mondaya w Connemara, a drugi w Dublinie, z moją rodziną. Na spotkaniu w tym tygodniu Heather oznajmiła nam, że chciałaby przyrządzić świąteczną kolację, bo to pierwszy raz, kiedy dołączy do nas Jonathan. Obie więc będziemy chodzić na kurs gotowania, na którym nauczymy się, jak przygotować idealną świąteczną kolację. Ani Monday, ani ja nie cieszymy się jakoś szczególnie na te święta. Gdybym mogła mieć Heather tylko dla siebie, to oczywiście byłoby cudownie, ale nie mogę. Doktor Jameson przypomniał nam, że rodzinne utarczki są lepsze niż samotność. Kiedy patrzę, przez co przechodzi, żeby zapewnić sobie choć namiastkę towarzystwa w ten dzień, który podobno większość ludzi wolałaby spędzać samotnie, jestem skłonna się z nim zgodzić.

– Okej. – Klaszczesz w dłonie raz, głośno, kiedy dziewczyna jest w połowie zdania. Nie możesz dłużej znieść jej paplaniny. Monday i ja podskakujemy spłoszeni, bo bujaliśmy we własnych światach. – Myślę, że już wystarczy – mówisz, a Monday wybucha śmiechem.

Kobieta patrzy na ciebie przerażona i urażona, więc nieco łagodzę cios swoją uprzejmością, kiedy odprowadzam ją do drzwi.

– No i co myślisz? – pytam po powrocie.

Doktor Jameson patrzy na mnie.

– Myślę... ona pachniała mchem.

Monday znów rechocze, jakbyśmy byli bandą dziwaków w telewizji, których on obserwuje i daje się wciągnąć w show. Zapomina, że my go naprawdę widzimy.

– Jest jeszcze jedna osoba. – Próbuję podnieść nastrój. Doktor Jameson wydaje się dzisiaj bardziej zadowolony niż

kiedykolwiek.

– Nie. Dość tego – mruży cicho sam do siebie. – Dość. – Wstaje i rusza w stronę telefonu w kuchni. Parter domu jest otwarty, tak jak twój i mój, tylko wystrój pozostał oryginalny, z lat siedemdziesiątych, z oryginalnymi kafelkami i tapetą, która też wygląda na oryginalną.

– Nie odwołuj tego – mówię, kiedy doktorek podnosi słuchawkę i w małym notesie szuka numeru.

– Jak miała na imię? – pyta, przeglądając nazwiska i numery. – Rita? Nie, Renagh. A może Elaine? Nie pamiętam. – Przerzuca strony. – Tyle ich było.

– Już prawie trzecia, doktorku, ona się tu zaraz zjawi. Na pewno wyszła już z domu, nie możesz tego odwołać.

– Podjechał samochód – oznajmia Monday z salonu.

Jameson wzdycha ze znużeniem i zamyka notes. Widzę, że się poddał, i serce mi się kraje.

Zdejmuje okulary; zawisają na łańcuszku. Wszyscy idziemy do okna, tak jak przy każdym kolejnym gościu, i obserwujemy. Przed domem stoi żółty mini cooper. Starsza pani w jasnoliliowej dzierganej czapce spogląda wprost przed siebie. Jest duża i puszysta, przypomina pluszowego misia.

– Olive – mówi nagle doktorek wesołym tonem, z którego wyparowało całe znużenie. – Tak ma na imię.

Zerkam na niego i próbuję ukryć uśmiech.

Olive patrzy niepewnie na dom, po czym uruchamia silnik.

– Odjeżdża – rzuca Monday.

– A jednak nie – odzywasz się ty po kilku sekundach, bo nie ruszyła się z miejsca.

– Po prostu tam siedzi – mówię ja.

– Wygląda na to, że się spietrała. Jeśli ją tak zostawimy, pewnie się całkiem wystraszy i odjedzie – zwracasz się do doktora. – Będziesz miał z głowy.

Jameson przygląda jej się przez chwilę i nagle wychodzi bez słowa. Śledzimy go wzrokiem, jak idzie ścieżką przez ogródek i podchodzi do mini coopera.

– Powie jej, żeby spadała – stwierdzasz. – Patrzcie.

Wzdycham. Twoje żarty są celowo nie na miejscu i choć przywykłam do ciebie i niuansów twojego poczucia humoru, czasami jesteś po prostu męczący.

Doktor Jameson obchodzi autko i lekko puka w szybę kierowcy. Posyła damie słodki, zapraszający i zachęcający uśmiech oraz miękkie spojrzenie, jakiego jeszcze u niego nie widziałam. A ona wpatruje się w niego i ściska kierownicę tak mocno, że zbieleły jej kostki palców. Ale widzę, jak chwyt stopniowo się rozluźnia, i nagle silnik gaśnie.

– Chyba powinniśmy zostawić tych dwoje sam na sam – sugeruję; ty i Monday patrzycie na mnie zdziwieni. – Chodźcie. – Kiedy ciągnę was podjazdem, doktor Jameson nie protestuje. Macha nam wesoło, prowadząc gościa do domu. Śmiać mi się chce, bo czujesz się tym odwrotem trochę urażony.

Później, tego samego dnia, wślizguję się na krzesło obok ojca w naszym miejscowym domu kultury, gdzie Heather odbiera pomarańczowy pas w taekwondo. Ten pas symbolizuje wschód słońca, kiedy, jak to o świcie, widać na razie tylko piękno słońca, a nie jego niezmierną moc. To oznacza, że początkujący uczeń dostrzega piękno sztuki taekwondo, ale nie doświadczył jeszcze jej potęgi. Czuję, że ja też zasłużyłam na pomarańczowy pas.

Zara siedzi na kolanach Leilah u drugiego boku taty, więc tym razem nie może nam służyć za most.

Heather zauważa mnie, rozpromienia się, cała podekscytowana, i macha. Nigdy nie jest zdenerwowana wyzwaniem stawianym przez życie. Postrzega je jako przygodę i w większości przypadków tworzy je sama. To bardzo inspirujące.

– Tato – szepczę. – Co do tej pracy...

– Nie ma sprawy.

– No cóż, chciałam ci podziękować.

– Niczego nie zrobiłem. Przepadło. Dostał ją ktoś inny.

– Słyszałam. Ale dzięki. Za to, że pomyślałeś, że się do niej nadaję.

Patrzy na mnie jak na idiotkę.

– Oczywiście, że byś się nadawała. I pewnie robiłabyś to lepiej niż facet, którego zatrudnili. Ale, do cholery, nie raczyłaś się pofatygować na rozmowę. Brzmi znajomo?

Uśmiecham się do siebie. To największy komplement, jaki kiedykolwiek dostałam od niego.

Heather zaczyna pokaz.

– A tak przy okazji, znalazłem to. – Sięga do tylnej kieszeni i wyjmuję zdjęcie, lekko zagięte na rogach od upychania w kieszeni i pofalowane od dopasowywania się do kształtu jego tyłka. – Szukałem starych zdjęć Zary i natknąłem się na to. Pomyślałem, że ci się spodoba.

Fotografia przedstawia mnie i dziadka Adalberta Mary. Ja w wielkim skupieniu wysiewam nasiona w jego ogrodzie za domem; żadne z nas nie patrzy w obiektyw. Mam może ze cztery lata. Na odwrocie odręczne pismo mamy: *Tata i Jasmine sieją słoneczniki, 4 czerwca 1984.*

– Dziękuję – mamrocę ze ściśniętym gardłem.

Ojciec odwraca oczy zażenowany moim nagłym wzruszeniem. Leilah rzuca mi chusteczkę i widzę, że jest zadowolona z męża. Patrzę na Heather prezentującą swój układ.

Po powrocie do domu oprawiam zdjęcie i wieszam je na mojej kuchennej ścianie wspomnień. Zatrzymany czas, kiedy mama żyła, kiedy dziadek Adalbert Mary nie był jeszcze zasadzony w ziemi, a ja jeszcze nie wiedziałam, że umrę.

Mój ogródek w listopadzie wcale nie jest ponury. Nie ma w nim morza kwiatów, ale zasadziłam najróżniejsze wieloletnie krzewy z barwną korą, żeby było bardziej interesująco. Mam tu swój zimowy jaśmin, kwitnący zimą wrzos, wiecznie zielone rośliny. Elegancka, pierzasta trawa powiewa przy najlżejszym wietrzyku i ożywia ogródek ruchem. Wiciokrzew pana Malone'a też pachnie i zachwyca kolorami. Zaczęły się już jesienne wichury, obfite deszcze, więc większość dni grabię liście, z których wytwarzam kompost. Czyszczę sprzęt ogrodowy i chowam go na zimę, choć serce mi się ściska. Podwiązuję pnącza, żeby chronić je przed wiatrem. Celem na listopad jest zasadzenie róż, a moje badania naukowe, jak się do tego zabrać, niezmiernie rozbawiły Mondaya. Cóż, poważny temat.

– To tylko róże – powiedział.

Tylko? Jakie „tylko”? I opowiedziałam mu szczegółowo o tych pięknych kwiatach, a on słuchał, bo zawsze słucha. Kiedy skończyłam, pocałował mnie i wyznał po raz pierwszy, że właśnie za to mnie kocha. Teraz więc róże przypominają mi o jego miłości.

Ale one, tak jak ty i ja, mają swoje problemy. Zasadzone w ziemi, w której róże rosły już od wielu lat, są podatne na chorobę zwaną zamieraniem pędów. Jeśli daje się nowe sadzonki w takim miejscu, należy usunąć tyle starej ziemi, ile się da, i zastąpić ją świeżą, z części ogrodu, w której dotąd nie było róż. To przywodzi mi na myśl pana Malone'a, który próbuje rosnać w tym samym miejscu, gdzie umarła jego żona. I o każdym, kto stara się przetrwać tam, gdzie umarło mu cokolwiek, nawet część jego samego. Wszyscy doświadczamy tej choroby. Lepiej się ruszyć. Wykopać z korzeniami i zacząć na nowo. Wtedy się zakwitnie.

Pewnego listopadowego ranka budzi mnie odgłos wleczenia dobiegający z za okna – znajomy dźwięk, coś jak chrobotanie paznokci na tablicy. To cofa mnie w czasie, magicznie przenosi do innego okresu w życiu. Wysuwam się spod ramienia Mondaya, które wcześniej, w nocy, było opiekuńcze, a teraz leży ciężkie jak

kłoda na moich żebrach, i wymykam się z łóżka. Wyglądam przez okno – ciągniesz ogrodowy stół w poprzek podjazdu.

Serce zamiera mi na moment, żołądek wykonuje nietypowe salto, nie z podniecenia, ale smutku i poczucia straty, tak jakbym była niezdolna i nieprzygotowana, żeby ruszyć naprzód, zaakceptować zmiany, pożegnać się. Błyskawiczna żałoba. Nie mogę patrzeć, jak to robisz. Wbijam się w dres i biegnę na dwór. Muszę ci w tym pomóc. Kiedy łapię za drugi koniec stołu, spoglądasz na mnie i się uśmiechasz.

Krawaciarz śmiga obok nas. Oboje odrywamy dłonie od stołu, żeby pomachać. Nie zwraca uwagi ani na mnie, ani na ciebie. Wybuchamy śmiechem i wracamy do roboty. Nie rozmawiamy, a mimo to dobrze nam się współpracuje przy manewrowaniu ciężkim kłopotem wokół narożników domu. Wnosimy go do ogrodu z tyłu. To niemal jak wyprowadzka czy dźwiganie trumny z drogim przyjacielem. Czuję gulę w gardle.

Ustawiamy stół w ogrodzie, na patiu przy kuchni, i przysuwamy krzesła, które przeniosłeś wcześniej.

– Amy wraca – mówisz.

– Wspaniale – odpowiadam po krótkiej chwili zdumiona, że udało mi się wypchnąć głos przez ściśnięte gardło.

– Tak, to prawda – przyznajesz, ale nie wyglądasz na szczęśliwego. – Nie mogę tego spieprzyć.

– Nie spieprzysz.

– Nie pozwól mi.

– Nie pozwolę – obiecuję wzruszona odpowiedzialnością, którą złożyłeś na moje barki.

Dziękujesz mi skinieniem i wracamy do ogródka od frontu. Fionn siedzi w samochodzie i bawi się radiem, zmienia stacje, szuka piosenek, które lubi.

– Naprawiłeś sprzęt.

– Nie był zepsuty – odpowiadasz zdziwiony.

– Mówiłeś przecież... Nieważne.

Orientujesz się, że wpadłeś: przyłapałam cię na kłamstwie.

– A, Guns N' Roses. – Wzdychasz. – Ojciec bił mnie i mamę.

Tego dnia, kiedy wreszcie się go pozbyliśmy, kiedy wreszcie mu się postawiłem, włączyliśmy sobie *Paradise City* na cały regulator i tańczyliśmy razem po kuchni. Nigdy nie widziałem jej tak szczęśliwej.

Twoja piosenka wolności. Wiedziałaś, że coś znaczy, chciałam, żeby coś znaczyła w te zimne, ciemne noce, kiedy gnałeś ulicą, jakby nie było cię wieki i jakbyś nie mógł się doczekać, kiedy znów zobaczysz się z rodziną, a potem zawsze czuleś się odcięty.

– Dzięki, że mi powiedziałeś.

– No cóż, lepsze to niż *Love is a Battlefield* – rzucasz niby od niechcenia. Szczeka mi opada. – Co? Myślisz, że nie słyszę, jak codziennie sobie to puszczasz? Otóż słyszę cię, kiedy masz otwarte okna, a czasem nawet widzę ze szczotką do włosów. – Naśladujesz mnie, wykonując żałosny taniec z lat osiemdziesiątych.

– Nie śpiewam do szczotki – protestuję.

Uśmiechasz się do mnie nerwowo i załamuję, że to tylko próba zmiany tematu po tym, z czego się zwierzyłeś, a nie znasz innego sposobu.

– To dezodorant, skoro już musisz wiedzieć, i mam świetną synchronizację z oryginałem.

– Nie wątpię – śmiejesz się.

Spoglądam na swój dom – Monday obserwuje nas z okna sypialni. Chowa się, kiedy go zauważamy.

– To idzie całkiem nieźle, nie?

Kiwam głową.

– Dziś wielki dzień – oznajmiam triumfalnie. Ma skonsternowaną minę, więc dodaję: – Koniec wyroku.

Jesteś zbity z tropu, zaskoczony.

– No proszę. Co ty powiesz.

– Myślałam, że może wiesz, skoro ruszyłeś stół.

– Nie. Po prostu uznałem, że tak będzie dobrze. – Oboje wpatrujemy się w miejsce, gdzie stał stół. Nogi zgmiotły trawę. Widać łysą ziemię. Będziesz musiał dosiać.

– Znalazłaś już coś?

– Nie.
– Znajdziesz.
– Raczej tak.
– Straciłaś pewność siebie, ale ją odzyskasz – dodajesz mi otuchy. I wiem, że to nie są puste słowa, bo ty, właśnie ty to wiesz.
– Dzięki.
– Hm. To był ciekawy rok. – Wyciągasz dłoń. Spoglądam na nią, chwytam, potrząsam nią raz, potem podchodzę bliżej, żeby cię uściskać.

Obejmujemy się na trawie w ogródku przed domem, gdzie kiedyś stał stół.

– Nigdy mi nie powiedziałaś, czym zawiniłem – mówisz łagodnie z ustami przy mojej szyi. – Czym cię tak zraziłem. Ale chyba wiem.

Nieruchomieję niepewna, jak zareagować. Już od dawna nie myślę o tobie jak o tamtym człowieku, którego nienawidziłam. Żadne z nas nie przerywa uścisku, chyba łatwiej nam nie patrzeć na siebie. Mówisz w moją szyję, czuję twój gorący oddech na skórze.

– Chodziło o twoją siostrę, prawda?
Serce mi się tłucze i jestem pewna, że to czujesz. To mnie zdradza.

– Przykro mi.
Te przeprosiny w pierwszej chwili mnie szokują, potem nie czuję nic. I dociera do mnie, że tak naprawdę wcale nie tego potrzebowałam. Przez cały rok pokazywałeś mi, że ci przykro, że wcale tego nie chciałeś. To już nie ma znaczenia. Wybaczyłam ci. Wysuwam się z twoich objęć, całuję cię w czoło. Wracam na drugą stronę ulicy, do siebie.

Madra jak wściekły kopie w ogródku; niestety, zaliczamy spięcia w takich sprawach. Monday jest ubrany i stoi w otwartych drzwiach. Macha do ciebie, ty odmachujesz.

– Madra! – krzyczę. – Nie! Kochanie, jak mogłeś mi pozwolić...? Och, moje kwiaty!

Pies kopie u stóp drogowskazu, który kupił mi Monday, tego

z napisem „Cuda rosną tylko tam, gdzie je zasadzisz”. Padam na kolana, żeby naprawić szkody, ale kiedy to robię, zauważam coś w ziemi. Metalową puszkę, taką jak zardzewiałe kapsuły z dziecięcymi skarbami.

– Co to...? Monday, patrz!

Unoszę wzrok, spodziewam się zaskoczenia, ale on już wie. Uśmiecha się do mnie. Klęka obok, tak jakby chciał mi pomóc doprowadzić kwiaty do porządku, ale mówi tylko:

– Otwórz.

Otwieram. I... och. Tak. Mówię „tak”.

Ten rok mnie odmienił. Nie zewnętrznie. Wyglądam tak samo, może trochę starszej. Zmieniłam się w środku. Czuję to. Po prostu magia. Mój ogród odzwierciedla mnie samą. Kiedyś pusty i jałowy, teraz jest dojrzały i pełen życia. Kwitnie i pięknieje w oczach. Być może to samo da się powiedzieć o mnie. Straciłam coś, co, jak sądziłam, mnie definiuje, dlatego czułam się jak pusta skorupa. Zamiast starać się to odzyskać, musiałam znaleźć sposób, bez niczyjej pomocy, żeby zapełnić tę pustkę.

Świat fascynują błyskawiczne transformacje, odmiany losu czy zręczne magiczne sztuczki. Jak z bicza strzelił, z tu do tam, jedno mrugnięcie i gotowe. Łatwo to nawet przegapić. Moja przemiana nie była natychmiastowa i często powolny bieg zmian powoduje ból, poczucie samotności i zagubienia. Ale to się dzieje, nawet kiedy nie zdajemy sobie z tego sprawy. Oglądamy się za siebie i myślimy: „kim była ta osoba?”, a czasem w trakcie zadajemy sobie pytanie: „kim się staję?”. I w którym dokładnie momencie przekroczyliśmy tę granicę, kiedy starsza wersja ustąpiła miejsca nowszej? Ale to właśnie dzięki ślimaczemu tempu pamiętamy tę podróż, nie tracimy poczucia, gdzie jesteśmy, dokąd idziemy i dlaczego. Kiedy miejsca przeznaczenia nie znamy, możemy docenić samą podróż.

To nie była tylko moja podróż, to nie jest opowieść tylko o mnie i o człowieku, który mnie uratował, choć rzeczywiście ja się potknęłam, ty upadłeś, mnie spotkała miłość, a ty odzyskałeś swoją. To o mnie i o tobie, o naszych porażkach i sukcesach, i o

tym, co się stało, kiedy zatrzaśnięto nam przed nosem drzwi. Nie wiem, czy gdyby nie ty, byłabym teraz tym, kim jestem. Może nawet nie przypuszczasz, że cokolwiek ważnego dla mnie zrobiłeś. Większość ludzi nie musi tak naprawdę niczego robić, żeby nas odmienić, wystarczy, że po prostu są. Zareagowałam na ciebie. Wywarłeś na mnie wpływ. Pomogłeś mi. Byłeś najdziwniejszym przyjacielem i najbardziej wyrozumiałym słuchaczem. Podczas jednej z tych długich, ciemnych, zimnych nocy przy ogrodowym stole, powiedziałeś mi – choć wstydziliś się, że to mówisz, i pewnie jak wytrzeźwiałeś, już tego nie pamiętałeś – że byłeś zamknięty na zimnie, odcięty od domu, a ja wpuszczałam cię raz za razem. Wtedy miałam na to prostą odpowiedź, ale nie rozumiałam prawdziwego znaczenia własnych słów: sam dałeś mi klucz.

Myślę, że ty zrobiłeś to samo dla mnie.

Pomogłam ci pomóc mnie, ty pomogłeś mi pomóc tobie i tak właśnie musi być, bo inaczej zniknęłaby cała koncepcja pomocy. Zawsze uważałam, że przyjmowanie wsparcia to utrata kontroli, ale musisz pozwolić komuś, żeby ci pomógł, musisz tego chcieć, dopiero wtedy ten cud ma szansę zaistnieć.

Przemiana z poczwarki w motyla może potrwać tygodnie, miesiące, nawet lata – moja trwała okrągły rok. I choć stałam się tym, kim teraz jestem, wciąż przechodzę transformację, jeszcze większą, której nawet nie zauważę, dopóki nie spojrzę wstecz na obecną siebie i nie zapytam: „kim była ta dziewczyna?”. Nieustannie ewoluujemy; chyba zawsze o tym wiedziałam, ale dlatego że wiedziałam, bałam się zatrzymać. Co za ironia, że dopiero kiedy się zatrzymałam, poszłam naprzód dalej niż zwykle. Teraz rozumiem, że nigdy nie zastygamy w miejscu, nasza podróż nigdy się nie kończy, bo nigdy nie przestaniemy się rozwijać i rozkwitać: kiedy gąsienica myślała już, że świat się skończył, stała się motylem.

eh.

Podziękowania

Ogromnie dziękuję osobom, które zaszczyliły mnie swoją nieocenioną pomocą:

Marianne Gunn O'Connor, Vicki Satlow i Pat Lynch. Mądryemu zespołowi wydawnictwa HarperCollins, a szczególnie Lynne Drew, Louise Swannell, Liz Dawson, Marcie Ashby i Kate Elton. Dziękuję bardzo zasadniczemu Charliemu Redmayne'owi – bez Ciebie byłabym nikim. Może być? Pragnę ciepło pożegnać Moirę Reilly, która była ze mną od początku tej zwariowanej podróży, ale to nie jest pożegnanie na zawsze – do zobaczenia przy barze... Księgarze i czytelnicy na całym świecie, słowa nie wyrażą wdzięczności za życie, jakie mi podarowaliście: dzięki Wam każdego dnia mogę bez reszty oddawać się swojej pasji. Dziękuję swojej cudownej rodzinie, którą uwielbiam; przyjaciołom, którzy na każde wezwanie stawiają się do mojej dyspozycji, i w końcu najważniejszym ze wszystkich: Davidowi, Robinowi i Sonny'emu. Wy, szalone, zwariowane, piękne istoty – kocham Was.

Dobra, a teraz idę pisać następną książkę. X

[1] Test pozwalający wykryć fenylketonurię u noworodków, wprowadzony na szeroką skalę w latach 60. XX wieku w Europie i Ameryce Północnej (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).

[2] Bodhrán – irlandzki bęben, bardzo popularny w muzyce celtyckiej.

[3] Deepak Chopra – amerykański lekarz, filozof, mówca pochodzenia indyjskiego, autor wielu książek o harmonii ciała i umysłu.

[4] *Compos mentis* (łac.) – w pełni władz umysłowych.

[5] Monday (ang.) – poniedziałek.

[6] Thursday (ang.) – czwartek.

[7] Weed (ang.) – chwast.

[8] Berbeć (oryg. *The Snapper*) – irlandzki film, w którym dwudziestoletnia bohaterka zachodzi w ciążę, ale nie zdradza nazwiska ojca dziecka.

[9] Przepiękne ogrody pałacowe o powierzchni dwudziestu hektarów, z wodospadem i zjawiskową roślinnością.

[10] Kryminalny serial telewizyjny z lat dziewięćdziesiątych.

[11] *Turner i Hooch* – komedia kryminalna; rolę detektywa Turnera gra Tom Hanks; Hooch natomiast jest psem – świadkiem morderstwa.

[12] Maimeó (irl.) – babcia.

[13] Delia Smith – angielska prezenterka w programach

kulinarnych.

